

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**WILIAM SZEKSPIR**

**TRAGEDIE**

**II**

**ROMEO I JULIA**

**MAKBET**

**OTELLO**

Przełożył  
JÓZEF PASZKOWSKI

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

# **ROMEO I JULIA**

Przełożył  
JÓZEF PASZKOWSKI

## OSOBY

E s k a l u s – księżę panujący w Weronie  
P a r y s – młody Weroneńczyk, szlchetnego rodu, krewny księcia  
M o n t e k i o i K a p u l e t – naczelnicy dwóch domów nieprzyjaznych sobie  
S t a r z e c – stryjeczny brat K a p u l e t a  
R o m e o – syn M o n t e k i e g o  
M e r k u c j o – krewny księcia, przyjaciel R o m e a  
B e n w o l i o – synowiec M o n t e k i e g o, przyjaciel R o m e a  
T y b a l t – krewny P a n i K a p u l e t  
L a u r e n t y – ojciec franciszkanin  
J a n – brat z tegoż zgromadzenia  
B a l t a z a r – służący R o m e a  
S a m s o n i G r z e g o r z – słudzy K a p u l e t a  
A b r a h a m – służący M o n t e k i e g o  
A p t e k a r z  
T r z e c h m u z y k a n t ó w  
P a ż P a r y s a  
P i o t r  
D o w ó d c a w a r t y  
P a n i M o n t e k i o – małżonka M o n t e k i e g o  
P a n i K a p u l e t – małżonka K a p u l e t a  
J u l i a – córka K a p u l e t ó w  
M a r t a – mamka J u l i i  
Obywatele weroneńscy, różne osoby płci obojej, liczące się do przyjaciół obu domów, ma-  
ski, straż wojskowa i inne osoby.

*Rzecz odbywa się przez większą część sztuki w Weronie, przez część piątego aktu w Man-  
tui.*

## PROLOG

Dwa wielkie domy w uroczej Weronie,  
Równie słynące z bogactwa i chwały,  
Co dzień odwieczną zawiść odnawiały,  
Obywatelską krwią broczyły dłonie.

Lecz gdy nienawiść pierś ojców pożera,  
Fatalna miłość dzieci ich jednoczy  
I krwawa wojna, co z wieków się toczy,  
W cichym ich grobie na wieki umiera.

Miłość, kochanków śmiercią naznaczona,  
Wściekłość rodziców i wojna szalona,  
Zerwana późno nad mogiłą dzieci,

Przed waszym okiem na scenie przeleci.  
Jeśli nas słuchać będziecie łaskawi,  
Błędy obrazu chęć nasza naprawi.

## AKT PIERWSZY

### SCENA PIERWSZA

*Plac publiczny.*

*Wchodzą S a m s o n i G r z e g o r z uzbrojeni w tarcze i miecze.*

SAMSON

Dalipan, Grzegorzu, nie będziem darli pierza.

GRZEGORZ

Ma się rozumieć, bobyśmy byli zdziercami.

SAMSON

Ale będziemy darli koty, jak z nami zadrą.

GRZEGORZ

Kto zechce zadrzeć z nami, będzie musiał zadrzeć.

SAMSON

Mam zwyczaj drapać zaraz, jak mię kto rozrucha.

GRZEGORZ

Tak, ale nie zaraz zwykłeś się dać rozruchać.

SAMSON

Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą bardzo łatwo.

GRZEGORZ

Rozruchać się tyle znaczy, co ruszyć się z miejsca; być walecznym, jest to stać nieporuszenie: pojmuję więc, że skutkiem rozruchania się twego będzie – drapnięcie.

SAMSON

Te psy z domu Montekich rozruchać mię mogą tytkodo stania na miejscu. Będę jak mur dla każdego mężczyzny i dla każdej kobiety z tego domu.

GRZEGORZ

To właśnie pokazuje twoją słabą stronę; mur dla nikogo niestraszny i tylko słabi go się trzymają.

SAMSON

Prawda, dlatego to kobiety, jako najsłabsze, tulą się zawsze do muru. Ja też odtrącę od muru ludzi Montekich, a kobiety Montekich przyprę do muru.

GRZEGORZ

Spór jest tylko między naszymi panami i między nami, ich ludźmi.

SAMSON

Mniejsza mi o to; będę nieubłagany. Pobiwszy ludzi, wywrę wściekłość na kobietach: rzeź między nimi sprawię.

GRZEGORZ

Rzeź kobiet chcesz przedsiębrać?

SAMSON

Nie inaczej: wtłoczę miecz w każdą po kolei. Wiadomo, że się do lwów liczę.

GRZEGORZ

Tym lepiej, że się liczysz do zwierząt; bo gdybyś się liczył do ryb, to byłbyś pewnie sztokfiszem. Weź no się za instrument, bo oto nadchodzi dwóch domowników Montekiego.

*Wchodzą Abraham i Baltazar*

SAMSON

Mój giwer już dobyty: zaczep ich, ja stanę z tyłu.

GRZEGORZ

Gwoli drapania?

SAMSON

Nie bój się.

GRZEGORZ

Ja bym się miał bać z twojej przyczyny!

SAMSON

Miejmy prawo za sobą, niech oni zaczną.

GRZEGORZ

Marsa im nastawię przechodząc; niech go sobie, jak chcą, tłumaczą.

SAMSON

Nie jak chcą, ale jak śmia. Ja im gębę wykrzywię; hańba im, jeśli to ścierpia.

ABRAHAM

Skrzywileś się na nas, mości panie?



SAMSON

Nie inaczej, skrzywiłem się.

ABRAHAM

Czy na nas się skrzywiłeś, mości panie?

SAMSON *do Grzegorza*

Będziemyż mieli prawo za sobą, jak powiem: tak jest?

GRZEGORZ

Nie.

SAMSON *do Abrahama*

Nie, mości panie; nie skrzywiłem się na was, tylko skrzywiłem się tak sobie.

GRZEGORZ *do Abrahama*

Zaczepekki waść szukasz?

ABRAHAM

Zaczepekki? nie.

SAMSON

Jeżeli jej szukasz, to jestem na waścine usługi. Mój pan tak dobry jak i wasz.

ABRAHAM

Nie lepszy.

SAMSON

Niech i tak będzie.

*Benwolio ukazuje się w głębi.*

GRZEGORZ *na stronie do Samsona*

Powiedz: lepszy. Oto nadchodzi jeden z krewnych mego pana.

SAMSON

Nie inaczej; lepszy.

ABRAHAM

Kłamiesz.

SAMSON

Dobądźcie mieczów, jeśli macie serca. Grzegorz, pamiętaj o swoim pchnięciu.

BENWOLIO

Odstąpcie, głupcy; schowajcie miecze do pochew. Sami nie wiecie, co robicie.

*Rozdziela ich swoim mieczem.*

*Wchodzi Tybalt.*

TYBALT

Cóż to? krzyżujesz oręż z parobkami?  
Do mnie, Benwolio! pilnuj swego życia.

BENWOLIO

Przywracam tylko pokój. Włóż miecz nazad  
Albo wraz ze mną rozdziel nim tych ludzi.

TYBALT

Z gołym orężem pokój? Nienawidzę  
Tego wyrazu, tak jak nienawidzę  
Szatana, wszystkich Montekich i ciebie.  
Broń się, nikczemny tchórze.

*Walczą.*

*Nadchodzi kilku przyjaciół obu partii i mieszają się do zwady; wkrótce potem wchodzi  
mieszczanie z pałkami.*

PIERWSZY OBYWATEL

Hola! berdyszów! pałek! Dalej po nich!  
Precz z Montekimi, precz z Kapuletami!

*Wchodzi Kapulet i Pani Kapulet.*

KAPULET

Co to za hałas? Podajcie mi długi  
Mój miecz! hej!

PANI KAPULET

Raczej kulę; co ci z miecza?

KAPULET

Miecz, mówię! Stary Monteki nadchodzi.  
I szydnie swoją klingą mi urąga.

*Wchodzi Monteki i Pani Monteki.*

MONTEKI

Ha! nędzny Kapulecie!

*do żony*

Puść mię, pani.

PANI MONTEKI

Nie puszczę cię na krok, gdy wróg przed tobą.

*Wchodzi Księż z orszakiem.*

## KSIAŻĘ

Zapamiętali, niesformi poddani,  
Bezczęściciele bratniej stali! Cóż to,  
Czy nie słyszycie? Ludzie czy zwierzęta,  
Co wściekłych swoich gniewów żar gasicie  
W własnych żył swoich źródle purpurowym:  
Pod karą tortur wypuście natychmiast  
Z dłoni skrwawionych tę broń buntowniczą  
I posłuchajcie tego, co niniejszym  
Wasz rozjątrzony książę postanawia.  
Domowe starcia, z marnych słów zrodzone  
Przez was, Monteki oraz Kapulecie,  
Trzykroć już spokój miasta zakłóciły,  
Tak że poważni wiekiem i zasługą  
Obywatele werońscy musieli  
Porzucić swoje wygodne przybory  
I w stare dłonie stare ująć miecze,  
By zardzewiałym ostrzem zardzewiały  
Niechęci wasze przecinać. Jeżeli  
Wzniesiecie jeszcze kiedyś waśń podobną,  
Zamęt pokoju opłacicie życiem.  
A teraz wszyscy ustąpcie niezwłocznie.  
Ty, Kapulecie, pójdziesz ze mną razem;  
Ty zaś, Monteki, przyjdiesz po południu  
Na ratusz, gdzie ci dokładnie w tym względzie  
Dalsza ma wola oznajmiona będzie.  
Jeszcze raz wzywam wszystkich tu obecnych  
Pod karą śmierci, aby się rozeszli.

*Książę z orszakiem wychodzi. Podobnież Kapulet, Pani Kapulet, Tybalt,  
obywatele i służby.*

## MONTEKI

Kto wszczął tę nową zwadę? Mów, synowcze,  
Byłeś tu wtedy, gdy się to zaczęło?

## BENWOLIO

Nieprzyjaciela naszego pachołcy  
I wasi już się bili, kiedym nadszedł;  
Dobylem broni, aby ich rozdzielić:  
Wtem wpadł szalony Tybalt, z gołym mieczem,  
I harde zionąc mi w uszy wyzwanie,  
Jał się wywijać nim i sieć powietrze,  
Które świszczało tylko, szydząc z marnych  
Jego zamachów. Gdyśmy tak ze sobą  
Cięcia i pchnięcia zamieniali, zbiegł się  
Większy tłum ludzi; z obu stron walczone,  
Aż książę nadszedł i rozdzielił wszystkich.

PANI MONTEKI

Lecz gdzież Romeo? Widziałeś go dzisiaj?  
Jakże się cieszę, że nie był w tym starciu.

BENWOLIO

Godziną pierwej, nim wspaniałe słońce  
W złotych się oknach wschodu ukazało,  
Troski wyгнаły mię z dala od domu  
W sykomorowy ów gaj, co się ciągnie  
Ku południowi od naszego miasta.  
Tam, już tak rano, syn wasz się przechadzał.  
Ledwie go ujrzał, pobiegłem ku niemu;  
Lecz on, spostrzegłszy mię, skrzył natychmiast  
I w najciemniejszej ukrył się gęstwinie.  
Pociąg ten jego do odosobnienia  
Mierząc mym własnym (serce nasze bowiem  
Jest najczynniejsze, kiedyśmy samotni),  
Nie przeszkadzałem mu w jego dumaniach  
I w inną stronę się udałem, chętnie  
Stroniąc od tego, co rad mnie unikał.

MONTEKI

Nieraz o świcie już go tam widziano  
Łzami poranną mnożącęgo rosę,  
A chmury – swego oblicza chmurami.  
Aliści ledwo na najdalszym wschodzie  
Wesołe słońce sprzed łoża Aurory  
Zaczęło ścigać cienistą kotarę,  
On, uciekając od widoku światła,  
Co tchu zamykał się w swoim pokoju;  
Zasłaniał okna przed jasnym dnia blaskiem  
I sztuczną sobie ciemnicę utwarzał.  
W czarne bezdroże dusza jego zajdzie,  
Jeśli się na to lekarstwo nie znajdzie.

BENWOLIO

Szanowny stryju, znaszże powód tego?

MONTEKI

Nie znam i z niego wydobyć nie mogę.

BENWOLIO

Wybadywałeś go jakim sposobem?

MONTEKI

Wybadywałem i sam, i przez drugich;  
Lecz on jedyny powiernik swych smutków.  
Tak im jest wierny, tak zamknięty w sobie,  
Od otwartości wszelkiej tak daleki  
Jak pączek kwiatu, co go robak gryzie,

Nim światu wonny swój kielich roztoczył  
I pełność swoją rozwinął przed słońcem.  
Gdybyśmy mogli dojść tych trosk zarodka,  
Nie zbrakłoby nam zaradczego środka.

*R o m e o ukazuje się w głębi.*

BENWOLIO

Oto nadchodzi. Odstąpcie na stronę;  
Wyrwę mu z piersi cierpienia tajone.

MONTEKI

Obyś w tej sprawie, co nam serce rani,  
Mógł być szczęśliwszym od nas! Pójdźmy, pani.

*Wychodzą Monteki i Pani Monteki.*

BENWOLIO

Dzień dobry, bracie.

ROMEO.

Jeszczeż nie południe?

BENWOLIO

Dziewiąta była dopiero.

ROMEO

Jak nudnie  
Włoką się chwile. Moiż to rodzice  
Tak spieszenie w tamtą zбочyli ulicę?

BENWOLIO

Tak jest. Lecz cóż tak chwile twoje dłuży?

ROMEO

Nieposiadanie tego, co je skraca.

BENWOLIO

Miłość więc?

ROMEO

Brak jej.

BENWOLIO

Jak to? brak miłości?

ROMEO

Brak jej tam, skąd bym pragnął wzajemności.

BENWOLIO

Niestety! Czemuż, zdając się niebianką,  
Miłość jest w gruncie tak srogą tyranką?

ROMEO

Niestety! Czemuż, z zasłoną na skroni,  
Miłość na oślepie zawsze cel swój goni!  
Gdzież dziś jeść będziem? Ach! Był tu podobno  
Jakiś spór? Nie mów mi o nim, wiem wszystko.  
„W grze tu nienawiść wielka, lecz i miłość.  
O! wy sprzeczności niepojęte dziwa:  
Szorstka miłości! nienawiści tkliwa!  
Coś narodzone z niczego! Pieszczoto  
Odpychająca! Poważna pustoto!  
Szpetny chaosie wdzięków! Ciężki puchu!  
Jasna mgła! Zimny żarze! Martwy ruchu!  
Śnie bez snu! Taką to w sobie zawilość,  
Taką niełączność łączy moja miłość,  
Czy się nie śmiejesz?

BENWOLIO

Nie, płakałbym raczej.

ROMEO

Nad czym, pocziwa duszo?

BENWOLIO

Nad uciskiem  
Pocziwej duszy twojej.

ROMEO

A więc strzała  
Miłości nawet przez odbitkę działa?  
Dość mi już ciężył mój smutek, ty jego  
Brzemię powiększasz przewyżką twojego;  
Współczucie twoje nad moim cierpieniem  
Nie ulgą, ale nowym jest. kamieniem  
Dla mego serca. Miłość, przyjacielu,  
To dym, co z parą westchnień się unosi;  
To żar, co w oku szczęśliwego płonie;  
Morze łez, w którym nieszczęśliwy tonie.  
Czymże jest więcej? Istnym amalgamem,  
Żółcią trawiącą i zbawczym balsamem.  
Bądź zdrów.

*Chce odejść.*

BENWOLIO

Zaczekaj! krzywdę byś mi sprawił,  
Gdybyś mą przyjaźń z kwitkiem tak zostawił.

ROMEO

Ach! ja nie jestem tu, nie jestem sobą;  
To nie Romeo, co rozmawia z tobą.

BENWOLIO

Kogóż to kochasz? mów!

ROMEO

Przestań mię dręczyć.  
Mamże wraz jęczyć i mówić?

BENWOLIO

Nie jęczyć,  
Tylko mi klucz dać do tego problemu,  
Kogóż to kochasz? powiedz?

ROMEO

Każ choremu  
Pisać testament: będzie to wezwanie  
Dobre dla tego, co jest w tak złym stanie?  
A więc, kobietę kocham.

BENWOLIO

Celniem mierzył,  
Gdym to pomyślał, nimeś mi powierzył.

ROMEO

Biegle celujesz. I ta, którą kocham,  
Jest piękna.

BENWOLIO

W piękny cel trafić najłatwiej.

ROMEO

A właśnie chybił. Niczym tu kołczany  
Kupida; ona ma naturę Diany:  
Pod twardą zbroją wstydlivości swojej  
Grotów miłości wcale się nie boi;  
Szydzi z nawału zakłęb obłęźniczych;  
Odpiera szturmy spojrzeń napastniczych;  
Nawet jej złota wszechwładztwo nie zjedna.  
Bogata w wdzięki, w tym jedynie biedna,  
Ze kiedy umrze, do grobu z nią zstąpi  
Całe bogactwo, którego tak skąpi.

BENWOLIO

Wiecznież chce sama zostać z swym bogactwem?

ROMEO

Tak jest; i skąpstwo to jest marnotrawstwem,  
Bo piękność, którą własna srogość strawia,  
Całą potomność piękności pozbawia.  
Zbyt ona piękna, zbyt mądra zarazem;  
Zbyt mądrze piękna: stąd istnym jest głazem.  
Przysięgła nigdy nie kochać i .dzięki  
Temu skazanym wiecznie cierpieć męki.

BENWOLIO

Jest na to rada: przestań myśleć o niej.

ROMEO

Doradźże także, jakim bym sposobem  
Mógł przestać myśleć.

BENWOLIO

Dając oczom wolność  
Rozpatrywania się w innych pięknościach.

ROMEO

To byłby tylko sposób przywołania  
Jej cudnych wdzięków tym żywiej na pamięć.  
Maska kryjąca lica pięknej damy,  
Choć czarna, nęci nas, bo przeczuwamy  
Pod nią zbiór ponęt; ten, co wzrok postradał,  
Zapomniź kiedy, jaki skarb posiadał?  
Pokaż mi jaki ideał dziewczęcy,  
Będziez on dla mnie w istocie czym więcej  
Jak przypomnieniem, że jest piękność inna,  
Przed którą ta by ukłęknać powinna?  
Bądź zdrów, niewczesną podajesz mi radę.

BENWOLIO

Najpraktyczniejszą – życie w zastaw kładę.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Ulica.*

*Wchodzą Kapulet i Parys, za nimi Służący.*

KAPULET

Podobną jak mnie karą zagrożono  
I Montekiemu; ależ w wieku naszym  
Spokojnie siedzieć rzecz nietrudna.



PARYS

Oba

Szanownych szczepów jesteście odrośle;  
Tym ci żałośniej, że od tyła czasu  
Żyjecie w takim rozdwojeniu z sobą.  
Co mówisz, panie, na moje zabiegi?

KAPULET

To samo, co już dawniej powiedziałem:  
Mojemu dziecku świat jest jeszcze obcy,  
Ledwie czternastu lat wysnuła przedzę;  
Parę jej wiosen jeszcze przeżyć trzeba,  
Nim małżeńskiego zakosztuje chleba.

PARYS

Z młodszych bywały nieraz szczęsne matki.

KAPULET

Lecz prędko wędną przedwczesne mężatki.  
Ziemia schłoneła wszystkie me nadzieje:  
Oprócz tej jednej; ona jest, Parysie,  
Przyszłą, jedyną moich ziem dziedziczką.  
Staraj się jednak, skarb sobie jej serce,  
Chęć ma z jej chęcią nie będzie w rozterce;  
Jeśli cię przyjmie, głos ojca w tym względzie  
Jej pozwolenia echem tylko będzie.  
Daję dziś wieczór, na który niemało  
Gości sprosilem; gdyby ci się dało  
Być jednym więcej, w nader miły sposób  
Zwiększyłbyś przez to zbiór miłych mi osób.  
W biednym mym domu, jednocześnie z nocą,  
Takie dziś gwiazdy ziemskie zamigocą,  
Ze od ich blasku blask niebieskich zblednie.  
Uciechy, młodym ludziom odpowiednie,  
Podobne do tych, jakie kwiecień sprawia,  
Gdy w starym progu zimy się pojawia;  
Takie uciechy, w całej swojej mocy,  
Wśród hożych dziewic staną się tej nocy  
Udziałem twoim w domu Kapuletów.  
Przyjdź, przejrz i wybierz sobie z tych bukietów  
Kwiat najpiękniejszy. I mój kwiat tam luby  
Wejdzie do liczby, choć nie do rachuby.  
Idźmy.

*do Sługi*

A wasze obejdz w krąg Werone,  
Wynajdz osoby tu wyszczególnione,

*oddaje mu papier*

I powiedz każdej: że mój dom otworem  
Na ich usługi stanie dziś wieczorem.

*Wychodzą Kapulet i Parys.*

SŁUŻĄCY

Mam wynaleźć osoby tu wyszczególnione: to się znaczy, według tego, co tu napisano... A cóż tu napisano? Oto: że szewc ma pilnować łokcia, a krawiec kopyta; rybak pędzla, a malarz więcierza. Jakże znajdę osoby tu wyszczególnione, kiedy nie mogę wynaleźć środka na wyczytanie tego, co osoba pisząca tu wyszczególniła? Kazano mi jednak; muszę się udać do uczonych. Oto jacyś ichmoście; w samą porę nadchodzą.

*Wchodzi Romeo i Benwolio.*

BENWOLIO

Tak, bracie, płomień spędza się płomieniem,  
Ból dawny nowym leczy się cierpieniem;  
Kręć się na odwrót, gdy masz zawrót głowy;  
Klin wyrugujesz, klin wbijając nowy;  
Zaczerpnij nowej zarazy do łona,  
A jad dawniejszej niewątpliwie skona.

ROMEO

Liść pokrzywiany wyborny jest na to.

BENWOLIO

Na cóż to, proszę?

ROMEO

Na oparzeliznę;  
Spróbuj no tylko.

BENWOLIO

Powiedz mi, Romeo.  
Czyś ty oszalał?

ROMEO

Nie, nie oszalałem;  
Lecz wpadłem w gorszy stan niż szalonego.  
W loch się dostałem, jestem pastwą głodu,  
Chłost i mąk... Dobry wieczór, przyjacielu.

SŁUŻĄCY

Nawzajem, panie. Czy umiesz pan czytać?

ROMEO

Niestety! umiem w moim przeznaczeniu  
Czytać niedolę.

SŁUŻĄCY .

Tego się bez książki  
Można nauczyć; ale ja się pytam,  
Czy pan pisane rzeczy umie czytać?

ROMEO

Małej mi rzeczy do tego potrzeba,  
To jest znać tylko język i litery.

SŁUŻĄCY

Słusznie pan mówisz, bądźże zdrów i wesół.

*Chce odejść.*

ROMEO

Czekaj no, wasze, umiem czytać.

*czyta*

„Sinior Martino, jego małżonka i córki. Hrabia Anzelm ze swymi pięknymi siostrami. Siniora wdowa po Witruwiuszu. Sinior Placentio i jego miłe siostrzenice. Merkucjusz i jego brat Walenty. Mój brat Kapulet z małżonką i córkami. Moja śliczna siostrzenica, Rozalina, Liwia, sinior Valentio i nasz kuzyn Tybalt. Lucjusz i nadobna Helena.” Wspaniałe grono!

*oddaje kartę*

Gdzież oni przyjść mają?

SŁUŻĄCY

Owdzie.

ROMEO

Gdzie?

SŁUŻĄCY

Do naszego pałacu, na wieczerzę.

ROMEO

Do czyjego pałacu?

SŁUŻĄCY

Mojego pana.

ROMEO

W istocie, powinienem się był przede wszystkim spytać, kto nim jest.

SŁUŻĄCY

Oznajmię to panu bez pytania: moim panem jest możny, bogaty Kapulet; jeżeli panowie nie jesteście z domu Montekich, to was zapraszam do niego na kubek wina. Bądźcie weseli.

*Wychodzi.*

BENWOLIO

Na tym wieczorze Kapuleta będzie  
Bożyszcze twoje, piękna Rozalina,  
Obok najpierwszych piękności werońskich.

Pójdź tam i okiem bezstronnym porównaj  
Jej twarz z obliczem tych, które ci wskażę:  
Wnet nowe bóstwo ślad dawnego zmaże.

ROMEO

Gdyby rzetelny mój wzrok tak fałszywe  
Miał dać świadectwo, łzy, stańcie się żarem!  
Wy, zalewane wciąż, a jeszcze żywe  
Przezrocza, spłońcie pod kłamstwa nadmiarem!  
Zatrzeć jej wdzięki! Nigdy wszechwidzące  
Równej piękności nie widziało słońce.

BENWOLIO

Wielbisz ją, boś ją jedną na oboich  
Ważył dotychczas szalach oczu swoich,  
Lecz umieść na tej wadze kryształowej  
Obok niej inną, którą ci gotowy  
Będę dziś wskazać; a rękę, że owa  
Nieporównana w kąt się przed tą schowa.

ROMEO

Pójdę tam, ale z obojętnym okiem,  
Jednej wyłącznie poić się widokiem.

*Wychodzą.*

### SCENA TRZECIA

*Pokój w domu Kapuletów.  
Wchodzi Pani Kapuleti Marta.*

PANI KAPULET

Gdzie moja córka? Idź ją tu przywołać.

MARTA

Na moją cnotę do dwunastu wiosen –  
Już ją wołałam. Pieszczotko, biedronko!  
Julciu! pieszczotko moja! moje złotko!  
Boże, zmiłuj się! Gdzież ona jest? Julciu!

*Wchodzi Julia.*

JULIA

Czy mnie kto wołał?

MARTA

Mama.

JULIA

Jestem, pani;  
Co mi rozkażesz?

PANI KAPULET

Słuchaj. Odejdź, Marto;  
Mam z nią sam na sam coś do pomówienia.  
Marto, pozostań; przychodzi mi na myśl,  
Że twa obecność może być potrzebna.  
Julka ma piękny już, wiek, wszakże prawda?

MARTA

Ba, mogę wiek jej policzyć na palcach.

PANI KAPULET

Czternaście ma już lat, jak mi się zdaje.

MARTA

Czternaście moich zębów w zakład stawię  
(Chociaż właściwie mam ich tylko cztery),  
Że jeszcze nie ma. Rychłóż będzie święto  
Piotra i Pawła?

PANI KAPULET

Za parę tygodni  
Mniej więcej.

MARTA

Mniej czy więcej, czy okrągło,  
Ale dopiero w wieczór na świętego  
Piotra i Pawła skończy lat czternaście.  
Ona z Zuzanką, Boże zbaw nas grzesznych!  
Były rówieśne. Zuzanka u Boga –  
Byłże to anioł! ale, jak mówiłam,  
Julcia dopiero na świętego Piotra  
I Pawła skończy pełna lat czternaście.  
Tak, tak; pamiętam dobrze. Mija teraz  
Rok jedenasty od trzęsienia ziemi;  
Właśnie od piersi była odsadzona.  
Spomiędzy wszystkich dni bożego roku  
Tego jednego nigdy nie zapomnę.  
Piołunem sobie wtedy pierś potarłam,  
Siedząc na słońcu tuż pod gołębnikiem.  
Państwo byliście tego dnia w Mantui.  
A co? mam pamięć? Ale jak mówiłam,  
Skoro pieśczołka moja na brodawce  
Poczuła gorycz, trzeba było widzieć,  
Jak się skrzywiła, szarpnęła od piersi;  
Gołębnik za mną: skrzyp! a ja co żywo  
Na równe nogi: hyc! nie myśląc czekać,

Aż mi kto każe. Upłynęło odtąd  
Lat jedenaście. Umiała już wtedy  
O własnej sile stać, co mówię, biegać,  
Dyrdać. Dniem pierwej zbiła sobie czoło.  
Mój mąż, świeć Panie jego duszy! podniósł  
Z ziemi niebogę; był to wielki figlarz.  
„Plackiem – rzekł – padasz teraz, a jak przyjdzie  
Większy rozumek, to na wznak upadniesz,  
Nieprawdaż, Julciu?” A ten mały łotrzyk,  
Jak mi Bóg miły! przestał zaraz krzyczeć  
I odpowiedział: „tak”. Chociażbym żyła  
Tysiąc lat, nigdy tego nie zapomnę.  
„Nieprawdaż, Julciu – rzekł – że padniesz wznak?”  
A mały urwis odpowiedział „tak”.

PANI KAPULET

Dość tego, Marto, skończ już tę historię,  
Proszę cię.

MARTA

Dobrze, miłościwa pani.  
Ale nie mogę wstrzymać się od śmiechu,  
Kiedy przypomnę sobie, jak to ona  
Przestała krzyczeć i odpowiedziała:  
„Tak”. Miała jednak guz jak kurze jaje,  
Siniec porządny i płakała gorzko;  
Ale gdy mąż mój rzekł: „Plackiem dziś padasz,  
A jak dorośniesz, to na wznak upadniesz,  
Nieprawdaż, Julciu?”, tak i niebożatko  
Zaraz ucichło i odrzekło: „tak”.

JULIA

Ucichnij też i ty, proszę cię, nianiu.

MARTA

Jużem ucichła przecie. Pan Bóg z tobą!  
Ty jesteś perłą ze wszystkich niemowląt,  
Jakie karmiłam. Gdybym jeszcze mogła  
Patrzeć na twoje zamęście!...

PANI KAPULET

Zamęście!  
To jest punkt właśnie, o którym chcę mówić.  
Powiedz mi, Julio, co myślisz i jakie  
Są chęci twoje we względzie małżeństwa?

JULIA

O tym zaszczycie jeszcze nie myślałam.

MARTA

O tym zaszczyć! Gdybym nie ja była  
Twą karmicielką, rzekłabym, żeś mądrość  
Wyssała z mlekiem.

PANI KAPULET

Myślże o tym teraz.  
Młodsze od ciebie dziewczęta z szlachetnych  
Domów w Weronie wczesnie stan zmieniają;  
Ja sama byłam już matką w tym wieku,  
W którym tyś jeszcze panną. Krótco mówiąc,  
Waleczny Parys stara się o ciebie.

MARTA

To mi kawaler! panniuniu, to brylant  
Taki kawaler: chłopiec gdyby z wosku!

PANI KAPULET

Nie ma w Weronie równego mu kwiatu.

MARTA

Co to, to prawda: kwiat to, kwiat prawdziwy.

PANI KAPULET

Cóż, Julio? Będieszże mogła go kochać?  
Dziś w wieczór ujrzysz go wśród naszych gości.  
Wczytaj się w księgę jego lic, na których  
Pióro piękności wypisało miłość;  
Przypatrz się jego rysom, jak uroczo,  
Zgodnie się schodzą z sobą i jednoczą;  
A co w tej księdze wyda ci się mrocznym,  
To w jego oczach stanieć się widocznym.  
Do upięknienia tej zaprawdę rzadkiej  
Edycji męża brak tylko okładki.  
Roślina w ziemi, ryba w wodzie żyje;  
Miło, gdy piękną treść piękny wierzch kryje;  
I tym wspanialsza, tym więcej jest warta  
Złota myśl w złotej oprawie zawarta.  
Tak więc z nim wszystką jego włość posiędziesz  
I w niczym sama ujmy mieć nie będziesz.

MARTA

Ujmy? Ba, owszem przyrost, boć to przecie  
Zawždy z mężczyzną przybywa kobiecie.

PANI KAPULET

Chceszże go? powiedz krótco, węzłowato.

JULIA

Zobaczę, jeśli patrzenia dość na to;  
Nie głębiej jednak myślę w tę rzecz wglądać,  
Jak tobie, pani, podoba się żądać.

*Wchodzi Służący.*

SŁUŻĄCY

Pani, goście już przybyli; wieczerza zastawiona, czekają na panie, pytają o pannę Julię, przeklinają w kuchni panią Martę; słowem, niecierpliwość powszechna. Niech panie raczą pośpieszyć.

*Wychodzi.*

PANI KAPULET

Pójdź, Julio; w hrabi serce tam dygoce.

MARTA

Idź i po błogich dniach błogie znajdź noce.

*Wychodzą.*

#### SCENA CZWARTA

*Ulica.*

*Wchodzą Romeo, Merkucjo i Benwolio w towarzystwie pięciu czy sześciu masek. Ludzie z pochodniami i inne osoby.*

ROMEO

Mam już przy wejściu z przemową wystąpić  
Czy też po prostu wejść?

BENWOLIO

Wyszły już z mody  
Te ceremonie; nie będziemy z sobą  
Wiedli Kupida z bindą wkoło skroni,  
Łuk malowany z gontu niosącego  
I straszącego dziewczęta jak ptaki,  
Ani też owych prawili oracji,  
Mdło za suflerem cedzonych na wstępie.  
Niech sobie o nas pomyślą, co zechcą;  
Wejdzim, pokręcim się i znikniem potem.

ROMEO

Kręćcie się, kiedy chcecie, jam do tego  
Dziś niesposobny.



MERKUCJO

Kochany Romeo,  
Musisz potańczyć także.

ROMEO

Nie, doprawdy,  
Wy macie lekkie trzewiki, to tańczcie;  
Mnie ołów serce tłoczy, ledwie mogę  
Ruszyć się z miejsca.

MERKUCJO

Zakochany jesteś;  
Pożycz strzelistych od Kupida skrzydeł  
I wnieś się nimi nad poziomą sferę.

ROMEO

Nie mnie, tkniętemu srodze jego strzałą,  
Strzeliście wzbijać się na jego skrzydłach;  
Nie mnie się wznosić nad poziom, co nosząc  
Brzemię miłości, na poziom upadam.

MERKUCJO

A gdybyś upadł z nią, ją byś obrzemił.  
Tak delikatną rzecz przygniótłbyś srodze.

ROMEO

Nazywasz, miłość rzeczą delikatną?  
Zbyt, owszem, twarda, szorstka i kołaca.

MERKUCJO

Twardali dla cię, bądź i dla niej twardy;  
Kol ją, gdy kole, a zwalisz ją łatwo.  
Hola! podajcie mi na twarz pokrowiec!  
Maskę na maskę!

*wkłada maskę*

Niechaj sobie teraz  
Ciekawe oko nicuje mą szpetność!  
Ta larwa za mnie będzie się rumienić.

BENWOLIO

Idźmy, panowie; zadzwonimy, a potem  
Ostro już tylko polecmy się nogom.

ROMEO

Niech trzpioty łechcą nieczułą posadzkę!  
Pochodni dla mnie! bom ja dziś skazany,  
Jak ów pacholek, co świeci swej pani,  
Stać nieruchomie i martwym być widzem.

MERKUCJO

Stój, jak chcesz, byłeś tylko nie stał o to,  
Co cię tak martwi, a w czym (z całym winnym  
Uszanowaniem dla twojej miłości)  
Jak w błocie, widzę, po uszy zagrzałeś.  
Nuże, nie palmy świec w dzień.

ROMEO

Palmyż teraz,  
Bo noc jest.

MERKUCJO

Mniemam, panie, że czas tracąc  
Zarówno psuję świece bez potrzeby,  
Jak w dzień je paląc. Przyjmij tę uwagę;  
Bo w niej pięć razy więcej jest logiki  
Niż w naszych pięciu zmysłach.

ROMEO

Uważamy  
Za rzecz stosowną pójść tam na ten festyn,  
Chociaż logiki w tym nie ma.

MERKUCJO

Dlaczego?

ROMEO

Miałem tej nocy marzenie.

MERKUCJO

Ja także.

ROMEO

Cóż ci się śniło?

MERKUCJO

To, że marzyciele  
Najczęściej zwykli kłamać.

ROMEO

Przez sen, w łóżku,  
Gdy w gruncie marzą o rzeczach prawdziwych.

MERKUCJO

Snadź się królowa Mab widziała z tobą;  
Ta, co to babi wieszczkom i w postaci  
Kobietki, mało co większej niż agat  
Na wskazującym palcu aldermana,

Ciągniona cugiem drobniuchnym atomów,  
Tuż, tuż śpiącemu przeciąga pod nosem.  
Szprychy jej wozu z długich nóg pajęczych;  
Osłona z lśniących skrzydełek szarańczy;  
Sprzężaj z plecionych nitek pajęczyny;  
Lejce z wilgotnych księżycy promyków;  
Bicz z cienkiej żyłki na świerszcza szkielecie;  
A jej forszpanem mała, szara muszka  
Przez pół tak wielka jak ów krągły owad,  
Co siedzi w palcu leniwej dziewczyny;  
Wozem zaś próżny laskowy orzeszek;  
Dzieło wiewiórki lub majstra robaka,  
Tych z dawien dawna akredytowanych  
Stelmachów wieszczek. W takich to przyborach  
Co noc harcuje po głowach kochanków,  
Którzy natenczas marzą o miłości;  
Albo po giętkich kolanach dworaków,  
Którzy natenczas o ukłonach marzą;  
Albo po chudych palcach adwokatów,  
Którym się wtedy roją honoraria;  
Albo po ustach romansowych damul,  
Którym się wtedy marzą pocałunki;  
Często atoli Mab na te ostatnie  
Zsyła przedwczesne zmarszczki, gdy ich oddech  
Za bardzo znajdzie cukrem przesycony.  
Czasem też wjeżdża na nos dworakowi:  
Wtedy śnią mu się nowe łaski pańskie;  
Czasem i księdza plebana odwiedzi,  
Gdy ten spokojnie drzemie, i ogonem  
Dziesięcinnego wieprza w nos go łechce:  
Wtedy mu nowe śnią się beneficja.  
Czasem wklusuje na kark żołnierzowi:  
Ten wtedy marzy o cięciach i pchnięciach,  
O szturmach, breszach, o hiszpańskich klingach  
Czy o pucharach, co mają pięć sążni;  
Wtem mu zatrąbi w ucho: nasz bohater  
Truchleje, zrywa się, klnąc zmawia pacierz  
I znów zasypia. Taka jest Mab: ona,  
Ona to w nocy zlepia grzywy koniom  
I włos ich gładki w szpetne kudły zbija,  
Które rozczesać niebezpiecznie; ona  
Jest ową zmorą, co na wznak leżące  
Dziewczęta dusi i wcześniej je uczy  
Dźwigać ciężary, by się z czasem mogły  
Zawołanymi stać gospodyniami.  
Ona to, ona...

ROMEO

Skończ już, skończ, Merkucjo;  
Prawisz o niczym.

MERKUCJO

Prawię o marzeniach,  
Które w istocie niczym innym nie są  
Jak wylęglymi w chorobliwym mózgu  
Dziećmi fantazji; ta zaś jest pierwiastku  
Tak subtelnego właśnie jak powietrze;  
Bardziej niestała niż wiatr, który już to  
Mroźną całuje północ, już to z wstrętem  
Rzuca ją, dążąc w objęcia południa.

BENWOLIO

Coś ten wiatr zawiął, zdaje się, i na nas.  
Wieczera stoi, spóźnimy się na nią.

ROMEO

Boję się, czyli nie przyjdziem za wcześnie;  
Bo moja dusza przeczuwa, że jakieś  
Nieszczęście, jeszcze wpośród gwiazd wiszące,  
Złowrogi bieg swój rozpocznie od daty  
Uciech tej nocy i kres zamkniętego  
W mej piersi, zbyt już nieznośnego życia  
Przyśpieszy jakimś strasznym śmierci ciosem.  
Lecz niech Ten, który ma ster mój w swym ręku,  
Kieruje moim żaglem! Dalej! Idźmy!

BENWOLIO

Uderzcie w bębny!

*Wychodzą.*

## SCENA PIĄTA

*Sala w domu Kapuletów.  
Wchodzą muzykanci i słudzy.*

PIERWSZY SŁUGA

Gdzie Potpan? Czemu nie pomaga sprzątać? Gęsi mu paść, nie służyć.

DRUGI SŁUGA

Tak to, kiedy ważne obowiązki lokaja powierzają ludziom złej manieri; na diabła się to zdało.

#### PIERWSZY SŁUGA

Powynóście stołki! usuńcie na bok bufet! Pozbierajcie srebra! Schowaj no tam dla mnie, braciszku, kawałek marcepana i szepnij na ucho odźwiernemu, żeby wpuścił Zuzannę Grindston i Nelly; jak mię kochasz! Antoni! Potpan!

#### DRUGI SŁUGA

Dobrze, chłopcze, gotowe.

#### PIERWSZY SŁUGA

Wołają was, pytają o was, czekają na was, niecierpliwą się na was w wielkiej sali.

#### TRZECI SŁUGA

Nie możemy być tu i tam razem. Dalej, chłopcy, pohulajmyż dzisiaj! Kto umie czekać, wszystkiego się doczeka.

*Oddalają się.*

*K a p u l e t i inni wchodzą z gośćmi i maskami.*

#### KAPULET

Witaj, cna młodzi! Wolne od nagniotków  
Damy rachują na waszą ruchawość.  
Śliczne panienki, któraż z was odmówi  
Stanąc do tańca? O takiej wręcz powiem,  
Ze ma nagniotki. A co? Tom was zażył!  
Dalej, panowie! I ja kiedyś także  
Maskę nosilem i umiałem szeptać  
W ucho pięknościom jedwabne powieści,  
Co szły do serca; przeszło to już, przeszło.  
Nuże, panowie! Grajki, zaczynajcie!  
Miejsca! rozstąpmy się! dalej, dziewczęta!

*Muzyka gra. Młodzież tańczy.*

Hej! więcej światła! Wynieście te stoły!  
I zgaście ogień, bo zbyt już gorąco.  
Siadajże, siadaj, bracie Kapulecie!  
Dla nas dwóch czasy płaśów już minęły.  
Jakże to dawno byliśmy obydwaj  
Po raz ostatni w maskach?

#### DRUGI KAPULET

Będzie temu

Lat ze trzydzieści.

#### KAPULET

Co? Co! Nie tak dawno.

Było to, pomnę, na godach Lucencja;  
Na te Zielone Świątki, da Bóg dożyć,  
Będzie dwadzieścia pięć lat.

DRUGI KAPULET

Dawniej, dawniej,  
Wszak już syn jego jest trzydziestoletni.

KAPULET

Co mi waść prawisz? Przede dwoma laty  
Syn jego nie był jeszcze pełnoletni.

ROMEO *do jednego ze sług*

Co to za dama, co w tej chwili tańczy  
Z tym kawalerem?

SŁUGA

Nie wiem, jaśnie panie,

ROMEO

Ona zawstydza świec jarzących blaski;  
Piękność jej wisi u nocnej opaski  
Jak drogi klejnot u uszu Etiopa.  
Nie tknęła ziemi wytworniejsza stopa.  
Jak śnieżny gołąb wśród kawek, tak ona  
Świeci wśród swoich towarzyszek grona.  
Zaraz po tańcu przybliżę się do niej  
I dłoń mą uczczę dotknięciem jej dłoni.  
Kochałem dotąd? O! zaprzecz, mój wzrokul  
Boś jeszcze nie znał równego uroku.

TYBALT

Sądząc po głosie, z Montekich to któryś.  
Daj no mi rapir, chłopcze. Jak się waży  
Ten łotr tu wchodzić i kłamaną larwą  
Szyderczo naszej uragać zabawie?  
Na krew szlachetną, co mi wzdyma serce,  
Nie będzie grzechu, jeśli go uśmiercę.

KAPULET

Tybalcie, co ci to? Czego się zżymasz?

TYBALT

Ujmy tej, stryju, pewno nie wytrzymasz:  
Jeden z Montekich, twych śmiertelnych wrogów,  
Śmie tu znieważać gościnność twych progów.

KAPULET

Czy to Romeo?

TYBALT

Tak, ten to nikczemnik.

KAPULET

Daj mu waść pokój; nie wychodzi przecie  
Z granic wytkniętych dobrym wychowaniem;  
I, prawdę mówiąc, cała go Werona  
Ma za młodzieńca pełnego przymiotów;  
Nie chciałbym za nic w świecie w moim domu  
Czynić mu krzywdy. Uspokój się zatem,  
Miły synowcze, nie zważaj na niego;  
Taka ma wola; jeśli ją szanujesz,  
Okaż uprzejmość i spędź precz z oblicza  
Ten mars niezgodny z weselem tej doby.

TYBALT

Taki gość w domu nabawia choroby;  
Nie ścierpię go tu.

KAPULET

Chcę go mieć cierpianym.  
Cóż to, zuchwalcze? Mówię, że chcę! Cóż to?  
Czy ja tu jestem, czy waść jesteś panem?  
Waść go tu nie chcesz ścierpieć! Boże odpuść!  
Waść mi chcesz gości porozpędzać? kołki  
Na łbie mi strugać? przewodzić w mym domu?

TYBALT

Stryju, to zakał.

KAPULET

Cicho! burdą jesteś.  
Z tą porywcznością doigrasz się waszmość.  
Zawsze mi musisz się sprzeciwiać! – Brawo,  
Kochana młodzi! – Urwipołec z waści!  
Siedź cicho albo... Hola! Więcej światła! –  
Ja cię uciszę. Patrz go! – Żwawo, chłopcy!

TYBALT

Gniew dobrowolny z flegmą przymuszoną  
Na krzyż się schodząc wstrząsają mi łono,  
Muszę ustąpić; wkrótce się atoli  
W gorzką żółć zmieni ta słodycz wbrew woli.

*Oddala się.*

ROMEO do *Julii*

Jeśli dłoń moja, co tę świętość trzyma,  
Błuzni dotknięciem: zuchwalstwo takowe  
Odpokutować usta me gotowe  
Pocałowaniem pobożnym pielgrzymu.

sJULIA *do R o m e a*

Mości pielgrzymie, bluźnisz swojej dłoni,  
Która nie grzeszy zdrożnym dotykaniem;  
Jestli ujęcie rąk pocałowaniem,  
Nikt go ze świętych pielgrzymom nie broni.

ROMEO *jak pierwszej*

Nie mająż święci ust tak jak pielgrzymi?

JULIA *jak pierwszej*

Mają ku modłom lub kornej podzięce.

ROMEO

Niechże ich usta czynią to co ręce;  
Moje się modlą, przyjm modły ich, przyjmij.

JULIA

Niewzruszonymi pozostają święci,  
Choć gwoli modłów niewzbronnie ich chęci.

ROMEO

Ziść więc cel moich, stojąc niewzruszenie,  
I z ust swych moim daj wziąć rozgrzeszenie,

*Całuje ją.*

JULIA

Moje więc teraz obciąża grzech zdjęty.

ROMEO

Z mych ust? O! grzechu, zbyt pełen ponęty!  
Niechże go nazad rozgrzeszony zdejmie!  
Pozwól.

*Całuje ją znowu.*

JULIA

Jak z książki całujesz, pielgrzymie.

MARTA

Panienko, jejmość pani matka prosi.

ROMEO

Któż jest jej matką?

MARTA

Jej matką? Bajbardzo!

Nikt inny, jedno pani tego domu;  
I dobra pani, mądra a cnotliwa.  
Ja byłam mamką tej, coś z nią pan mówił.  
Smaczny by kąsek miał, kto by ją złowił.



ROMEO

Julia Kapulet! O dolo zbyt sroga!  
Życie me jest więc w ręku mego wroga.

BENWOLIO

Wychodźmy, wieczór dobiega już końca.

ROMEO

Niestety! z wschodem dla mnie zachód słońca.

KAPULET do rozchodzących się gości

Ejże, panowie, pozostańcie jeszcze:  
Mają nam wkrótce dać małą przekąskę.  
Chcecie koniecznie? Muszę więc ustąpić.  
Dzięki wam, mili panowie i panie.  
Dobranoc. Światła! Idźmy ż spać.

*do Drugiego Kapuleta*

Braciszku,

Zapóźniliśmy się; idę wypocząć.

*Wychodzą wszyscy prócz Julii i Marty.*

JULIA

Czy nie wiesz, nianiu, kto jest ten pan?

MARTA

Ten, tu?

To syn starego Tyberia.

JULIA

A tamten,

Co właśnie ku drzwiom zmierza?

MARTA

To podobno

Młody Petrycy.

JULIA

A ów, tam na prawo,

Co nie chciał tańczyć?

MARTA

Nie wiem.

JULIA

Spytaj, proszę,  
Jak się nazywa. Jeżeli żonaty,  
Całun mię czeka zamiast ślubnej szaty.

MARTA

Zwie się Romeo, jest z rodu Montekich.  
Synem waszego największego wroga.

JULIA

Jako obcego za wcześnie ujrzałam!  
Jako lubego za późno poznałam!  
Dziwny miłości traf się na mnie iści,  
Że muszę kochać przedmiot nienawiści.

MARTA

Co to jest? co to takiego?

JULIA

To wiersze,  
Których mię jeden tancerz dziś nauczył.

MARTA

Pójdź spać, waćpanna.

*Głos za sceną: „Julio!”*

MARTA

Dalej! dalej!  
Wołają panny i pusto już w sali.

*Wychodzą.*

## AKT DRUGI

### PROLOG

#### CHÓR

Namiętność dawna blednieje i kona,  
Na jej mogile kwiat wyrasta nowy.  
Piękność, dla której umrzeć był gotowy,  
Zbladła już, Julii spojrzeniem zgaszona.

Kocha kochany; pierś mu rozplómienia  
Czar jej źrenicy; córce przeciwnika  
Jak miłość wyzna? a ona połyka  
Ponętą miłość na wędce cierpienia.

Lecz dziecię wroga jak zbliży się do niej?  
Jakże jej serce namiętność odsłoni?  
W kochanki piersiach jeszcze mniej nadzieje

Ujrzyć lubego ócz ogień, lic róże;  
Czas i namiętność da sposób, zaleje  
Morzem rozkoszy niebezpieczeństw morze.

### SCENA PIERWSZA

*Pusty plac przytykający do ogrodu Kapuletów.  
Wchodzi R o m e o.*

#### ROMEÓ

Mamże iść dalej, gdy tu moje serce?  
Cofnij się, ziemio, znajdź sobie centrum!

*Wchodzi na mur i spuszcza się do ogrodu.  
Wchodzą Merkurcj o i Benwolio.*

BENWOLIO

Romeo! bracie! Romeo!

MERKUCJO

Ma rozum;  
Powietrze chłodne, więc dychnął do łóżka.

BENWOLIO

Pobiegł tą drogą i przełazi przez parkan.  
Wołaj, Merkurcj o!

MERKUCJO

Użyję nań zaklęć:  
Romeo! gachu! cietrzewiu! wariacie!  
Ukaż się w lotnej postaci westchnienia,  
Powiedz choć jeden wiersz, a dość mi będzie;  
Jęknij: ach! połącz w rym: kochać i szlochać;  
Szepnij Wenerze jakie piękne słówko;  
Daj jaki nowy epitet ślepemu  
Jej synalkowi, co tak celnie strzelał  
Za owych czasów, gdy król Kofetua  
W zaloty chodził do córki zebraczej.  
Nie słucha; ani piśnie, ani trunie;  
Zdechł robak; musze zakląć go inaczej.  
Klnę cię na żywe oczy Rozaliny,  
Na jej wysokie czoło, krasne usta,  
Wysmukłe nóżki i toczone biodra  
Z przyległościami, abyś się przed nami  
W właściwej sobie postaci ukazał.

BENWOLIO

Gniewać się będzie, jeśli cię usłyszysz.

MERKUCJO

Co się ma gniewać? Mógłby się rozgniewać,  
Gdyby za sprawą mojego zaklęcia  
W zaczarowane koło jego pani  
Inny duch wkroczył i stał tam dopóty,  
Dopóki by go nie zmoęła: to byłby  
Powód do uraz; moja inwokacja  
Jest przyjacielska i godziwa razem,  
Bo wywołuje w imię jego pani  
Jego jedynie naturalną postać.

BENWOLIO

Pójdź! skrył się owdzie pomiędzy drzewami,  
By się tam zbratał z tajemniczą nocą –  
Ślepym w miłości ciemność jest najmiłsza.

MERKUCJO

Możesz w cel trafić miłość będąc ślepa?  
Teraz usiądzie sobie pod jabłonką  
I będzie wzdychał, by jego kochanka  
Była owocem, który młode panny,  
Kiedy są same – nazywają figą.  
Oby, Romeo, była, oby była  
Taką otwartą figą, a ty, chłopcze,  
Obyś był gruszką. Dobranoc, Romeo!  
Idę lec w moim łóżku za kotarą,  
Bo to polowe tu dla mnie za chłodne.  
Czy idziesz także?

BENWOLIO

Idę; próżno szukać  
Takiego, co być nie chce znaleziony.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Ogród Kapuletów.  
Wchodzi R o m e o.*

ROMEO

Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany.  
*J u l i a ukazuje się w oknie.*  
Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna!  
Ono jest wschodem, a Julia jest słońcem!  
Wnijdź, cudne słońce, zgładź zazdrosną lunę,  
Która aż zbladła z gniewu, że ty jesteś  
Od niej piękniejsza; o, jeśli zazdrosna,  
Nie bądź jej służką! Jej szatkę zieloną  
I bladą noszą jeno głupcy. Zrzuć ją!  
To moja pani, to moja kochanka!  
O! gdyby mogła wiedzieć, czym jest dla mnie!  
Przemawia, chociaż nic nie mówi; cóż stąd?  
Jej oczy mówią, oczom więc odpowiem.  
Za śmiały jestem; mówią, lecz nie do mnie.  
Dwie najjaśniejsze, najpiękniejsze gwiazdy  
Z całego nieba, gdzie indziej zajęte,

Prosiły oczu jej, aby zastępczo  
Stały w ich sferach, dopóki nie wrócą.  
Lecz choćby oczy jej były na niebie,  
A owe gwiazdy w oprawie jej oczu:  
Blask jej oblicza zawstydziłby gwiazdy  
Jak zorza lampę; gdyby zaś jej oczy  
Wśród eterycznej zabłyśły przezroczy,  
Ptaki ocknęłyby się i śpiewały,  
Myśląc, że to już nie noc, lecz dzień biały.  
Patrz, jak na dłoni smutnie wsparła liczko!  
O! gdybym mógł być tylko rękawiczką,  
Co tę dłoń kryje!

JULIA

Ach!

ROMEO

Cicho! coś mówi.

O! mów, mów dalej, uroczy aniele;  
Bo ty mi w noc tę tak wspaniale świecisz  
Jak lotny goniec niebios rozwartemu  
Od podziwieniu oku śmiertelników,  
Które się wlepia w niego, aby patrzeć,  
Jak on po ciężkich chmurach się przesuwają  
I po powietrznej żeglują przestrzeni.

JULIA

Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo!  
Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!  
Lub jeśli tego nie możesz uczynić,  
To przysiąż wiernym być mojej miłości,  
A ja przestanę być z krwi Kapuletów.

ROMEO

Mamże przemówić czy też słuchać dalej?

JULIA

Nazwa twoja tylko jest mi nieprzyjemna,  
Boś ty w istocie nie Montekim dla mnie.  
Jestże Montekio choćby tylko ręką,  
Ramieniem, twarzą, zgoła jakąkolwiek  
Częścią człowieka? O! weź inną nazwę!  
Czymże jest nazwa? To, co zowiem różą,  
Pod inną nazwą równie by pachniało;  
Tak i Romeo bez nazwy Romea  
Przecieżby całą swą wartość zatrzymał.  
Romeo! porzuć tę nazwę, a w zamian  
Za to, co nawet częścią ciebie nie jest,  
Weź mię, ach! całą!

ROMEO

Biorę cię za słowo:  
Zwij mię kochankiem, a krzyżmo chrztu tego  
Sprawi, że odtąd nie będę Romeem.

JULIA

Ktoś ty jest, co się nocą osłaniając,  
Podchodzisz moją samotność?

ROMEO

Z nazwiska  
Nie mógłbym tobie powiedzieć, kto jestem;  
Nazwisko moje jest mi nienawistne,  
Bo jest, o! święta, nieprzyjazne tobie;  
Zdarłbym je, gdybym miał je napisane.

JULIA

Jeszcze me ucho stu słów nie wypilo  
Z tych ust, a przecież dźwięk już ich mi znany.  
Jestżeś Romeo, mów? jestżeś Montekio?

ROMEO

Nie jestem ani jednym, ani drugim,  
Jednoli z dwojga jest niemiłe tobie.

JULIA

Jakżeś tu przyszedł, powiedz, i dlaczego?  
Mur jest wysoki i trudny do przejścia,  
A miejsce zgubne; gdyby cię kto z moich  
Krewnych tu zastał...

ROMEO

Na skrzydłach miłości  
Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem,  
Bo miłość nie zna żadnych tam i granic;  
A co potrafi, na to się i waży;  
Krewni więc twoi nie trwożą mię wcale.

JULIA

Zabiliby cię, gdyby cię ujrzeli.

ROMEO

Ach! więcej groźby leży w oczach twoich  
Niż w ich dwudziestu mieczach; patrz łaskawie,  
A będę silny przeciw ich gniewowi.

JULIA

Na Boga! niech cię oni tu nie ujrzą!

ROMEO

Ciemny płaszcz nocy skryje mię przed nimi.  
Lecz niech mię znajdą, jeśli ty mię kochasz.  
Lepszy kres życia skutkiem ich niechęci  
Niż przedłużony zgon w braku twych uczuć.

JULIA

Kto ci dopomógł znaleźć to ustronie?

ROMEO

Miłość, co mi go doradziła szukać;  
Ona mi instynkt, ja jej oczy dałem.  
Nie jestem sternik, gdybyś jednak była  
Równie daleko jak ów brzeg, którego  
Morze najdalsze podmywa krawędzie,  
Śmiało po taki klejnot bym popłynął.

JULIA

Gdyby nie ciemność, co mi twarz maskuje,  
Widziałbyś na niej rozlany rumieniec  
Po tym, co z ust mych słyszałeś tej nocy.  
Rada bym form się trzymać, rada cofnąć  
To, co wyrzekłam; ale precz udanie!  
Czy ty mię kochasz? Wiem, że powiesz: tak jest,  
I jać uwierzę; mimo przysięg jednak  
Możesz mię zawieść. Z wiarołomstwa mężczyzn  
Śmieje się, mówią, Jowisz. O! Romeo!  
Jeśli mię kochasz, wyrzec to rzetelnie;  
Lecz jeśli masz mię za podbój zbyt łatwy,  
To zmarszczę czoło i przewrotną będę,  
I na miłosne twoje oświadczenia  
Powiem: nie, w innym razie za nic w świecie.  
Za czuła może jestem, o! Monteki,  
Stąd możesz sądzić me obejście płochym;  
Ufaj mi jednak, będę ja wierniejsza  
Od tych, co bieglej umieją się drożyć.  
Byłabym ja, się była, prawdę mówiąc,  
Także drożyła, gdybyś był tajnego  
Głosu miłości mojej nie podchwycił.  
Nie wiń mię przeto ani też przypisuj  
Płochości tego wylania mych uczuć,  
Które zdradziła noc ciemna.

ROMEO

O! Julio,

Przysięgam na ten księżyc, co wspaniale  
Powleka srebrem tamtych drzew wierzchołki...





Bo moja miłość równie jest głęboka  
Jak morze, równie jak ono bez końca;  
Im więcej ci jej udzielam, tym więcej  
Czuję jej w sercu.

*Słysząc w pokojach głos Marty.*

Wołają mnie. – Zaraz.  
Bądź zdrow, kochanku drogi! – Zaraz, zaraz.  
– Najmilszy, pomnij być stałym! – Zaczekaj,  
Zaczekaj trochę, powrócę za chwilę.

*Wychodzi.*

ROMEO

Błogosławiona, o! błogosławiona  
Po dwakroć nocy! Ale czy to wszystko,  
Dziejąc się w nocy, nie jest marą tylko?  
Coś tak lubego może być istotnym?

JULIA *ukazując się znowu*

Jeszcze słów parę, a potem dobranoc,  
Drogi Romeo! jeśli twoja skłonność  
Jest prawą, twoim zamiarem małżeństwo:  
To mię uwiadom jutro przez osobę,  
Którą do ciebie przyślę, gdzie i kiedy  
Zechcesz dopełnić obrzędu; a wtedy  
Całą mą przyszłość u nóg twoich złożę  
I w świat za tobą pójdę w imię Boże.

MARTA *za sceną*

Panienko!

JULIA

Idę. – Lecz jeśli mię zwodzisz,  
To cię zaklinam...

MARTA *za sceną*

Julciu!

JULIA

Zaraz idę.  
– Jeśli mię zwodzisz, o! to cię zaklinam,  
Skończ te zabiegi i zostaw mię żalom.  
– Jutro więc przyślę.

ROMEO

Jak pragnę zbawienia...

JULIA

Po tysiąc razy dobranoc.

*Odchodzi.*

ROMEO

Po tysiąc  
Razy niedobra tam, gdzie ty nie świecisz.  
Jak żak, gdy rzuca książkę, tak kochanek  
Do celu swego pospiesza wesoły;  
A gdy nadejdzie z kochanką rozstanek,  
Wlecze się smutnie, jak ów żak do szkoły.

*Odchodzi.*

JULIA *ukazuje się znowu*

Pst! Pst! Romeo! O, gdybym mieć mogła  
Głos sokolnika, by tego męża  
Nazad przywołać! Przymus jest ochrypły,  
Nie może głośno mówić; gdyby nie to,  
Wstrząsłabym góry, gdzie się echo kryje,  
I głos bym jego zrobiła chrapliwszy  
Niż mój od rozbrzmień imienia Romeo!

ROMEO

Moja to dusza dzwoni imię moje,  
Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki!  
I jestże słodsza muzyka na świecie?

JULIA

Romeo!

ROMEO

Luba!

JULIA

O której godzinie  
Jutro mam przysłać?

ROMEO

O dziewiątej.

JULIA

Dobrze.

Dwudziestoletni to termin. Nie pomnę,  
Po com tu ciebie znowu przywołała.

ROMEO

Pozwól mi czekać, aż sobie przypomnisz.

JULIA

Zapomnę znowu, po co czekasz, pomnąc  
O twojej tylko lubej obecności.

ROMEO

A ja wciąż czekać będę, abyś ciągle  
Zapominała, sam zapominając,  
Że mam gdzie inny dom jak tutaj.

JULIA

Wkrótce

Dnieć będzie: rada bym, żebyś już odszedł;  
Nie dalej jednak jak ów biedny ptaszek,  
Co go swawolne dziecko z rąk wypuszcza  
I wnet, zazdroszcząc mu krótkiej wolności,  
Jak niewolnika trzymanego w więzach  
Jedwabnym sznurkiem przyciąga na powrót.

ROMEO

Chciałbym być biednym ptaszkiem w twoich rękach.

JULIA

O! ja bym zbyt ciemno cię zabiła.  
Dobranoc, luby! jeszcze raz dobranoc!  
Smutek rozstania tak bardzo jest miły,  
Że by dobranoc wciąż usta mówiły.

*Odchodzi.*

ROMEO

Sen na twe oczy, pokój w pierś niech spłynie;  
Obym był nimi w tej błogiej godzinie!  
Spieszę do ojca Laurentego celi,  
On mi pomocy i rady udzieli.

*Wychodzi.*

### SCENA TRZECIA

*Cela Ojca Laurentego.  
Wchodzi Ojciec Laurenty z koszykiem w ręku.*

OJCIEC LAURENTY

Szary poranek spędza mrok ponury  
Pasami światła znacząc wschodnie mury  
I noc się na bok chyli jak pijana

Z dróg dnia ubitych kołami Tytana.  
Nim oko słońca pełnym blaskiem strzeli,  
Rosę wypije i świat rozweseli,  
Muszę zbierać w ten koszyk z sitowia  
Roślin tak zbawczych, jak zgubnych dla zdrowia.  
Ziemia jest matką natury i grobem,  
Grzebie i życia obdziela zasobem.  
I mnóstwo dzieci jej łona widzimy  
Ciągających pokarm z jej piersi rodzimej;  
Niejedno w skutkach swoich wyśmienite,  
Każde do czegoś, wszystko rozmaite.  
O! moc to pełna cudów, co się mieści  
W sokach ziół, krzewów, w martwej kruszców treści!  
Bo nie ma rzeczy tak podłych na ziemi,  
Aby nie mogły stać się przydatnymi;  
Ni tak przydatnych, aby zamiast służyć  
Nie zaszkodziły pod wpływem nadużyć.  
Wszakże i cnota może zejść w bezdroże.  
A błąd się czynem uszlachetnić może.  
W mdłym kwiatku, w ziółku jednym i tym samym  
Ma nieraz miejsce jad wespół z balsamem,  
Co zmysły razi i to, co im sprzyja,  
Bo jego zapach rzeźwi, smak zabija.  
Podobnie sprzeczna i w człowieku gości  
Dwójca pierwiastków: dobroci i złości;  
A kędy górę gorsza weźmie strona,  
Tam śmierć przychodzi i roślina kona.

*Wchodzi R o m e o.*

ROMEO

Dzień dobry, ojciec mój.

OJCIEC LAURENTY

Benedicite!<sup>1</sup>

Cóż to za ranny głos tak mnie pozdrawia!  
Młody mój synu, zły to znak, kto łoże  
Próżne zostawia o tak wczesnej porze.  
Troska odbywa straż w oczach starego,  
A sen tych mija, których troski strzegą;  
Ale gdzie czerstwa, wolna od kłopotów  
Młódź głowę złoży, sen zawsze przyjsć gotów.  
To więc tak ranne twe przybycie zdradza  
Jakiś niepokój, któremu snu władza  
Ulec musiała. Czy tylko się kładłeś?  
Możesz do łóżka i nie zajrzał?

---

<sup>1</sup> Niech cię Bóg błogosławi (łac.)

ROMEO

Zgadłeś;  
Błożej niż w łóżku przeszły mi godziny.

OJCIEC LAURENTY

Grzeszniku, pewnieś był u Rozaliny.

ROMEO

U Rozaliny? Nie, ojcze; to imię  
W pamięci mojej wiecznym snem już drzemie.

OJCIEC LAURENTY

Brawo, mój synu! Lecz gdzieżeś to bywał?

ROMEO

Zaraz ci powiem: próżno byś zgadywał;  
Byłem na balu w domu mego wroga,  
Gdziem został ranny, lecz zbój czy ni sroga  
Czuje cios wzajem przeze mnie zadany,  
Tak że na nasze obopólne rany  
Święty wpływ tylko twej, ojcze, opieki  
Poradzić zdoła i dać zbawcze leki.  
Po chrześcijańsku, jak widzisz, przemawiam,  
Skoro się nawet za mym wrogiem wstawiam.

OJCIEC LAURENTY

Mów jaśniej, synu; zagadkowa spowiedź  
Dwuznaczną także znajduje odpowiedź.

ROMEO

Dowiedz się zatem, że anioł kobieta,  
Którą ukochał, jest z krwi Kapuleta.  
Jego to dziecko i nadzieja cała;  
Jak ja ją, tak mnie ona ukochała.  
I do jedności, która nas już splata,  
Brakuje tylko, byś nas ty dla świata  
Stułą zjednoczył. Gdzie, o jakiej dobie  
Dozgonną miłość przysięgliśmy sobie,  
Powiem ci idąc, czcigodny kapłanie;  
Błagam cię tylko, niech się to dziś stanie.

OJCIEC LAURENTY

Święty Franciszku! Cóż to za przemiana!  
Toż Rozalina, owa ukochana,  
Niczym już dla cię? Miłość więc młodzieży  
W oczach jedynie, a nie w sercu leży?  
Jezus! Maryja! Ileż to solanki  
Ściekło z twych oczu dla owej kochanki!  
I nadaremnie, bowiem tve zapały  
Wciąż zalewane, wciąż się powiększały.



## SCENA CZWARTA

*Ulica.*

*Wchodzą Merkucjo i Benwolio.*

MERKUCJO

Gdzież, u diabła, ugrzął Romeo! Czy był tej nocy w domu?

BENWOLIO

Nie w domu swego ojca przynajmniej; mówiłem z jego służącym.

MERKUCJO

Ta blada sekutnica Rozalina  
Na wariata go wnet wykieruje.

BENWOLIO

Tybalt, starego Kapuleta krewny,  
Pisał do niego list.

MERKUCJO

Z wyzwaniem, ręczę.

BENWOLIO

Romeo mu odpowie.

MERKUCJO

Każdy człowiek  
Piśmienny może na list odpowiedzieć.

BENWOLIO

On mu odpowie odpowiednio, jak człowiek wyzwany.

MERKUCJO

Biedny Romeo! Już trup z niego! Zakłuty czarnymi oczyma białogłowy; przestrelony na wskroś uszu romansową piosnką; ugodzony w sam rdzeń serca postrzałem ślepego malca łuczника; potrafiż on Tybaltowi stawić czoło?

BENWOLIO

A cóż to takiego Tybalt?

MERKUCJO

Coś więcej niż książę kotów; możesz mi wierzyć! Nieustraszony rębacz, bije się jak z nut, zna czas, odległość i miarę; pauzuje w sam raz jak potrzeba: raz, dwa, a trzy to już w pierś. Żaden jedwabny guzik nie wykręci mu się od śmierci. Duelista to, duelista pierwszej klasy. Owe nieśmiertelne *passado!* Owe *punto reverso!* Owe ha!

BENWOLIO

Co takiego?



MERKUCJO

Niech kaci porwą to plemię śmiesznych, sepleniących, przesadnych fantastyków, z ich nowo kutymi terminami! Na Boga, doskonała klinga! Dzielny mąż! Wspaniała dziewczyna! Nie jestże to rzecz oplakana, że nas i obsiadły te zagraniczne muchy, te modne sroki, te pardonez moi<sup>3</sup>, którym tak bardzo idzie o nową formę, że nawet na starej ławce wygodnie siedzieć nie mogą; te bąki, co bąkają: bon! bon!<sup>4</sup>

*Wchodzi R o m e o.*

BENWOLIO

Oto Romeo, nasz Romeo idzie.

MERKUCJO

Bez mlecza, jak śledź suszony. O! człowieku! Jakżeś się w rybę przedzierzgnął! Teraz go rymy Petrarcki rozczulają. Laura naprzeciw jego bóstwa jest prostą pomywaczką, lubo tamta miała kochankę, co ją opiewał; Dydona flandrą; Kleopatra Cyganką; Helena i Hero szurgotami i otłukami; Tyzbe kopciuchem lub czymś podobnym, ale zawsze nie dystyngowanym. Bon jour<sup>5</sup>, sinior Romeo! Oto masz francuskie pozdrowie nie na cześć twoich francuskich pantalonów. Pięknie nas zażyłeś tej nocy.

ROMEO

Dzień dobry wam, moi drodzy. Jakże to was zażyłem?

MERKUCJO

Pokazałeś nam odwrotną stronę medalu, odwrotną stronę swego medalu.

ROMEO

To się znaczy, że wam zdezercerowałem. Wybacz, kochany Merkucjo; miałem pilny interes, a w takim przypadku człowiek może zgrzeszyć na polu uprzejmości.

MERKUCJO

To się znaczy, że w takim przypadku człowiek mógł być zniewolony zgiąć kolana.

ROMEO

Ma się rozumieć – z uprzejmości,

MERKUCJO

Bardzoś zgrabnie trafił w sedno.

ROMEO

A ty bardzoś zgrabnie to wyłożył,

MERKUCJO

Ja bo jestem kwiatem uprzejmości.

ROMEO

Kwiatem kwiatów.

---

<sup>3</sup> wybacz (fr.)

<sup>4</sup> dobrze, dobrze (fr.)

<sup>5</sup> dzień dobry (fr.)

MERKUCJO

Racja.

ROMEO

Jeżeliś ty kwiatem, to moje trzewiki są w kwitjącym stanie.

MERKUCJO

Brawo! pielęgnuj mi ten dowcip; ażeby skoro ci się do reszty zedrze podeszwa u trzewików, twój dowcip mógł tam po prostu figurować.

ROMEO

O! godny zdartej podeszwy dowcipie! O! figuro pełna prostoty, z powodu swego prostactwa!

MERKUCJO

Na pomoc. Benwolio! moje koncepta dech tracą.

ROMEO

Pejczą je i ostrogą! pejczą je i ostrogą, inaczej nazwę je hetkami.

MERKUCJO

Jeżeli twój dowcip poluje na dzikie gęsi, to kapituluję; bo on ma więcej kwalifikacji ku temu niż wszystkie moje umysłowe władze. Czy ja ci się zdaję na to, żebym miał z gęsiami do czynienia?

ROMEO

Tyś mi się nigdy na nic nie zdał wyjąwszy, kiedy miałem do czynienia z gęsiami.

MERKUCJO

Za ten koncept ugryzę cię w ucho.

ROMEO

Chyba udziobiesz!

MERKUCJO

Twój dowcip jest gorzką konfiturą, diabelnie ostrym sosem.

ROMEO

Stosownym do gęsi.

MERKUCJO

To koncept z kozłej skórki, której cał. da się rozciągnąć tak, że nim opaszysz całą głowę.

ROMEO

Rozciągnę go do wyrazu „głowę”, który połączywszy z gęsią, będziesz miał gęsią głowę.

MERKUCJO

Nie jestże to lepiej niż jęczeć z miłości? Teraz to co innego; teraz mi jesteś towarzyski, jesteś Romeem, jesteś tym, czym jesteś; miłość zaś jest podobna do owego gapia, co się szwenda wywiesiwszy język, szukając dziury, gdzie by mógł palec wścibić.

ROMEO

Stój! Stój!

MERKUCJO

Chcesz, aby się mój dowcip zastanowił w samym środku weny?

ROMEO

Z obawy, abyś tej weny zbyt nie rozszerzył.

MERKUCJO

Mylisz się, właśnie byłem bliski ją ścieśnić, bo jużem był doszedł do jej dna i nie miałem zamiaru dłużej wyczerpywać materii.

ROMEO

Patrzcie, co za dziwadła!

*Wchodzi Marta z Piotrem.*

MERKUCJO

Żagiel! żagiel! żagiel!

BENWOLIO

Dwa, dwa: spodnie i spódnica.

MARTA

Piotrze.

PIOTR

Słucham,

MARTA

Piotrze, gdzie mój wachlarz?

MERKUCJO

Proszę cię, mój Piotrze, zakryj wachlarzem twarz jejmości; bo z dwojga tego, jej wachlarz jest piękniejszy.

MARTA

Życzę panom dnia dobrego.

MERKUCJO

Życzymy ci dobrego południa, piękna sinioro.

MARTA

Czy to już południe?

MERKUCJO

Nie inaczej; bo nieczysta ręka wskazówki na kompasie trzyma już południe za ogon.

MARTA

Chryste Panie! Cóż to za człowiek z waćpana?

ROMEO

Człowiek, którego Pan Bóg skazał na zepsucie.

MARTA

Dobrześ pan powiedział, na poczciwość! Nie wie też czasem który z panów, gdzie bym mogła znaleźć młodego Romea?

ROMEO

Ja wiem czasem, ale młodego Romea znajdziesz waćpani starszym, niż był, kiedyś go szukać zaczęła. Jestem najmłodszy z tych, co noszą to imię w braku gorszego

MARTA

Ach, to dobrze!

MERKUCJO

Możeż być dobrym to, co jest gorszym?

MARTA

Jeżeli waćpan nim jesteś, to rada bym z nim pomówić sam na sam.

BENWOLIO

Zaprosi go na jakąś wieczorynkę.

MERKUCJO

Pośredniczka to Wenery. Huż ha!

ROMEO

Cóż to, czyś kota upatrzył?

MERKUCJO

Kotlinę, panie, nie kota; i to w starym piecu, nie w polu.

Bodaj to kotlina,  
Gdzie siedzi kocina,  
Ta nie osmali...  
Lecz zmykaj, chudzino,  
Przed taką kotliną,  
Gdzie diabeł pali!

Romeo, czy będziesz u ojca na obiedzie? My tam idziemy.

ROMEO

Pośpieszę za wami.

MERKUCJO

Do widzenia, starożytna damo; damo, damo, damo!

*Wychodzą Merkucjo i Benwolio.*

MARTA

Tak, tak, do widzenia! Co to za infamis, proszę pana, co się tak poważił rozpuścić cugle swemu grubiaństwu?

ROMEO

Jest to panicz zakochany w swym języku, zdolny wypowiedzieć więcej w ciągu jednej minuty niż milczeć przez cały miesiąc.

MARTA

Jeżeli on na mnie co powiedział, dam ja mu, chociażby był zuchwalszy, niż jest, i miał ze sobą dwudziestu sobie podobnych drabów; a jeżeli mi ujdzie, to znajdę takich, co to potrafią. A hultaj! czy to ja jestem jego kochanicą, jego poniewieradłem!

*do Piotra*

I ty tu stałeś także i mogłeś ścierpieć, żeby mnie lada gbur używał wedle upodobania za przedmiot swych bezwstydných żartów?

PIOTR

Nie widziałem jeszcze, żeby kto używał jejmości wedle upodobania; gdybym był to widział, byłbym był pewnie zaraz giwer wydobył, ręczę za to. Umieć się najeżyć tak dobrze jak kto inny, kiedy mam sposobność po temu i prawo za sobą.

MARTA

Dła Boga! tak jestem rozdrażniona, że się wszystko we mnie trzęsie. A hultaj! Otóż, proszę pana, tak jak powiedziałam, młoda moja pani kazała mi się wywiedzieć o panu; co mi kazała powiedzieć, to sobie zachowuję; ale przede wszystkim oświadczam panu, że jeżelibyś ją osadził na koszu, jak to mówią, bo panienka, o której mówię, jest młodą, i dlatego, gdybyś ją pan wywiódł w pole, byłoby to tak ciężkim psikussem, jaki tylko młodej panience można wyrządzić.

ROMEO

Pozdrów ją, waćpani, ode mnie i powiedz, że jej daję rendez-vous...

MARTA

Poczciwości! oświadczę jej to, oświadczę. Niebożę, nie posiedzie się z radości.

ROMEO

Co jej waćpani chcesz oświadczyć? Nie wiesz, co mówić miałem.

MARTA

Oświadczę jej, że pan dajesz randewu; co jest, jeżeli się nie mylę, ofiarą godną prawdziwego szlachcica.

ROMEO

Powiedz jej, aby pod pozorem spowiedzi przysłała za parę godzin do celi ojca Laurentego – tam ślub weźmiemy. Oto masz waćpani za swoje trudy.

MARTA

Nie, panie; ani fenika.

ROMEO

No, no, bez ceremonii.

MARTA

Za parę godzin więc; dobrze, nie zaniedba się stawić.

ROMEO

Waćpani staniesz za murem klasztornym,  
Tam ci mój człowiek przyniesie drabinę  
Z sznurków skreconą, która mi w noc późna  
Do szczytu mego szczęścia wstęp ułatwi.  
Bądź zdrowa! Wierność twa znajdzie nagrodę.  
Poleć mię swojej młodej pani.

MARTA

Niech wam Bóg błogosławi! Ale, ale...

ROMEO

Cóż mi waćpani jeszcze powiesz?

MARTA

Czy człowiek pański dobry do sekretu?  
Bo gdzie się skrycie prowadzą układy,  
Tam dwóch już, mówią, za wiele do rady.

ROMEO

Ręczę za niego: jest to wierność sama.

MARTA

A więc wszystko dobrze. Co też to za miłe stworzenie ta moja panienka! Co to nie wyprawiało, jak było małym! Chryste Panie! Ale, ale, jest tu na mieście jeden pan, niejaki Parys, ten ma na nią diabli apetyt; ale ona, poczciwina, wolałaby patrzeć na bazyliuszka niż na niego. Przekomarzam się z nią nieraz i mówię, że ten Parys, to wcale przystojny mężczyzna; wtedy ona, powiadam panu, za każdym razem aż blednie, zupełnie tak jak pąsowa chusta na słońcu. Proszę też pana, czy rozmaryn i Romeo nie zaczyna się od takiej samej litery?

ROMEO

Nie inaczej: jedno i drugie od R.

MARTA

Kpiarz z waszmości. To psie imię. To litera dla... Nie, tamto zaczyna się od innej litery. Co też ona o tym prawi, to jest o rozmarynie i o panu: rada bym, żebyś pan to słyszał.

ROMEO

Poleć jej służby moje.

*Wychodzi.*

MARTA

Uczynię to, uczynię po tysiąc razy. – Piotrze!

PIOTR

Jestem.

MARTA

Piotrze, naści mój wachlarz i idź przodem.

*Wychodzą.*

## SCENA PIĄTA

*Ogród Kapuletów.*

*Wchodzi Julia.*

JULIA

Dziewiąta biła, kiedym ją posłała;  
Przyrzekła wrócić się za pół godziny.  
Nie znalazła go może? nie, to nie to;  
Słabe ma nogi. Heroldem miłości  
Powinna by być myśl, która o dziesięć  
Razy mknie prędzej niż promienie słońca,  
Kiedy z pochyłych wzgórków cień spędzają.  
Nie darmo lotne gołębie są w cugach  
Bóstwa miłości i nie darmo Kupid  
Ma skrzydła z wiatrem idące w zawody.  
Już teraz słońce jest w samej połowie  
Dzisiejszej drogi swojej; od dziewiątej  
Aż do dwunastej trzy już upłynęły  
Długie godziny, a jeszcze jej nie ma.  
Gdyby krew miała młodą i uczucia,  
Jak piłka byłaby chyżą i lekką,  
I słowa moje do mego kochanka,  
A jego do mnie, w lot by ją popchnęły;  
Lecz starzy wcześniej są jakby nieżywi;  
Jak ołów ciężcy, zimni, więc leniwi.

*Wchodzą Marta i Piotr*

Ha! otóż idzie. I cóż, złota nianiu?  
Czyś się widziała z nim? Każ odejść słudze.

MARTA

Idź, stań za progiem. Piotrze.

*Wychodzi P i o t r.*

JULIA

Mów, droga, luba nianiu! Ależ przebóg!  
Czemu tak smutno wyglądasz? Chociażbyś  
Złe wieści miała, powiedz je wesoło;  
Jeśli zaś dobre przynosisz, ta mina  
Fałszywy miesza ton do ich muzyki.

MARTA

Tchu nie mam, pozwól mi trochę odpocząć;  
Ach! moje kości! To był harc nie lada!

JULIA

Weź moje kości, a daj mi wieść swoją.  
Mówże, mów prędzej, mów, nianiuniu droga.

MARTA

Co za gwałt! Folguj, dlaboga, choć chwilkę,  
Czyliż nie widzisz, że ledwie oddycham?

JULIA

Ledwie oddychasz; kiedy masz dość tchnienia  
Do powiedzenia, że ledwie oddychasz?  
To tłumaczenie się twoje jest dłuższe  
Od wieści, której zwłokę nim tłumaczysz;  
Maszli wieść dobrą czy złą? niech przynajmniej  
Tego się dowiem, poczekam, na resztę;  
Tylko mi powiedz: czy jest złą, czy dobrą?

MARTA

Tak, tak, pięknyś panna wybór zrobiła! pannie właśnie męża wybierać. Romeo! żal się Bo-  
że! Co mi to za gagatek! Ma wprawdzie twarz gładszą niż niejeden, ale oczy, niech się  
wszystkie inne schowają; co się zaś tyczy rąk i nóg, i całej budowy, chociaż o tym nie ma  
co wspominać, przyznać trzeba, że nieporównane. Nie jest to wprawdzie galant całą gębą,  
ale słodziuchny jak baranek. No, no, dziewczyno! Bóg pomagaj! A czy jedliście już obiad?

JULIA

Nie. Ale o tym wszystkim już wiedziałam.  
Cóż o małżeństwie naszym mówił? powiedz.

MARTA

Ach! jak mnie głowa boli! tak w niej lupie,  
Jakby się miała w kawałki rozlecieć.



A krzyż! krzyż! biedny krzyż! niechaj waćpannie  
Bóg nie pamięta, żeś mię posyłała,  
Aby mi przez ten kurs śmierci przyśpieszyć.

JULIA

Doprawdy, przykro mi, że jesteś słabą.  
Nianiu, nianiuniu, nianiunieczku droga,  
Powiedz mi, co ci mówił mój kochanek?

MARTA

Mówił, jak dobrze wychowany młodzian,  
Grzeczny, stateczny, a przy tym, upewniam,  
Pełen zacności. Gdzie waćpanny matka?

JULIA

Gdzie moja matka? Gdzież ma być? jest w domu.  
Co też nie pleciesz, nianiu, mój kochanek  
Mówił, jak dobrze wychowany młodzian,  
Gdzie moja matka?

MARTA

O mój miły Jezu!  
Takżeś mi aścka w ukropie kapana!  
I takąż to jest maść na moje kości?  
Bądźże na przyszłość sama sobie posłem.

JULIA

O męki! Co ci powiedział Romeo?

MARTA

Masz pozwolenstwo iść dziś do spowiedzi?

JULIA

Mam je.

MARTA

Spiesz więc do celi ojca Laurentego;  
Tam znajdziesz kogoś, coć pojmie za żonę.  
Jak ci jagódki pokraśniały! Czekaj!  
Zaraz je w szkarłat zmienię inną wieścią:  
Idź do kościoła, ja tymczasem pójdę  
Przynieść drabinkę, po której twój ptaszek  
Ma się do gniazdka wśliznąć, jak się ściemni.  
Jak tragarz, muszę być ci ku pomocy;  
Ty za to ciężar dźwigać będziesz w nocy;  
Idź: trza mi zjeść co po takim zmachaniu.

JULIA

Idę raj posiąść. Adieu, złota nianiu.

*Wychodzą.*

## SCENA SZÓSTA

*Cela Ojca Laurentego.  
Ojciec Laurenty i Romeo.*

OJCIEC LAURENTY

Oby ten święty akt był miły niebu  
I przyszłość smutkiem nas nie ukarała.

ROMEO

Amen! lecz choćby przyszedł nawał smutku,  
Nie sprzeciwiałyby on tej radości,  
Jaką mię darzy jedna przy niej chwila.  
Złącz tylko nasze dłonie świętym węzłem;  
Niech go śmierć potem przetnie, kiedy zechce,  
Dość, że wprzód będę mógł ją nazwać moją.

OJCIEC LAURENTY

Gwałtownych uciech i koniec gwałtowny;  
Są one na kształt prochu zatłonego,  
Co wystrzeliwszy gaśnie. Miód jest słodki,  
Lecz słodkość jego graniczy z ckliwością  
I zbytkiem smaku zabija apetyt.  
Miarkuj więc miłość twoją; zbyt skwapliwy  
Tak samo spóźnia się jak zbyt leniwy.

*Wchodzi Julia.*

Otóż i panna młoda. Mech najcieńszy  
Nie ugiąłby się pod tak lekką stopą.  
Kochankom mogłyby do jazdy służyć  
Owe słoneczne pyłki, co igrają  
Latem w powietrzu; tak lekką jest marność.

JULIA

Czcigodny spowiedniku, bądź pozdrowion.

OJCIEC LAURENTY

Romeo, córko, podziękuje tobie  
Za nas obydwu.

JULIA

Pozdrawiam go również,  
By dzięki jego zbytnimi nie były.

ROMEO

O! Julio, jeśli miara twej radości  
Równa się mojej, a dar jej skreślenia  
Większy od mego: to osłódź twym tchnieniem  
Powietrze i niech muzyka ust twoich  
Objawi obraz szczęścia, jakie spływa  
Na nas oboje w tym błogim spotkaniu.

JULIA

Czucie bogatsze w osnowę niż w słowa  
Pyszni się z swojej wartości, nie z ozdób;  
Żebracy tylko rachują swe mienie.  
Mojej miłości skarb jest tak niezmierny,  
Że i pół sumy tej nie zdołam zliczyć...

OJCIEC LAURENTY

Pójdźcie, załatwim rzecz w krótkich wyrazach,  
Nie wprzód będziecie sobie zostawieni,  
Aż was sakrament z dwojga w jedno zmieni,

*Wychodzą.*

## AKT TRZECI

### SCENA PIERWSZA

*Plac publiczny.*

*Wchodzą Benwolio, Merkucjo, Paź i słudzy.*

BENWOLIO

Oddalmy się stąd, proszę cię, Merkucjo,  
Dzień dziś gorący, Kapuleci krążą;  
Jak ich zdybiemy, nie unikniemy zajścia,  
Bo w tak gorące dni krew nie jest lodem.

MERKUCJO

Podobnyś do owego burdy, co wchodząc do winiarni rzuca szpadę i mówi: „Daj Boże, abym cię nie potrzebował!”, a po wypróżnieniu drugiego kubka dobywa jej na dobywacza korków bez najmniejszej w świecie potrzeby.

BENWOLIO

Masz mię za takiego burdę?

MERKUCJO

Mam cię za tak wielkiego zawadiakę, jakiemu chyba równy jest we Włoszech; bardziej zaiste skłonny do breweryj niż do brewiarza.

BENWOLIO

Cóż dalej?

MERKUCJO

Gdybyśmy mieli dwóch takich, to byśmy wkrótce nie mieli żadnego, bo jeden by drugiego zagryzł. Tyś gotów człowieka napastować za to, że ma w brodzie jeden włos mniej lub więcej od ciebie. Tyś gotów napastować człowieka za to, że piwo pije, bo w tym upatrzysz przytyk do swoich piwnych oczu; chociaż żadne inne oko, jak piwne, nie upatrzyłoby w tym przytyku. W twojej głowie tak się lęgną swary jak bekasy w ługu, toś też nieraz za to

beknął i głowę ci zmyto bez ługu. Pobijeś raz człowieka za to, że kaszlnął na ulicy i przebudził przez to twego psa, który się wysypiał przed domem. Nie napastowałeś raz krawca za to, że wdział na siebie nowy kaftan w dzień powszedni? Kogoś innego za to, że miał stare wstążki u nowych trzewików? I ty mię chcesz moralizować za kłótniwość?

BENWOLIO

Gdybym był tak skory do kłótni, jak ty jesteś, nikt by mi życia na pięć kwadransów nie zaręczył.

MERKUCJO

Życie twoje przeszłoby zatem bez zaręczyn.

*Wchodzi Tybalt z poplecznikami swymi.*

BENWOLIO

Patrz, oto idą Kapuleci.

MERKUCJO

Zamknij oczy! Co mi do tego!

TYBALT *do swoich*

Pójdźcie tu, bo chcę się z nimi rozmówić.

*do tamtych*

Mości panowie, słowo.

MERKUCJO

Słowo tylko?

I samo słowo? Połącz je z czymś drugim;  
Z pchnięciem na przykład.

TYBALT

Znajdziesz mię ku temu

Gotowym, panie, jeśli dasz okazję.

MERKUCJO

Sam ją wziąć możesz bez mego dawania.

TYBALT

Pan jesteś w dobrej harmonii z Romeem?

MERKUCJO

W harmonii? Maszli nas za muzykusów!

Jeśli tak, to się nie spodziewaj słyszeć

Czego innego, jedno dysonanse.

Oto mój smyczek; zaraz ci on gotów

Zagrać do tańca. Patrzaj go! w harmonii!

BENWOLIO

Jesteśmy w miejscu publicznym panowie;

Albo usuńcie się gdzie na ustronie,

Albo też zimną krwią połóżcie tamę  
Tej kłótni. Wszystkich oczy w nas wlepione.

MERKUCJO

Oczy są na to, ażeby patrzyły;  
Niech robią swoje, a my róbmy swoje.

*Wchodzi R o m e o.*

TYBALT

Z panem nic nie mam do mówienia. Oto  
Nadchodzi właśnie ten, którego szukam.

MERKUCJO

Jeżeli szukasz guza, mogę ręczyć,  
Że się z nim spotkasz.

TYBALT

Romeo, nienawiść  
Moja do ciebie nie może się zdobyć  
Na lepszy wyraz jak ten: jesteś podły.

ROMEO

Tybalcie, powód do kochania ciebie,  
Jaki mam, tłumি gniew słusznie wzbudzony  
Taką przemową. Nie jestem ja podły;  
Bądź więc zdrów, widzę, że mię nie znasz.

TYBALT

Smyku,  
Nie zatrzesz takim tłumaczeniem obelg  
Mi uczynionych: stań więc i wyjm szpadę.

ROMEO

Klnę się, zem nigdy obelg ci nie czynił;  
Sprzyjam ci, owszem, bardziej, niżes zdolny  
Pomyśleć o tym, nie znając powodu.  
Uspokój się więc, zacny Kapulecie,  
Którego imię miłsze mi niż moje.

MERKUCJO

Spokojna, nędzna, niegodna submisjo!  
Alla stoccata<sup>6</sup> wnet jej kres położy.

*dobywa szpady*

Pójdź tu, Tybalcie, pójdź tu, dusiszczurze!

---

<sup>6</sup> Pchnięcie, termin w szermierce.

TYBALT

Czego ten człowiek chce ode mnie?

MERKUCJO

Niczego, mój ty kocikrólu, chcę ci wziąć tylko jedno życie pomiędzy dziewięciu, jakie masz, abym się nim trochę popieścił; a za nowym spotkaniem uskubnąć ci i tamte ośm jedno po drugim. Dalej! wyciągnij za uszy szpadę z powijaka, inaczej moja gwiznie ci koło uszu, nim wyciągniesz swoją.

TYBALT

Służę waćpanu.

*Dobywa szpady.*

ROMEO

Merkucjo, schowaj szpadę, jak mię kochasz.

MERKUCJO

Pokaż no swoje pasado.

*Biją się.*

ROMEO

Benwolio,  
Rozdziel ich! Wstydźcie się, mości panowie!  
Wybaczcie sobie. Tybalcie! Merkucjo!  
Książę wyraźnie zabronił podobnych  
Starć na ulicach. Merkucjo! Tybalcie!

*T y b a l t odchodzi ze swoimi.*

MERKUCJO

Zranił mię. Kaduk zabierz wasze domy!  
Nie wybrnę z tego. Czy odszedł ten hultaj  
I nie oberwał nic?

BENWOLIO

Jeszcześ raniony?

MERKUCJO

Tak, tak, draśniętym trochę, ale rdzennie.  
Gdzie mój paż? Chłopcze, biegnij po chirurga,

*Wychodzi P a ż.*

ROMEO

Zbierz męstwo, rana nie musi być wielka.

MERKUCJO

Zapewne, nie tak głęboka jak studnia  
Ani szeroka tak jak drzwi kościelne,  
Ale wystarcza w sam raz, rękę za to.

Znajdziesz mię jutro spokojnym jak trusia.  
Już się dla tego świata na nic nie zdam.  
Bierz licho wasze domy! Żeby taki  
Pies, szczur, kot na śmierć zadrapał człowieka!  
Taki cap, taki warchoł, taki ciura,  
Co się bić umie jak z arytmetyki!  
Po kiego czorta ci się było mieszać  
Między nas! Zranił mię pod bokiem twoim.

ROMEO

Chciałem, Bóg widzi, jak najlepiej.

MERKUCJO

Benwolio, pomóż mi wejść gdzie do domu.  
Słabnę. Bierz licho oba wasze domy!  
One mię dały na strawę robakom;  
Będę nią, i to wnet. Kaduk was zabierz!

*Wychodzą Merkurcj o i Benwolio.*

ROMEO

Ten dzielny człowiek, bliski krewny księcia  
I mój najlepszy przyjaciel, śmiertelny  
Poniósł cios za mnie; moją dobrą sławę  
Tybalt znieważył; Tybalt, który nie ma  
Godziny jeszcze, jak został mym krewnym.  
O Julio! wdzięki twe mię zniewieściły  
I z hartu zwykłej wyzuły mię siły.

*Benwolio powraca.*

BENWOLIO

Romeo, Romeo, Merkurcj o skonał!  
Mężny duch jego uleciał wysoko  
Gardząc przedwcześnie swą ziemską powłoką.

ROMEO

Dzień ten fatalny więcej takich wróży;  
Gdy się raz zacznie złe, zwykle trwa dłużej.

*Tybalt powraca.*

BENWOLIO

Oto szalony Tybalt wraca znowu.

ROMEO

On żyw! Zwycięzca! A Merkurcj o trupem!  
Precz, pobłażliwa teraz łagodności!  
Płomiennooka furio, ty mną kieruj!  
Tybaltcie, odbierz nazad swoje „podły”;



Zwracam ci, co mi dałeś! Duch Merkucja  
Wznosi się ponad naszymi głowami  
Dopominając się za swoją twojej.  
Ty lub ja albo oba musim legnąć.

TYBALT

Nikczemny chłystku, tyś mu tu był druhem,  
Bądźże i owdzie.

ROMEO

To się tym rozstrzygnie.

*Walczą. Ty b a l t pada.*

BENWOLIO

Romeo, uchodź, oddal się, uciekaj!  
Rozruch się wszczyna i Tybalt nie żyje.  
Nie stój jak wryty; jeśli cię schwytają,  
Książę cię na śmierć skaże; chroń się zatem!

ROMEO

Jestem igraszką losu!

BENWOLIO

Prędzej! prędzej!

*R o m e o wychodzi.  
Wchodzą obywatele itd.*

PIERWSZY OBYWATEL

Gdzie on? Gdzie uszedł zabójca Merkucja?  
Zabójca Tybalt w którą uszedł stronę?

BENWOLIO

Tybalt tu leży.

PIERWSZY OBYWATEL

Za mną, mości panie;  
W imieniu księcia każę być posłusznym.

*Wchodzą K s i ą ż ę z orszakiem, M o n t e k i o  
i K a p u l e t z małżonkami swymi i inne osoby.*

KSIAŻĘ

Gdzie są nikczemni sprawcy tej rozterki?

BENWOLIO

Dostojny książę, ja mogę objaśnić  
Cały bieg tego nieszczęsnego starcia.

Oto tu leży, przez Romea zgładzon,  
Zabójca twego krewnego Merkucja.

PANI KAPULET

Tybalt! Mój krewny! Syn mojego brata!  
Boże! Tak marnie zgładzony ze świata!  
O mości księżę, błagam twej opieki,  
Niech za krew naszą odda krew Monteki.

KSIAŻĘ

Benwolio, powiedz, kto ten spór zapalił?

BENWOLIO

Tybalt, którego Romeo powalił.  
Romeo darmo przekładał, jak próżną  
Była ta kłótnia, przypominał zakaz  
Waszej książęcej mości, ale wszystkie  
Te przedstawienia, uczynione grzecznie,  
Spokojnym głosem, nawet w korny sposób,  
Nie mogły wpłynąć na zawzięty umysł  
Tybalta. Zamiast skłonić się do zgody  
Zwraca morderczą stal w Merkucja piersi,  
Który, podobnież uniesiony, ostrze  
Odpiera ostrzem i uszedłszy śmierci,  
Śle ją nawzajem Tybaltowi: ale  
Bez skutku, dzięki zręczności tamtego.  
Romeo woła: „Hola! przyjaciele!  
Stójcie! odstawcie!”, i ramieniem szybszym  
Od słów rozdziela skrzyżowane klingi,  
Wpadając między nich; lecz w tejże chwili  
Cios wymierzony z boku przez Tybalta  
Przeciął Merkucja życie. Tybalt zniknął;  
Wkrótce atoli ukazał się znowu,  
Kiedy Romeo już był zemstą zawrzał.  
Starli się w okamgnieniu i nim szpadę  
Wyjąć zdołałem, by wstrzymać tę zwadę,  
Już mężny Tybalt wskroś poległ przeszyty  
Z ręki Romea, a Romeo uszedł.  
Tak się rzecz miała: jeżelim się minął  
Z prawdą bodajem ciężką śmiercią zginął.

PANI KAPULET

On jest Montekich krewnym, przywiązanie  
Czyni go kłamcą, nie wierz mu, o panie!  
Ich tu przynajmniej ze dwudziestu było;  
Dwudziestu przeciw jednemu walczyło.  
Sprawiedliwości, panie! Kto śmierć zadał,  
Słuszna, by śmiercią za to odpowiadał.

KSIAŻĘ

Tybalt ją zadał wprzód Merkucjuszowi,  
Romeo jemu; któż słusznie odpowie?

MONTEKIO

Nie mój syn, panie; o, nie wyrzecz tego!  
On był Merkucja najlepszym kolegą  
I przyjacielem; w tym jedynie zgrzeszył,  
Że Tybaltowi nieprawnie przyspieszył  
Rygoru prawa.

KSIAŻĘ

I za ten to błąd

Banituujemy go na zawsze stąd.  
Z bliska mię wasze dotknęły niesnaski,  
Skoro mój własny dom cierpi z ich łaski;  
Ale ja takie znajdę środki na nie,  
Że wam spór każdy obmierzłym się stanie,  
Wszelkie wykręty na nic się nie zdadzą:  
Ni łzy, ni prośby winnym nie poradzą,  
Uprzedzam! Niechaj Romeo ucieka,  
Bo gdy schwytany będzie, śmierć go czeka.  
Kaźcie stąd zabrać te zwłoki. Łaskawość  
Zbrodnią jest, kiedy oszczędza nieprawość.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Pokój w domu Kapuletów.  
Julia sama.*

JULIA

Pędźcie, ognistokopyte rumaki,  
Ku państwowi Feba; oby nowy jaki  
Faeton dodał wam bodźca i rącej  
Pognał was owdzie, gdzie się szlak dnia kończy?  
Wierna kochankom nocy, spuść zasłonę,  
By się wznieść mogły oczy w dzień spuszczone  
I w te objęcia niedostrzeżonego  
Sprowadź, ach! sprowadź mi Romea mego!  
Miłości świeci pod twą czarną krepą  
Jej własna piękność, a jeśli jest ślepa,  
Tym stosowniejszy mrok dla niej. O nocy!  
Cicha matrono, w ciemnej twej karocy  
Przybądź i naucz mię niemym wyrazem,

Jak się to traci i wygrywa razem  
Wśród gry niewinnej dwojga serc dziewiczych;  
Skryj w płaszczu twego zwojach tajemniczych  
Krew, co roi do lic bije z głębi łona;  
Aż nieświadoma miłość ośmielona  
Za skromność weźmie czyn swej świadomości.  
Przyjdź, ciemna nocy! Przyjdź, mój dniu w ciemności!  
To twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie  
Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie  
Na grzbiecie kruka. Wstąp, o, wstąp w te progi!  
Daj mi Romea, a po jego zgonie  
Rozsyp go w gwiazdki! A niebo zapłonie  
Tak, że się cały świat w tobie zakocha  
I czci odmówi słońcu. Ach, jam sobie  
Kupiła piękny przybytek miłości,  
A w posiadanie jego wejść nie mogę;  
Nabytą jestem także, a nabywca  
Jeszcze mię nie ma! Dzień ten mł nieznośny  
Jak noc, co święto jakowe poprzedza,  
Niecierpliwemu dziecku, które nowe  
Dostało szaty, a nie może zaraz  
W nie się przystroić. A! niania kochana.

*Wchodzi Marta z drabinką sznurową w rękę.*

Niesie mi wieści o nim, a kto tylko  
Wymawia imię Romea, ten boski  
Ma dar wymowy. Cóż tam, moja nianiu?  
Co to masz? Czy to ta drabinka, którą  
Romeo przynieść kazał?

MARTA

Tak, drabinka!

*Rzuca ją.*

JULIA

Dłaboga! czego załamujesz ręce?

MARTA

Ach! on nie żyje, nie żyje! nie żyje!  
Biada nam! biada nam! wszystko stracone!  
On zginął! on nie żyje! on zabity!

JULIA

Możeż być niebo tak okrutne?

MARTA

Niebo

Nie jest okrutne, lecz Romeo; on to,  
On jest okrutny. O Romeo! któż by  
Się był spodziewał! Romeo! Romeo!

JULIA

Cóżeś za szatan, że tak mię udręczasz?  
Taki głos w piekle by tylko brzmieć winien.  
Czyliż Romeo odjął sobie życie?  
Powiedz: tak! a te trzy litery gorszy  
Jad będą miały niż wzrok bazyliuszka.  
Jeżeli takie „tak” istnieje, Julia  
Istnieć nie będzie; zawrą się na zawsze  
Te usta, które to „tak” wywołały.  
Zginąli, powiedz: tak, jeżeli nie – nie;  
W krótkich wyrazach zbaw albo mnie zabij.

MARTA

Widziałam ranę na me własne oczy.  
Boże, zmiłuj się nad nim, tu, tu oto,  
Tu w samym środku męskiej jego piersi.  
Straszny trup! straszny trup! blady jak popiół;  
Cały zbuczony, cały krwią zbryzgany,  
Zgęstłą krwią: ażem wzdrygnęła się patrząc.

JULIA

O pękni, serce! pękni w tym przeskoku  
Z bogactw do nędzy! Do więzienia, wzroku!  
Już ty nie zaznasz swobody uroku.  
Jak nas na ziemi złączył jeden ślub,  
Tak niech nas w ziemi złączy jeden grób.

MARTA

Tybalcie! mój najlepszy przyjacielu!  
Luby Tybalcie! dziarski, walny chłopcze!  
Czemuż mi, czemuż przyszło przeżyć ciebie?

JULIA

Cóż to za wicher dmie z dwóch stron przeciwnych?  
Romeo zginął? i Tybalt zabity?  
Ogłoś więc, straszna trąbo, koniec świata!  
Bo gdzież są żywi, gdy ci dwaj nie żyją?

MARTA

Tybalt nie żyje, Romeo wygnany,  
Romeo zabił go, jest więc wygnany.

JULIA

Boże! Romeo przelał krew Tybalta?

MARTA

On to, niestety, on, on to uczynił.

JULIA

O serce żmii pod kwiecistą maską!  
Kryłże się kiedy smok w tak pięknym lochu?  
Luby tyranie, anielski szatanie!  
Kruku w gołębich pierzach! Wilku w runie!  
Nikczemny wątku w niebiańskiej postaci!  
We wszystkim sprzeczny z tym, czym się wydajesz:  
Szlachetny zbrodniu! Potępieńcze święty!  
O, cóżeś miała do czynienia w piekle,  
Naturo, kiedyś taki duch szatański  
W raj tak pięknego ciała wprowadziła?  
Byłaż gdzie książka tak ohydnej treści  
W oprawie tak ozdobnej? Trzebaż, aby  
Fałsz zamieszkiwał tak przepyszny pałac?!

MARTA

Nie ma czci, nie ma wiary, nie ma prawdy,  
Nie ma sumienia w ludziach; sama zmienność,  
Sama przewrotność, chytrość i obłudza.  
Pietrze! daj no mi trochę akwawity.  
Te smutki, te zgryzoty, te cierpienia  
Robią mię starą. Przeklęty Romeo!  
Hańba mu!

JULIA

Bodaj ci język oniemiał  
Za to przekleństwo! Romeo nie zrodzon  
Do hańby; hańba by wstydem splonęła  
Na jego czole! bo ono jest tronem,  
Na którym honor śmiało by mógł zostać  
Koronowany na monarchę świata.  
O, jakże mogłam mu złorzeczyć!

MARTA

Chceszże  
Zbójcę krewnego twego uniewinniać?

JULIA

Mamże potępiać mojego małżonka?  
O biedny! któż by popieścił twe imię,  
Gdybym ja, od trzech godzin twoja żona,  
Miała je szarpać? Ależ, niegodziwy,  
Za co ty mego zabiłeś krewnego!  
Za to, że krewny niegodziwy zabić  
Chciał mego męża. Precz, precz, łzy niewczesne!  
Spłyńcie do źródła, które was wydało;

Dań waszych kropel przypada żalowi,  
A nie radości, której ją płacicie.  
Mój mąż, co Tybalt go chciał zabić, żyje,  
A Tybalt, co chciał zabić mego męża,  
Śmierć poniósł; w tym pociecha. Czegóż płaczę?  
Ha! doszło do mych uszu coś gorszego  
Niż śmierć Tybalta, co mię wskroś przeszło.  
Chętnie bym o tym zapomniała, ale  
To coś weisnęło się tak w moją pamięć  
Jak karygodny czyn w umysł grzesznika.  
Tybalt nie żyje – Romeo wygnany!  
To jedno słowo: wygnany, zabiło  
Tysiąc Tybaltów. Śmierć Tybalta była  
Sama już przez się dostatecznym ciosem;  
Jeśli zaś ciosy lubią towarzystwo  
I gwałtem muszą mieć za sobą świtę,  
Dlaczegóż w ślad tych słów: Tybalt nie żyje!  
Nie nastąpiło: twój ojciec nie żyje  
Lub matka, albo i ojciec, i matka?  
Żal byłby wtenczas całkiem pospolity,  
Lecz gdy Tybalta śmierć ma za następstwo  
To przeraźliwe: Romeo wygnany!  
O, jednocześnie z tym wykrzykiem Tybalt,  
Matka i ojciec, Romeo i Julia,  
Wszyscy nie żyją. Romeo wygnany!  
Z zbójczego tego wyrazu płynąca  
Śmierć nie ma granic ni miary, ni końca  
I żaden język nie odda boleści,  
Jaką to straszne słowo w sobie mieści.  
Gdzie moja matka i ojciec?

MARTA

Przy zwłokach

Tybalta jęczą i łzy wylewają.  
Chcesz tam panienka iść, to zaprowadzę.

JULIA

Nie mnie oblewać łzami jego rany:  
Moich przedmiotem Romeo wygnany.  
Weź tę drabinkę. Biedna ty plecionko!  
Ty zawód dzielisz z Romea małżonką;  
Obie nas chybił los oczekiwany,  
Bo on wygnany, Romeo wygnany!  
Ty pozostajesz spuścizną jałową,  
A ja w panieńskim stanie jestem wdową.  
Pójdź, nianiu, prowadź mię w małżeńskie łóżce,  
Nie mąż, już tylko śmierć w nie wstąpić może.

MARTA

Czekaj no, pójdę sprowadzić Romea,  
By cię pocieszył. Wiem, gdzie on jest teraz.  
Nie płacz; użyjem jeszcze tych plecionek  
I twój Romeo wnet przed tobą stanie.

JULIA

O, znajdź go! daj mu w zakład ten pierścionek  
I na ostatnie proś go pożegnanie.

*Wychodzą.*

### SCENA TRZECIA

*Cela Ojca Laurentego.  
Wchodzi Ojciec Laurenty i Romeo.*

OJCIEC LAURENTY *wchodząc*

Romeo! Pójdź tu, pognębiony człeku!  
Smutek zakochał się w umyśle twoim  
I poślubiony jesteś niefortunnie.

ROMEEO

Cóż tam, cny ojczu? Jakież wyrok księcia?  
I jakaż dola nieznana ma zostać  
Mą towarzyszką?

OJCIEC LAURENTY

Zbyt już oswojony  
Jest mój syn drogi z takim towarzystwem.  
Przynosząc wieści o wyroku księcia.

ROMEEO

Jakież by mógł być łaskawszy prócz śmierci?

OJCIEC LAURENTY

Z ust jego padło łagodniejsze słowo:  
Wygnanie ciała, nie śmierć ciała, wyrzekł.

ROMEEO

Wygnanie? Zmiłuj się, jeszcze śmierć dodaj!  
Wygnanie bowiem wygląda okropniej  
Niż śmierć. Zaklinam cię, nie mów: wygnanie.



OJCIEC LAURENTY

Wygnyany jesteś z obrębu Werony.  
Zbierz męstwo, świat jest długi i szeroki.

ROMEO

Zewnątrz Werony nie ma, nie ma świata,  
Tylko tortury, czyściec, piekło samo!  
Stąd być wygnanym, jest to być wygnanym  
Ze świata; być zaś wygnanym ze świata,  
Jest to śmierć ponieść; wygnanie jest zatem  
Śmiercią barwioną. Mieniając śmierć wygnaniem,  
Złotym toporem ucinasz mi głowę,  
Z uśmiechem patrząc na ten cios śmiertelny.

OJCIEC LAURENTY

O ciężki grzechu! O niewdzięczne serce!  
Błąd twój pociąga z prawa śmierć za sobą:  
Księżę, ujmując się jednak za tobą,  
Prawo życzliwie usuwa na stronę,  
I groźny wyraz: śmierć – w wygnanie zmienia.  
Łaska to, i ty tego nie uznajesz?

ROMEO

Katusza to, nie łaska. Tu jest niebo,  
Gdzie Julia żyje; lada pies, kot, lada  
Mysz marna, lada nikczemne stworzenie  
Żyje tu w niebie, może na nią patrzeć,  
Tylko Romeo nie może. Mdła mucha  
Więcej ma mocy, więcej czci i szczęścia  
Niżli Romeo; jej wolno dotykać  
Białego cudu, drogiej ręki Julii,  
I nieśmiertelne z ust jej kraść zbawienie;  
Z tych ust, co pełne westalczej skromności  
Bez przerwy płoną i pocałowanie  
Grzechem być sądzą; mucha ma tę wolność,  
Ale Romeo nie ma: on wygnany.  
I mówisz, że wygnanie nie jest śmiercią?  
Nie maszli żadnej trucizny, żadnego  
Ostrza, żadnego środka nagłej śmierci,  
Aby mię zabić, tylko ten fatalny  
Wyraz – wygnanie? O księżę, złe duchy  
Wyją, gdy w piekle usłyszą ten wyraz:  
I ty masz serce, ty, święty spowiednik,  
Rozgrześca grzechów i szczerzy przyjaciel,  
Pasy drzeć ze mnie tym słowem: wygnanie?

OJCIEC LAURENTY

Sentymalny szaleńcze, posłuchaj!

ROMEO

Znowu mi będziesz prawił o wygnaniu.

OJCIEC LAURENTY

Dam ci broń przeciw temu wyrazowi;  
Balsamem w przeciwnościach – filozofia;  
W tej więc otuchę czerp będąc wygnanym.

ROMEO

Wygnanym jednak! O, precz z filozofią!  
Czyż filozofia zdoła stworzyć Julię?  
Przestawić miasto? Zmienić wyrok księcia?  
Nic z niej; bezsilna ona, nie mów o niej.

OJCIEC LAURENTY

Szaleni są więc głuchymi, jak widzę.

ROMEO

Jak mają nie być, gdy mądrzy nie widzą.

OJCIEC LAURENTY

Dajże mi mówić; przyjm słowa rozsądku.

ROMEO

Nie możesz mówić tam, gdzie nic nie czujesz.  
Bądź jak ja młodym, posiadź miłość Julii,  
Zaślub ją tylko co, zabij Tybalta,  
Bądź zakochanym jak ja i wygnanym  
A wtedy będziesz mógł mówić; o, wtedy  
Będziesz mógł sobie z rozpaczy rwać włosy  
I rzucać się na ziemię, jak ja teraz,  
Na grób zawczasu biorąc sobie miarę.

*Rzuca się na ziemię. Słysząc kołatanie.*

OJCIEC LAURENTY

Cicho, ktoś puka; ukryj się, Romeo.

ROMEO

Nie; chyba para powstała z mych jęków,  
Jak głę, ukryje mię przed ludzkim wzrokiem.

*Kołatanie.*

OJCIEC LAURENTY

Słyszysz? pukają znowu. Kto tam? Powstań,  
Powstań, Romeo! Chcesz być wziętym? Powstań;

*Kołatanie.*

Wnijdź do pracowni mojej. Zaraz, zaraz.  
Cóż to za upór!

*Kołatanie.*

Idę, idę, któż to  
Tak na gwałt puka? Skąd wy? Czego chcecie?

MARTA zewnątrz  
Wpuście mnie, wnet się o wszystkim dowiecie,  
Julia przysłała mnie.

OJCIEC LAURENTY  
Witajże, witaj.

*Wchodzi Marta.*

MARTA  
O! świątobliwy ojciec, powiedz proszę,  
Gdzie jest mąż mojej pani, gdzie Romeo?

OJCIEC LAURENTY  
Tu, na podłodze, łzami upojony.

MARTA  
Ach, on jest właśnie w stanie mojej pani,  
Właśnie w jej stanie. Nieszczęsna sympatio!  
Smutne zbliżenie! I ona tak leży  
Płacząc i łkając, szlochając i płacząc.  
Powstań pan, powstań, jeśli jesteś mężem!  
O, powstań, podnieś się, przez wzgląd na Julię!  
Dlaczego dać się przygnębiać tak srodze?

ROMEEO  
Marto!

MARTA  
Ach panie! Wszystko na tym świecie  
Kończy się śmiercią.

ROMEEO  
Mówiłaś o Julii?  
Cóż się z nią dzieje? O, pewnie mnie ona  
Ma za mordercę zakamieniałego,  
Kiedym mógł naszych rozkoszy dzieciństwo  
Splamić krwią, jeszcze tak bliską jej własnej,  
Gdzie ona? Jak się miewa i co mówi  
Na zawód w świeżo błysłym nam zawodzie?

MARTA

Nic, tylko szlocha i szlocha, i szlocha;  
To się na łóżko rzuca, to powstaje,  
To woła: „Tybalt!”, to krzyczy: „Romeo!” –  
I znowu pada.

ROMEO

Jak gdyby to imię  
Z śmiertelnej paszczy działa wystrzelone  
Miało ją zabić, tak jak jej krewnego  
Zabiła ręka tego, co je nosi.  
O! powiedz, powiedz mi, ojcze, przez litość,  
W którym zakątku tej nędznej budowy  
Mieszka me imię; powiedz, abym zburzył  
To nienawistne siedlisko.

*Dobywa miecza.*

OJCIEC LAURENTY

Stój! Wstrzymaj  
Dłoń rozpaczliwą! Czy jesteś ty mężem?  
Postać wskazuje twoja, że nim jesteś;  
Łzy twe niewieście; dzikie twoje czyny  
Cechują wściekłość bezrozumną zwierza.  
W pozornym mężu ukryta niewiasto!  
Zwierzu, przybrany w pozór tego dwojga!  
Ty mnie w zdumienie wprawiasz. Jakem kapłan!  
Myślałem, że masz więcej hartu w sobie.  
Tybaltas zabił, chcesz zabić sam siebie  
I przez haniebny ten na siebie zamach  
Zabić chcesz także tę, co żyje tobą?  
Przecz tak uwłaczasz swemu urodzeniu,  
Niebu i ziemi, skoro urodzenie,  
Niebo i ziemia ci się śmieją? Wstydz się!  
Krzywdzisz swą postać, swą miłość, swój rozum,  
Boś ty jak lichwiarz bogaty w to wszystko,  
Ale niczego tego nie używasz  
W sposób mogący te dary ozdobić.  
Kształtna twa postać jest figurą z wosku,  
Skoro nie z męską cnotą idzie w parze;  
Miłość twa w gruncie czczym krzywoprzysięstwem,  
Skoro chcesz zabić tę, którejś ją ślubił.  
Twój rozum, chluba kształtów i miłości,  
Niezręczny w korzystaniu z tego dwojga,  
Jest jak proch w flaszce płochego żołnierza,  
Co się zapala z własnej jego winy  
I razi tego, którego miał bronić.  
Otrząś się, człeku! Julia twoja żyje;  
Julia, dla której umrzeć byłeś gotów;  
W tymes szczęśliwy. Tybalt chciał cię zabić,

Tyś jego zabił; w tym szczęśliwyś także.  
Prawo, grożące ci śmiercią, zamienia  
Śmierć na wygnanie, i w tymieś szczęśliwy.  
Stosy na głowie błogosławieństw dźwigasz,  
Szczęście najwabniej wdzięczy się do ciebie,  
A ty, jak dziewczka zepsuta, kapryśna,  
Fochasz się<sup>7</sup> na tę szczodrotę fortuny.  
Strzeż się, bo tacy marnie umierają.  
Terazże idź do żony, jak to było  
Wprzód umówione, i pociesz niebogę.  
Pomnij wyjść jednak przed wart rozstawieniem,  
Bo później przejść byś nie mógł do Mantui,  
Gdzie masz przebywać tak długo, aż znajdziem  
Czas do odkrycia waszego małżeństwa,  
Do pojednania waszych nieprzyjaciół,  
Do przebłagania księcia, na ostatek  
Do sprowadzenia cię nazad, z radością  
Dziesięćkroć sto tysięcy razy większą  
Niż terazniejszy twój smutek. Waćpani  
Idź naprzód; pozdrów ode mnie swą panią  
I każ jej naglić wszystkich do spoczynku,  
Ku czemu żal ich ułatwi namowę,  
Romeo przyjdzie niebawem.

MARTA

O panie!

Mogłabym całą noc stać tu i słuchać,  
Co też to może nauczoność! Biegnę  
Upредить moją panią, że pan przyjdiesz.

ROMEO

Idź, proś ją, niech się gotuje mię zgromić.

MARTA

Oto pierścionek, który mi kazała  
Doręczyć panu. Spiesz się pan, już późno.

*Wychodzi Marta.*

ROMEO

O, jakże mi ten dar dodał otuchy!

OJCIEC LAURENTY

Idź już, dobranoc! a pamiętaj  
Wyjść jeszcze dzisiaj, nim zaciągną warty,  
Albo w przebraniu wyjść jutro o świcie.  
Osiądź w Mantui. Jeden z naszych braci  
Nosić ci będzie od czasu do czasu  
Zawiadomienie o każdym wypadku,

---

<sup>7</sup> tj. dąszasz się.

Jaki na twoją korzyść tu się zdarzy.  
Daj rękę; późno już, bądź zdrow, dobranoc.

ROMEO

Gdyby nie radość, co mię czeka, wczesny  
Ten rozdział z tobą byłby zbyt bolesny.  
Zegnam cię, ojcze.

*Wychodzą.*

#### SCENA CZWARTA

*Pokój w domu Kapuletów.  
Wchodzi Kapulet, Pani Kapulet i Parys.*

KAPULET

Tak smutny dotknął nas, panie, wypadek,  
Żeśmy nie mieli czasu mówić z Julią.  
Krewny nasz, Tybalt, był jej nader drogim,  
Nam także, ale rodzim się, by umrzeć.  
Dziś ona już nie zejdzie, bo już późno.  
Gdyby nie twoje, hrabio, odwiedziny,  
Ja sam bym w łóżku był już od godziny.

PARYS

Pora żałoby nie sprzyja zalotom;  
Dobranoc; pani, poleć mnie swej córce.

PANI KAPULET

Najchętniej, zaraz jutro ją wybadam;  
Na dziś zamknęła się, by żal swój spłakać.

KAPULET

Hrabio, za miłość naszego dziecięcia  
Mogę ci ręczyć; mniemam, że się skłoni  
Do mych przełożeń, co więcej, nie wątpię.  
Pójdź do niej, żono, nim się spać położysz;  
Oznajm jej cnego Parysa zamiary  
I powiedzże jej, uważasz, iż w środę...  
Zaczekaj, cóż to dzisiaj?

PARYS

Poniedziałek.

KAPULET

A! poniedziałek! Za wcześnie we środę;  
Odlóżmy to na czwartek; w ten więc czwartek  
Zostanie żoną szlachetnego hrabi.  
Będzieszli gotów? Czy ci to dogadza?  
Cicho się sprawim; jeden, dwóch przyjaciół...  
Gdybyśmy bowiem po tak świeżej stracie  
Bardzo hulali, ludzie, widzisz, hrabio,  
Mogliby myśleć, że za lekko bierzem  
Zgon tak bliskiego krewnego; dlatego  
Wezwiem przyjaciół z jakie pół tuzina,  
I na tym koniec. Cóż mówisz na czwartek?

PARYS

Rad bym, o panie, żeby już był jutro.

KAPULET

To dobrze. Bądź nam zdrów. A więc we czwartek.  
Wstąpże do Julii, żono, nim spać pójdziesz,  
Przygotuj ją do ślubu. Bądź zdrów, hrabio.  
Światła! hej! światła do mego pokoju!  
Tak już jest późno, żebyśmy nieledwie  
Mogli powiedzieć: tak rano. Dobranoc,

*Wychodzą.*

## SCENA PIĄTA

*Pokój Julii.  
Wchodzą Romeo i Julia.*

JULIA

Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak bliski,  
Słowik to, a nie skowronek się zrywa  
I śpiewem przeszył trwożne ucho twoje.  
Co noc on śpiewa owdzie na gałązce  
Granatu, wierzaj mi, że to był słowik.

ROMEO

Skowronek to, ów czujny herold ranku,  
Nie słowik; widzisz te zazdrosne smugi,  
Co tam na wschodzie złocą chmur krawędzie?  
Pochodnie nocy już się wypaliły  
I dzień się wspina raźnie na gór szczyty.  
Chcąc żyć, iść muszę lub zostając – umrzeć.

JULIA

Owo światelko nie jest świtem; jest to  
Jakiś meteor od słońca wysłany,  
Aby ci służył w noc za przewodnika  
I do Mantui rozjaśniał ci drogę,  
Zostań więc, nie masz potrzeby się spieszyć.

ROMEO

Niech mię schwytają, na śmierć zaprowadzą,  
Rad temu będę, bo Julia chce tego.  
Nie, ten brzask nie jest zapowiedzią ranku,  
To tylko blady odbłask lica luno;  
To nie skowronek, co owdzie piosenką  
Bijąc w niebiosy wznosi się nad nami.  
Więcej mię względów skłania tu pozostać  
Niż nagle odejść. O śmierci, przybywaj!  
Chętnie cię przyjmę, bo Julia chce tego.  
Cóż, luba? prawda, że jeszcze nie dnieje?

JULIA

O, dnieje, dnieje! Idź, spiesz się, uciekaj?  
Głos to skowronka brzmi tak przeraźliwie  
I niestojnymi, ostrymi dźwiękami  
Razi me ucho. Mówią, że skowronek  
Miło wywodzi; z tym się ma przeciwnie,  
Bo on wywodzi nas z objęć wzajemnych.  
Skowronek, mówią, z obrzydłą ropuchą  
Zamienił oczy, o, rada bym teraz,  
Żeby był także i głos z nią zamienił,  
Bo ten głos, w smutnej rozstania potrzebie,  
Dzień przywołując, odwołuje ciebie.  
Idź już, idź: ciemność coraz to się zmniejsza.

ROMEO

A dola nasza coraz to ciemniejsza!

*Wchodzi Marta.*

MARTA

Pst! pst!

JULIA

Co?

MARTA

Starsza pani tu nadchodzi,  
Dzień świta: bacność, bo się narazicie.

*Wychodzi.*



JULIA

O okno, wpuśćże dzień, a wypuść życie!

ROMEO *wychodząc przez okno*

Bądź zdrowa! Jeszcze jeden uścisk krótki.

JULIA

Już idziesz; o mój drogi! mój milutki!  
Muszę mieć co dzień wiadomość o tobie;  
A każda chwila równą będzie dobie,  
Zgrzybieję licząc podług tej rachuby,  
Nim cię zobaczę znowu, o mój luby.

ROMEO

Ilekróć będę mógł, tylekróć twoję  
Drogą troskliwość pewnie zaspokoję.

*Znika za oknem.*

JULIA

Jak myślisz, czy się znów ujrzymy kiedy?

ROMEO

Nie wątpię o tym, najmiłsza, a wtedy  
Wszystkie cierpienia nasze kwiatem tkana  
Kanwą do słodkich rozmów nam się staną.

JULIA

Boże! przeczuwam jakąś ciężką dołę;  
Wydajesz mi się teraz tam na dole  
Jak trup, z którego znikły życia ślady.  
Czy mię wzrok myli! Jakież ty błady!

ROMEO

I twoja także twarz jak pogrobowa.  
Smutek nas trawi. Bądź zdrowa! bądź zdrowa!

JULIA *odstępując od okna*

O losie! ludzie mienią cię niestałym;  
Toż więc przez zawiść tylko prześladujesz  
Tych, co kochają stale? Bądź niestały,  
Bo wtedy będę mogła mieć nadzieję,  
Ze go niedługo będziesz zatrzymywał  
I wrócisz nazad.

PANI KAPULET *za sceną*

Julio! czyś już wstała?

JULIA

Któż to mię woła! Głosze to mej matki?  
Nie spałaż ona, czy wstała tak rano?  
Jakiż niezwykły powód ją sprowadza?

*Wchodzi Pani Kapulet.*

PANI KAPULET

Jak się masz, Julciu?

JULIA

Niedobrze mi, matko!

PANI KAPULET

Wciąż jeszcze płaczesz nad stratą Tybalta?  
Chceszże go łzami dobyć z grobu? Choćbyś  
Dopięła tego, wskrzесиć go nie zdołasz.  
Przestań więc; pewien żal może dowodzić  
Wielkiej miłości, ale wielkość żalu  
Dowodzi pewnej płytkości pojęcia.

JULIA

Trudno na taką stratę nie być czułą.

PANI KAPULET

Tak, ale płacząc czujesz tylko stratę,  
Nie tego, po kim płaczesz, moje dziecko.

JULIA

Tak czując stratę, mogę tylko płakać.

PANI KAPULET

Przyznaj się jednak, że nie tyle płaczesz  
Nad jego śmiercią, jako raczej nad tym,  
Że jeszcze żyje ten łotr, co go zabił.

JULIA

Jaki łotr, pani?

PANI KAPULET

Ten ci łotr Romeo.

JULIA *na stronie*

On i łotr żyją daleko od siebie.

*głośno*

Przebacz mu Boże, tak jak ja przebaczam.  
A przecież nie ma na świecie człowieka,  
Który by bardziej ciążył mi na sercu.

PANI KAPULET

Że mimo swoich niecnot jeszcze żyje.

JULIA

Że go nie mogę dosiąć tym ramieniem,  
Rada bym sama móc się na nim zemścić.

PANI KAPULET

Dozna on zemsty; nie troszcz się i nie płacz,  
Zlecę ja pewnej osobie w Mantui,  
Gdzie ten wygnany renegat się schronił,  
Dać mu traktament tak zniewalający,  
Że wnet pospieszy za Tybaltem. Wtedy  
Będziesz, spodziewam się, zaspokojona.

JULIA

Nie zaspokoi mię Romeo nigdy,  
Dopóki tylko żyć będzie; tak silnie  
Boleść po krewnym rozjątrza mi serce.  
O pani, jeśli tylko znajdziesz kogo,  
Co się podejmie podać mu truciznę,  
Ja ją przyrządzę, by po jej wypiciu  
Romeo zasnąć mógł jak najspokojniej.  
Jakże mię korci słyszeć jego imię  
I nie móc zaraz dostać się do niego,  
By przywiązaniu memu do Tybalta  
Dać odwet na tym, co go zamordował.

PANI KAPULET

Znajdź ty sposoby, ja znajdę człowieka,  
Terazże mam ci udzielić, dziewczyno,  
Wesołych nowin.

JULIA

Wesołe nowiny

Pożądanymi są w tak smutnych czasach.  
Jakaż tych nowin treść, kochana matko?

PANI KAPULET

Masz troskliwego ojca, moje dziecko;  
On to, ażeby smutek twój rozproszyć,  
Umyślił i wyznaczył dzień na radość  
Tak dla cię, jak i dla mnie niespodzianą.

JULIA

Cóż to za radość, matko? możesz wiedzieć?

PANI KAPULET

Ta, a nie inna, że w ten czwartek z rana  
Piękny, szlachetny, młody hrabia Parys

Ma cię uczynić szczęśliwą małżonką  
W Świętego Piotra kościele.

JULIA

Na kościół  
Świętego Piotra i Piotra samego!  
Nigdy on, nigdy tego nie uczyni!  
Zdumiewa mię ten pośpiech. Mam iść za męża,  
Nim ten, co moim ma być mężem, zaczął  
Starać się o mnie, nim mi się dał poznać?  
Proszę cię, matko, powiedz memu ojcu  
Że jeszcze nie chcę iść za męża, a gdybym  
Koniecznie miała iść, to bym wolała  
Pójść za Romea, który, jak wiesz dobrze,  
Jest mi z całego serca nienawistny,  
Niż za Parysa. Ha! to mi nowina!

*Wchodzi Kapulet i Marta.*

PANI KAPULET

Oto twój ojciec, powiedz mu to sama;  
Zobaczymy, jak on przyjmie twą odpowiedź.

KAPULET

Kiedy dzień kona, niebo spuszcza rosę;  
Ale po skonie naszego krewnego  
Pada ulewny deszcz. Cóż to, dziewczyno?  
Czy jesteś cebrem? Ciągłe jeszcze we łzach?  
Ciągłe wezbranie? W małej swej istotce  
Przedstawiasz obraz łodzi, morza, wiatru:  
Bo twoje oczy, jakby morze, ciągle  
Falują łzami; biedne twoje ciało  
Jak łódź żegluje po tych słonych falach.  
Wiatrem na koniec są westchnienia twoje,  
Które ze łzami walcząc, a łzy z nimi,  
Jeżeli nagle nie nastąpi cisza,  
Strzaskają twoją łódkę. I cóż, żono?  
Czyś jej zamiary nasze objawiła?

PANI KAPULET

Tak; ale nie chce i dziękuje za nie,  
Bodajby była z grobem zaślubiona!

KAPULET

Co? Jak to? Nie chce? Nie chce? Nie chce, mówisz?  
Nie jest nam wdzięczną? Nie pyszni się z tego?  
Nie poczytuje sobie za szczyt szczęścia,  
Niegodna, żeśmy jej najgodniejszego  
Z werońskich chłopców wybrali za męża?

JULIA

Niepysznam z tego, alem wdzięczna za to.  
Pyszna zaiste, nie mogę być z tego,  
Co nienawidzę; lecz wdzięczna być winnam  
I za nienawiść w postaci miłości.

KAPULET

Cóż to znów? cóż to? Logika w spódnicy!  
Pysznam i wdzięcznam, i zasię niewdzięcznam,  
Jednak niepysznam! Słuchaj, świrdrzyglówko!  
Nie dziękuj wdzięcznie ni się pyszn z niepyszna,  
Lecz zbierz swe sprytne klepki na ten czwartek,  
By pójść z Parysem do Świętego Piotra,  
Albo cię każę zawlec tam na smyczy.  
Rozumiesz? Ty białaczko! ty szuswale!  
Lalko łojowa!

PANI KAPULET

Wstydź się! czyś oszalał?

JULIA

Błagam cię, ojcze, na klęczkach cię błagam,  
Pozwól powiedzieć sobie tylko słowo.

KAPULET

Precz, wszeteczniczo! dziewczko nieposłuszna!  
Ja ci powiadam: gotuj się w ten czwartek  
Iść do kościoła lub nigdy, przenigdy  
Na oczy mi się więcej nie pokazuj.  
Nic nie mów ani piśnij, ani trunij:  
Palce mię świerzbią. Myśleliśmy, żono,  
Że nas za skąpo Bóg pobłogosławił  
Dając nam jedno dziecko; teraz widzę,  
Że i to jedno jest jednym za wiele  
I że w niej mamy bicz boży. Precz, plucho!  
Cyganko jakaś!

MARTA

Błogosław jej Boże!  
Jegomość grzeszy, tak fukając na nią.

KAPULET

Doprawdy! Czy tak sądzi wasza mądrość?  
Idź waść pytlować gębą z kumoszkami.

MARTA

Nie mówięc bluźnierstw.

KAPULET

Terefere kuku!

MARTA

Czyż mówić zbrodnia?

KAPULET

Milcz, stara trajkotko!

Schowaj swój rozum na babskie sejmiki.

Tu niepotrzebny.

PANI KAPULET

Za gorący jesteś.

KAPULET

Na miłość boską, to trzeba oszaleć!

W dzień, w noc, wieczorem, rano, w domu, w mieście,

Sam, w towarzystwie, we śnie i na jawie

Ciągle i ciągle rozmyślałem tylko

O jej zamęściu; i teraz, gdym znalazł

Dłań oblubieńca książęcego rodu,

Pana rozległych majątków, młodego,

Ukształconego, uposażonego

Dokolusienka, jak mówią, w przymioty,

Jakich się można od mężczyzny żądać;

Trzeba, ażeby mi jedna smarkata,

Mazgajowata gęś odpowiadała:

Nie chcę iść za mąż, nie mogę pokochać,

Jestem za młoda, wybaczcie mi, proszę.

Nie chcesz iść za mąż? a to nie idź, zgoda,

Ale mi nie włącz w oczy; żeruj sobie,

Gdzie tylko zechcesz, byle nie w moim domu.

Zważ to, pamiętaj, nie zwykłem żartować.

Czwartek za pasem; przyłóż dłoń do serca;

Namyśl się dobrze; będzieszli powolna,

Znajdziesz dobrego we mnie przyjaciela;

A nie, to marniej, żebrz, jęcz, mrzej pod płotem;

Bo jak Bóg w niebie, nigdy cię nie uznam

Za moje dziecko i z mojego mienia

Nawet źdźbło nigdy ci się nie oberwie.

Możesz się na to spuścić, jestem słowny.

*Wychodzi.*

JULIA

Nie masz litości w niebie, które widzi

Całą głębokość mojego cierpienia?

Ty mię przynajmniej nie odpychaj, matko!

Zwlecz to małżeństwo na miesiąc, na tydzień

Albo mi pościel oblubieńcze łoże

W tymże grobowcu, w którym Tybalt leży.

PANI KAPULET

Nie mów nic do mnie, nic ci nie odpowiem;  
Rób, co chcesz, wszystko mi to obojętne.

*Wychodzi.*

JULIA

O Boże! O ty, moja karmicielko!  
Poradź mi, powiedz, jak temu zaradzić?  
Mój mąż na ziemi, moja wiara w niebie;  
Jakżeż ta wiara ma na ziemię wrócić,  
Nim mój mąż sam mi ją powróci z nieba  
Po opuszczeniu ziemi? Daj mi radę.  
Niestety! Że też nieba mogą nękać  
Tak mdłą istotę jak ja! Nic nie mówisz?  
Nie maszże żadnej pociechy, żadnego  
Na to lekarstwa?

MARTA

Mam ci, a to takie:

Romeo na wygnaniu i o wszystko  
Można iść w zakład, że cię już nie przyjdzie  
Nagabać więcej, chyba ukradkiem.  
Ponieważ tedy rzecz tak stoi, sądzę,  
Ze nic lepszego nie masz do zrobienia  
Jak pójść za hrabię. Dalipan, to wcale,  
Co się nazywa, przystojny mężczyzna.  
Romeo kołek przy nim; orzeł, pani,  
Nie ma tak pięknych, żywych, bystrych oczu  
Jak Parys. Nazwij mię hetką-pętelką,  
Jeśli nie będziesz z kretelem szczęśliwa  
W tym nowym stadle, bo ono jest stokroć  
Lepsze niż pierwsze; a choćby nie było,  
To i tak tamten pierwszy już nie żyje;  
Tak jakby nie żył; przynajmniej dla ciebie,  
Skoro, choć żyje, nie masz zeń pożytku.

JULIA

Czy z serca mówisz?

MARTA

Ba, i z duszy całej!

Jeśli nie z serca i nie z duszy, to je  
Przeklnij oboje.

JULIA

Amen!

MARTA

Na co amen?

JULIA

Bardzoś mi przez to dodała otuchy,  
Idźże i powiedz teraz mojej matce,  
Ze naraziwszy się na gniew rodzica,  
Poszłam do celi ojca Laurentego  
Odprowadzić spowiedź i wziąć rozgrzeszenie.

MARTA

O, idę! to mi pięknie i roztropnie.

*Wychodzi.*

JULIA

Stara niecnoto! Zdradziecki szatanie!  
Cóż jest niegodniej, cóż jest większym grzechem:  
Czy tak mię kusić do krzywoprzysięstwa?  
Czy lżyć małżonka mego tymiż usty,  
Którymi tyle razy go pod niebo  
Wznosiłaś chwałąc? Precz, uwodzicielko!  
Serce me odtąd zamknięte dla ciebie.  
Pójdę poprosić ojca Laurentego,  
By mi dał radę, a jeśli żadnego  
Na tę przeciwność nie będzie sposobu,  
Znajdę moc w sobie wstąpienia do grobu.

*Wychodzi.*



## AKT CZWARTY

### SCENA PIERWSZA

*Cela Ojca Laurentego.  
Ojciec Laurenty i Parys.*

OJCIEC LAURENTY

W ten czwartek zatem? to bardzo pośpiesznie.

PARYS

Mój teść, Kapulet, życzy sobie tego:  
A ja powodu nie mam rzecz odwlekać.

OJCIEC LAURENTY

Nie znasz pan, mówisz, uczuć swojej przyszłej;  
Krzywa to droga, ja takich nie lubię.

PARYS

Bez miary płacze nad śmiercią Tybalta,  
Małom jej przeto mówił o miłości,  
Bo Wenus w domu łez się nie uśmiecha,  
Ojciec jej, mając to za niebezpieczne,  
Że się tak bardzo poddaje żalowi,  
W mądrości swojej przyspiesza nasz związek,  
By zatamować źródło tych łez, które  
W odosobnieniu cieką za obficie,  
A w towarzystwie prędzej mogą ustać.  
Znasz teraz, ojcze, powód tej nagłości.

OJCIEC LAURENTY *na stronie*

Obym mógł nie znać powodów do zwłoki!

*głośno*

Patrz, hrabio, oto twa przyszła nadchodzi.

*Wchodzi Julia*

PARYS

Szczęśny traf dla mnie, piękna przyszła żono!

JULIA

Być może, przyszłość jest nieodgadnioną.

PARYS

To „może” ma być już w ten czwartek z rana.

JULIA

Co ma być, będzie.

OJCIEC LAURENTY

Prawda to zbyt znana.

PARYS

Przyszłaś się, pani, spowiadać przed ojcem?

JULIA

Mówiąc to, panu bym się spowiadała.

PARYS

Nie zaprzecz przed nim, pani, że mię kochasz.

JULIA

Że jego kocham, to wyznam i panu.

PARYS

Wyznasz mi także, tuszę, że mnie kochasz.

JULIA

Gdyby tak było, większą by to miało  
Wartość wyznane z daleka niż w oczy.

PARYS

Biedna! Łzy bardzo twarz twą oszpeciły.

JULIA

Niewielkie przez to odniosły zwycięstwo;  
Dosyć już była uboga przed nimi.

PARYS

Tym słowem bardziej ją krzywdzisz niż łzami.

JULIA

Nie jest to krzywda, panie, ale prawda,  
I w oczy sobie ją mówię.

PARYS

Twarz twoja

Do mnie należy, a ty jej uwłaczasz.

JULIA

Nie przeczę; moja bowiem była inna.  
Maszli czas teraz, mój ojciec duchowny,  
Czyli też mam przyjść wieczór po nieszporach?

OJCIEC LAURENTY

Nie brak mi teraz czasu, smętne dziecię.  
Racz, panie hrabio, zostawić nas samych.

PARYS

Niech mię Bóg broni świętym obowiązkom  
Stać na przeszkodzie! Julio, w czwartek z rana  
Przyjdę cię zbudzić. Bądź zdrowa tymczasem  
I przyjm pobożne to pocałowanie.

*Wychodzi.*

JULIA

O! Zamknij, ojciec, drzwi; a jak je zamkniesz,  
Przyjdź płakać ze mną. Nie ma już nadziei!  
Nie ma ratunku! Nie ma ocalenia!

OJCIEC LAURENTY

Ach, Julio! Znam twą boleść; mnie samego  
Nabawia ona prawie odurzenia,  
Słyszałem, i nic tego nie odwlecze,  
Ze w przyszły czwartek wziąć masz ślub z tym hrabią.

JULIA

Nie mów mi, ojciec, że o tym słyszałeś;  
Chyba że powiesz, jak tego uniknąć,  
Jeżeli w swojej mądrości nie znajdziesz  
Żadnego na to środka, to przynajmniej  
Postanowienie moje nazwij mądrym,  
A w tym sztylcie zaraz znajdę środek.  
Bóg złączył moje i Romea serce,  
Ty nasze dłonie; i nim ta dłoń, świętą  
Pieczęcią twoją z Romeem spojona,  
Inny akt stwierdzi, nim to wierne serce  
W zdradzieckim buncie odda się innemu,  
To ostrze zada śmierć sercu i dłoni.  
Daj mi więc jaką radę zaczerpniętą

Z długoletniego doświadczenia twego  
Albo bądź świadkiem, jak ten nóż rozstrzygnie  
Sprawę pomiędzy mną a moim losem,  
Wnet zaradzając temu, czego ani  
Wiek, ani rozum nie mógł doprowadzić  
Do rozwiązania zgodnego z honorem.  
Mów prędko; pilno mi wstąpić do grobu,  
Jeśli mi powiesz, że nie ma sposobu.

#### OJCIEC LAURENTY

Stój, córko! Mam ja w myśli pewien środek,  
Wymagający równie rozpaczliwej  
Determinacji, jak jest rozpaczliwe  
To, czemu chcemy zapobiec. Jeżeli,  
Dla uniknięcia małżeństwa z Parysem,  
Masz siłę woli odjąć sobie życie,  
To się odważysz snadź na coś takiego,  
Co będąc tylko podobnym do śmierci  
Uwolni cię od hańby, jakiej chciałaś  
Ujść przez zadanie jej sobie naprawdę.  
Maszli odwagę, toć wskaże ten środek.

#### JULIA

O! każ mi, zamiast być żoną Parysa,  
Skoczyć ze szczytu wieży; w rozbójniczych  
Gościć jaskiniach, w legowiskach węzów;  
Zamknij mię w jedną klatkę z niedźwiedziami  
Albo mię wepchnij nocą do kostnicy,  
Zewsząd pokrytej szczątkami szkieletów,  
Poczerniałymi kośćmi i czaszkami,  
Każ mi wejść żywcem w grób świeżo kopany  
I w jeden całun z trupem się obwinąć;  
Wszystko to dawniej dreszcz budziło we mnie,  
Ale bez trwogi uczynię to zaraz,  
Bylebym tylko pozostała czystą  
Małżonką mego lubego kochanka.

#### OJCIEC LAURENTY

Słuchaj więc: idź do domu, bądź wesoła,  
Przystań na związek z hrabią. Jutro środa;  
Staraj się jutro na noc zostać sama,  
Niech Marta nie śpi ten raz w twym pokoju.  
Masz tu flaszeczkę: weźmiesz ją do łóżka  
I filtrowany likwor ten wypijesz;  
A wnet po wszystkich żyłach cię przebiegnie  
Usypiający dreszcz, który owładnie  
Wszelką żywotną funkcją; wszystkie pulsa  
Wstrzymają w tobie swe zwyczajne bicie;  
Ni dech, ni ciepło nie wskaże, że żyjesz.  
Róże ust twoich i policzków zbledną

Jak popiół; oczu zasłony zapadną,  
Jak gdy dłoń śmierci zakrywa dzień życia;  
Każdy twój członek, pozbawiony władzy,  
Zdrętwieje, stęgnie, zziębnie jak u trupa.  
I w tym pozornym stanie nagłej śmierci  
Zostawać będziesz czterdzieści dwie godzin,  
Wtedy się ockniesz jak ze snu błogiego.  
Gdy więc nazajutrz z rana narzeczony  
Przyjdzie cię zbudzić, znajdzie cię umarłą;  
Po czym, jak każe zwyczaj, przystrojona  
W godowe szaty, w odsłoniętej trumnie,  
Złożoną będziesz pod owym sklepieniem,  
Gdzie leżą wszyscy ze krwi Kapuletów.  
Uwiadomiony tymczasem przeze mnie  
O naszym planie, Romeo przybędzie;  
Wraz ze mną czekać będzie w owym lochu  
Na twe ocknienie i tej samej nocy  
Uprowadzi cię skrycie do Mantui.  
To cię uchroni od hańby grożącej;  
Jeśli brak woli lub niewieścia bojaźń  
Od wykonania tego cię nie wstrzyma.

JULIA

O, daj mi, daj mi! nie mów o bojaźni!

OJCIEC LAURENTY

Masz, idź, bądź niewzruszona i szczęśliwa  
W tym przedsięwzięciu! Wyprawię natychmiast  
Jednego z naszych braci do Mantui  
Z listem do twego męża.

JULIA

O nadziejo!

Ty mi bądź bodźcem, a hasłem Romeo!  
Bądź zdrow, mój ojcze!

*Odchodzi.*

## SCENA DRUGA

*Pokój w domu Kapuletów.*

*Wchodzi Kapulet, Pani Kapulet, Marta i służdy.*

KAPULET do Służącego

Proś te osoby co tu są spisane

*Służący wychodzi.*

A waść dwudziestu biegłych zbierz kucharzy.

DRUGI SŁUŻĄCY

Nie będzie zły ani jeden, jaśnie panie, bo się przekonam wprzód o każdym, czy umie sobie oblizywać palce.

KAPULET

A to na co?

DRUGI SŁUŻĄCY

Zły to kucharz, jaśnie panie, co nie oblizuje sobie palców; o którym się więc przekonam, że tego nie umie, tego nie sprowadzę.

KAPULET

Ruszaj!

*Wychodzi Służący.*

Wątpię, czy wszystko na czas wygotuję.  
Bodaj cię! Prawdaż to, że Julia poszła  
Do ojca Laurentego?

MARTA

Poszła, panie.

KAPULET

To dobrze; może on co na niej wskóra.  
Cięża, uparta to skóra na buty.

*Wchodzi Julia.*

MARTA

Patrz pan, jak raźnie wraca od spowiedzi.

KAPULET

No, sekutnico, gdzieżeś to bywała?

JULIA

Gdzie mię żałować nauczono, panie,  
Za grzech uporu i nieposłuszeństwa  
Naprzeciw woli twojej. Świętobliwy  
Kapłan Laurenty kazał mi się rzucić  
Do twych nóg i o przebaczenie prosić.  
Przebacz mi, ojczy! będę już uległa.

KAPULET

Niech tam kto pójdzie prosić pana hrabię:  
Jutro mieć muszę spleciony ten węzeł.

JULIA

Spotkałam hrabię w celi Laurentego  
I okazałam mu miłość, jak mogłam,  
Nie przekraczając granicy skromności.

KAPULET

To co innego; tak, to dobrze, powstań;  
Tak być powinno, tak córce przystoi.  
Prosić tu hrabię, żeby przyszedł zaraz.  
Dalipan, święty to człek z tego mnicha;  
Słusznie mu całe miasto cześć oddaje.

JULIA

Marto, pójdz ze mną do mego pokoju.  
Wszak mi pomożesz przymierzać przyborów,  
Jakie na jutro uznasz za stosowne?

PANI KAPULET

Po co dziś? jutro będzie dosyć czasu.

KAPULET

Idź z nią, waść, Jutro pójdziem do kościoła.

*Julia z Martą wychodzi.*

PANI KAPULET

Nie wiem, czy zdążym z przygotowaniami;  
Już wieczór.

KAPULET

Nie troszcz się; dojrzę wszystkiego  
I wszystko będzie dobrze, za to rękę.  
Idź do Juleczki, pomóż jej się przybrać.  
Ja się tej nocy nie położę; będę  
Na ten raz pełnił urząd gospodyni.  
Hej, służba! Cóż to? wszyscy się rozeszli?  
Mniejsza z tym, pójdę sam hrabię uprzedzić  
O zaszłej zmianie. Lekko mi na sercu,  
Ze się ten kozioł przecie opamiętał.

*Wychodzą.*

## SCENA TRZECIA

*Pokój Julii.  
Wchodzi Julia i Marta.*

JULIA

Tak, ten strój wezmę. Ale, złota nianiu,  
Proszę cię, zostaw mię na tę noc samą,  
Bo dużo muszę pacierzy odmówić  
Dla uproszenia sobie względów niebios  
Nad moim stanem, jak wiesz, pełnym grzechu.

*Wchodzi Pani Kapulet.*

PANI KAPULET

Takaś zajęta? Mamże ci dopomóc?

JULIA

Nie, pani; jużesmy we dwie wybrały.  
Co mi na jutro może być potrzebne.  
Pozwól, bym teraz sama pozostała,  
I niechaj Marta spędzi tę noc z tobą.  
Pewnam, że wszyscy macie dość roboty  
Przy tym tak nagłym obchodzie.

PANI KAPULET

Dobranoc!

Położ się, spocznij; potrzebujesz tego.

*Wychodzą Pani Kapulet i Marta.*

JULIA

Dobranoc! Bóg wie, kiedy się zobaczym.  
Zimny dreszcz trwogi na wskroś mię przejmuje  
I jakby mrozi we mnie ciepło życia.  
Zawołam na nie, by mnie pokrzepiły;  
Nianiu! I po cóż tu ona? Straszliwy  
Ten czyn wymaga właśnie samotności.  
Ha! pójdź, flakonie!  
Gdyby jednakże ten płyn nie skutkował?  
Miałabym gwałtem z hrabią być złączona?  
Nie, me; ucieczka w tym: leż tu w odwodzie.

*kładzie na stole sztylet*

A gdyby też to miała być trucizna,  
Którą mi ksiądz ten zręcznie śmierć chce zadać,  
By ujść zarzutu, że dał ślub kobiecie,  
Którą już pierwej zaślubił z kim innym?



To by być mogło; ale nie, tak nie jest,  
Bo jego świętość jest wypróbowana,  
I nawet myśli tej nie chcę przypuszczać.  
Lecz gdybym w grobie się ocknęła pierwej,  
Nim mię Romeo przyjdzie oswobodzić?  
To byłoby okropnie!  
Nie udusiłabym się wśród tych sklepień,  
Gdzie nigdy zdrowe nie wnika powietrze,  
I nie umarłabym wprzód, nim Romeo  
Przyjdzie na pomoc? A choćbym i żyła.  
Czyliżby straszny wpływ nocy i śmierci,  
Którą dokoła będę otoczona,  
Obok wrażenia, jakie sprawiać musi  
Samaż miejscowość tego sklepionego  
Starożytnego lochu, w którym kości  
Zmarłych mych przodków od lat niepamiętnych  
Nagromadzone leżą, kędy świeżo  
Złożony Tybalt gnije pod całunem;  
I kędy nocą o pewnych godzinach  
Duchy, jak mówią, odbywają schadzki;  
Niestety! czyliżby prawdopodobnie  
To wszystko, gdybym wcześniej się ocknęła,  
A potem zapach trupi, krzyk podobny  
Do tego, jaki wydaje ów korzeń  
Ziela pokrzyku, gdy się go wyrzywa,  
Krzyk wprawiający ludzi w obłąkanie,  
Czyliżby wszystko to, w razie ocknienia –  
Nie pomieszało mi zmysłów? Czyliżbym  
Po szalonemu nie igrała wtedy  
Z kośćmi mych przodków? nie poszła się pieścić  
Z trupem Tybalta? i w tym rozstrojeniu  
Nie rozbłazałbym sobie rozpaczliwie  
Głowy pieszczelą którego z pradziadów  
Jak pałką? Patrzcie! patrzcie! zdaje mi się,  
Że duch Tybalta widzę ścigający  
Romea za to, że go wygnał z ciała.  
Stój! stój, Tybalcie!

*przytyka flakon do ust*

Do ciebie, mój luby,  
Spełniam ten toast zbawienia lub zguby.

*Wypija napój i rzuca się na łóżko.*

## SCENA CZWARTA

*Sala w domu Kapuletów.  
Wchodzi Pani Kapulet i Marta.*

PANI KAPULET

Weź te półmiski i wydaj korzenie.

MARTA

Piekarz o pigwy woła i daktyle.

*Wchodzi Kapulet.*

KAPULET

Śpieszcie się, śpieszcie! Już drugi kur zapiał;  
Poranny dzwonek ozwał się: to trzecia;  
Dojrzyj ciast, moja Marto; nie szczędź przypraw.

MARTA

Co to za wścibstwo! Idźże się pan przespać.  
Dalipan, jutro się nam rozchorujesz  
Z tego niewczasu.

KAPULET

Ani krzty! Do licha!  
Nie wysypiałem się dla spraw mniej ważnych,  
A przecież nigdy nie zachorowałem.

PANI KAPULET

Wiem ci ja dobrze, wiem; umiał jegomość  
Swojego czasu myszkować; lecz teraz  
Ja czuwam nad tym, abyś pan nie czuwał.

*Wychodzą Pani Kapulet i Marta.*

KAPULET

Zazdrosna sztuka!

*Wchodzi służby z różnymi koszami i drzewem.*

Hej! co tam niesiecie?

PIERWSZY SŁUGA

Rzeczy do kuchni, ale nie wiem jakie.

KAPULET

Śpiesz się.

*Wychodzi Służący.*

Idź, wasze, suchszych szczap narąbać;  
Piotr ci kloc wskaże po temu.

DRUGI SŁUGA

Jeżeli  
O kloca idzie, to dość mnie samego;  
Nie potrzebuję się zwracać do Piotra.

*Wychodzi.*

KAPULET

Masz słuszność; żywo! Wesołe ladaco!  
Sam będziesz klocem. Dalipan, już dnieje  
I hrabia będzie tu zaraz z muzyką.  
Tak przyrzekł.

*Słysząc muzykę.*

Otóż idzie; już go słysząc.  
Hej! Żono! Marto! Chodźcie tu! Hej! Marto!

*Wchodzi Marta.*

Idź, obudź Julkę, ubierz ją co żywo,  
Ja pogawędzę tymczasem z Parysem.  
Spiesz się, nie marudź; pan młody już przyszedł.  
Co tchu się zwijaj.

*Wychodzi.*

## SCENA PIĄTA

*Pokój Julii. Julia w łóżku.  
Wchodzi Marta.*

MARTA

Panienko! Julciu! Jak się to zasnęło!  
Wstawaj, gołąbku! Wstawaj! Wstydz się, śpiochu!  
Panienko! duszko! rybko! Ani mrumru!  
Chcesz, widzę, wyspać się za cały tydzień,  
Jakbyś wiedziała, że ci hrabia Parys  
Następnej nocy nie da oka zmrużyć.  
Odpuść mi Panie, amen! Jak śpi smacznie!  
Muszę ją jednak zbudzić. Julciu! Julciu!

Niech no cię hrabia Parys tak zastanie,  
To się dopiero zerwiesz. Cóż to? w sukni?  
Jużes ubrana i znów się pokładłaś?  
Dosyć już tego! Julciu! Panno Julio! –  
Ha! przez Bóg żywy! Na pomoc! na pomoc!  
Ona nie żyje! O, ja nieszczęśliwa!  
Po co mi było się rodzić? Na pomoc!  
Choć trochę akwawitu! Panie! Panie!

*Wchodzi Pani Kapulet.*

PANI KAPULET  
Co to za hałas?

MARTA  
O dniu niefortunny!

PANI KAPULET  
Mów, co się stało?

MARTA  
Patrz, pani.

PANI KAPULET  
O nieba!  
O moje dziecię! o moja pociecho!  
Wstań! odżyj albo umrę razem z tobą!  
Na pomoc! wołaj pomocy!

*Wchodzi Kapulet.*

KAPULET  
Co za guzdralstwo! Pan młody już czeka.

MARTA  
Ona nie żyje; rozstała się z życiem!  
O dniu żalсны!

PANI KAPULET  
O dniu opłakany!  
Ona nie żyje, nie żyje, nie żyje!

KAPULET  
Puście minie, niech zobaczę... Jak lód zimna;  
Krew w niej zastygła; członki jej zdrętwiały...  
Dawno już życie z tych ust uleciało.  
Śmierć ją zwarzyła, jak mróz najpiękniejszy  
Pierwiosnek w maju. Nieszczęsny ja starzec!

MARTA

O niefortunny dniu!

PANI KAPULET

O dniu boleści!

KAPULET

Śmierć ta, niszcząca wszystkie me nadzieje,  
Głos mi tamuje i zamyka usta.

*Wchodzi Ojciec Laurenty i Parys  
z muzykantami.*

OJCIEC LAURENTY

Czy panna młoda już jest w pogotowiu  
Iść do kościoła?

KAPULET

Iść, ale nie wrócić:  
O synu, w wilię dnia twojego ślubu  
Śmierć zaślubiła twą oblubienicę.  
Patrz, oto leży ten kwiat w jej uścisku.  
Śmierć jest mym zięciem, śmierć jest mym dziedzicem.  
Umrę i wszystko jej oddam, bo wszystko  
Oddaje śmierci, kto oddaje ducha.

PARYS

Tak dawnom wzdychał do tego poranku  
I takież widok czekał mię u mety!

PANI KAPULET

Dniu nienawistny, przeklęty! ohydny,  
Stokroć obmierzły, jakiemu równego  
W obiegu swoim czas jeszcze nie widział!  
Jedno mieć tylko, jedno biedne dziecko,  
Jedną uciechę i jedną pociechę,  
I tę zabiera śmierć nielitościwa!

MARTA

O smutny, smutny dniu! o dniu żałosny!  
Najopłakańszy, najniefortunniejszy,  
Jaki widziałam w życiu kiedykolwiek!  
O dniu! o smutny dniu! O dniu żałosny!  
Nie było nigdy jeszcze dnia takiego.  
O! stokroć smutny dniu, stokroć żałosny!

PARYS

Okrutna, sroga świętokradzka śmierci!  
Tyś mię podeszła, obdarła, zgnębiła,  
Przez ciebiem niebo stracił, okrutnico!

O Julio! luba! życie! już nie życie,  
Niemniej jednakże luba i po śmierci!

#### KAPULET

Zawistny, twardy, niecny, zbójczy losie!  
Po cóż ci, po co było tak tyrańsko  
Wniwecz obracać naszą uroczystość!  
O moje dziecko! raczej duszo moja,  
Nie moje dziecko; bo dziecko jest trupem;  
I wraz z nim cała pociech mych ostoja,  
Cały wdzięk życia stał się śmierci łupem!

#### OJCIEC LAURENTY

Przestańcie! rozpacz nie leczy rozpaczy.  
Nadobne dziecię to było własnością  
Zarówno nieba, jak i waszą; niebo  
Zabrało swoją część; tym lepiej dla niej.  
Wyście nie mogli waszej części ziemskiej  
Ustrzec od śmierci, ale część jej lepszą  
Niebo zachowa w wiekuistym życiu.  
Jej wywyższenie było szczytem waszych  
Życzeń i dążeń. W nim zakładaliście  
Swoją raj na ziemi i płaczecie teraz,  
I rozpaczacie widząc ją wzniesioną  
Ponad obłoki do istnego raję?  
O, zła to miłość jęczeć z żalu wtedy,  
Kiedy tym, których kochamy, jest dobrze.  
Nie ta dziewica dobrze poszła za mąż,  
Co długie lata przeżyła w zamęściu,  
Lecz ta, co młodo zamężną umiera.  
Połóżcie tamę łzom i umiwszy  
To piękne ciało liśćmi rozmarynu,  
Kaźcie je; wedle zwyczaju, niebawem  
W świątecznych szatach zanieść do kościoła.  
Świętymi wprowadzie są boleści prawa,  
Przecież rozsądek z łez się naigrawa.

#### KAPULET

Cośmy na gody poprzysposabiali,  
To musi teraz posłużyć na pogrzeb;  
Weselna uczta zamieni się w stypę,  
Dźwięk strun w jęk dzwonów, pieśni w smętne treny,  
Mirtowy wieniec martwą skroń otoczy,  
Słowem, wszystko się w opak przeistoczy.

#### OJCIEC LAURENTY

Wyjdźcie stąd, państwo, i ty, hrabio, także,  
Niech się gotuje każdy odprowadzić  
Te piękne zwłoki na wieczny spoczynek.  
Snadź niebo na was o coś zagniewane;

Nie jątrzcież jego gniewu jeszcze gorzej  
Oporem przeciw świętej woli bożej.

*Wychodzą Kapulet, Pani Kapulet, Parys  
i Ojciec Laurenty.*

PIERWSZY MUZYKANT

Trzeba nam podobno schować dudy w miech i wynieść się za drzwi.

MARTA

Tak, tak, schowajcie swoje instrumenta,  
Pocziwi ludzie, nie ma tu co robić.

*Wychodzi.*

DRUGI MUZYKANT

Możeć się jeszcze co znajdzie.

*Wchodzi Piotr.*

PIOTR

Zagrajcie mi na basetli, panowie muzykanci, zagrajcie mi na basetli, jeżeli mi dobrze życzy-  
czycie.

PIERWSZY MUZYKANT,

Dlaczego na basietli?

PIOTR

Bo moja dusza gra teraz na drumli. Zagrajcie mi co smętnie skoczne dla rozweselenia.

PIERWSZY MUZYKANT

Daj nam waść pokój; nie pora teraz do gędźby.

PIOTR

Nie chcecie zatem?

PIERWSZY MUZYKANT

Nie.

PIOTR

Czekajcie, zapłacę wam za to.

PIERWSZY MUZYKANT

Czym takim?

PIOTR

Nie brzęcząca moneta, jak mi Bóg miły! ale bitą moneta; moneta godną rzeźpółów.

PIERWSZY MUZYKANT

To my się waćpanu równą moneta odplacimy; moneta godną lokajów.

PIOTR

Wprzód ja wam lokajską klingą zagram po brzuchu.

DRUGI MUZYKANT

Schowaj waćpan swój rozeń, a wydobądź lepiej swój dowcip.

PIOTR

Strzeżcie się ostrza mego dowcipu, bo was przesyje na wylot. Baczość!

*śpiewa*

Gdy z piersi płynie jęk,  
A serce żal rozkrwawia,  
Muzyki srebrny dźwięk...

Dlaczego srebrny dźwięk? Dlaczego muzyki srebrny dźwięk? Cóż wać na to, mości pry-  
musie gaj do?

PIERWSZY MUZYKANT

Jużci dlatego, że srebro ma dźwięk miły.

PIOTR

Brawo! a wać co na to, mości Klawicymbale?

DRUGI MUZYKANT

Dlatego, sądzę, że muzykanci grają za srebro.

PIOTR

Brawo także! A wać co o tym sądzisz, mości Kaleczyuchu?

TRZECI MUZYKANT

Nie wiem doprawdy, co o tym sądzić.

PIOTR

O, przepraszam, zapomniałem, że jesteś śpiewakiem. No, to ja powiem za ciebie: „Muzyki srebrny dźwięk” mówi się dlatego, że muzykanci rzadko kiedy złoto za muzykę dostają.

*wychodzi śpiewając*

Muzyki srebrny dźwięk  
Natychmiast ulgę sprawia.

PIERWSZY MUZYKANT

Cóż to za bezczelny łotr z tego hultaja!

DRUGI MUZYKANT

Pał go kaci! Zejdźmy tam na dół wmieszać się między orszak żałobny i czekać, rychło co spadnie z półmiska.

*Wychodzą.*



## AKT PIĄTY

### SCENA PIERWSZA

*Mantua. Ulica.  
Wchodzi R o m e o.*

ROMEO

Jeżeli można ufać sennym wróżbom,  
Wkrótce mię czeka jakaś wieść radosna.  
Król mego łona oddycha swobodnie  
I duch mój przez dzień cały niezwyčajnie  
Lekkim nad ziemię wznosi się polotem:  
Śniłem, że moja ukochana przyszła  
I że znalazła mię nieżywym (dziwny  
Sen, co pozwala myśleć umarłemu!),  
Lecz ona swymi pocałowaniem  
Tyle tchu wlała w martwe moje usta,  
Żem nagle odżył i został cesarzem.  
Ach, jakże słodką jest miłość naprawdę,  
Kiedy jej mara taką rozkosz sprawia!

*Wchodzi B a l t a z a r.*

Wieści z Werony! – Cóż tam, Baltazarze?  
Czy mi przynosisz list od Laurentego?  
Co robi Julia? Czy zdrow jest mój ojciec?  
Jak się ma Julia? Po raz drugi pytam.  
Bo nie ma złego, jeśli jej jest dobrze.

BALTAZAR

Wszystko więc dobrze, bo jej już źle nie jest;  
Ciało jej leży w lochach Kapuletów,  
A duch jej gości między aniołami.

Widziałem, jak ją złożono do sklepień,  
I wziąłem pocztę, aby o tym panu  
Donieść czym prędzej. Przebaczone pan, że taką  
Złą wieść przynoszę; wszakże uwiadomić  
Pana o wszystkim byłem w obowiązku.

ROMEO

Maż to być prawdą? Drwię sobie z was, gwiazdy!  
Wszak wiesz, gdzie mieszkam? Przynieś mi papieru  
I atramentu, idź potem na pocztę  
Zamówić konie. Wyjeżdżam tej nocy.

BALTAZAR

Błagam cię, panie, zachowaj cierpliwość;  
Wygładasz blade, ponuro i wzrok twój  
Coś niedobrego zapowiada.

ROMEO

Cicho.

Mylisz się; zostaw mię i zrób, com kazał.  
Czy nie masz listu od księdza?

BALTAZAR

Nie, panie.

ROMEO

Mniejsza mi o to. Idź zamówić konie;  
Wkrótce pospieszę za tobą.

*Wychodzi B a l t a z a r.*

Tak, Julio!

Tej jeszcze nocy spoczne przy twym boku:  
O srodek tylko idzie. O, jak prędko  
Zły zamiar wnika w myśl zropanzonego!  
Gdzieś niedaleko stąd mieszka aptekarz:  
Przed paru dniami widziałem go, pomnę,  
Jak zasępiony, w podartym odzieniu,  
Przebierał zioła; zapadłe miał oczy,  
Ciało od wielkiej nędzy jak wiór wyschłe.  
W nikczemnym jego sklepiku żółt wisiał,  
Wypchany aligator obok szczątków  
Dziwnego kształtu ryb; na jego półkach  
Leżała tu i ówdzie zbieranina  
Próżnych flasz, słoików, zielonych czerepów,  
Pęcherzów, stęchłych nasion; resztki sznurków  
I zapleśniałe kawałki lukrecji.  
Na widok tego pomyślałem sobie:  
Komu by była potrzebna trucizna,  
Której w Mantui sprzedaż gardłem karzą,

Niechajby przyszedł do tego hołysza,  
On by dostarczył mu jej. Myśl ta była,  
Niestety! wróżbą mej potrzeby własnej;  
Sam w niej dziś jestem i tenże sam człowiek  
Z potrzeby będzie musiał jej zaradzić.  
Jeżeli się nie mylę, tu on mieszka;  
Z powodu święta kram jego zamknięty –  
Hej! aptekarzu!

*Wchodzi A p t e k a r z.*

APTEKARZ

Któż to woła takim  
Donośnym głosem?

ROMEO

Zbliż się tu, człowieku,  
Widzę, że jesteś w niezamożnym stanie;  
Weź te czterdzieści dukatów, a daj mi  
Drachmę trucizny takiej, co by mogła  
Po wszystkich żyłach rozejść się od razu  
I nienawistne życie odjąć temu,  
Co jej zażyje; co by tak gwałtownie  
Wygnała oddech z piersi, jak gwałtownie  
Lontem dotknięty proch wypędza pocisk  
Z czeluści działa.

APTEKARZ

Mam ja taki środek;  
Ale w Mantui prawo śmiercią karze  
Każdego, co się waży go udzielić.

ROMEO

Tak bardzo jesteś biedny, tak cię srodze  
Los upośledza i boisz się umrzeć?  
Głód z twych lic, z oczu patrzy niedostatek;  
Łatana nędza wisi na twym grzbiecie;  
Świat ci nie sprzyja ani prawo świata,  
Bo świat nie dajeć prawa być bogatym;  
Drwij więc z praw, przyjm to i przestań być biednym.

APTEKARZ

Ubóstwo, a nie chęć skłania mnie ulec.

ROMEO

Ubóstwo twoje też, nie chęć oplacam.

APTEKARZ

Weź pan to, rozczyn w jakimkolwiek płynie  
I płyn ten wypij, a choćbyś miał siłę  
Dwudziestu ludzi, wnet wyzioniesz ducha!

ROMEO

Oto masz złoto, tę truciznę zgubną  
Dla duszy ludzkiej, która więcej zabójstw  
Na tym obmierzłym świecie dokonywa  
Niż owe marne preparata, których  
Pod karą śmierci sprzedać ci nie wolno.  
Nie ty mnie, ja ci sprzedałem truciznę.  
Bądź zdrow: kup strawy i odziej się w mięso,  
Kordiale, nie trucizno, pójdź mi służyć  
U grobu Julii, bo tam cię mam użyć.

*Rozchodzą się.*

**SCENA DRUGA**

*Cela Ojca Laurentego.  
Ojciec Laurenty sam.*

BRAT JAN *za sceną*

Otwórz, wielbny ojczy franciszkanie.

OJCIEC LAURENTY

Toć nie czyj inny głos jak brata Jana.

*otwiera drzwi*

Witaj z Mantui! Cóż Romeo? maszli  
Ustną odpowiedz jego czy na piśmie?

*Wchodzi Brat Jan.*

BRAT JAN

Kiedy za jednym bosym zakonnikiem  
Naszej reguły, który miał iść ze mną  
I był przy chorym, poszedłem na miasto  
I jużem znalazł go, miejscy pacholcy  
Podejrzewając, żeśmy byli w domu  
Tkniętym zarazą, opiekętowali  
Drzwi i nie chcieli nas puścić na zewnątrz.  
Nie mogłem się więc udać do Mantui.

OJCIEC LAURENTY

Któż tedy zaniósł mój list do Romea?

BRAT JAN

Nikt go nie zaniósł – oto jest; nie mogłem  
Ani go posłać do Mantui, ani  
Wam go odesłać, tak nas pilnowano.

OJCIEC LAURENTY

Nieszczęsny trafie! ten list był tak ważny!  
Niedoręczenie go może fatalne  
Skutki sprowadzić. Biegnij, Bracie Janie;  
Postaraj no się gdzie o drąg żelazny  
I tu go przynieś.

BRAT JAN

Natychmiast przyniosę.

OJCIEC LAURENTY

Muszę czym prędzej spieszyć do grobowca.  
W ciągu trzech godzin Julia się przebudzi.  
Gniewać się na mnie będzie, żem Romea  
Nie uwiadomił o tym, co się stało;  
Ale napiszę do niego raz jeszcze  
I tu ją skryję do jego przybycia.  
Biedny ty prochu: w grobie już za życia!

*Wychodzi.*

### SCENA TRZECIA

*Cmentarz, na nim grobowiec rodziny Kapuletów.  
Wchodzi P a r y s z P a z i e m, niosącym kwiaty i pochodnie.*

PARYS

Daj mi pochodnię, chłopcze, i idź z Bogiem,  
Lub zgaś ją, nie chcę, żeby mię widziano.  
Idź się położyć owdzie pod cisami  
I ucho przyłóż do ziemi, a skoro  
Usłyszysz czyje kroki na cmentarzu,  
Którego ryty grunt łatwo je zdradzi,  
Wtedy zagwizdnij na znak, że ktoś idzie.  
Daj mi te kwiaty. Idź, zrób, jakem kazał.

PAŻ

Straszno mi będzie pozostać samemu  
Wśród cmentarza; jednakże spróbuję.

*Oddala się.*

PARYS

Drogi mój kwiecie, kwieciem posypuję  
Twe oblubieńcze łożo. Baldachimem  
Twym są, niestety, głązy i proch marny,  
Które ożywczą wodą co noc zroszę  
Lub, gdy jej braknie, łzami mej rozpaczę.  
I tak co nocy na twoją mogiłę  
Kwiat będę sypał i gorzkie łzy ronił.

*P a ź gwizdże.*

Chłopiec mój daje hasło; ktoś się zbliża.  
Czyjaż to stopa śmie nocą tu zmierzać  
I ten żałobny mój przerywać obrzęd?  
Z pochodnią nawet! Odstąpmy na chwilę.

*Oddala się.*

*Wchodzi R o m e o i B a l t a z a r z pochodnią,  
oskardem itp.*

ROMEO

Podaj mi oskard i drag. Weź to pismo;  
Oddasz je memu ojcu jak najraniej.  
Daj no pochodnię. Co bądź tu usłyszysz  
Albo zobaczysz, pamiętaj, jeżeli  
Miłe ci życie, pozostać z daleka  
I nie przerywać biegu mej czynności.  
W to łożo śmierci wejść chcę częścią po to,  
Aby zobaczyć tę, co w nim spoczywa,  
Lecz głównie po to, aby zdjąć z jej palca  
Szacowny pierścień, który mi do czegoś  
Ważnego nieodbicie jest potrzebny.  
Idź więc, zastosuj się do moich życzeń.  
Gdybyś zaś płochą zdjęty ciekawością,  
Wrócił podglądać dalsze moje kroki,  
Na Boga, wszystkie kości bym ci roztrząsał  
I posiał nimi ten niesyty cmentarz.  
Umysł mój dziko jest usposobiony,  
Niepowstrzymaniej i nieubłaganiej  
Niż głodny tygrys lub wzburzone morze.

BALTAZAR

Odejdę, panie, i będę posłuszny.

ROMEO

Okazesz mi tym przyjaźń. Weź ten worek,  
Pocziwy chłopcze, bądź zdrow i szczęśliwy.

BALTAZAR *na stronie*

Bądź jak bądź, stanę tu gdzie na uboczu,  
Bo mu zły jakiś zamiar patrzy z oczu.

*Oddala się.*

ROMEO

Czarna pieczaro, o! ty wewnątrz śmierci,  
Tuczne najdroższym na tej ziemi szczątkiem,  
Otwórz mi swoją zardzewiałą paszczę,  
A ja ci nową żertwę rzucę za to.

*Odbija drzwi grobowca.*

PARYS

To ten wygnany, zuchwały Monteki,  
Co zamordował Tybalta, po którym  
Żal, jak mniemają, sprowadził śmierć Julii;  
I on tu przyszedł knuć jeszcze zamachy  
Przeciw umarłym; muszę go przytrzymać.

*postępuje naprzód*

Spuść świętokradzką dłoń, niecny Monteki!  
Możesz się zemsta aż za grób rozciągać?  
Skazany zbrodniu, aresztuję ciebie;  
Bądź mi posłuszny i pójdź; musisz umrzeć.

ROMEO

Muszę, zaprawdę, i po tom tu przyszedł.  
Młodzieńcze, nie drażń człowieka w rozpacz;  
Zostaw mię, odejdz; pomyśl o tych zmarłych  
I zadrzyj. Błagam cię na wszystkie względy,  
Nie wal nowego grzechu na mą głowę,  
Przyprowadzając mię do pasji; odejdz!  
Na Boga, życzę ci lepiej niż sobie;  
Bom ja tu przyszedł przeciw sobie zbrojny.  
O! odejdz, odejdz! żyj i powiedz potem:  
„Z łaski szaleńca cieszę się żywotem.”

PARYS

Za nic mam wszelkie twoje przełożenia  
I aresztuję cię jako złoczyńcę.

ROMEO

Wyzywasz moją wściekłość, broń się zatem.

*Walczą.*

PAŹ

O nieba! biją się, biegnę po wartę.

*Wychodzi.*

PARYS *padając*

Zabity jestem. O, jeśli masz litość,  
Otwórz grobowiec i złoż mię przy Julii.

*Umiera.*

ROMEO

Stanieć się zadość. Lecz któż to jest taki?  
To hrabia Parys, Merkucja plemiennik!  
Cóż to mi w drodze prawil mój służący?  
Lecz wtedy moja nieprzytomna dusza  
Uwagi na to nie zwróciła; Parys,  
Mówił, podobno miał zaślubić Julię.  
Czy on to mówił? czy mi się to śniło?  
Czyli też jestem w obłąkaniu myśląc,  
Że jego wzmianka o Julii tak brzmiała?  
Daj mi uścisnąć twą dłoń, o ty, w jedną  
Księgę niedoli ze mną zapisany!  
Złożę twe zwłoki w tryumfalnym grobie.  
W grobie? nie, młoda ofiario, nie w grobie,  
W latarni raczej, bo tu Julia leży;  
A blask jej wdzięków zmienia to sklepienie  
W przybytek światła. Spoczywaj w pokoju,  
Trupie, rękami trupa pogrzebiony!

*składa ciało P a r y s a w grobowcu*

Mówią, że nieraz ludzie bliscy śmierci  
Miewali chwile wesołe; ich stróże  
Zwą to ostatnim przedśmiertnym wyblyskiem;  
Coś podobnego i u mnież się zdarza?  
Julio! kochanko moja! moja zono!  
Śmierć, co wyssała miód twojego tchnienia,  
Wdzięków twych zatrzeć nie zdołała jeszcze.  
Nie jesteś jeszcze zwyciężoną: karmin,  
Ten sztandar wdzięków, nie przestał powiewać  
Na twoich licach i bladej swej flagi  
Zniszczenie na nich jeszcze nie zatknęło.  
Tybalcie, tyż to śpisz pod tym całunem?  
Mogęż czym lepszym zadość ci uczynić,  
Jak że tą ręką, co zabiła ciebie,  
Przetnę dni tego, co był twoim wrogiem?  
Przebacz mi, przebacz, Tybalcie! Ach, Julio!  
Jakżeś ty jeszcze piękna! Mamże myśleć,  
Że bezcielesna nawet śmierć ulega  
Wpływowi miłości? że chudy ten potwór  
W ciemnicy tej cię trzyma jak kochankę?  
Bojąc się tego, zostanę przy tobie



I nigdy, nigdy już nie wyjdę z tego  
Pałacu nocy; tu, tu mieszkać będę  
Pośród twojego orszaku – robactwa.  
Tu sobie stałą założę siedzibę,  
Gdy z tego ciała znużonego światem  
Otrząsnę jarzmo gwiazd zawistnych. Oczy,  
Spójrzycie po raz ostatni! ramiona,  
Po raz ostatni zegnijcie się w uścisk!  
A wy, podwoje tchu, zapieczętujcie  
Pocałowaniem akt sojuszu z śmiercią  
Na wieczne czasy mający się zawrzeć!  
Pójdź, ty niesmaczny, cierpki przewodniku!  
Błady sterniku, pójdź rzucić o skały  
Falami życia skołatana łódkę!  
Do ciebie, Julio!

*pije*

Walny aptekarzu!  
Płyn twój skutkuje: całując – umieram.

*Umiera.*

*Wchodzi Ojciec Laurenty z przeciwnej strony cmentarza,  
z latarnią, drągiem żelaznym i rydlem.*

OJCIEC LAURENTY

Święty Franciszku, wspieraj mię! Jak często  
O takiej porze stare moje stopy  
O głazy grobów potraçały! Kto tu?

BALTAZAR

Przyjacielu, który was dobrze zna, ojczu.

OJCIEC LAURENTY

Bóg z tobą! Powiedz mi, mój przyjacielu,  
Co znaczy owa pochodnia świecąca  
Chyba robakom i bezocznym czaszkom?  
Nie tlejeż ona w grobach Kapuletów?

BALTAZAR

Tam właśnie; jest tam i mój pan, któremu  
Sprzyjacie, ojczu.

OJCIEC LAURENTY

Kto taki?

BALTAZAR

Romeo.

OJCIEC LAURENTY

Jak dawno on tam jest?!

BALTAZAR

Od pół godziny.

OJCIEC LAURENTY

Pójdź ze mną, bracie, do tych sklepień.

BALTAZAR

Nie śmiem;

Bo mi pan kazał odejść i straszliwie  
Zagroził śmiercią, jeśli tu zostanę  
I kroki jego ważę się podglądać.

OJCIEC LAURENTY

Zostań więc, ja sam pójdę. Drzę z obawy,  
Czy się nie stało co nieszczęśliwego.

BALTAZAR

Gdym drzymał, leżąc owdzie pod cisami,  
Marzyło mi się, że mój pan z kimś walczył  
I że pokonał tamtego.

OJCIEC LAURENTY *postępując naprzód*

Romeo!

Na miłość boską, czyjaż to krew broczy  
Kamienne wnijście do tego grobowca?  
Czyjeż to miecze samopas rzucone  
Leżą u tego siedliska pokoju?

*wchodzi do grobowca*

Romeo! blady! – Parys! i on także!  
I krwią zalany? Ach! cóż za fatalność  
Tak oplakany zrządziła wypadek! –  
Julia się budzi.

JULIA *budząc się i podnosząc*

O pocieszycielu!

Gdzie mój kochanek? Wiem, gdzie być powinnam  
I tam też jestem; lecz gdzie mój Romeo?

*Hałas za sceną.*

OJCIEC LAURENTY

Cóż to za hałas? Julio, wyjdźmy z tego  
Mieszkania śmierci, zgrozy i zniszczenia.  
Potęga, której nikt z nas się nie oprze,  
Wniwecz zamiary nasze obróciła.

Pójdź; twój mąż leży martwy obok ciebie  
I Parys także. Pójdź; pójdź, zaprowadzę  
Do monasteru świętych sióstr zakonnych.  
Nie zwłócz, nie pytaj, bo warta nadchodzi.  
Pójdź, biedna Julio!

*Znowu hałas.*

Nie mogę już czekać.  
*Wychodzi.*

JULIA

Idź z Bogiem, starcze; idź, ja tu zostanę.  
Cóż to jest? Czara w zaciśniętej dłoni  
Mego kochanka? Truciznę więc zażył!  
O skapiec! Wypił wszystko; ani kropli  
Nie pozostawił dla mnie! Przytknę usta  
Do twych kochanych ust, może tam jeszcze  
Znajdzie się jaka odrobina jadu,  
Co mię zabije w upojeniu błogim.

*całuje go*

Twe usta ciepłe.

DOWÓDCA WARTY *za sceną*

Gdzie to? pokaż, chłopcze,

JULIA

Idą, czas kończyć.

*chwytając sztylet R o m e a*

Zbawczy puginale!

Tu twoja pochwa.

*przebija się*

Tkwij w tym futerale.

*Pada na ciało R o m e a i umiera.*

*Wchodzi warta z P a z i e m P a r y s a.*

PAŹ

Tu, tu, w tym miejscu, gdzie płonie pochodnia.

DOWÓDCA WARTY

Ziemia zbroczona: obejdźcie w krąg cmentarz  
I przytrzymajcie, kogo napotkacie.

*Wychodzi kilku ludzi z warty.*

Smutny widoku! tu hrabia zabity,  
Tu Julia we krwi pływa, jeszcze ciepła,

Tylko co zmarła; ona, co przed dwoma  
Dniami w tym grobie była pochowana.  
Idźcie powiedziec o tym księciu; śpieszcie,  
Wy do Montekich, wy do Kapuletów,  
A wy odbądźcie przegląd w innej stronie.

*Wychodzi kilku innych wartowników.*

Widzimy miejsce, gdzie zaszła tu zgroza,  
Lecz w jaki ona sposób miała miejsce,  
Tego nie możemy pojąć bez objaśnień.

*Wchodzi kilku innych wartowników z B a l t a z a r e m.*

PIERWSZY WARTOWNIK

Oto Romea sługa, znaleźliśmy  
Go na cmentarzu.

DOWÓDCA

Niech będzie pod strażą,  
Dopóki księżę nie nadejdzie.

*Wchodzi kilku innych wartowników,  
prowadząc Ojca Laurentego.*

DRUGI WARTOWNIK

Oto mnich jakiś drżący i płaczący;  
Odebraliśmy mu ten drąg i rydel,  
Kiedy się bokiem cmentarza wykradał.

DOWÓDCA

To jakiś ptaszek; trzymajcie go także.

*Wchodzi K s i a ż ę ze swym orszakiem.*

KSIĄŻĘ

Co za nieszczęście o tak ранней porze  
Sen nasz przerwało i aż tu nas wzywa?

*Wchodzi K a p u l e t, P a n i K a p u l e t i inne osoby.*

KAPULET

Jakiż być może powód tego zgiełku?

PANI KAPULET

Lud po ulicach wykrzykuje: „Julia!  
Parys! Romeo!”, i jedni przez drugich  
Tłumnie tu dążą do naszego grobu.

KSIAŻĘ

Cóż to za postrach rozruch ten sprowadza?!  
Odpowiadajcie!

DOWÓDCA

Miłościwy panie!  
Oto zabity leży hrabia Parys!  
Romeo martwy i Julia, wprzód zmarła,  
A teraz ciepła z puginałem w piersi.

KSIAŻĘ

Szukajcie, śledźcie sprawców tego mordu.

DOWÓDCA

Oto mnich jakiś i Romea sługa,  
Których tu moi ludzie przytrzymali  
I którzy mieli przy sobie narzędzia  
Do odbijania grobów.

KAPULET

O nieba! żono, patrz, jak ją krew broczy!  
Puginał zbłądził z drogi; oto bowiem  
Pochwa od niego wisi przy Montekim;  
Zamiast w nią trafić, trafił w pierś mej córki.

PANI KAPULET

Niestety! widok ten, jak odgłos dzwonu,  
Ostrzega starość mą o chwili zgonu.

*Wchodzi Monteki i inne osoby.*

KSIAŻĘ

Monteki, wczesnie wstałeś, aby ujrzeć  
Nadziei swoich wcześniejszy upadek!

MONTEKI

Ach! miłościwy księżę, żona moja  
Zmarła tej nocy z tęsknoty za synem;  
Jakiż cios jeszcze niebo mi przeznaczać

KSIAŻĘ

Patrz, a zobaczysz!

MONTEKI

O niedobry synu!  
Jak się ważyłeś w grób uprzedzić ojca?

KSIAŻĘ

Zamknijcie usta żalowi na chwilę,  
Póki zagadki tej nie rozwiążemy

I nie zbadamy jej źródła i wątku;  
Wtedy sam stanę na skarg waszych czele  
I będę waszej boleści heraldem  
Do samej śmierci. Proszę was o spokój  
I niech ulegnie zły los cierpliwości.  
Stawcie, na kogo pada podejrzenie.

OJCIEC LAURENTY

Ja to, o panie! lubo najmniej zdolny  
Do popełnienia czegoś podobnego,  
Jestem, ze względu na okoliczności,  
Poszlakowany najprawdopodobniej  
O dzieło tego okropnego mordu.  
Staję więc jako własny oskarżyciel  
I jako własny obrońca w tej sprawie,  
By się potępić i usprawiedliwić.

KSIĄŻĘ

Mów, czegoś świadom.

OJCIEC LAURENTY

Zwięźle rzecz opowiem,

Bo tchnień mych pasmo krótsze jest zaiste  
Niż długa powieść. Romeo, którego  
Zwłoki tu leżą, był małżonkiem Julii,  
A Julia była prawą jego żoną;  
Jam ich zaślubił, a dniem tajemnego  
Ich połączenia był ów dzień nieszczęsnej  
Tybalta śmierci, która nowożeńca  
Wygnała z miasta; i ten to był powód  
Cierpienia Julii, nie żal po Tybalcie.

*do Kapuletów*

Wy, chcąc oddalić od niej chmury smutku,  
Zareczyliście ją i do małżeństwa  
Z hrabią Parysem chcieliście ją zmusić.  
W tej alternacie przyszła ona do mnie  
I nalegała usilnymi prośby  
O doradzenie jej jakiego środka,  
Co by od tego powtórnego związku  
Mógł ją uwolnić; w przeciwnym zaś razie  
Chciała w mej celi życie sobie odjąć.  
Dałem jej tedy, ufny w mojej sztuce,  
Usypiające krople, których skutek  
Bynajmniej mię nie zawiódł, bo jej nadał  
Pozór umarłej. Napisałem przy tym  
List do Romea, wzywając go, aby  
Dzisiejszej nocy, o tej porze, w której  
Działanie owych kropel miało ustać,

Zszedł się tu ze mną dla wyswobodzenia  
Tej, co mu dała taki dowód wiary,  
Z tymczasowego jej grobu. Traf zrządził,  
Że brat Jan, który z listem był wysłany,  
Nie mógł się z miasta wydostać i wczoraj  
List ten mi zwrócił. O godzinie zatem  
Na jej ocknienie ściśle naznaczonej  
Sam pospieszyłem wyrwać ją z tych sklepień,  
Chcąc ją następnie umieścić w mej celi,  
Póki Romeo nie przybędzie; ale  
Kiedym tu przyszedł (na niewiele minut  
Przed jej zbudzeniem), już szlachetny Parys  
Leżał bez duszy i Romeo także.  
Ona się budzi, jam się jął przekładać,  
By poszła ze mną i to dopuszczenie  
Nieba przyjęła z korną uległością,  
Gdy wtem zgiełk nagły spłoszył mię od grobu,  
A ona, głucha na moje namowy,  
Rozpaczą zdjęta, pozostała w miejscu  
I, jak się zdaje, cios zadała sobie.  
Oto jest wszystko, co wiem; o małżeństwie  
Marta zaświadczy. Jeśli to nieszczęście  
Choć najmniej z mojej nastąpiło winy,  
Niech mój sędziwy wiek odpowie za to  
Na kilka godzin przed bliskim już kresem  
Wedle rygoru praw jak najsurowszych.

KSIAŻĘ

Jako mąż święty zawsze nam był znany.  
Gdzie jest Romea sługa? Cóż on powie?

BALTAZAR

Zaniósłem panu wieść o śmierci Julii;  
Wraz on wziął pocztę i z Mantui przybył  
Prosto w to miejsce, do tego grobowca.  
Ten list mi kazał rano oddać ojcu;  
I w grób wstępując zagroził mi śmiercią,  
Jeśli nie pójdę precz lub nazad wrócę.

KSIAŻĘ

Daj mi to pismo, przejrzę je – a teraz,  
Gdzie paż hrabiego, co wartę sprowadził?  
Co twój pan, chłopcze, porabiał w tym miejscu?

PAŻ

Przyszedł kwiatami ubrać grób swej przyszelej;  
Kazał mi stanąć z dala, com też zrobił;  
Wtem ktoś ze światłem przyszedł grób otwierać  
I mój pan dobył szpady przeciw niemu;  
Co zobaczywszy, pobiegłem po wartę.

#### KSIAŻĘ

List ten potwierdza słowa zakonnika,  
Bieg ich miłości i Romea rozpacz.  
Biedny młodzieniec pisze oprócz tego,  
Że sobie kupił gdzieś u aptekarza  
Trucizny, którą postanowił zażyć  
W tym tu grobowcu, by umrzeć przy Julii.  
Rzecz jasna! Gdzie są ci nieprzyjaciele?  
Patrzcie, Monteki! Kapulecie! jaka  
Chłosta spotyka wasze nienawiści,  
Niebo obrało miłość za narzędzie  
Zabicia pociech waszego żywota;  
I ja za moje zbytne pobłażanie  
Waszym niesnaskom straciłem dwóch krewnych.  
Wszyscy jesteśmy ukarani.

#### KAPULET

Monteki, bracie mój, podaj mi rękę:  
Niech to oprawa<sup>8</sup> będzie dla mej córki;  
Więcej nie mogę żądać.

#### MONTEKI

Lecz ja mogę

Więcej dać tobie nad to: każę bowiem  
Posąg jej ułać ze szczerego złota,  
By się nie znalazł szacowniejszy pomnik  
Po wszystkie czasy istnienia Werony  
Jak ten, pamięci Julii poświęcony.

#### KAPULET

Tak i Romeo stanie przy swej żonie;  
Dzieląc za życia, złączmy ich po zgonie.

#### KSIAŻĘ

Chodźmy stąd, by pomówić O tych smutkach,  
Jednym wybaczę, a drugich ukarzę,  
Ponurą zgodę ranek ten skojarzył;  
Słońce się z żalu w chmur zasłonę tuli;  
Smutniejszej bowiem los jeszcze nie zdarzył ,  
Jak ta historia Romea i Julii.

*Wychodzą.*

---

<sup>8</sup> tj. posagiem



# **M A K B E T**

Przełożył  
**JÓZEF PASZKOWSKI**

## OSOBY

Dunkan – król szkocki  
Malkolm i Donalbein – jego synowie  
Makbet i Banko – wodzowie  
Makduf, Lennox, Rosse, Menteth, Angus, Caithness – panowie szkoccy  
Fleance – syn Banka  
Siward – hrabia Northumberland, dowódca wojsk angielskich  
Młody Siward – jego syn  
Sejton – oficer pod rozkazami Makbeta  
Chłopiec – syn Makdufa  
Lekarz angielski  
Lekarz szkocki  
Żołnierz  
Odźwierny  
Starzec  
Lady Makbet  
Lady Makduf  
Dama – na usługach Lady Makbet  
Hekate i Trzy Czarownice  
Lordowie, panowie, dowódcy wojsk, żołnierze, zbójcy, słudzy i gońcy. Duch Banka i wiele innych zjawisk.

*Rzecz dzieje się przy końcu czwartego aktu w Anglii, przez wszystkie inne – w Szkocji.*

## AKT PIERWSZY

### SCENA PIERWSZA

*Pusta okolica.  
Grzmoty i błyskawice. Trzy czarownice wchodzi*

PIERWSZA CZAROWNICA

Rychło się zejdzem znów przy blasku  
Błyskawic i piorunów trzasku?

DRUGA CZAROWNICA

Gdy bitwa owdzie wrząca  
Dociągnie się do końca.

TRZECIA CZAROWNICA

Więc przed zachodem słońca,

PIERWSZA CZAROWNICA

Gdzież schadzka?

DRUGA CZAROWNICA

Jak ten chrust  
Na wrzosach.

TRZECIA CZAROWNICA

Tam Makbet z naszych ust  
Dowie się o swych losach.

PIERWSZA CZAROWNICA

Słyszę głos arcywiedźmy.

WSZYSTKIE TRZY

Ropucha skrzeczy. Jedźmy!  
Szpetność upięknia, piękność szpeci;  
Nuże przez mgły i par zamieci!

*Znikają.*

## SCENA DRUGA

*Obóz pod Forres.*

*Wojenna wrzawa za sceną. Król Dunkan, Malkolm,  
Donalbein, Lennox z orszakiem wchodzi  
i spotykają ранnego Żołnierza.*

DUNKAN

Cóż to za człowiek krwią zbroczony? Wnosząc  
Z jego ran, będzie on mógł nam udzielić  
Najświeższą wieść o bitwie.

MALKOLM

Jest to mężny  
Wojownik, panie, którego odwadze  
Winienem wolność. Witaj, przyjacielu!  
Powiedz królowi, jaki był los bitwy,  
Kiedyś jej pole opuszczał.

ŻOŁNIERZ

Wątpliwy,  
Jak los dwóch burzą miotanych pływaków.  
Którzy o siebie zwarci wysilają  
Całą swą sztukę. Okrutny Makdonwald  
(Godzien haniebnej nazwy buntownika,  
Bo go natura mnóstwem wszelkich złości  
Uposażyla), wsparty posiłkami  
Kemów z zachodnich wysp i gallogłasów.  
Brał już nad nami górę i fortuna,  
Jak nierządnicą, zdała się uśmiechać  
Przeklętej jego sprawie: gdy wtem Makbet,  
Dzielny nasz Makbet, gardząc szalą szczęścia,  
Mieczem, dymiącym się krwią jak kadzidłem,  
Torując sobie drogę wśród zastępów,  
Przedarł się aż do zdrajcy i dopóty  
Nieubłagane zadawał mu cięcia,  
Aż go rozrąbał od czaszki do szczęki  
I głowę jego zatknął u blank naszych.

DUNKAN

O zacy mezu, waleczny Makbecie!

ŻOŁNIERZ

Jak gdy ze wschodu, skąd słońce zabłysło,  
Wypada burza brzemienią gromami,  
Tak z radosnego nam przed chwilą źródła  
Wynikła nagle bieda. Uważ, królu:  
Zaledwie słusność, uzbrojona męstwem,

Zmusiła nędznych kemów do ucieczka.  
Aliści szczęścia próbując na nowo,  
Wzmocniony świeżym ludem i rynsztunkiem,  
Natarł norweski władca.

DUNKAN

Nie strwożyłoż  
To naszych wodzów, Makbeta i Banka?

ŻOŁNIERZ

Jak wróble orła albo lwa zające.  
Zaprawdę, zdało się, że to dwa działa  
Podwójnie ostrym ładunkiem nabite.  
Z tak podwojoną uderzyli siłą  
Na nieprzyjaciół. Czy chcieli się skąpać  
W gorących ranach, czy też upamiętnić  
Drugą Golgotę, tego już nie umiem  
Powiedzieć. Siły już mnie opuszczają  
I rany moje wzywają pomocy.

DUNKAN

Zdobią cię one tak samo jak wieści,  
Które przyniosłeś: jak jedne, tak drugie  
Tchną chwałą. Niech go opatrzą lekarze.

*Ż o ł n i e r z w s p a r t y n a r a m i e n i u d w ó c h i n n y c h w y c h o d z i .  
W c h o d z i R o s s e .*

Któż się to zbliża?

MALKOLM

Szlachetny tan Rosse.

LENNOX

Skwapliwy pośpiech widać w jego oczach.  
Kto tak wygląda, ten bywa zwiastunem  
Niezwykłych rzeczy.

ROSSE

Niech Bóg chroni króla!

DUNKAN

Witaj, szlachetny tanie! skąd przybywasz?

ROSSE

Z Fajf, miłościwy królu, gdzie norweski  
Sztandar przed naszym pochylony wieje  
I chłodzi nasze wojska. Dumny Norweg,  
Sam przez się silny, a do tego jeszcze  
Wsparty przez tego nikczemnego zdrajcę

Tana Kawdoru, srogi bój rozpoczął –  
Gdy wtem Bellony szczęśny oblubieniec,  
Makbet, okryty zbroją, jako skała  
Stanął przeciwko niemu i samowtór  
Ramię z ramieniem, ostrze z ostrzem starszy,  
Ukrócił hardy jego umysł: słowem,  
Zwycięstwo przy nas.

DUNKAN

Szczęśny dniu!

ROSSE

Król Sweno

Prosi o pokój i nie wprzód mu wolno  
Pogrzebać ludzi poległych w tej bitwie,  
Aż nam do skarbcza na wyspie Sankt Kolmes  
Dziesięć tysięcy dolarów wypłaci.

DUNKAN

Nie będzie mi już bruździł ten tan Kawdor;  
Już zdradom jego naznaczona meta.  
Idź mu śmierć obwieść, tanie, i Makbeta  
Powitaj jego mianem.

ROSSE

Śpieszę panie.

DUNKAN

Co on utracił, to Makbet dostanie.

*Wychodzą wszyscy.*

### SCENA TRZECIA

*Dzika okolica.*

*Grzmi. Wchodzą Trzy czarownice.*

PIERWSZA CZAROWNICA

Gdzieś była, siostrze?

DRUGA CZAROWNICA

Wieprzem rznąła.

TRZECIA CZAROWNICA

A ty gdzie? Opisz swoje dzieła.

#### PIERWSZA CZAROWNICA

Żona jednego kupca wełny  
Kasztanów miała rańtuch pełny  
I złote łuszczyła z nich jądro.  
„Daj mi je”, rzekłam, a ta kukła  
Ze wzdardą na mnie fukła:  
„Precz, stary czopie, precz, ty flądrow!”  
Poczekaj no, pomyślałam, ptaszku,  
Pokażę ja ci, czym ja czop!  
Mąż jej popłynął do Damaszku,  
Na sicie śmignę za nim w trop  
I w spodzie okrętu skurczona  
Przycupnę jak szczur bez ogona;  
Za babę odpowie mi chłop.

#### DRUGA CZAROWNICA

Mój wiatr ci dam.

#### TRZECIA CZAROWNICA

I ja mój dam.

#### PIERWSZA CZAROWNICA

Dziękuję wam.  
W mocy mej wszystkie inne mam;  
Wszystkie porty, gdzie szaleją,  
I przeciagi, kędy wieją  
Zmienną róży swej koleją;  
Kłuc go będę, szczypać, dręczyć,  
Cherlać musi i kawęczyć;  
Snu nie znajdzie w noc i we dnie.  
Przez dni siedm, siedm razy siedm  
Pastwą będzie wraźych wiedm;  
A jeżeli z burz nawaly  
Okręt jego ma wyjść cały,  
Trzeba, by go wichrów szaly  
Tego pierwej skołatały.  
Patrzcie, co to ja mam.

#### DRUGA CZAROWNICA

Pokaż nam.  
Jakiś skóry kawalec.

#### PIERWSZA CZAROWNICA

Sternika to jest palec,  
Którego orkan mój pomacał,  
Kiedy do domu wracał.

#### TRZECIA CZAROWNICA

Trąba brzmi, puzon dmie:  
Makbet, Makbet zbliża się.

## WSZYSTKIE TRZY

Dalej, dalej, siostry wiedźmy,  
Czarodziejski krąg zawieźmy  
Ot tak, ot tak, ot tak;  
Trzykroć tak i trzykroć wspak,  
Trzykroć jeszcze do dziewięciu:  
Pst! – już po zaklęciu.

*Wchodzą Makbet z Banko.*

## MAKBET

Tak ponurego dnia i tak pięknego,  
Jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałem.

## BANKO

Dalekoż jeszcze Forres? Ale któż są  
Te tam postacie wywiędłe i szpetne?  
Nie zdają się mieć nic wspólnego z ziemią,  
Są jednak: na niej. Żyweż wy jesteście?  
Zdolne na ludzką mowę odpowiedzieć?  
Zdawałoby się, że mnie rozumiecie,  
Bo wszystkie razem chude swoje palce  
Do ust zapadłych przykładacie. Pozór  
Niewieści macie, ale wasze brody  
Nie pozwalają mi w tę pleć uwierzyć.

## MAKBET

Jeśli możecie, mówcie – kto jesteście?

## PIERWSZA CZAROWNICA

Cześć ci, Makbecie! Cześć ci, tanie Glamis!

## DRUGA CZAROWNICA

Cześć ci, Makbecie! Cześć ci, tanie Kawdor!

## TRZECIA CZAROWNICA

Cześć ci, Makbecie! Przyszły królu, cześć ci!

## BANKO

Czego się wzdrygasz, zacny przyjacielu?  
Zdajesz się jakby przerażony wróżbą  
Tak mile brzmiącą? W imię prawdy! mówcie:  
Czyście wy tylko łudzącymi mary,  
Czy rzeczywiście tym, czym się rzekomo .  
Jawicie oku? Szlachetnego mego  
Współtowarzysza broni pozdrawiacie  
Rzędem tytułów, przechodzących wszelkie  
Jego nadzieje, mnie nic nie mówicie.  
Jeśli, świadome siejby czasu, wiecie,



Które się ziarno udać ma, a które  
Zmarnieć, żadnego nie wydawszy plonu,  
Przemówcie do mnie, który ani stoję  
O wasze względy, ani się niełaski  
Waszej obawiam,

CZAROWNICE

Cześć ci, Banko, cześć!

PIERWSZA CZAROWNICA

Mniej wielkim będziesz niż Makbet, a większym.

DRUGA CZAROWNICA

Nie tak szczęśliwym, a przecie szczęśliwszym.

TRZECIA CZAROWNICA

Nie będąc królem, królów płodzić będziesz:  
Cześć wam więc obu, Makbecie i Banko!

PIERWSZA CZAROWNICA

Makbecie, Banko, cześć wam!

DRUGA CZAROWNICA

Cześć wam!

TRZECIA CZAROWNICA

Cześć wam!

MAKBET

Ciemne Sybille, więcej mi powiedzcie!  
Przez śmierć Sinela jestem tanem Glamis,  
O tym wiem; ale skądże tanem Kawdor?  
Tan Kawdor żyje w szczęściu i dostatku.  
Królem zaś zostać jest to dla mnie rzeczą  
Mniej jeszcze mieścić się mogącą w sferze  
Prawdopodobieństw niż być tanem Kawdor,  
Mówcie, skąd macie tę dziwną wiadomość?  
I w jakim celu nas tu na tych wrzosach  
Zatrzymujecie tak dziwnym proroctwem?  
Odpowiadajcie, rozkazuję wam.

*Cz a r o w n i c e z n i k a j ą .*

BANKO

Ziemia wydaje bańki tak jak woda:  
Mieliśmy próbę ich. Gdzież one przysły?

MAKBET

W powietrze. Co się zdawało cielesne,  
To się rozwiało jako z wiatrem oddech,

Gdyby się były jedną chwilę dłużej  
Wstrzymały!

BANKO

Powiedz mi, czy rzeczywiście  
Było tu coś takiego, o czym mówim,  
Czy też, nie wiedząc o tym, spożyliśmy  
Owej niezdrowej rośliny, od której  
Zmysły durzeją?

MAKBET

Masz być ojcem królów.

BANKO

A ty sam królem.

MAKBET

I tanem Kawdoru.  
Nie także brzmiało to, cośmy słyszeli?

BANKO

Tak, co do joty. Któż to ku nam zdąża?

*Wchodzą Rosse i Angus.*

ROSSE

Król się z najwyższą radością dowiedział  
O tym podwójnym zwycięstwie, Makbecie.  
Kiedy mu twoje osobiste starcie  
Z wodzem powstańczych wojsk opisywano,  
Zdumienie wiodło w nim spór z uwielbieniem  
I usta jego sypały pochwały;  
Lecz słów mu na nie zbrakło, gdy usłyszał,  
Jakoś to jeszcze w tym samym dniu, niczym  
Nieustraszony, bo nawet widokiem  
Własnego dzieła, na pobojuwisku  
Rozbił norweskie hufce. Lotem ptaka  
Szła wieść za wieścią, a każdy jej goniec  
Podnosił twoje zasługi w obronie  
Praw majestatu i dodawał wątku  
Do chwały twego imienia.

ANGUS

Jesteśmy  
Przysłani, wodzu, żeby ci oznajmić  
Królewskie dzięki, żeby cię przed króla  
Powieść oblicze, nie żeby wypłacić  
Dług waleczności twojej przynależny.

ROSSE

Na wstęp do większych zaszczytów, Makbecie,  
Jakieć czekają, kazał mi król ciebie  
Powitać tanem Kawdoru.  
Cześć ci więc pod tym tytułem, cny tanie,  
Bo od tej pory on jest twoim.

BANKO *do siebie*

Przebóg!

Więc szatan mówi prawdę?

MAKBET.

Kawdor żyje,

Dlaczegoż w cudze szaty mnie stroicie?

ROSSE

Ten, co tę nazwę nosił, żyje jeszcze;  
Ale na życiu, którego niegodzien,  
Surowy cięży wyrok! Czy on w znowie  
Był z Norweńczykiem, czy skrytą pomocą  
Wspierał przywódcę buntu, czy nareszcie  
Knuł z obydwoma zamach na kraj własny,  
Tego ja nie wiem, tylko wiem, że zdrada  
Stanu, wyznana i udowodniona,  
Upadku jego stała się przyczyną.

MAKBET *do siebie*

Glamis i Kawdor! Najważniejszej jeszcze  
Brakuje rzeczy.

*głośno*

Dzięki wam, panowie;

*na stronie do B a n k a*

Wątpiszże widzieć twe dzieci królami,  
Gdy ci te same usta to przyrzekły,  
Które nazwały mnie tanem Kawdoru?

BANKO *podobnie do niego*

Wieszczba ta, jeśli wiarę w niej położysz,  
Może zapalić w tobie niebezpieczną  
Żądę korony. Często, przyjacielu,  
Narzędzia piekła prawdę nam podają,  
Aby nas w zgubne potem sieci wplątać;  
Łudzą nam duszę uczciwym pozorem,  
Aby nas znęcić w przepaść następstw;

*głośno*

Słówko,

Mości panowie.

MAKBET *do siebie*

Dwie wróżby, będące  
Niby prologiem świetniejszej przyszłości,  
Już się sprawdziły.

*głośno*

Za trud wasz, panowie,  
Wdzięczny wam jestem.

*znowu do siebie*

To nadprzyrodzone  
Proroctwo złym być nie może, nie może  
Także być dobrym. Jestli złym, dlaczegoż  
Zapowiedziało mi wiernie godziwy  
Początek mego powodzenia? jestli,  
Przeciwnie, dobrym, dlaczegoż mi skrycie  
Nasuwa myśli, od których straszego  
Obrazu włos mi się jeży i serce  
Moje hartowne w kontr naturze bije?  
Obecna zgroza nie tyle jest straszna,  
Ile okropne twory wyobraźni,  
Mordercze widma, bytujące dotąd  
Tylko w fantazji mojej, tak dalece  
Wstrząsają moje jestestwo, że wszystkie  
Męskie me władze w sen się ulatniają  
I to jest tylko we mnie, czego nie ma,

BANKO *na stronie*

Czy uważacie, jak się nasz przyjaciel  
Zadumał?

MAKBET *zawsze do siebie*

Chceli los, abym był królem,  
Niech mię bez przyczynienia się mojego  
Ukoronuje.

BANKO *jak wyżej*

Nowe dostojęstwa  
Są snadź dla niego jako nowa suknia,  
Która czas jakiś noszona dopiero  
Dobrze przystaje.

MAKBET *jak wyżej*

Niech będzie, co będzie;  
Czas wszystko równo w swym unosi pędzie.

BANKO

Szlachetny tanie, czekamy na ciebie.

MAKBET

Wybaczcie, umysł mój był zaprzątiony  
Odgrzebywaniem zapomnianych rzeczy.  
Trud wasz, panowie moi, zapisałem  
Do księgi, którą co dzień odczytuję.  
Idźmy do króla.

*do Banka*

Nie zapomnij o tym,  
Co zaszło, a gdy czas znajdziesz po temu  
I bieg wypadków pokaże, o ile  
Można do tego wagę przywiązywać,  
Poufnie o tym pomówimy znowu.

BANKO

Najchętniej.

MAKBET

Teraz dość. Idźmy, panowie.

*Wychodzą.*

#### SCENA CZWARTA

*Forres. Pokój w pałacu.*

*Odgłos trąb. Wchodzi Dunkan, za nim Malkolm,  
Donalbein, Lennox i orszak.*

DUNKAN

Czy wykonany wyrok na Kawdorze?  
I ci, co byli w tym celu wysłani,  
Sąli z powrotem już?

MALKOLM

Jeszcze ich nie ma,  
Ale mówiłem z kimś, co był obecny  
Przy jego śmierci; bez ogródki wyznał  
On swoją zdradę, błagał przebaczenia  
Waszej królewskiej mości i okazał  
Szczerzy, głęboki żal; nic w ciągu życia  
Nie odznaczyło go tak szlachetnością  
Jak rozstawanie się z życiem. Umierał,  
Jakby był w śmierci ćwiczony, i jako  
Nikczemną fraszkę odrzucił od siebie  
To, co mu było najdroższe.

DUNKAN

Nie sposób  
Z oblicza dociec usposobień duszy.  
Ja w tym człowieku pokładałem ufność  
Najzupełniejszą, nieograniczoną. –  
Witaj, przezacny kuzynie.

*Wchodzą Makbet, Banko, Rosse i Angus.*

Niewdzięczność

Kamieniem właśnie tłoczyła mi serce.  
Takeś daleko naprzód się posunął,  
Ze najskwapliwszy pochop zawdzięczenia  
Nie zdołałby cię doścignąć. Wolałbym,  
Żebyś był zasług nie tyle położył,  
Bobyś mógł prędzej znaleźć odpowiedni  
Stosunek podzięk i nagród. Przyjm chociaż  
W ich niedostatku to szczere wyznanie,  
Żem więcej dłużny, niżem oddać w stanie.

MAKBET

Służba i honor, którym życie święcę,  
W wykonywaniu swoich obowiązków  
Hojną znajdują już nagrodę. Waszej,  
Królewskiej mości pozostaje tylko  
Przyjmować owoc naszych usiłowań;  
Boć siły nasze są dziećmi, sługami  
Tronu i państwa i pełnią jedynie  
Swoją powinność, ściśle wypełniając  
To, co im miłość ku swemu monarsze  
I dobro kraju nakazuje.

DUNKAN

Bądź mi  
Pozdrowion na tym miejscu; jesteś drzewem  
Mego szczepienia, które pielęgnować  
Będę, ażeby bujnie się rozrosło.  
Szlachetny Banko, tyś nie mniej położył  
Zasług i nie mniej też będzie wiadomym,  
Żeś je położył. Pójdź, niech cię przycisnę  
Do mego serca.

BANKO

Będęli na takim  
Rósł gruncie, żniwo twoim będzie, królu.

DUNKAN

Obecna moja radość w pełni swojej  
Nie zapomina o troskach. Synowie,

Krewni, tanowie i wy zgoła wszyscy,  
Którzy najbliżej nas stoicie, wiedzcie,  
Żeśmy koronę naszą zamierzeli  
Zdać najstarszemu z synów, Malkolmowi,  
Który się odtąd księciem Kumberlandu  
Nazywać będzie. Nie on jednak tylko  
Sam jeden nową ma otrzymać godność;  
Znaki szlachectwa jako gwiazdy błyszczeć  
Będą na wszystkich, którzy tego warci.  
Terazże dalej do Inverness! Sprawcie,  
Bym wam i nadal był obowiązany.

MAKBET

Starać się o to będziem. Sam pośpieszę  
Ucieszyć ucho mojej żony wieścią  
O bliskim władcy naszego przybyciu.  
Wybaczy wasza królewska mość przeto,  
Ze się oddalę.

DUNKAN

Kochany Kawdorzel

MAKBET *do siebie*

Książę Kumberland! Trzeba mi usunąć  
Z drogi ten szkopuł, inaczej bym runąć  
Musiał w pochodzie. Gwiazdy, skryjcie światło,  
Czystych swych blasków nie rzucajcie na tło  
Mych czarnych myśli; nie pozwólcie oku  
Napotkać dłoni ukrytej w pomroku,  
Aby się mogło przy spełnieniu zatrzeć  
To, na co strach mam po spełnieniu patrzeć.

*Wychodzi.*

DUNKAN

W istocie dzielny to człowiek, mój Banku,  
Nie mogę się dość jego zaletami  
I oddawaniem mu pochwał nasycić:  
To bankiet dla mnie. Udajmyż się za nim  
Tam, gdzie nas jego troskliwość uprzedza.  
Nieporównany to skarb taki krewny.

*Odgłos trąb. Wychodzą.*

## SCENA PIĄTA

*Inverness. Pokój w zamku M a k b e t a.  
Wchodzi L a d y M a k b e t czytając list.*

LADY MAKBET

„Spotkałem je w dniu zwycięstwa i przekonałem się najdowodniej, że ich wiedza przechodzi zakres śmiertelnej natury. Kiedy, pałając chęcią dowiedzenia się czegoś więcej, miałem im dalsze czynić pytania, rozplynęły się w powietrzu i znikły. Jeszcze stał odurzony tym trafem, gdy wtę nadeszli posłowie od króla, powitali mię tanem Kawdoru, którym to tytułem pozdrowiły mię były przed chwilą owe tajemnicze zjawiska, przekazując mi zarazem na później świetniejszy tytuł wyrazami: «Cześć ci, przyszły królu!» Uznałem za stosowne uwiadomić cię o tym, droga wielkości mojej uczestniczko, abyś przez niewiadomość, jaka ci przyszłość jest zapowiedziana, nie straciła należnego udziału w wynikającej stąd radości. Weź to do serca i bądź zdrowa.”

Glamisu tanem jesteś i Kawdoru,  
I będziesz, czym ci, że będziesz, wrózone;  
Boję się tylko, czy twoja natura,  
Zaprawna mlekiem dobroci, obierze  
Najkrótszą drogę ku temu. Znam ciebie,  
Rad byś być wielkim, nie wolnyś od dumy,  
Ale uczciwie chciałbyś cel jej osiąść;  
Wyniosłość chciałbyś zgodzić ze świętością;  
Nieprawo grać byś nie chciał, a jednakże  
Pragnąłbyś krzywo wygrać. O Glamisie!  
Chciałbyś pozyskać to, cōc głośno woła:  
„Uczyń tak! chceszli mieć to, czego pragniesz”,  
A czego lękasz się dokonać bardziej,  
Niż pragniesz, aby nie było spełnionym.  
Spiesz się, przybywaj, abym duch mój mogła  
Przełać w twe ucho i ust mych potęgą  
Rozwiąć to wszystko, cō od twojej głowy  
Oddała krąg ów złoty, którym, widno,  
Sam los i wpływy tajemniczych potęg  
Postanowiły cię uwięńczyć. Cōż tam?

*Wchodzi S ł u g a.*

SŁUGA

Król na noc będzie tu.

LADY MAKBET

Szalony jesteś.

Nie jestże z nim twój pan? Gdyby tak było,  
Byłby mię o tym uwiadomił.



SŁUGA

Wybacz,  
Dostojna lady, szczerą mówię prawdę –  
Nasz tan przybędzie lada chwila: jeden  
Nadworny luzak przyniósł tę wiadomość,  
Tak zadyszany, że mu tchu nie stało  
Do wymówienia jej.

LADY MAKBET

Niechaj mu dadzą  
Wszelkie wygody. Wielką wieść zwiastuje:  
Nie dziw, że stracił dech.

*Wychodzi S ł u g a.*

Ochrypl kruk nawet,  
Który fatalne przybycie Dunkana  
Do mych bram, kracząc, obwieszcza. Przybądźcie,  
Przybądźcie, o wy duchy, karmiciele  
Zabójczych myśli, z płci mej mię wyzujcie  
I napełnijcie mię od stóp do głowy  
Nieubłaganym okrucieństwem! Zgęście  
Krew w moich żyłach: zatamujcie wszelki  
W mym łonie przystęp wyrzutom sumienia,  
By żaden poszept natury nie zdołał  
Wielkiego mego przedsięwzięcia zachwiać  
Ni stanąć w poprzek między mną a skutkiem!  
Zbliźcie się do mych piersi, przeistoczcie  
W żółć moje mleko, o wy, śmierć niosące  
Potęgi, które niewidzialnie krążąc  
Na szkodę świata czatujecie! Spuść się,  
Ponura nocy, oblecz się w najgęstszy  
Dym piekieł, aby mój sztylet nie ujrzał  
Rany przez siebie zadanej i niebo,  
Przez nie dość ciemny kir mroku przejrzawszy,  
Nie zawołało: „Stój!”

*Wchodzi M a k b e t.*

Dzielny Glamisie!  
Wielki Kawdorze! Stokroć jeszcze większy  
Oczekującą cię przyszłością! List twój  
Daleko przeniósł mię nad zakres marnej  
Teraźniejszości i w obecnej chwili  
Czuję następne.

MAKBET

Luba żono, Dunkan  
Zjeżdża tu na noc.

LADY MAKBET

I odjeżdża?

MAKBET

Jutro.

Taki przynajmniej jego zamiar.

LADY MAKBET

Nigdy

Nie ujrzy słońce tego jutra! Twoje  
Oblicze, mężu, jest istną tablicą,  
Na której skryte rzeczy można czytać.  
Chcąc świat oszukać stosuj się do świata,  
Ubierz w uprzejmość oko, dłoń i usta,  
Wyglądaj jako kwiat niewinny, ale  
Niechaj pod kwiatem tym wąż się ukrywa.  
Dołóżmy wszelkich starań, żeby tego,  
Co tu ma przybyć, przyjąć jak najlepiej,  
Myśl o tym tylko, memu zaś myśleniu  
Pozostaw wielkie zadanie tej nocy,  
Które, jeśli się działać nie ustraszym,  
Nada blask przyszłym dniom i nocom naszym.

MAKBET

Pomówim o tym jeszcze.

LADY MAKBET

Rozjaśń czoło:

Lęka się, kto się nie patrzy wesoło.  
Resztę zdaj na mnie.

*Wychodzą.*

## SCENA SZÓSTA

*Tamże. Przed zamkiem.*

*Odgłos obojów. Słudzy Makbeta rozstawieni,  
Wchodzą Dunkan, Malkolm, Donalbein,  
Banko, Lennox, Makduf, Rosse i Angus.  
Za nimi orszak królewski.*

DUNKAN

Zamek ten w miejscu wdzięcznym położony,  
Powietrze jego przyjemnie napawa  
I rzeźwi moje zmysły.

BANKO

Gość wiosenny,  
Jaskółka, owdzie u blank się gnieźdząca,  
Wskazuje swoim pobytem, że niebo  
Tchnie tu przyjaźnie: nie ma gzymsu, łuku,  
Zakąta, gdzie by ten ptak nie przyczepił  
Dla swoich piskląt wiszącej kołyski.  
Zauważyłem, że gdzie te ptaszyny  
Najchętniej goszczą, tam powietrze bywa  
Najczystsze.

*Wchodzi L a d y M a k b e t.*

DUNKAN

Otóż nasza cna gosposia.  
Życzliwość, której odbieramy dowód,  
Często nas trudów nabawia, jednakże  
Wdzięczniśmy za nią, bo z serca pochodzi;  
Powiedz nam przeto, milady: „Bóg zapłać”,  
I bądź nam wdzięczną za to, że cię trudnim.

LADY MAK BET

Wszelkie usługi po dwakroć spełnione  
Pod każdym względem, następnie w dwójnasób  
Byłyby jeszcze za błahe, za liche  
Do wyrównania temu wysokiemu,  
Drogocennemu zaszczytowi, którym  
Wasza królewska mość nasz dom obdarzasz.  
Pomni łask dawnych i świeżo doznanych,  
Będziem się, panie, za pomyślność twoją  
Szczerze modlili.

DUNKAN

Gdzież jest nasz tan Kawdor?  
Biegliśmy za nim w trop; chcieliśmy nawet  
Nocleg dla niego przygotować, ależ  
Jemu niełatwo sprostać w konnej jeździe  
I miłość jego, szybsza od rumaka,  
Dawno musiała nas uprzędzić. Tak więc,  
Piękna, kochana gosposiu, jesteśmy  
Na tę noc gościem waszym.

LADY MAK BET

Słudzy waszej  
Królewskiej mości zawsze są gotowi  
Zdać porachunek z tego, co im było  
Dane pod zarząd, i na rozkaz waszej  
Królewskiej mości powrócić jej własność.

DUNKAN

Podaj mi rękę, nadobna milady;  
Zaprowadź mię do gospodarza domu:  
Wielce kochamy go i nie przestaniem  
Nadal go o tym przekonywać. Pozwól.

*Wychodzą.*

## SCENA SIÓDMA

*Tamże. Pokój w pałacu.*

*Odgłos obojów. Pochodnie pozapalane. Krajczy nadworny, a za nim kilku sług z półmi-  
skami i różnym przyrządem przechodzą przez scenę. Po niejkiej chwili wchodzi M a k b e t.*

MAKBET

Jeśli to, co się ma stać, stać się musi,  
Niechby przynajmniej stało się niezwłocznie.  
Gdyby ten straszny cios mógł przeciąć wszelkie  
Dalsze następstwa, gdyby ten czyn mógł być  
Sam w sobie wszystkim i końcem wszystkiego  
Tylko tu, na tej doczesnej mieliźnie,  
O przyszłe życie bym nie stał. Lecz zwykle  
W podobnych razach tu już każn nas czeka.  
Krwawa nauka, którą dajem, spada  
Na własną naszą głowę, Sprawiedliwość  
Zwraca podaną przez nas czarę jadu  
Do własnych naszych ust. Z podwójnych względów  
Należy mu się u mnie bezpieczeństwo:  
Jestem i krewnym jego, i wasalem.  
To samo zbyt już przeważnie potępia  
Taki postępek – lecz jestem, co więcej,  
I gospodarzem jego, który winien  
Drzwi zamknąć jego zabójcy, nie, owszem,  
Sam mu do piersi zbójczy nóż przykładąć.  
A potem – Dunkan tak skromnie piastował  
Swą godność, tak był nieskalanie czystym  
W pełnieniu swego wielkiego urzędu,  
Że cnoty jego, jak anioły nieba,  
Piorunującym głosem świadczyć będą  
Przeciw wyrodnym sprawcom jego śmierci,  
I litość, jako nowo narodzone,  
Nagie niemowlę lub cherub siedzący  
Na niewdziałnych, powietrznych rumakach,  
Wiać będzie w oczy każdemu okropny  
Obraz tej zbrodni, aż lży wiatr zaleją.  
Jeden, wyłącznie jeden tylko bodziec

Podżega we mnie tę pokusę, to jest  
Ambicja, która przeskakując siebie  
Spada po drugiej stronie.

*Wchodzi L a d y M a k b e t.*

Cóż tam?

LADY MAKBET

Właśnie

Wstał od wieczerzy. Po coś się oddalił?

MAKBET

Czy pytał o mnie?

LADY MAKBET

Ty mnie o to pytasz?

MAKBET

Nie postępujemy dalej na tej drodze:  
Dopiero co mnie obdarzył godnością  
I sam dopiero co sobie kupiłem  
Złotą u ludzi sławę, sławę, którą  
Godziłoby się jak najdłużej w świeżym  
Utrzymać blasku, nie zaś tak skwapliwie  
Odrzucać.

LADY MAKBET

Byłaż pijana nadzieja,  
Co cię niedawno jeszcze kołysała?  
Zasnąłaz potem i budziż się teraz,  
Żeby ospale, trwożnie patrzeć na to,  
Na co tak raźnie wtedy poglądała?  
Nie lepsze dajesz mi wyobrażenie  
I o miłości twojej. Maszli skrupuł  
Mężnie w czyn przelać to, czego pożadasz?  
Chciałbyś posiadać to, co sam uznajesz  
Ozdobą życia, i chcesz żyć zarazem  
W własnym uznaniu jak tchórz albo jako  
Ów kot w przysłowiu gminnym, u którego  
„Nie śmiem” przeważa „chciałbym”.

MAKBET

Przestań, proszę.

Na wszystkim gotów, co jest godne męża;  
Kto więcej waży, nie jest nim.

LADY MAKBET

I jakież  
Zły duch ci kazał tę myśl mi nasunąć?  
Kiedyś ją powziął, wtedy byłeś mężem:  
O ile byś był więcej tym, czym byłeś,  
O tyle więcej byłbyś nim. Nie była  
Wtedy po temu pora ani miejsce,  
Jedno i drugie stworzyć byłbyś gotów;  
Teraz się jedno i drugie nastęcza,  
A ty się cofasz? Byłam karmicielką  
I wiem, jak to jest słodko kochać dziecię,  
Które się karmi; byłabym mu jednak  
Wyrwała była pierś z ust nadstawionych,  
Które się do mnie tkliwie uśmiechały,  
I roztrzaskała czaszkę, gdybym była  
Zobowiązała się do tego czynu,  
Jak ty do tego.

MAKBET

Gdybyśmy chybili?

LADY MAKBET

Chybić! Obwaruj jeno swoje męstwo,  
A nie chybimy. Skoro Dunkan zaśnie  
(Co naturalnie po trudach dnia prędko  
Pewnie nastąpi), przyrządzonym winem  
Dwóch pokojowców jego tak uraczę,  
Ze się ich pamięć, ten stróż mózgu, w parę,  
A władz siedlisko zamieni w alembik.  
Gdy snem zwierzęcym ujęci jak trupy  
Spoczywać będą, czegoż nie zdołamy  
Dokazać wtedy ze śpiącym Dunkanem?  
Czego nie złożyć na jego pijaną  
Służbę, na którą spadnie cała wina  
Naszego mordu?

MAKBET

Rodź mi samych chłopców!  
Bo męstwa twego nieugięty kruszec  
Nic niewieściego od dziś dnia nie spłodzi.  
Skoro tych śpiących ludzi krwią pomażem  
I użyjemy ich własnych sztyletów,  
Któż nie pomyśli, że ta zbrodnia była  
Ich dziełem?

LADY MAKBET

Któż ma pomyśleć inaczej?  
Jeżeli zwłaszcza jękiem i lamentem  
Nad jego śmiercią napelnimy zamek.

MAKBET

Niech się więc stanie! Wszystkie moje siły  
Nagnę do tego okropnego czynu.  
Idźmy i szydźmy z świata jasnym czołem:  
Falsz serca i fałsz lic muszą iść spolem.

*Wychodzą.*

## AKT DRUGI

### SCENA PIERWSZA

*Inverness. Działanie zamkowe.  
Wchodzi Banko i Fleance, przed nimi sługa z pochodnią.*

BANKO

Jak późno już w noc, chłopcze?

FLEANCE

Księżyc zaszedł;  
Bicia zegaru nie słyszałem.

BANKO

Księżyc  
Zachodzi teraz około dwunastej.

FLEANCE

Musi już później być, mój ojciec.

BANKO

Weź no  
Mój miecz. Tam w niebie spać się widać kładą  
Po gospodarsku; zgaszono już światła.  
Sen mi się ciśnie do oczu, a przecież  
Zasnąć bym nie chciał. Dobroczynne moce!  
Umórzcie we mnie te okropne myśli,  
Które się budzą, gdy ciało spoczywa!  
Daj mi miecz!

*Makbet wchodzi, przed nim sługa z pochodnią.  
Kto tam?*



MAKBET

Przyjaciel.

BANKO

Co widzę?

Ty, panie, jeszcze na nogach? Król śpi już.  
W niepospolicie dobrym był humorze  
I szczodre dary posłał twoim ludziom;  
Małżonce twojej w dank za jej uprzejmość  
Kazał mi pierścień ten doręczyć; słowem,  
Zadowolony był zupełnie.

MAKBET

Dobra

Chęć nasza była niewolnicą braku  
Przygotowania; gdyby była mogła  
Swobodnie działać, byłoby inaczej.

BANKO

O, i tak wszystko było jak najlepiej.  
Myślałem tego wieczora o owych  
Trzech widmach: wróżba ich już się po części  
Sprawdziła.

MAKBET

Ani pomyślałem o nich,  
Warto by jednak w wolnej chwili znowu  
O tym pomówić. Oznacz czas, kochany  
Banko.

BANKO

Zostawiam ci go do wyboru.

MAKBET

Jeżeli zechcesz wybór mój potwierdzić,  
Wypadek<sup>9</sup> jego będzie ku tym większej  
Czci twojej.

BANKO

Żebym jej tylko nie stracił,  
Chcąc ją powiększyć, a zachować zdołał  
Czyste sumienie i wiarę niezłomną,  
Służyć ci będę.

MAKBET

Dobranoc, tymczasem.

BANKO

Dziękuję; życzę ci nawzajem dobrej.

---

<sup>9</sup> tj. wynik

*Wychodzi Banko i Fleance.*

MAKBET

Idź powiedz pani, żeby zadzwoniła,  
Skoro ów napój dla mnie będzie gotów.  
Możesz się potem położyć.

*Wychodzi sługa.*

Jestli to sztylet, co przed sobą widzę,  
Z zwróconą ku mej dłoni rękojeścią?  
Pójdź, niech cię ujmę! Nie mam cię, a jednak  
Ciągłe cię widzę. Fatalne widziadło!  
Nie jesteś ty dla zmysłu dotykania,  
Tylko dla zmysłu widzenia dostępny?  
Jesteś sztyletem tylko wyobraźni?  
Rozpalonego tylko mózgu tworem?  
Widzę cię jednak tak samo wyraźnie  
Jako ten, który właśnie wydobywam.  
Ty mi wskazujesz jak przewodnik drogę,  
Którą iść miałem; takiego też miałem  
Użyć narzędzia. Albo mój wzrok błaznem  
Jest w porównaniu z resztą moich zmysłów,  
Albo jest więcej wart niż wszystkie razem.  
Ciągłe cię widzę, a na twojej klindze  
I rękojeści znamiona krwi, których  
Pierwej nie było. Nie ma ich w istocie:  
Moja to krwawa myśl jawi je oczom.  
Na całym teraz półobszarze świata  
Natura zdaje się martwa i straszne  
Marzenia szarpia snu cichą zasłonę.  
Teraz to władza czarodziejska święci  
Ofiary bladej Hekacie i dziki  
Mord, podniesiony z legowiska wyciem  
Czujnego swego czatownika, wilka,  
Którego odgłos jest dlań ekscytarzem,  
Chyłkiem, jak złodziej lub duch, mknie do celu,  
O ty spokojna, niewzruszona w swoich  
Posadach ziemio, nie słysz moich kroków,  
Aby kamienie nie wypowiedziały,  
Gdzie idę, i nie zdradziły alarmem  
Tej zgrozy, co ma nastąpić.  
Ja się odgrażam, a on jeszcze żyje;  
Żar czynu ziębią słów jałowe chryje.

*Słyszeć się daje odgłos dzwonka.*

Dalej! czas nagli; już dzwonka wezwanie  
Daje mi sygnał. Nie słysz go, Dunkanie,

Bo tego dzwonka melodia straszliwa  
Do nieba ciebie lub do piekła wzywa.

*Wychodzi.*

## SCENA DRUGA

*Tamże.*

*Wchodzi L a d y M a k b e t.*

LADY MAKBET

Co ich uśpiło, to mnie ocuciło,  
Co ich zniemogło, we mnie wzmogło siły.  
Cóż to jest? Cicho! To puszczyk zahuczał,  
Złowrogi ten stróż nocny, który groźnie  
Woła dobranoc. On tam jest; podwoje  
Na wpół otwarte; pijane pacholki  
Szydzą chrapaniem z swego obowiązku.  
Taki im napój dałam, że natura  
I śmierć spór teraz wiodą o ich życie.

MAKBET *za sceną*

Kto tu? hej!

LADY MAKBET

Biada! pewnie się ocknęli  
I wszystko na nic. Zamach to, nie zbrodnia,  
Zgubi nas. Cicho! Pokładłam sztylety  
Tuż przecie przy nich; nie mógł ich nie znaleźć.  
Gdyby był we śnie nie tyle podobny  
Do mego ojca, byłabym się była  
Niechybnie sama na to odważyła.  
Ha! I cóż?

*Wchodzi M a k b e t.*

MAKBET

Stało się. Słyszałaś hałas?

LADY MAKBET

Słyszałam sowy krzyk i poświerk świerszcza.  
Cóżeś to mówił, mężu?

MAKBET

Kiedy?

LADY MAKBET

Teraz.

MAKBET

Kiedym tu wchodził?

LADY MAKBET

Tak.

MAKBET

Cicho! Czy słyszysz?

Kto tam śpi w tamtym pokoju?

LADY MAKBET

Donalbein.

MAKBET *przypatrując się swoim rękom*

Żałosnyż to jest widok!

LADY MAKBET

Wstydź się mówić:

Żałosny widok; niemężny tak mówi.

MAKBET

Jeden się zaśmiał przez sen, drugi krzyknął:  
„Ratunku!”, aż się przebudzili wzajem;  
Jam stał i słuchał, ale oni cicho  
Zmawiali pacierz i znów się spokojnie  
Do snu pokładli.

LADY MAKBET

Tam ich dwóch jest.

MAKBET

Jeden

Zawołał: „Boże, zmiłuj się nad nami!”,  
A drugi: „Amen”, jakby mię widzieli  
Z tymi rękami kata stojącego  
I śledzącego ich trwogę. Jam nie mógł  
Powiedzieć amen, wtenczas kiedy oni  
Mówili: „Boże, zmiłuj się nad nami!”

LADY MAKBET

Nie zastanawiaj się nad tym tak pilnie.

MAKBET

Dlaczegoż tego nie mogłem powiedzieć?  
Potrzebowałem bardzo zmiłowania,  
A jednak amen zamarło mi w ustach.

LADY MAKBET

Nie trzeba sobie takich rzeczy w takim  
Świetle wystawiać; inaczej by przyszło  
Oszaleć.

MAKBET

Zdało mi się, że słyszałem  
Głos wołający: „Nie zaśniesz już więcej!”  
Makbet zabija sen, niewinny sen,  
Który zwiłkane węzły trosk rozplata,  
Grzebie codzienne nędze; sen, tę kąpiel  
Znużonej pracy, cierpiących serc balsam.  
Odżywiciela natury, głównego  
Pożytkodawcę na ucztę żywota.

LADY MAKBET

Co wygadujesz!

MAKBET

Ciągle mi brzmiał w uszach  
Ten głos: „Nie zaśniesz, nie zaśniesz już więcej!”  
Glamis sen zabił, dlatego też Kawdor  
Nie zaśnie; Makbet nigdy już nie zaśnie.

LADY MAKBET

Któż to tak wołał? O szlachetny tanie,  
Rozmiękczasz w sobie tęgość ducha marząc  
Tak chorobliwie. Idź, weź trochę wody  
I obmyj rękę z tych plugawych znamion.  
Po coś tu z sobą przyniósł te sztylety?  
Tam jest ich miejsce. Idź, odnieś je, pomóż  
Krwia tamtych ludzi.

MAKBET

Już tam moja noga  
Nie wnijdzie. Wzdrygam się, kiedy pomyślę  
O tym, com zrobił; widok tego byłby  
Nad moje siły.

LADY MAKBET

Kaleka na duchu!  
Daj te sztylety. Śpiący i umarli  
Są obrazkami tylko; nikt prócz dzieci  
Malowanego nie lęka się diabła.  
Sama ubarwię krwią ręce i szaty  
Tych dwóch pacholków, bo oni się muszą  
Wydać sprawcami zbrodni.

*Wychodzi.  
Słychać z zewnątrz kołatanie.*

MAKBET

Skąd ten odgłos?  
Cóż się to ze mną stało, kiedy lada  
Szmer, lada szelest przejmuje mię dreszczem?  
Co to za ręce? Ha! wzrok mi pożera  
Ich widok. Mógłżeby cały ocean  
Te krwawe ślady spłukać z mojej ręki?  
Nie, nigdy! raczej by ta moja ręka  
Zdołała wszystkich mórz wody zrumienić  
I ich zieloność w purpurę zamienić.

*L a d y M a k b e t w r a c a .*

LADY MAKBET

Ręce mam twoim podobne, lecz wstyd by  
Spalił mi lica, gdybym miała serce  
Białe<sup>10</sup> jak twoje.

*Kołatanie.*

Słysząc kołatanie.  
U południowej bramy; przejdźmy żywo  
Do naszych komnat. Kilka kropel wody  
Oczyści nas wnet z plamy tego czynu.  
Jakże on wtedy będzie lekkim! Męstwo  
Całkiem cię, widzę, opuściło.

*Kołatanie.*

Słyszysz,  
Znow kołatają. Przywdziej nocny ubiór,  
Ażeby skoro wyjść potrzeba będzie,  
Nie pokazało się, żeśmy czuwali.  
Przestańże gubić się tak nędznie w myślach.

MAKBET

Obok uczucia takiej okropności.  
Lepiej byłoby utracić poczucie  
Samego siebie.

*Kołatanie.*

Zbudź tym kołataniem  
Dunkana! Obyś mógł tego dokazać!

*Kołatanie.*

---

<sup>10</sup> tj. lęśliwe

## SCENA TRZECIA

*Tamże.*

*Wchodzi O d ź w i e r n y. Ciągłe kołatanie do bramy.*

ODŹWIERNY

To dopiero wybijanie! Gdyby przy bramie piekła był odźwierny, wiecznie by tylko musiał klucz obracać.

*kołatanie*

Stuk! stuk! stuk! kto tam? W imię Belzebuba! To jakiś dzierzawca, co się obwiesił z rozpaczy, że się zboże zanadto sypało. W porę waść przychodzisz. A czy masz przy sobie zapas chustek? bo się tu siarczyście napocisz.

*kołatanie*

Stuk! stuk! stuk! kto tam? W imię innego diabła! To jakiś krętacz, co umiał na dwóch stołkach siadać i na każdym odprzysięgał się drugiego; co w imię Boże popełnił szkarad bez liku, a jednak nie mógł się wkręcić do nieba. Pójdź, pójdź, mości krętaczu.

*kołatanie*

Stuk! stuk! stuk! kto tam? Do wszystkich diabłów! To angielski krawiec, co spekulował na odkrawkach z francuskich spodni. Pójdź tu, krawcze. A czy przynosisz z sobą żelazko do prasowania? bo tu będziesz mógł wybornie rozgrzać duszę.

*kołatanie*

Stuk! stuk! stuk! Rychłoż się to skończy? Co ty za jeden? Ale tu za chłodno na piekło i nie chce mi się być dłużej odźwiernym u Lucypera, a chciałem wpuścić po jednym z każdego cechu, z takich co to wesołą, wiońnianą drogą zdążają do wieczystych sobótek.

*kołatanie*

Zaraz! zaraz! A proszę, nie zapomnijcie też o odźwiernym!

*Otwiera bramę.*

*Wchodzą M a k d u f i L e n n o x.*

MAKDUF

Czyś się tak późno spać położył, mój przyjacielu, że tak późno wstajesz?

ODŹWIERNY

W rzeczy samej, do usług waszej wielmożności, piło się trochę tej nocy! już drugi kur piał, kiedyśmy się spać pokładli, a picie, z przeproszeniem waszej wielmożności, jest ojcem trzech rzeczy.

MAKDUF

Cóż to za trzy rzeczy, które picciu swój byt winny?

ODŹWIERNY

Czerwony nos, panie, śpiączka i uryna. Co się tyczy miłości, jest ono po części jej ojcem, a po części nie jest, bo pobudza żądę, a wstrzymuje wykonanie; dlatego wielkie picie można nazwać przeniewiercą względem miłości, bo ją rodzi i uśmierca; podżega ją i ostudza; pociąga ją i odpycha; daje jej egzystencję, ale bez konsystencji; kołysze ją do snu i kłamiąc jej rzeczywistością, upośledza ją w rzeczywistości.

MAKDUF

Musiał ci ono dużo tej nocy nakłamać.

ODŹWIERNY

Nie inaczej, panie, miałem jego kłamstw aż po dziurki, ale mu się nie dałem i chociaż mię kilka razy z nóg ścięło, przecież w końcu udało mi się je zrzucić.

MAKDUF

Czy twój pan wstał już? Nasze kołatanie  
Przebudziło go pewnie. Oto idzie.

*M a k b e t wchodzi.*

LENNOX

Dzień dobry, wodzu.

MAKBET

Dzień dobry wam wzajem.

Mili panowie.

MAKDUF

Czy król wstał?

MAKBET

Nie jeszcze.

MAKDUF

Kazał mi wcześniej się zbudzić, i tak już  
Spóźniliśmy się o godzinę.

MAKBET

Chcecież,  
Bym was do niego zaprowadził?

MAKDUF

Wiem ja,  
Szlachetny tanie, że podejmowane  
W podobnych razach trudy są radosne  
Waszemu sercu, trudami jednakże  
Być nie przestają.



MAKBET

Ochoczość usługi  
Rzeźwi fatygę. Oto drzwi do króla.

MAKDUF

Będę tak śmiały wejść, bo mam po temu  
Wyraźny rozkaz.

*Wychodzi.*

LENNOX

Czy król dziś odjeżdża?

MAKBET

Tak postanowił.

LENNOX

Noc ta nadzwyczajnie  
Była burzliwa; gdzieśmy spali, wicher  
Zerwał kominy i w powietrzu słycać  
Było, jak mówią, żałosne jęczenia,  
Dziwne rżenia jakby konających  
I głośnym głosem zwiastowane wieszczby  
Straszliwych pożóg i różnych wypadków  
Znamionujących opłakane czasy.  
Ptak nocny kwilił i ziemia podobno  
Trzęsła się cała jak w febrze.

MAKBET

W istocie,  
Straszna to była noc.

LENNOX

Młoda ma pamięć  
Nie może sobie przypomnieć podobnej,

*M a k d u f wraca.*

MAKDUF

O zgrozo, zgrozo nad wszelkie pojęcie,  
Nad wszelki ludzki wyraz!

MAKBET I LENNOX *razem*

Co się stało?

MAKDUF

Odmęt dokonał swego arcydzieła.  
Mord świętokradzki zgwałcił namaszczonej  
Świątynię Pana i wydarł z niej życie!

MAKBET

Co mówisz? życie?

LENNOX

Czyje życie?

MAKDUF

Idźcie

Tam i osłupcie kamieniem na widok  
Nowej Gorgony. Nie każcie mi mówić.  
Idźcie, zajrzyjcie tam i sami mówcie.

*Makbet i Lennox wychodzą.*

Hola! Wstawajcie! Przybywajcie! Bicie  
W dzwony na alarm. Mord! piekielna zdrada!  
Banko! Donalbein, Malkolm! Przybywajcie!  
Otrząście z siebie sen, tę maskę śmierci,  
By śmierć prawdziwą ujrzeć. Przybywajcie  
Co tchu! i patrzcie na ostatecznego  
Sądu przedobraz! Hej! Malkolmie! Banko!  
Jak duchy z grobów wywołane śpieszcie  
Przypatrzeć się tej zgrozie!

*Dzwon bije na gwałt.*

*Lady Makbet wchodzi.*

LADY MAKBET

Co się stało,

Że tak złowrogiej trąby odgłos wszystkich  
W domu rozbudza? Dla boga, Makdufie,  
Mów, co się stało?

MAKDUF

O szlachetna pani,

Nie wam to słyszeć, co bym mógł powiedzieć:  
Wiadomość tego rodzaju, trafiwszy  
Niewieście ucho, zabiłaby.

*Banko wchodzi.*

Banko!

O Banko! Król, nasz pan, zamordowany!

LADY MAKBET

Niestety! w naszym domu!

BANKO

W czymkolwiek,  
Zbyt to okropne! O kochany Dufie,  
Bądź z sobą samym w sprzeczności i powiedz,  
Że to fałsz.

*Makbet i Lennox wchodzi.*

MAKBET

Gdybym był umarł godzinę  
Przed tym wypadkiem, zamknąłbym był piękny  
Okres żywota. Nie ma od tej pory  
Nic szanownego na tym świecie; wszystko  
Jest tylko blichtrzem; wielkość, świętość znikły,  
Scedzone wino życia, same tylko  
Męty zostały w tym lochu marności.

*Malkolm i Donalbein wchodzi.*

DONALBEIN

Co za nieszczęście tu się stało? kogo  
Dotknęło?

MAKBET

Naprzód was i wy ostatni  
Dowiadujecie się o tym: cne źródło,  
Z którego wasza krew początek wzięła,  
Zatamowane na wieki.

MAKDUF

Wasz rodzic  
Zamordowany został.

MALKOLM

O, przez kogo?

LENNOX

Sprawcami zbrodni byli, jak się zdaje,  
Dwaj pokojowcy: ręce ich i twarze  
Nosiły ślady krwi, toż ich sztylety,  
Któreśmy na ich posłaniu znaleźli.  
Wzrok mieli błędny, jakby obłąkany,  
Kiedyśmy weszli. Pod strażą tych ludzi  
Niczyje życie nie było bezpieczne.

MAKBET

Żałuję teraz, że ich w uniesieniu  
Wściekłości zabił.

MAKDUF

A to na co? na co?

MAKBET

Któż jednocześnie może być roztropnym  
I przerażonym, łagodnym i gniewnym,  
Wiernym i obojętnym? Nikt zaiste.  
Żarliwa moja przychylność stłumiła  
Zimną rozwagę. Tu Dunkan leżący,  
Z srebrnym, krwią złotą powleczonym włosem,  
Okryty rany wyglądającymi  
Jako wylomy w naturze, przez które  
Szerokie przejście otwarto zniszczeniu –  
A tu mordercy, naznaczeni barwą  
Swego postępu, z świeżo zbrotzonymi  
Puginałami: któż żywiący w sercu  
Miłość, a obok miłości odwagę,  
Byłby inaczej tej miłości dowiódł?

LADY MAKBET

Pomóżcie mi wyjść, ach!

MAKDUF

Lady zasłabła!

Wezwijcie ludzi na pomoc.

MALKOLM *na stronie do brata*

Dlaczegoż

Stoimy niemi, my, których najbliżej  
Ten cios dotyka?

DONALBEIN

Cóż się nam odzywać

Tu, gdzie ukryty wróg nasz niewidzialnie  
Może gdzieś czyha, by nagle nas dosięć.  
Precz stąd! Łzy nasze jeszcze niedojrzałe.

MALKOLM

I ciężka boleść nasza nie jest jeszcze  
Na czynnej stopie.

BANKO *do sług nadchodzących*

Odprowadźcie panią.

*L a d y M a k b e t wychodzi wsparta na sługach.*

My zaś okrywszy na wpół nagie ciała,  
Które na chłody wystawione marzną,  
Zbierzmy się celem jak najściślejzego  
Zbadania tego strasznego wypadku.  
Każdym z nas miota niepewność; co do mnie,  
Oświadczam wobec majestatu Boga,

Ze walczyć będę przeciw skrytym planom  
Tej niecnej złości.

MAKBET

I ja.

WSZYSCY

I my wszyscy.

MAKBET

Idźmyż się przybrać, jak przystoi mężom.  
W głównej się sali zgromadzimy.

WSZYSCY

Zgoda.

*Wszyscy wychodzą prócz Malkolma i Donalbeina.*

MALKOLM

Cóż ty zamysłasz? Nie łączmy się z nimi,  
Udawać żal jest to rola łatwa  
Dla dusz nasiąknięch fałszem. Ja natychmiast  
Jadę do Anglii.

DONALBEIN

A ja do Irlandii.  
Odosobnieni bezpieczniejsi będziemy!  
Tu każdy uśmiech jest nożem.  
Im kto krwią bliższy, tym bliższy krwotoku.

MALKOLM

Jeszcze ten pocisk ukrytego strzelca  
Nie padł na ziemię: najbezpieczniej będzie  
Zejść z celu. Na koń więc! nie traćmy czasu  
Na pożegnalne formy, ale chyżo  
Wynośmy się z tych miejsc. Gdzie grozi zdrada,  
Godziwie kradnie, kto sam się wykrada.

*Wychodzą.*

## SCENA CZWARTA

*Za obrębem zamku.  
Wchodzi Rosse i Starzec.*

STARZEC

Kopę lat z górą pamiętam, widziałem  
Wiele widowisk, wiele okropności,  
Ale dzisiejsza noc wszystko dawniejsze  
W śmiech obróciła.

ROSSE

Patrz, poczciwy starcze,  
Jak samo niebo w gniewie na złość ludzką  
Zdaje się grozić jej krwawej widowni;  
Podług zegara to dzień, a jednakże  
Gruby mrok tłumi wschodzącą pochodnię.  
Jestli to przemoc nocy czyli wstyd dnia,  
Że ciemność kryje tak oblicze ziemi,  
Kiedy ją miało ucałować słońce  
Ożywcze?

STARZEC

Jest to tak nienaturalne,  
Jak ów czyn świeżo teraz dokonany,  
Przyszłego wtorku widziałem sokoła  
Majestatycznie się unoszącego;  
Wtem nędzna sowa napadła go z boku  
I zadziobała.

ROSSE

A konie Dunkana  
(Rzecz nie do wiary, a jednak istotna),  
Owe rumaki tak piękne i rączne,  
Prawdziwe w swoim rodzaju pieścidla,  
Zdziczały nagle, stargały uwięzie  
I z bram stajennych wypadły, jak gdyby  
Chciały wojować z ludźmi.

STARZEC

Powiadają,  
Że się pożarły.

ROSSE

W istocie tak było, .  
Ku osłupieniu moich oczu, które  
Na to patrzyły. Oto zacny Makduf.

*Makduf wchodzi.*

Cóż tam na świecie słyhać?

MAKDUF

Czyliż nie wiesz?

ROSSE

Wiadomoż, kto był sprawcą tego czynu,  
Przechodzącego wszelką nazwę zbrodni?

MAKDUF

Ci, których Makbet zabił.

ROSSE

O nieszczęśni!

Cóż ich do tego skłoniło?

MAKDUF

Namowa.

Synowie króla, Malkolm i Donalbein,  
Uszli: to rzuca na nich podejrzenie.

ROSSE

Oni! Natura nie ma już rękojmi!  
O marnotrawna wyniosłości, sama  
Niweczysz własne środki życia! Tak więc,  
Według wszelkiego prawdopodobieństwa  
Władza królewska na Makbeta spadnie.

MAKDUF

Już go obrano, i ruszył do Skony  
Na koronację.

ROSSE

Gdzież złożono zwłoki

Dunkana?

MAKDUF

W Kolmes-hill, w świętych podziemiach,  
Gdzie spoczywają kości jego przodków.

ROSSE

Udajeszli się do Skony?

MAKDUF

Nie, bracie:

Do Fajfu.

ROSSE

A ja do Skony.

MAKDUF

Bodajbyś  
Wszystko tam znalazł po myśli, inaczej  
Byłoby prawdą, że się w starej szacie  
Wygodniej chodzi niż w nowym szkarłacie.

ROSSE

Bądź zdrów, mnie zwodny pozór nie omami.  
Bywaj zdrów, starcze.

STARZEC

Niech Bóg będzie z wami  
I z każdym, który w imię Zbawiciela  
Złe zmieni w dobre, wroga w przyjaciela!

*Wychodzą.*



## AKT TRZECI

### SCENA PIERWSZA

*Forres. Sala w pałacu.  
Wchodzi B a n k o.*

BANKO

Masz tedy berło, Kawdor, Glamis, wszystko  
Tak, jak ci owe czarodziejskie widma  
Przepowiedziały, obawiam się tylko,  
Czy nie za krzywo do tego przyszedłeś.  
Bądź jak bądź, było przecież powiedziane,  
Że się to twoim zstępny nie dostanie,  
Że raczej ja mam być szczepem i ojcem  
Mnogich królewskich odrośli. Jeżeli  
Ich przepowiednia nie kłamie (a Makbet  
Tego dowodem), dlaczegoż by one  
Nie miały być i dla mnie wyroczniami  
Tak jak dla niego i niepłonną we mnie  
Budzić nadzieję? Ale pst! dość tego.

*Odgłos trąb.*

*Wchodzą M a k b e t i L a d y M a k b e t przybrani po królewsku.  
L e n n o x, R o s s e, lordowie, damy i orszak.*

MAKBET

Oto nasz główny gość.

LADY MAKBET

Gdyby nam zbywał,  
Byłaby w naszym towarzystwie próżnia  
I niepełna radość.

MAKBET

Wydajemy  
Tego wieczoru uroczystą ucztę  
I o obecność waszą na niej prosim.

BANKO

Wasza wysokość może mną rozrządzać,  
Bo obowiązki me z nią są spojone  
Ścisłymi węzły.

MAKBET

Wyjeżdżasz, milordzie,  
Dziś po południu?

BANKO

Taki jest mój zamiar.

MAKBET

Krzyżuje nas to; radzi byśmy byli  
Usłyszeć głos wasz dzisiaj na obradach  
(Głos, który zawsze miał tyle trafności,  
Ile powagi); nagrodzimy to jutro.  
Dalekoż jedziesz?

BANKO

Tak daleko, panie,  
Że czas potrzebny do odbycia drogi  
Wypełnia właśnie w samą miarę przeciąg  
Między tą chwilą a ucztą; jeżeli  
Mój biegun skrewi, będę musiał jedną  
Albo dwie godzin nocy zostać dłużnym,

MAKBET

Nie omieszkajże się stawić.

BANKO

Upewniam  
Waszą królewską mość, że nie omieszkam.

MAKBET

Doszło do naszych uszu, że wyrodni  
Nasi kuzyni skierowali drogę:  
Jeden do Anglii, drugi do Irlandii,  
Ze wypierając się swej czarnej zbrodni  
Szerzą tam dziwne fałszy. Ale o tym  
Do jutra: będzie to jedna z spraw stanu,  
O których wspólnie naradzać się mamy.  
Siadajże na koń i wracaj nam zdrowo.  
Czy Fleance jedzie także?

BANKO

Jedzie, panie;  
Interes nagli nas.

MAKBET

Życzymy waszym  
Koniom szybkości i pewności w nogach  
I poruczymy was ich grzbietom.

*Wychodzi B a n k o.*

Niech każdy będzie panem swego czasu  
Do siódmej wieczór; pragnąc wam na potem  
Milszym uczynić nasze towarzystwo,  
Pozostajemy do wieczery sami;  
Bogu tymczasem was oddajem!

*Wychodzą L a d y M a k b e t, lordowie, damy itd.*

Hola,  
Czy owi ludzie, których zamówiłem,  
Czekają na me rozkazy?

SŁUGA

Czekają  
U bram zamkowych, panie.

MAKBET

Niech tu przyjdą.

*Wychodzi S ł u g a.*

Być tym, czym jestem, jest to niczym nie być,  
Jeślibym nie mógł być tym bez obawy.  
Ten Banko jest mi groźny: ma on w sobie  
Coś królewskiego, czego się bać trzeba.  
Nieustraszony on i z gotowością  
Ważenia się na wszystko łączy w sobie  
Zimną rozwagę, która jego męstwo  
Po pewnej drodze kieruje do celu;  
Prócz niego nie ma na świecie człowieka,  
Którego bym się lękał: obok niego  
Czuje się duch mój uciśnionym, jako  
Wedle podania czuł się uciśnionym  
Duch Antoniusza przy Cezarze. Zgromił  
Owe niewiasty, kiedy mię nazwały  
Królem, i kazał im do siebie mówić;  
Wtedy go one pozdrowiły ojcem  
Szeregu królów. Mnie więc bezowocną  
Dały koronę, wsadziły mi w rękę

Jałowe berło, mające plonować  
Komuś obcemu, nie moim potomkom.  
Toż więc sumienie sobie splugawiłem  
Dla rodu Banka, dla jego korzyści  
Zamordowałem zanego Dunkana;  
Spokojność sobie zatrąłem jedynie  
Dla rodu Banka i wieczny mój klejnot  
Wspólnemu ludzi nieprzyjacielowi  
Na łup oddałem po to tylko, żeby  
Ukoronować ród, nasienie Banka!  
O, niech się raczej ostateczność stanie.  
Losie, wyzywam cię w zapasy! Kto tam?

*Sługa z dwoma zbójcami wchodzi.*

Idź i za drzwiami czekaj, aż cię wezwę.

*Wychodzi Sługa.*

Z wamiż to wczoraj mówiłem?

PIERWSZY ZBÓJCA

Tak, panie.

MAKBET

Dobrze więc. Czyście rozważyli ściśle  
I przetrwali to, com wam powiedział?  
Wiecie już, że to on owego czasu  
Obszedł się z wami tak niesprawiedliwie  
I żeście winni byli, posądzając  
Moją niewinność, tego wam dowiodłem  
W ostatniej naszej rozmowie; wykryłem  
Wam jak na dłoni, jak was oszukano,  
Jak z was zadrwiono, zrobiono narzędzia,  
Kto was tak zażył i inne szczegóły,  
W których osnowie najograniczeńszy  
Półgłówek byłby namacać mógł Banka.

PIERWSZY ZBÓJCA

Tak, powiedziałaś nam, panie, to wszystko.

MAKBET

Tak, powiedziałem wam to wszystko; teraz  
Powie wam, co jest celem obecnego  
Mego widzenia się z wami. Azaliż  
W waszej naturze przemaga cierpliwość  
Do tego stopnia, że mimo puszczacie  
Najcięższe krzywdy? Azaliż jesteście  
Tak świątobliwi, żeby się aż modlić  
Za zdrowie i za dom tego człowieka,

Którego ręka w grób was pochyliła  
I dzieci wasze przymusiła żebrać?

PIERWSZY ZBÓJCA

Z mężami, panie, masz sprawę.

MAKBET

Wiem dobrze,

Że się liczycie do mężów tak samo  
Jak wyżeł, ogar, chart, jamnik i kundel,  
Brytan, mops, pudel, buldog i tam dalej  
Do psów się liczą. Oddzielna rubryka  
Wskazuje, który z nich chyży, powolny,  
Dobry stróż domu lub zdatny do łowów  
I tym podobnie, odpowiednio darom,  
Jakimi matka natura każdego  
Uposażyla, i taki dopiero  
Szczególny tytuł nadaje każdemu  
Właściwą cechę na ogólnej liście  
Psiego rodzaju – tak się ma i z ludźmi.  
Jeżeli przeto zajmujecie miejsce  
W rubryce mężów z sercem, nie w ostatniej  
Klasie ras ludzkich, wyrzeczcie to śmiało,  
A ja wam wskażę pewną czynność, której  
Uskutecznienie na zawsze uwolni  
Was od waszego śmiertelnego wroga  
I łaskę naszą wam zjedna za zdrowie,  
Które w nas cherla, dopóki on żyje,  
A z śmiercią jego by zakwitło.

DRUGI ZBÓJCA

Jestem

Człowiekiem, panie, którego zawzięty  
Bicz świata przywiódł do tego, że gotów  
Na wszystko, byle na przekorę światu.

PIERWSZY ZBÓJCA

We mnie zaś widzisz, panie, chudeusza,  
Tak znękanego igraszkami losu,  
Że rad wystawi swoje nędzne życie  
Na wszelki hazard, byle je poprawić  
Lub się go pozbyć.

MAKBET

Wiecie już obadwaj,  
Że Banko waszym był nieprzyjacielem.

ZBÓJCY

Już to wiadoma rzecz.

MAKBET

Jest on i moim,  
I to tak groźnym, że każda minuta  
Jego istnienia czyni moje życie  
Niepewnym. Mógłbym go sprzątnąć otwarcie  
Mocą jedynie władzy mej i woli.  
Lecz wzgląd na pewnych wspólnych nam przyjaciół,  
Których życzliwość jest mi pożądana,  
Wstrzymuje mnie od tego: muszę raczej  
Udawać boleść nad upadkiem tego,  
Którego strącę. W takiej koniunkturze  
Wzywam pomocy waszej i powierzam  
Wam wykonanie dzieła, które winno  
Przed okiem świata pozostać ukryte,  
Dla wielu ważnych powodów.

DRUGI ZBÓJCA

Spełnimy,  
Panie, co każeś.

PIERWSZY ZBÓJCA

Choćby nasze życie...

MAKBET

Męstwo wam patrzy z oczu. Za godzinę  
Wskażę wam miejsce, które macie zająć,  
Gdy mrok zapadnie, bo się to stać musi  
Dzisiejszej nocy i nieco opodal  
Od zamku. Bądźcie szpiegami sposobnej  
Ku temu chwili, a pomnijcie ciągle,  
By na mnie nie padł i cień podejrzenia;  
Aby zaś w sprawie tej nie było żadnej  
Breszy i luki, trzeba, żeby Fleance,  
Syn jego, który towarzyszy ojcu,  
A który również nie jest mi na rękę,  
Los z nim podzielił. Zostawiam was samych,  
Namyślcie się tu, powrócę niebawem.

DRUGI ZBÓJCA

Namyśliliśmy się już dość.

MAKBET

Tym lepiej.  
Rzecz więc skończona, zaraz was przywołam.  
Jeśli ci, Banko, niebo przeznaczone,  
Dziś jeszcze pewną znajdziesz w nim koronę.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Tamże. Inny pokój.*  
*Wchodzi Lady Makbet, za nią Służąca.*

LADY MAKBET

Nie wiesz, czy Banko wyjechał?

SŁUŻĄCA

Wyjechał,

Łaskawa pani, lecz wraca dziś na noc.

LADY MAKBET

Powiedz królowi, że chcę z nim pomówić,  
Jak znajdzie wolną chwilę.

SŁUŻĄCA

Spieszę, pani.

*Wychodzi.*

LADY MAKBET

Wszystko chybione, na nic wszystko, jeśli  
Drżymy o skutek, któryśmy odnieśli.  
Lepiej śmierć ponieść niż czyniąc jej zadość  
Z dzieła zniszczenia wątpliwą mieć radość.

*Wchodzi Makbet.*

Cóż, mój małżonku? Czemu tak samotny,  
W ponurych tylko marzeń towarzystwie?  
Żywiący ciągle owe myśli, które  
Powinny były umrzeć razem z tymi  
Co je wzbudzają. Na co nie ma środka,  
Nad tym się nie ma i co zastanawiać;  
Co się raz stało, już się nie odstanie.

MAKBET

Rozpłataliśmy węża, nie zabili –  
Zrośnie się, będzie znów gadem: ząb jego  
Jadem zaprawny nie przestaje grozić  
Biednej niecnocie naszej. Niechaj raczej  
Kształt rzeczy runie, oba światy zdrzą,  
Niżbyśmy mieli nasze jądłoienne  
Z trwogą pożywać i sypiać pod wpływem  
Tych snów, co w nocy nami trzęsą; raczej  
Zająć nam miejsce przy tym, któregośmy  
W grób wyprawili, niż w ciągłych konwulsjach

Leżeć na strasznych torturach sumienia.  
Duncan spoczywa; dobrze śpi po febrze  
Ziemińskiego życia; zdrada dokonała  
Arcymistrzowskiej sprawy; stal, trucizna,  
Domowy zamach ani obcy najazd  
Nic mu zaszkodzić już nie może.

LADY MAKBET

Dalej,  
Szlachetny tanie! Precz fałdy z oblicza!  
Bądź wesół, rad bądź dzisiaj twym gościom.

MAKBET

Będę rad, bądź i ty, luba, podobnież,  
Miej zaś szczególnie Banka na pamięci,  
Odnaczające okazuj mu względy  
Zarówno usty, jak oczyma. W takim,  
Jak my jesteśmy dzisiaj, położeniu  
Trzeba nam naszą niedojrzałą władzę  
Polewać rosą pochlebstwa, oblicza  
Czynić serc larwą, aby nikt nie dostrzegł,  
Co się pod nimi kryje.

LADY MAKBET

Bądź spokojny.

MAKBET

O żono, serce me skorpionów pełne!  
Wszak wiesz, że Banko, Fleance jeszcze żyją.

LADY MAKBET

Wiem, ale przecie dzierzawa ich życia  
Nie jest wieczysta.

MAKBET

W tym nasza otucha,  
Że z ciała obaj są i z krwi. Swobodnie  
Patrzmy więc w przyszłość. Nim nietoperz skończy  
Swoją rewir wkoło zamku, nim na rozkaz  
Bladej Hekaty nocny chrząszcz wybrzeczy  
Chrapliwy nokturn, spełnione zostanie  
Strasznej ważności dzieło.

LADY MAKBET

Jakie dzieło?

MAKBET

Nie pytaj, luba, bądź przez niewiadomość  
Wolna od winy, dopóki nie będziesz  
Mogła przyklasnąć temu dziełu. Przybądź,



Ślepiąca nocy, zasłoń kataraktą  
Litościwego dnia czule źrenice,  
Stargaj, zniszcz krwawą, niewidzialną dłonią  
Te pęta, które swobody nam bronią!  
Światło dokoła ziemskiego przestworu  
Przygasa, wrona pociąga do boru,  
Wdzięczny dnia orszak mdleje, chyli głowy,  
Natomiast nocna czerń zaczyna łąwy.  
Pójdź, żono, nie mów nic. Zły plon bezprawia  
Nowym się tylko bezprawiem poprawia.

*Wychodzą.*

### SCENA TRZECIA

*Tamże.  
Część lasu z bramą do zamku prowadzącą.  
Z b ó j c y.*

PIERWSZY ZBÓJCA

Kto ci się kazał z nami złączyć?

TRZECI ZBÓJCA

Makbet.

DRUGI ZBÓJCA

Można mu ufać, skoro tak dokładnie  
Wie, o co idzie.

PIERWSZY ZBÓJCA

Więc pozostań z nami.  
Szczątki dnia tleją jeszcze na zachodzie  
I spóźnionego podróżnika naglą  
Wracać do domu. Cel naszych czat wkrótce  
Nadejdzie.

TRZECI ZBÓJCA

Cicho! Słyszę tętent koni.

BANKO *za sceną*

Dajcie tu światła! hej!

DRUGI ZBÓJCA

To on niechybnie,  
Bo wszyscy inni goście już są w zamku.

PIERWSZY ZBÓJCA

Konie wysła luzem naokoło.

TRZECI ZBÓJCA

Tak każdy czyni, bo stąd na piechotę  
Droga o milę krótsza.

*B a n k o i F l e a n c e wchodzą, przed nimi pacholek  
z pochodnią.*

DRUGI ZBÓJCA

Światło! światło!

TRZECI ZBÓJCA

To on.

PIERWSZY ZBÓJCA

Tak, to on sam. Nie traćmy czasu.

BANKO

Tej nocy będzie deszcz.

PIERWSZY ZBÓJCA

Natychmiast lunie.  
*Napada B a n k a.*

BANKO *padając*

Zdrada! Uciekaj, Fleansie, uciekaj,  
Bądź mym mścicielem. Ha! Nędzniku!

*Umiera.  
F l e a n c e i P a c h o ł e k uciekają.*

TRZECI ZBÓJCA

Któż to  
Zgasił pochodnię?

PIERWSZY ZBÓJCA

Nie takiż był rozkaz?

TRZECI ZBÓJCA

Jeden legł tylko, drugi umknął.

DRUGI ZBÓJCA

Szkoda,  
Wypuściliśmy połowę zarobku.

PIERWSZY ZBÓJCA

Bądź co bądź, idźmy donieść, co się stało.

*Wychodzą.*

#### SCENA CZWARTA

*Wielka sala w pałacu.*

*Uczta przygotowana. Makbet, Lady Makbet, Rosse, Lennox,  
lordowie i inne osoby.*

MAKBET

Znacie panowie swoje stopnie: siadźcież  
I od pierwszego aż do ostatniego,  
Bądźcie nam z serc, a pozdrowieni.

LORDOWIE

Dzięki

Waszej królewskiej mości.

MAKBET

Usiądziemy

Wśród was, jak przystoi uprzejmemu  
Gospodarzowi; co do gospodyni,  
Ta zachowuje pierwsze miejsce, wszakże  
W stosownej chwili zażądamy od niej  
Objawu serdeczności.

LADY MAKBET

Zechciej

Zapewnić o niej, mój małżonku, wszystkich  
Naszych przyjaciół tu się znajdujących;  
Serce me bowiem wielce im jest rade.

*P i e r w s z y z b ó j c a u k a z u j e s i ę w e d r z w i a c h .*

MAKBET

Oni też z serca ci dziękują za to,  
Już wypełnione obie strony stołu,  
Ja tu w pośrodku usiądę. Wesole,

Moi panowie! bądźcie w pogotowiu,  
Bo wnet kolejny kielich zacnie krążyć.

*zbliża się do Z b ó j c y; na stronie*

Na twojej twarzy krew.

ZBÓJCA

To więc krew Banka.

MAKBET

Wolę ją zewnątrz u ciebie niżeli  
Wewnątrz u niego. Więc już usunięty?

ZBÓJCA

Krtań ma przerzniętą, panie: tę przysługę  
Jam mu wyświadczył.

MAKBET

Walny z ciebie rzeźnik,  
Lecz i ten niemniej walny, co z Fleancem  
Również postąpił; jeśliś ty to zrobił,  
Nieporównanyś zuch.

ZBÓJCA

Najmiłościwszy!  
Fleance się wymknał.

MAKBET

Moja więc choroba  
Powraca znowu. Byłbym, gdyby nie to,  
Zdrów jak lew, silny jak marmur, jak skała  
Nieporuszony, lekki jak powietrze,  
Które ogarnia wszystko; tak zaś jestem  
Spętany, wątły, ścieśniony, oddany  
Na łup kapryśnych trosk i niepewności.  
Zabezpieczonyż aby tamten?

ZBÓJCA

Tamten  
Jak najbezpieczniej leży w dole, z głową  
Tuzinem ciosów oszamerowaną,  
Z których najłżejszy byłby już śmiertelnym.

MAKBET

To dobrze: stary wąż już nie powstanie.  
Ów gad, co uciekł, ma w sobie zarody  
Trucizny, z czasem mogącej zaszkodzić,  
Ale na teraz nie ma jeszcze żądła.  
Oddal się jutro, rozmówim się znowu.

*Z b ó j c a wychodzi.*

LADY MAKBET

Małżonku mój i panie zapominasz  
O swoich gościach: za nic wszelka ucztą,  
Jeśli się przy niej często nie objawia,  
Że to, co dajem, dajemy ochoczo.  
Lepiej się w własnym je domu; zachęta  
Jest w obcym, jako sól, zaprawą jadła,  
Bez niej gościnność, byłaby niesmaczna.

MAKBET

Luba mentorko! Niech się więc apetyt  
Z strawnością złączy i wiwat oboje!

LENNOX

Nie raczysz wasza królewska mość zasiąść?

*Duch B a n k a wychodzi spod ziemi i siada na miejscu  
M a k b e t a.*

MAKBET

Widzielibyśmy tu w pełni zbiór ozdób  
Naszego państwa, gdyby nam nie zbywał  
Kochany Banko, którego wolimy  
O nieuprzejmość obwinić niż myśleć,  
Że mu się jakie nieszczęście trafiło.

ROSSE

Jego spóźnianie się lży jego słowu.  
Niechże nas wasza królewska mość raczy  
Swym uczestnictwem uszczęśliwić.

MAKBET

Wszystkie  
Miejsca zajęte.

LENNOX

Tu próżne jest jedno.

MAKBET

Gdzie? Gdzie?

LENNOX

Tu, panie. Co się stało waszej  
Królewskiej mości?

MAKBET

Kto z was to uczynił?

LORDOWIE

Co, miłościwy królu?

MAKBET

Ty nie możesz  
Powiedzieć, że to ja; nie wstrząsaj ku mnie  
Tak groźnie swymi skrwawionymi włosy.

ROSSE

Wstańmy, panowie, królowi niedobrze.

LADY MAKBET

Siedźcie, o! siedźcie, zacni przyjaciele,  
Naszemu panu często się to zdarza  
Od lat najmłodszych; pozostańcie w miejscu:  
Jest to chwilowy przystęp, wkrótce minie.  
Jeśli będziecie na niego zważali,  
Rozdrażni go to i złe jego zwiększy.  
Jedźcie i ani spojrzycie na niego.

*na stronie do M a k b e t a*

Jestżeś ty mężem czy nie jesteś?

MAKBET

Jestem,  
I to odważnym, kiedy mogę patrzeć  
Na coś, na widok czego sam Lucyfer  
Musiałby zblednąć.

LADY MAKBET

Brawo! jest to godny  
Utwór bojaźni twojej jak ów sztylet,  
Co to, mówiłeś, wiódł cię do Dunkana.  
Takie wybryki, słupienia, drętwienia  
Byłyby dobre przy słuchaniu bajek  
Opowiadanych zimą przy kominku  
Przez zabobonne białogłowy, którym  
Stara babunia, potakuje; wstydz się  
Wyczyniać takie miny! boć zaprawdę,  
Wlepiasz wzrok w próżne krzesło.

MAKBET

Patrz, spójrz tylko!  
Czy widzisz? Ale cóż mnie to ma trwożyć?  
Możeszli kiwać głową, to i przemów.  
Jeśli kostnice i groby wracają  
Tych, których grzebiem, to żołądki sępów  
Będą naszymi pomnikami.

*Duch znika.*

LADY MAKBET *na stronie do M a k b e t a*

Takżeż

Szał ci do szczętu upośledził męstwo?

MAKBET

Jak żyw tu stoję, widziałem go.

LADY MAKBET

Nędzne,

Śmiechu i wzgardy godne przywidzenie!

MAKBET

Krew przelewana była z dawien dawna,  
Nim jeszcze ludzkich praw nastały rządy;  
Dokonywano i później morderstwa  
Straszne dla ucha; ale do tej pory  
Po wyjściu duszy umierali ludzie  
I wszystko już się kończyło: dziś oni  
Podnoszą z grobu czoło obciążone  
Mnogimi rany i z miejsc nas rugują.  
Straszniejsze to jest od samego mordu.

LADY MAKBET

Królu i panie, przyjaciele nasi  
Czekają na cię.

MAKBET

Prawda, zapomniałem.

Nie zdumiewajcie się, cni przyjaciele,  
Nad tym, co zaszło; jest to osobliwsza  
Słabość, niedziwna dla tych, co mię znają.  
Dalej! Niech żyje wino i wesołość!  
Zaraz usiądę, nalejcie mi kielich  
Po same brzegi! Piję za pomyślność  
Moich przezacnych gości. I naszego  
Ukochanego przyjaciela Banka,  
Który nas smuci swą nieobecnością.  
W wasze i jego ręce! Oby wszystkim  
Wszystko się dobrze działo!

*Duch ukazuje się znowu.*

LORDOWIE

Przyjm, o panie,

Wzajemny toast na podziękowanie.

MAKBET

Precz z moich oczu! Zapadnij się w ziemię!  
Krew twoja zimna, kości twe bez szpiku,

Nie ma już siły widzenia w tych oczach,  
Którymi błyszczysz.

LADY MAKBET

Szlachetni lordowie,  
Chciejcie uważać to za rzecz zwyczajną;  
Jest to w istocie niczym, szkoda tylko,  
Ze nam zasepia swobodę tej chwili.

MAKBET

Co bądź kto śmie, i ja śmiem; przystąp do mnie  
Jako kudłaty niedźwiedź puszczy północnych,  
Opancerzony nosorożec albo  
Tygrys hirkański; przywdziej, jaką zechcesz,  
Postać, wyjąwszy tę, a silne moje  
Nerwy nie zadrzą; wróc wreszcie do życia  
I w głąb pustyni wyzwij mię na ostrze,  
Jeśli drżąc cofnę kroku, to mnie ogłoś  
Lalką bez serca. Precz, okropny cieniu!

*Duch znika.*

Zwodnicza maro, precz! Ha! znikłeś przecie!  
Teraz znów jestem mężem. Siedźcie, proszę.

LADY MAKBET

Przerwałeś ucztę, popsuleś wesołość  
Tym osobliwszym dziwactwa napadem.

MAKBET

Możesz się zdarzać coś takiego? Lotnie,  
Jak letni obłok, mimo nas przeciągać  
I nie przejmować nas na wskroś zdumieniem?  
Wy mię kłóćcie z własną świadomością,  
Bo nie pojmuję, jak mogliście patrzeć  
Na to widziadło i zachować przy tym  
Na licach zdrową, naturalną cerę,  
Gdy moje twoga ubielila.

ROSSE

Jakie

Widziadło, panie?

LADY MAKBET

Nie mówcie nic, proszę,  
Bo pogorszycie jego stan. Pytania  
W podobnych razach w wściekłość go wprawiają.  
Dobranoc, mili panowie, odejdźcie.  
Nie oczekujcie hasła etykiety,  
Ale oddalcie się natychmiast.



ROSSE

Dobrej  
Nocy życzymy i lepszego zdrowia  
Jego królewskiej mości.

LADY MAKBET

Bądźcie zdrowi.

*Lordowie i słudzy wychodzą.*

MAKBET

To o krew woła: krew, mówią, krwi żąda.  
Słyszano drzewa mówiące, widziano  
Podnoszące się głązy, augurowie  
Tajemniczymi sposoby umieli  
Za pośrednictwem wron, kruków i kawek  
Odkryć przelewcę krwi. Która godzina?

LADY MAKBET

Noc walczy z brzaskiem dnia.

MAKBET

Czy wiesz, że Makduf  
Wzbrania się stawić aa nasze wezwanie?

LADY MAKBET

Czyliżeś, panie, posyłał do niego?

MAKBET

Nie jeszcze, z boku tylko tak słyszałem,  
Mam bowiem w domu każdego z tych tanów  
Zaufanego sługę. Zaraz jutro,  
Nie odkładając, pójdę do czarownic:  
Muszą mi one coś więcej powiedzieć.  
Co bądź mię czeka, wolę się dowiedzieć  
Prędzej niż później, abym oko w oko  
Spojrzał losowi. Jużem tak głęboko  
W krwi zagrzął, że wstecz iść niepodobieństwo,  
W miejscu zaś grozi mi niebezpieczeństwo;  
Trzeba więc dalej brnąć. Wesprzyjcie czary,  
Czarne, drzemiące w mym mózgu zamiary!  
Bo ten plód głowy dłoń musi urodzić  
Wprzód, nim się wyda cel, gdzie ma ugodzić.

LADY MAKBET

Pójdź, siły twoje potrzebują wczasu.

MAKBET

Zapewne, idźmy spocząć. Moja dusza

Ulega jeszcze trwogom nowicjusza  
Młodziśmy jeszcze na tym polu.

*Wychodzą.*

## SCENA PIĄTA

*Okolica pokryta wrzosem.  
Grzmot. Wchodzi H e k a t e  
i spotyka Trzy czarownice.*

PIERWSZA CZAROWNICA

Co ci to, co ci to, Hekate?  
Skąd to oblicze marsowate?

HEKATE

Co mi jest? niby to nie wiecie!  
Zuchwałę baby, jak wy śmiecie  
Z Makbetem w tajne szachry wchodzić,  
Z zbrodni do zbrodni go przywodzić,  
A mnie, mistrzynię waszą, mnie,  
Krzewiącą głównie wszystko złe,  
Nie wezwać nawet do udziału  
W tym dziele śmierci i zakału?  
Co gorsza jedna, o! niecnoty,  
To to, że dotąd wasze psoty  
Na korzyść tylko wyszły temu  
Złoczyńcy zapamiętałem,  
Który, jak każdy taki gad,  
Nie wam, lecz sobie służyć rad.  
Pomnijcie mi ten błąd naprawić.  
Nim świt obłoki zacznie krwawić,  
Znajdziecie mnie nad Acheronem,  
W miejscu na czary przeznaczonem:  
On tam przybędzie dla zbadania,  
Jaką mu przyszłość los zasłania.  
Mieście tam w pogotowiu sagan  
I cały przyrząd doń wymagan  
W podobnych razach. Ja odlatam:  
Tej nocy siła złego spletam.  
Będzie to dzieło arcywalne,  
Okropne w skutkach i fatalne.  
Miesiąc dziś w sutej czapce lisiej;  
Przy jednym jego rogu wisi  
Zaklęta kropla: tę ja w porę,  
Gdy spadać będzie, skrzętnie zbiorę,

A gdy zostanie w filtr nasz wlaną,  
Magicznie przedestylowaną,  
Tak sztuczne widma z niej powstaną,  
Ze ich działalność razem wzięta  
Do reszty zmysły mu opęta.  
Drwić będzie z losu, z śmierci szydzić,  
Dolę swą niewzruszoną widzieć,  
I lekceważąc wszystko w świecie  
Sądzić się wiecznym – a wy wiecie,  
Jak zbytnia ufność w bezpieczeństwo  
Pograża w przepaść człowieczeństwo.

*Śpiew za sceną: „Przybywaj tu, przybywaj tu” itd.*

Słyszycie? kania woła dżdzu.  
Mój mały diablík, jak świerszcz w murze,  
Gwiżdże tam na mnie w mglistej chmurze

*Wychodzi.*

#### PIERWSZA CZAROWNICA

Spieszmy się, pędźmy chyżym lotem,  
Bo stara będzie wnet z powrotem.

*Wybiegają.*

#### SCENA SZÓSTA

*Forres. Pokój w zamku.*

*Wchodzi L e n n o x z drugim L o r d e m,*

#### LENNOX

To, com ci mówił, jest tylko wskazówką;  
Jak chcesz, ją sobie tłumacz. Krótko mówiąc,  
Dziwne się rzeczy działy. Makbet ronił  
Łzy nad Dunkanem, lecz Dunkan już nie żył;  
Pocziwy Banko późno gdzieś wyjechał  
I przepadł; powiesz, że go Fleance zabił,  
Bo Fleance uciekł. Któż jeździ tak późno?  
Cóż to za niecne wyrodki, ten Malkolm  
I ten Donalbein, żeby tak dobrego  
Ojca zabijać! Piekielne potwory!  
Jakaż to zgrozą przejęło Makbeta!  
Nie utopiłże zaraz w świętym gniewie  
Sztyletu w piersiach owych dwóch zbrodniarzy,  
Podłych opilstwa i snu niewolników?

Niepięknyż to był czyn? ba, i roztropny,  
Boby to było oburzyło wszystkich,  
Gdyby się byli ci hultaje śmieli  
Usprawiedliwiać. Dość, że jak powiadam,  
We wszystkim znalazł się on jak najtrafniej,  
I zdaje mi się, że gdyby miał teraz  
Pod kluczem synów Dunkana (do czego,  
Da Bóg, nie przyjdzie), dowiedzieliby się,  
Co to jest zgładzać ojca. Toż i Fleance...  
Ale dość tego! Słyszałem, że Makduf  
Z powodu kilku wyrazów niebaczących  
I nieprzybycia na ucztę tyrana  
Popadł w niełaskę. Czy ci nie wiadomo,  
Gdzie on jest teraz?

LORD

Starszy syn Dunkana,  
Co go z praw rodu wyzuł przywłaszczyciel,  
Żyje na dworze Anglii, tak uprzejmie  
Przez pobożnego goszczony Edwarda,  
Że nieżyczliwość losu i złość ludzka  
W niczym czci jego nie czynią uszczerbku,  
Tam to się udał Makduf, chcąc uprosić  
Świętobliwego króla o wysłanie  
Northumberlanda z walecznym Siwardem  
Na naszą ziemię, byśmy przy pomocy  
Tych wojowników (i Tego nad nami,  
Który uświęca wszelkie przedsięwzięcia)  
Trwale na koniec zdołali zapewnić  
Chleb naszym ustom i sen nocom naszym;  
Abyśmy w czasie uczt, zabezpieczeni  
Od zbójczych nożów, mogli niezmyślone  
Hołdy oddawać i przyjmować prawe  
Nagrody, czego wszystkiego dziś łakniem.  
Głucha wieść o tym tak ubodła króla,  
Że się wraz począł gotować do wojny.

LENNOX

Czy on posyłał do Makdufa?

LORD

Tak jest.  
Lecz poseł wrócił z lakonicznym: „Nie chcę” –  
Mrucząc pod nosem, jakby chciał powiedzieć;  
„Będiesz żałował tej godziny, w której  
Taką odpowiedź włożyłeś mi w usta.”

LENNOX

To mu powinno wskazać, jak dalece  
Ma być ostrożny. Oby jaki anioł

Uprzedził jego przybycie do Anglii  
I naprzód odkrył cel onego! Oby  
Błogosławieństwo prędzej mogło wrócić  
Temu krajowi, gniecionemu jarzmem  
Przeklętej ręki.

LORD

Dałyby to nieba!

*Wychodzą.*

## AKT CZWARTY

### SCENA PIERWSZA

*Ciemna jaskinia.  
W pośrodku wrzący kocioł. Grzmot i błyskawice.  
Trzy czarownice przy kotle.*

PIERWSZA CZAROWNICA

Trzykroć miauknął bury kot.

DRUGA CZAROWNICA

Tak, i trzykroć puszczyk wrzasł.

TRZECIA CZAROWNICA

Lelek jęczy: czas już, czas.

PIERWSZA CZAROWNICA

Dalej, dalej, siostry wiedźmy,  
Czarodziejski krąg zawieźmy  
Wkoło kotła, wrzucmy doń  
Zbójczych jądów pełną dłoń.  
Ropuszysko, siostró płazu,  
Coś pod zimną bryłą głazu  
Przez trzydzieści dni i nocy  
W odrętwiałej śpiąc niemocy,  
Skisło, zgniło w własnej ropie,  
Ciebie naprzód w kotle topię.

WSZYSTKIE TRZY *tańcząc wkoło kotła*

Dalej! zwawo! hasa! hej!  
Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!

DRUGA CZAROWNICA

Bagnistego węża szczęka  
Niech w ukropie tym rozmięka:

Żabie oko, łapki jeża,  
Psi pysk i puch nietoperza,  
Żądło żmii, łeb jaszczurzy,  
Sowi lot i ogon szcurzy,  
Niech to wszystko się na kupie  
Warzy w tej piekielnej zupie.

WSZYSTKIE TRZY *jak wyżej*  
Dalej żwawo! hasa! hej!  
Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!

#### TRZECIA CZAROWNICA

Jeszcze ingrediencyj kilka!  
Łuska smocza i ząb wilka,  
Z mumii sok, kiszka i ślina  
Zbójcy morskiego, rekina,  
Korzeń lulka i cykuty  
Z łona ziemi w noc wypruty,  
Język bluźniącego Żyda,  
Kozła zółc, i ta się przyda,  
A do tego Turka nos  
I z Tatara brody włos,  
Dwa paluszki małych dziątek  
Zaduszonych; na ostatek,  
Dla nadania konsystencji  
Tej przekłętej kwintesencji,  
Tygryscy scuchłe trzewo.

WSZYSTKIE TRZY *jak wyżej*  
Dalej! żwawo! w prawo! w lewo!  
W lewo! w prawo! hasa! hej!  
Buchaj, ogniu! kotle, wrzej!

#### DRUGA CZAROWNICA

By zaś zakląć wszelkie duchy,  
Wlejcie jeszcze małpiej juchy.

*Wchodzi H e k a t e.*

#### HEKATE

Dobrzeście mi się popisały,  
Trud wasz i pośpiech wart pochwały,  
Terazże dalej, wszystkie społem  
Opaszcie sagan skocznym kołem  
I ponad parą jego warów  
Śpiewając dokonajcie czarów.

*Wychodzi.  
Muzyka.  
Śpiew.*

Duchy czarne, białe,  
Bure i szare  
Zstąpcie, zstąpcie, zstąpcie  
W tę tu pieczarę.

DRUGA CZAROWNICA

Palec mię świerzbi, to dowodzi,  
Ze jakiś potwór tu nadchodzi:  
Odsłońcie otwór, niech wnijdzie potwór!

*Wchodzi M a k b e t.*

MAKBET

Nuże, pokątne, stare prorokinie,  
Co tam stwarzacie?

WSZYSTKIE TRZY *razem*

Bezimiennie dzieło.

MAKBET

W imię tych potęg, którym hołdujecie,  
Jakie bądź one są i skąd bądź może  
Pochodzić wasza tajemnicza wiedza,  
Odpowiadajcie mi, zaklinam was!  
Choćbyście miały rozpętać orkany  
I zwrócić wściekłość rozhukanych wicherów  
Przeciw kościołom; choćby wzdęte wały  
Roztrzaskać miały i pochłonąć w sobie  
Wszelką żeglowną łódź; choćbyście miały  
Zmiąć bujne zboża, drzewa wykorzeniać,  
Zamki powalić na głowy obrońców;  
Choćby pałace, piramidy miały  
Pochylić czoła aż do fundamentów;  
Chociażby wszystkie skarby przyrodzenia  
W zarodach swoich miały zmarnieć, ażby  
Samo zniszczenie osłabło z znużenia:  
Odpowiedzcie mi, odpowiedzcie na to,  
O co was pytam.

PIERWSZA CZAROWNICA

Mów.

DRUGA CZAROWNICA

Pytaj.

TRZECIA CZAROWNICA

Słuchamy.



PIERWSZA CZAROWNICA

Powiedz nam pierwej, czyli wolisz z naszych  
Ust to usłyszeć, czy z ust naszych władców?

MAKBET

Dobrze, wezwijcie ich, niech ich zobaczą.

PIERWSZA CZAROWNICA

Krwi maciory, która zjadła  
Swoją własną, trochę sadła  
Pociekłego z szubienicy,  
Gdzie wisieli rozbójnicy –  
Wrzućcie w kocioł.

WSZYSTKIE TRZY *razem*

Wielcy, mali,  
Wzywamy was z bliska, z dali,  
Abyście się ukazali.

*Grzmot.*

*Ukazuje się Głowa w hełmie.*

MAKBET

Powiedz, nieznana potęgo!

PIERWSZA CZAROWNICA

On wie, co kryje twoja głowa:  
Słuchaj nie mówiąc ani słowa.

ZJAWISKO

Makbecie! Makbet! Lękaj się Makdufa,  
Lękaj się tana Fajf! – przyjm tę przestrożę.  
Jeśli jej twoja dusza nie zaufa,  
Zginiesz. Dość. Więcej powiedzieć nie mogę.

*Znika.*

MAKBET

Ktokolwiek jesteś, dzięki ci! trafiłeś  
W sam rdzeń obawy mojej. Jeszcze słowo!

PIERWSZA CZAROWNICA

On nie zna, co to rozkaz. Oto drugi  
Jeszcze silniejszy.

*Grzmot.*

*Ukazuje się Zakrwawione dziecko.*

ZJAWISKO

Makbet! Makbet!

MAKBET

Choćbym

Miał troje uszu, słuchałbym cię każdym.

ZJAWISKO

Makbet! bądź mężny, nieugięty, srogi,  
Gardź siłą ludzką i skrytymi wrogami,  
Z tych bowiem, których rodziła kobieta,  
Nikt potężnego nie zmoże Makbeta.

*Znika.*

MAKBET

Żyj więc, Makdufie, niestrasznyś mi teraz.  
Wolę się jednak podwójnie zapewnić  
I wziąć od losu zakład: musisz umrzeć,  
Bym mógł fałsz zadać trwodze i spokojnie  
Spać przy łoskocie gromów.

*Grzmot.*

*Ukazuje się Dziecko w koronie, z gałęzią w ręce.*

Cóż to teraz

Zjawia się niby królewski potomek,  
Z koronowanym czołem?

WSZYSTKIE TRZY

Milcz i słuchaj.

ZJAWISKO

Bądź jak lew śmiały, dumny, przedsiębiorczy;  
Nie tknie Makbeta żaden cios morderczy,  
Póki las Birnam ku dunzynańskiemu  
Wzgórzu nie pójdzie walczyć przeciw niemu.

*Znika.*

MAKBET

Do tego nigdy nie przyjdzie. Któż zdoła  
Las Wzruszyć z posad, kazać jego drzewom  
Dobyć korzenie z głębokości gruntu?  
Święć się, przyjazna wróżbo! Hydro buntu,  
Nie podnoś głowy wprzód, aż się podniesie  
Las Birnam. Wielki, jak drzewa w tym lesie,  
Żyć będzie Makbet, nie dbając o burze,  
Podległy tylko śmiertelnej naturze  
I prawom czasu. Lecz jedną rzecz jeszcze  
Trzeba mi wiedzieć. O wy, twory wieszczce,  
Jeśli przed wami przeznaczenie chyli  
Wszelką zasłonę, powiedzcie mi, czyli

Potomstwo Banka będzie kiedykolwiek  
Rządzić tym krajem?

WSZYSTKIE *razem*

O to nas nie pytaj.

MAKBET

Muszę w tym względzie być zaspokojony;  
Jeśli mi tego odmówicie, niechaj  
Wieczne przekleństwo na was spada! Mówcie!

*Odgłos obojów. Kociół znika.*

Czemu znikł kociół i co to za odgłos?

PIERWSZA CZAROWNICA

Ukażcie się!

DRUGA CZAROWNICA

Ukażcie się!

TRZECIA CZAROWNICA

Ukażcie się!

WSZYSTKIE TRZY

Pokażcie mu to, czego chce.  
Jak lekki dym lub lotny gaz,  
Ukażcie się i zgińcie wraz!

*Ukazuje się ośmiu królów i przechodzi przez scenę jeden za drugim, za ostatnim, trzymającym zwierciadło w ręku, postępuje B a n k o.*

MAKBET

Tyś żywy obraz Banka. Precz! przepadnij!  
Korona twoja pali mi źrenice.  
A ty, ty druga maro w złotym wieńcu,  
Twój włos jest taki sam jak u pierwszego  
I trzeci jeszcze, podobny do tamtych!  
Złośliwe wiedźmy, po co mi ten obraz  
Ukazujecie? Ha! otóż i czwarty!  
I piąty? Czyliż ten pochód trwać będzie  
Do końca świata! Jeszcze jeden! Siódmy!  
Tego już nadto! Ale oto jeszcze  
Ósmy z kolei zbliża się z zwierciadłem,  
W którym spostrzegam długi szereg takich  
Samych postaci, a niektóre mają  
Podwójne jabłka i potrójne berła.  
Okropny, stokroć przeklęty widoku!  
Maż to być prawda? Krwią zbroczony Banko  
Śmieje się ze mnie i wskazuje na tych,

Co po nim idą, jakby chciał powiedzieć;  
„To moi.” Więc to tak?

PIERWSZA CZAROWNICA

Tak, panie, ten to znak.  
Lecz czemuż się Makbeta dusza  
Tak bardzo na ten widok wzrusza?  
Orzeźwmy, siostry, jego męstwo,  
Niech szczytu dojdzie czarnoksiężstwo  
Ja zbudzę dźwięk, a wy bez zwłoki  
W korowód rozpocznijcie skoki,  
By się w nim nowy zapal wzmógł  
I wielki król powiedzieć mógł,  
Ze starożytne wiły  
Godnie go ugościły.

*Muzyka.*

*Cz ar o w n i c e tańczą, a następnie znikają.*

MAKBET

Gdzież one? Wyszły? Niechaj ta godzina  
Jako przeklęta zapisaną będzie  
Na wieczne czasy w kalendarzu! Hola!  
Wnijdź, kto tam jesteś.

LENNOX *wchodząc*

Co rozkażesz, panie?

MAKBET

Widziałeś tam te wiedźmy?

LENNOX

Nie widziałem,

MAKBET

Nie przechodziłyż tamtędy?

LENNOX

Nie, panie.

MAKBET

Zapowietrzona niech będzie ich droga  
I potępiony, kto im daje wiarę!  
Słyszałem tętent koni: ktoś przejeżdżał?

LENNOX

To dwóch rycerzy, panie, którzy waszej  
Królewskiej mości przywieźli wiadomość,  
Że Makduf zbiegł do Anglii.

MAKBET

Zbiegł do Anglii?

LENNOX

Tak, panie.

MAKBET

Czasie, ty uprzedzasz straszne  
Moje ocknienie. Zamiary są wiatrem,  
Kiedy nie idą z wykonaniem w parze.  
Od dziś dnia każdy płód mojego mózgu  
Będzie bliźniącym bratem mojej ręki  
I przedsięwzięcie to ziszczę natychmiast:  
Napadnę zamek Makdufa, zdobędę  
Cały Fajf, oddam na pastwę żelazu  
Jego niewiastę, jego dzieci, wszystko,  
Co ma z krwią jego jakikolwiek związek.  
Dość tych przechwałek! Niech skutek dowodnie  
Odpowie słowom, nim zamiar ochłodnie.  
Tylko już pokój czarom! Gdzie ci gońcy?  
Prowadź mię do nich.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Fajf. Komnata w zamku M a k d u f a,  
L a d y M a k d u f, jej mały S y n e k i R o s s e.*

LADY MAKDUF

Cóż on uczynił, żeby być zmuszony  
Uciekać z kraju? Co uczynił?

ROSSE

Chciej zważyć, pani...

LADY MAKDUF

On na nic nie zważał;  
Jego ucieczka jest szaleństwem. Bojaźń  
Tak dobrze czyni zdrajcą jak i zdrada.

ROSSE

Nie wiesz, o pani, czy to krok obawy,  
Czy roztropności.

LADY MAKDUF

Roztropności? Żonę,  
Dzieci porzucać, dom i dostojeństwa,  
Wszystko, co ludzi przykuwa do miejsca?  
On nas nie kocha, w nim nie ma czułości.  
Najlichszy ptaszek, drobny mysikrólik  
Nie walczysz z sową, broniąc piskląt w gnieździe?  
Bojaźń u niego wszystkim, niczym miłość.  
Niewielka też i mądrość, gdzie ucieczka  
Sprzeczna z rozumem.

ROSSE

Uspokój się, pani,  
I nie uwłaczaj małżonkowi. Jest on  
Szlachetny, mądry, bardziej niż ktokolwiek  
Świadomy praktyk dzisiejszej epoki.  
Nie mogę nad tym dłużej się rozwodzić.  
Ciężkie to czasy, w których człek jest zdrajcą,  
Nie wiedząc o tym; słyszy wieści o czymś,  
Czego się lęka, czego się zaś lęka,  
Nie wie sam, krążąc na oślepie po dzikim,  
Wzburzonym morzu. Zostawiam cię, pani;  
Wkrótce tu będę znowu: mam nadzieję,  
Gdzie nadmiar złego, tam złe musi ustać  
Albo powrócić do dawnego stanu.  
Bądź zdrów, mój mały przyjacielu, niech cię  
Bóg ma w opiece.

LADY MAKDUF

Ma ojca, niebożę,  
A jest sierotą.

ROSSE

Dłuższy mój tu pobyt  
Naraziłby mnie na niebezpieczeństwo.  
A ciebie, pani, na przykrość; dlatego  
Wybacz, że spiesznie się oddalam.

*Wychodzi.*

LADY MAKDUF

Chłopcze,  
Twój ojciec umarł. Cóż poczniesz bez ojca?  
Jakież to teraz będzie życie twoje?

SYNEK

Takie jak ptaszka, matko.

LADY MAKDUF

Życ więc będziesz  
Muchami tylko, robaczkami?

SYNEK

Wszystkim,  
Co mi się uda złowić: tak jak ptaszek.

LADY MAKDUF

Biedny mój ptaszku, nie lękasz się sideł,  
Ani potrzasków, ani lepu?

SYNEK

Czegoż  
Miałbym się lękać, matko? Biednym ptaszkom  
Nie czynią przecie nic złego. A potem  
Ojciec nie umarł, choć tak mówisz.

LADY MAKDUF

Umarł,  
Umarł doprawdy. Skąd weźmiesz, nieboże,  
Drugiego ojca?

SYNEK

A skąd ty, mateczko,  
Weźmiesz drugiego męża?

LADY MAKDUF

Pięćdziesięciu  
Kupić bym mogła na pierwszym jarmarku.

SYNEK

Aby ich potem odprzedać, nieprawdaż?

LADY MAKDUF

Masz dowcip, lubo ten twój dowcip nie jest  
Jeszcze nad lata.

SYNEK

Mateczko, czy ojciec  
Był zdrajcą?

LADY MAKDUF

Był nim.

SYNEK

A co to jest zdrajca?

LADY MAKDUF

Ten, co przysięga i kłamie.

SYNEK

Czy wszyscy,  
Którzy to czynią, są zdrajcami?

LADY MAKDUF

Każdy,  
Który to czyni, jest zdrajcą i wisieć  
Za to powinien.

SYNEK

Czyliż wszyscy tacy  
Powinni wisieć?

LADY MAKDUF

Wszyscy.

SYNEK

Któż ich wiesz?

LADY MAKDUF

Ma się rozumieć, że poczciwi ludzie.

SYNEK

Takim sposobem przysięzcy i kłamcy  
Są bardzo głupi: jest ich bowiem tylu,  
Żeby poczciwych ludzi mogli pobić  
I powywieszać.

LADY MAKDUF

Pomagaj ci Boże,  
Biedny błazenku! Lecz skąd weźmiesz ojca?

SYNEK

Gdybym go nie miał, płakałabyś po nim,  
Matko; a gdybyś po nim nie płakała,  
Byłby to dowód, że wkrótce mieć będę  
Nowego.

LADY MAKDUF

Biedny ty paplo, co bajesz!

*Wchodzi Nieznajomy.*

NIEZNAJOMY

Bądź pozdrowiona, piękna pani! Jestem  
Obcy dla ciebie, ale twoja godność  
Jest mi dokładnie znana. Chroń się, uchodź,  
Niebezpieczeństwo wisi tuż nad tobą.  
Nie gardź przestroga prostego człowieka,  
Weź dzieci, opuść natychmiast te miejsca.  
Jest to zaiste okrucieństwem tak cię  
Przerażać, pani. Coś gorszego nad to  
Chcieć ci wyrządzić, byłoby srogością



Potworną, która jest jednak zbyt bliska  
Twojej osoby. Niech cię chronią nieba!  
Nie mogę bawić dłużej.

*Wychodzi.*

LADY MAKDUF

Gdzież mam uciec?

Cóżem zrobiła złego? Ale prawda,  
Żyję na świecie, na którym zło często  
Bywa chwalebne, a dobro jest miane  
Za zgubne głupstwo. Biada mi! Czyż zdołam  
Znaleźć obronę w tych jedynie słowach:  
Jestem niewinna?

*Wchodzą mordercy*

Ha, cóż to za twarze!

MORDERCA

Gdzie mąż waćpani?

LADY MAKDUF

Mój mąż? Pewnie w żadnym  
Tak nieczym miejscu, gdzie by go mógł znaleźć  
Podobny tobie.

MORDERCA

On jest zdrajcą.

SYNEK

Kłamiesz.

Kudłaty łotrze!

MORDERCA

A ty jaje! Mała,  
*przebija go*

Krnąbrna gadzino, leż!

SYNEK

Zabił mnie! Matko!

Uciekaj! błagam cię!

*Umiera.*

*L a d y M a k d u f, ścigana przez morderców, ucieka  
wołając: „Morderstwo! Ratunku!”*

## SCENA TRZECIA

*W Anglii. Pokój w pałacu królewskim.  
M a l k o l m i M a k d u f.*

MALKOLM

Idźmy poszukać ustronnego cienia  
I tam spokojnie spłakać naszą boleść.

MAKDUF

Idźmy wznieść raczej miecz nieubłagany  
I, jak przystoi prawym mężom, walczyć  
Za poniżone nasze gniazdo. Z każdym  
Nowym porankiem nowe wdów jęczenia,  
Nowy płacz sierot, nowe skargi głośno  
Biją w niebiosa, tak że te wydają  
Żałobny odgłos, jak gdyby toż samo  
Czuły co Szkocja i tak samo pomsty  
Wzywały.

MALKOLM

Cierpię nad tym, czemu wierzę,  
A wierzę temu, co wiem; co zaś mogę  
Uczynić w takim razie, to uczynię,  
Gdy w sposobności znajdę sprzymierzeńca.  
To, coś powiedział, mogłoby być prawdą.  
Ten krwawy tyran, na którego wzmiankę  
Język drętwieje, uchodził był dawniej  
Za cnotliwego; sprzyjałeś mu waćpan,  
On cię też jeszcze nie skrzywdził. Jam młody,  
Mógłbyś go sobie zjednać moim kosztem.  
Roztropność nawet radziłaby biedne,  
Bezsilne jagnię oddać na ofiarę  
Gniewnemu bóstwu.

MAKDUF

Jam nie zdrajca.

MALKOLM

Ale

Makbet jest takim, a przeważny nakaz  
Panującego najpocziwszych może  
Sprowadzić z prawej drogi. Wybacz jednak;  
Czym jesteś, jesteś; gruntu duszy twojej  
Niedowierzenie moje nie przemieni;  
Wszak aniołowie jaśnieć nie przestają,  
Choć najjaśniejszy z nich upadł. Chociażby

Wszystek kał świata przywdział maskę cnoty,  
Przecieżby cnota musiała się w takim  
Świetle przedstawiać.

MAKDUF

Straciłem nadzieję.

MALKOLM

Podobno właśnie tam, gdzie ja powziąłem  
Powątpiewanie. Odbiegłeś tak nagle  
Żony i dzieci (te najdroższe węzły,  
Te najsilniejsze ogniwa miłości),  
Nie pożegnawszy ich nawet. O! wybacz!  
Niechaj ta moja nieufność nie będzie  
W twych oczach ujmą twojej poczciwości,  
Ale rękojmią mego bezpieczeństwa.  
Co bądź ja myślę, serce twoje może  
Być czyste.

MAKDUF

Brocz się, brocz, biedny nasz kraju!  
Gruntuj spokojnie fundament bezprawia,  
Tyranio! cnota nie wstrząśnie już tobą!,  
Puść wodze gwałtom! Prawomocność twoja  
Zyskała sankcję! Zegnam cię, o panie!  
Nie byłbym takim nędznikiem, jak sądzisz,  
Za wszystką przestrzeń, którą tyran dzierży,  
Za wszystkie skarby Wschodu.

MALKOLM

Nie miej do mnie  
Żalu, Makdufie! W tym, co powiedziałem,  
Obawa ciebie mały miała udział.  
Wierzę, iż kraj nasz upada pod jarzmem,  
Że jęczy, we krwi się pławi, że z każdym  
Nowym dniem nowa przybywa mu rana.  
Nie wątpię także, że liczne by dłonie  
Wzniosły się za mnie. Już wspaniała Anglia  
Ofiarowała do rozporządzenia  
Kilka tysięcy mężnych. Ale cóż stąd?  
Chociażbym zdeptał kark przywłaszczyciela  
I głowę jego na mym mieczu zatknął,  
Nieszczęsna nasza Szkocja nic by na tym  
Nie skorzystała; cierpiałaby, owszem,  
Nierównie bardziej i dotkliwiej pod tym,  
Co by nastąpił.

MAKDUF

Któż by to był taki?

MALKOLM

Przypuszczam, że to ja. Owóz w mym sercu  
Zarody niecnot tak są zagęszczone,  
Że gdyby wzięły wzrost, sam czarny Makbet  
Jak śnieg wydałby się biały i biedny  
Kraj by w nim widział jagnię w porównaniu  
Z bezmiarem moich nieprawości.

MAKDUF

Nie ma  
W zastępach piekieł szatana zdolnego  
Przewyższyc w złości Makbeta.

MALKOLM

To prawda,  
Że on jest krwawy, gwałtowny, złośliwy,  
Fałszywy, chytry, drapieżny, wszeteczny,  
Pełen wszelkiego rodzaju ohydy,  
Noszącej znaną nazwę, ale moja  
Rozpusta nie ma granic. Wasze żony,  
Córy, dziewice, ba! nawet matrony  
Nie napęłniłyby studni żądz moich.  
Chuci me wszelką zerwałyby tamę  
Stawioną mojej woli. Lepszy Makbet  
Niż taki władca.

MAKDUF

Niepohamowana  
Krewkość jest wprawdzie w dziedzinie natury  
Także tyranią; niejeden już piękny  
Tron opróżniła i stała się zgubą  
Wielu monarchów. Tej jednak słabości  
Nie bój się, panie; będziesz mógł w tej mierze  
Popędem swoim szeroko dogadzać,  
Zimnym na zewnątrz się wydając; szaleć,  
Na oczy świata wkładając przepaskę.  
Chętnych białogłów mamy dość. Nie mogę  
Uwierzyć, panie, abyś w sobie żywił  
Takiego sępa, który by był zdolny  
Tyle ich schłonać, ile się ich zwykło  
Nastęczać władzy, kiedy ją do tego  
Znajdują skłonną.

MALKOLM

Oprócz tego leży  
W usposobieniu moim taka niczym  
Nienasycona chciwość, że zostawszy  
Królem, gnębiłbym, mordowałbym szlachtę  
Dla zagarnięcia jej dóbr, pożałowałbym  
Tego klejnotów, a zamków tamtego.

Wzrost mienia byłby dla mego łakomstwa  
Jak sos korzenny, co wzmaga apetyt.  
Knułbym intrygi, zasiewałbym waśnie,  
Niesprawiedliwe wytaczałbym spory  
Wiernym poddanym, rujnując ich gwoli  
Zyskania wziątka.

MAKDUF

Ta wada tkwi głębiej,  
Szkodliwsze puszcza korzenie niż jare  
Ziarno rozpusty: ona to bywała  
Mieczem, co naszych królów dni przecinał.  
Nie bój się jednak, panie: nasza Szkocja  
Dość jest zamożna, potrafi wystarczyć  
Twym wymaganiom. Jeszcze to jest znośne,  
Gdy inne cnoty przeciwważą.

MALKOLM

Ale

Ja nie mam żadnej. Sprawiedliwość, prawość,  
Umiarkowanie, łaskawość, wspaniałość,  
Stalość, uprzejmość, pobożność, cierpliwość,  
Męstwo, energia te wszystkie przymioty  
Właściwe królom są mi całkiem obce.  
Nie ma ich we mnie i cienia. Natomiast  
Bogaty jestem w wszelki rodzaj przywar,  
W rozliczny sposób zdolnych się objawić.  
Gdybym miał władzę, słodkie mleko zgody  
W piekło bym wylał, zakłóciłbym pokój  
Powszechny, zniósłbym, rozerwałbym wszelką  
Jedność na ziemi.

MAKDUF

Szkocjo! Szkocjo!

MALKOLM

Czyliż

Ktoś taki byłby godzien władzy? Powiedz!  
Jam właśnie taki.

MAKDUF

Godzien władzy? Nawet  
Życia niegodny! Nieszczęsny narodzie,  
Pod krwawym berłem niecnego przybysza  
Jęczący, kiedyż ci wrócą dni błogie,  
Skoro najbliższy, prawy spadkobierca  
Twojego tronu zostaje pod klątwą  
Własnych zarzutów i własnej krwi bluźni?  
Nieboszczyk rodzic twój, księżę, był królem  
Ze wszech miar świętym, królowa, dawczyni

Twego żywota, pędziła dni raczej  
Na klęczkach niż na nogach, umierając  
Z każdą godziną życia. Bądź mi zdrowy!  
Takie to właśnie niecnoty, o które  
Siebie oskarżasz, wyгнаły mnie z Szkocji.  
Nadzieje moje, żegnam was!

MALKOLM

Makdufie,

Ten żal szlachetny, ten pocziwy zapal,  
Nadobne dziecko nieskazitelności,  
Rozprasza w mojej duszy czarne cienie  
Powątpiewania i myśl moją godzi  
Z twoim, honorem i wiarą. Ten chytry  
Piekielnik Makbet nieraz usiłował  
Taką przynętą wciągnąć mnie w moc swoją.  
Skromnej jedynie rozwadze winienem,  
Żem łatwowiernie tym próbom nie uległ.  
Niech Ten, co rządzi tam na wysokości,  
Rozstrzyga teraz między mną i tobą,  
Bo od tej pory powierzam łódź moją  
Twemu sterowi; cofam to, com zeznał,  
I wyprzysięgam się wszelkich plam, wszelkich  
Grzechów, którymi obarczyłem siebie.  
Bom w gruncie od nich wolny. Nigdy jeszcze  
Nie tknął kobiety, nigdy nie pożądał  
Cudzego mienia, rzadkom nawet sięgnął  
Po własne, nigdy nie złamałem słowa.  
Nie byłbym zdolny zdradzić nawet diabła  
Przed diabłem. Prawdę miłuję jak życie,  
Pierwszym mym kłamstwem było to świadectwo  
Przeciwko sobie. Czym jestem, to święcę  
Tobie i naszej nieszczęśliwej ziemi,  
Ku której, jeszcze przed twoim przybyciem,  
Sędziwy Siward z dziesiątkiem tysięcy  
Anglików już był gotowy wyruszyć.  
Razem pójdziemy teraz. Oby szczęście  
Było podobne naszej sprawie! Milczysz?

MAKDUF

Tyle bolesnych i radosnych wrażeń  
Trudno pogodzić.

*Wchodzi L e k a r z.*

MALKOLM

Jeszcze o tym z sobą  
Pomówim. Mości lekarzu, czy prędko  
Król wyjdzie?

LEKARZ

Wkrótce, panie. Tłum biedaków  
Czeka na niego; niemoc ich uparta  
Żartuje z wszelkich usiłowań sztuki.  
Lecz gdy on do nich przystąpi i swoją  
Błogosławioną ręką ich się dotknie,  
Wnet ozdrowieją.

MALKOLM

Dziękując, lekarzu.  
*Wychodzi L e k a r z.*

MAKDUF

O jakiejże to on chorobie prawil?

MALKOLM

Są to tak zwane skrofuły. Od czasu  
Mego pobytu w Anglii jużem nieraz  
Był świadkiem takiej cudownej kuracji  
Króla Edwarda. Jakim on sposobem  
Wyprasza sobie to u nieba, jemu  
Tylko wiadomo, lecz pewna, że ludzie  
Srodze dotknięci tą plagą, opuchli,  
Aż smutno patrzeć, odzyskują zdrowie,  
Gdy im na szyi jakiś złoty medal  
Zawiesi, cichą zmawiając modlitwę.  
Mówią, że święty ten sekret zamierza  
Przekazać swoim następcom. Prócz tego  
Ma on proroczy dar przepowiadania  
I wiele innych zbawczych wpływów zlewa  
Na lud, który go mieni łaski pełnym.

*Wchodzi R o s s e.*

MAKDUF

Patrz, panie, kto się tu zbliża.

MALKOLM

Ktoś z naszych,  
Ale go jeszcze nie poznaję.

MAKDUF

Stale  
Miły nam bracie, bądź nam na tym miejscu  
Z serca pozdrowion!

MALKOLM

Poznają go teraz.  
Oddalcie, nieba, to, co by nas mogło  
Czynić obcymi sobie!

ROSSE

Amen, panie.

MAKDUF

Jeszczeż tak samo w Szkocji?

ROSSE

Biedna ziemia!

Nieledwie sama sobie jest postrachem.

Nie matką nam ją zwać, grobowcem raczej,

Gdzie uśmiech tylko tym ożywia usta,

Co nic nie wiedzą; gdzie westchnienia, jęki,

Krzyki i łkania w krąg sieką powietrze

I przebrzmiewają bez słyhu; gdzie rozpacz

Gminnym wydaje się szalem; gdzie kiedy

Dzwon pogrzebowy zawyje żałośnie,

Nikt się nie spyta nawet, komu dzwonią;

Gdzie sprawiedliwy obumiera prędzej

Niż kwiat zdobiący mu czapkę i kona

Nie pośpieszywszy zachorować.

MAKDUF

Straszny,

A jednak pełen prawdy wizerunek!

MALKOLM

Jakież najnowsze nieszczęście?

ROSSE

Najnowsze?

Kto mówi, co się przed godziną stało,

Ten prawi stare rzeczy: każda chwila

Wylęga nową biedę, nową zgrozę.

MAKDUF

Jak się ma moja żona? Powiedz.

ROSSE

Dobrze.

MAKDUF

I wszystkie moje dzieci?

ROSSE

Także dobrze.

MAKDUF

Nie targnął się więc tyran na spokojność

Mojej rodziny?



ROSSE

Nie, spokojna była,  
Gdym ją opuszczał.

MAKDUF

Nie skąp słów, mów wszystko!

ROSSE

Kiedym tu zdążył z wieścią, której ciężar  
Tłoczył mi serce, chodziła pogłoska,  
Że wielu naszych szlachetnych rodaków  
Za broń chwyciło, co mi stwierdził widok  
Wojowniczego ruchu wojsk tyrana.  
Teraz lub nigdy czas śpieszyć z pomocą.  
Ukazanie się twoje, panie, w Szkocji  
W lot by stworzyło mnogie hufce, słabym  
Kobietom nawet podałyby oręż  
Do walki, koniec mającej położyć  
Dotychczasowej ich niedoli.

MALKOLM

Niech ich  
Krzepi tymczasem to, że tam idziemy.  
Wspaniała Anglia użyć nam dziesięć  
Tysięcy ludzi pod wodzą Siwarda,  
Najdzielniejszego, najdoświadczonejszego  
Żołnierza w całym chrześcijaństwie.

ROSSE

Obym  
Za tę pociechę mógł się wywzajemnić  
Czymsiś podobnym! Ale moje usta  
Więzą, niestety, w sobie takie słowa,  
Które by trzeba w pustyni wyzionąć,  
Aby ich ludzki słuch nie przejął.

MAKDUF

Kogoż  
One dotyczą? ogółu czy jakiej  
Prywatnej sprawy?

ROSSE

Wszelki duch, niosący  
Cześć cnocie, bierze udział w tej boleści,  
Ale jej główna część przypada tobie.

MAKDUF

Jeśli mnie, to mi ją oddaj bez zwłoki.

ROSSE

Niech ucho twoje nie przeklnie na zawsze  
Mego języka, który w nie ma wrazić  
Najprzeróżniejszy dźwięk ze wszystkich, jakie  
Dotąd słyszało.

MAKDUF

Ha! zgaduję.

ROSSE

Zamek

Twój został wzięty, żona twoja, dzieci  
Zamordowane. Chcieć ci opisywać,  
Jak się to stało, byłoby to dodać  
Do liczby twoich zakłutych sarenek  
Również śmierć twoją.

MALKOLM

Litościwe nieba!

Nieszczęsny! nie chyl przyłbicy na czoło;  
Daj głos boleści! ona milcząc wzdyma  
Zaparte serce i pęknać mu każe.

MAKDUF

I moje dzieci?!

ROSSE

Żona, dzieci, słudzy,

Wszystko, co było.

MAKDUF

I jam tam być nie mógł!

I żona moja także?

ROSSE

Powiedziałem.

MALKOLM

Pociesz się! Niechaj sroga nasza zemsta  
Będzie lekarstwem na ten cios śmiertelny!

MAKDUF

On nie ma dzieci! Moje pacholęta!  
Wszystkie, powiadasz? O piekielny sepie!  
Wszystkie pieszczoty moje razem z matką  
Za jednym krwawym zamachem!

MALKOLM

Znieś to nieszczęście jak mąż.

MAKDUF

Tak uczynię,  
Lecz muszę także i jak mąż je uczuć.  
Nie mogę o tym pomyśleć, że miałem  
Coś tak drogiego i już nie mam. Jak to!  
Nieba patrzyły na to i ścierpiały  
Taką okropność? Występny Makdufie,  
Tyś to je. zabił. Nie skutkiem to własnej,  
Lecz twojej winy śmierć poniosły. Daj im  
Wieczny mir, Panie!

MALKOLM

Nie miękcz w sobie serca!  
Niechaj ta żalność będzie raczej żagwią  
Twojej dzielności, szlifierskim kamieniem  
Twojego miecza.

MAKDUF

O, mógłbym jak dziecko  
Płakać i usty miotać się jak junak!  
Ale przetnijcie, dobre nieba, wszelką  
Dłuższą odwołkę! Stawcie mię naprzeciw  
Tego szatana Szkocji oko w oko,  
Tylko na długość miecza mi go dajcie:  
Jeżeli zdoła ujść, niechże mu wtedy  
Pan Bóg przebaczy.

MALKOLM

Ten ton brzmi po męsku.  
Idźmy do króla. Gdy go pożegnamy,  
Nic nas wstrzymywać nie będzie, bo owoc  
Zbrodni Makbeta w sam raz już dojrzały  
Do otrząśnięcia i przedwieczny Sędzia  
Posyła swoje ku temu narzędzia.  
Miejmy otuchę! Ta tylko noc nęka,  
Po której nigdy nie ma wzniść jutrzeńka.

*Wychodzą.*

## AKT PIĄTY

### SCENA PIERWSZA

*Dunzynie. Komnata w zamku.  
Lekarz i Jedna z dam pałacowych,*

LEKARZ

Jużem z panią czuwał przez dwie noce i przekonać się o prawdzie jej twierdzenia nie mogę. Dawnoż się to zdarzyło po raz ostatni?

DAMA

Zaraz po wyjściu jego królewskiej mości w pole. Widziałam na własne oczy, jak wstała z łóżka, zarzuciła na siebie nocny ubiór, otworzyła szkatułę, wyjęła papier, złożyła go, napisała coś na wierzchu, przeczytała potem i zapieczętowawszy położyła się znowu: wszystko to we śnie jak najgłębszym.

LEKARZ

Dziwne zboczenie natury! Zostawać pod dobroczynnym wpływem snu i pełnić zarazem funkcję czuwającego. Ale pominąwszy jej przechadzkę i inne czynne manifestacje, nie sły-szałażeś, pani, aby w tym sennym stanie co mówiła?

DAMA

I owszem, takie rzeczy, których za nic nie powtórzę.

LEKARZ

Mnie możesz, pani; potrzeba nawet, abyś to uczyniła.

DAMA

Nie powtórzę nikomu w świecie; nie mam bowiem świadka, który by to potwierdził.

*L a d y M a k b e t wchodzi ze świecą w ręku.*

Patrz pan, oto idzie! Tym samym trybem jak zawsze i najzupełniej uśpiona. Uważaj tylko, stój cicho.

LEKARZ

Skąd ona wzięła tę świecę?

DAMA

Stała przy jej łóżku. Ciągle musi mieć światło przy sobie. Taki wydała rozkaz.

LEKARZ

Widzisz, pani – oczy ma otwarte.

DAMA

Tak, ale ma zawartą ich władzę.

LEKARZ

Cóż to ona robi? Patrz, pani, jak sobie ręce obciera.

DAMA

To jej ruch zwyczajny; zdaje się jej, że tym sposobem umywa sobie ręce; widziałam ją to robiącą, bywało, przez cały kwadrans.

LADY MAKBET

Jeszcze jedna plama.

LEKARZ

Cicho, zaczyna mówić; muszę sobie zapisać wszystko, co usłyszę, abym mógł lepiej spa-  
miętać.

LADY MAKBET

Precz, przekłeta plamo! precz! mówię. Raz dwa – czas działać. – Piekło ciemne. – Wstydz się, mężu, wstydz się! Żołnierzem jesteś, a tchórzysz? Cóż stąd, chociażby się wydało? Nikt nas przecie nie pociągnie do tłumaczenia. – Jednakże kto by się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!

LEKARZ

Słyszysz, pani?

LADY MAKBET

Tan Fajf miał żonę; gdzież ona jest? Cóż to? Czyliż te ręce nigdy obmyć się nie dadzą? Dość tego, mężu, dość tego! Wszystko popsujesz tym obłąkanym wzrokiem.

LEKARZ

Nieszczęsna, wiadome jej są rzeczy, których nie powinna wiedzieć.

DAMA

Powiedziała, czego nie powinna była mówić; to rzecz pewna. Bóg raczy wiedzieć, co jest jej wiadome!

LADY MAKBET

Ciągle ten zapach krwi! Wszystkie wonie Arabii nie odejmą tego zapachu z tej małej ręki.  
Och! och! och!

LEKARZ

Co to było za westchnienie! Ciężkież musi być brzemię na sercu.

DAMA

Nie chciałabym mieć jej serca w moim łonie za wszystkie zaszczyty tego świata.

LEKARZ

W rzeczy samej.

DAMA

Nie daj mi Panie, tego dożyć!

LEKARZ

Choroba tego rodzaju leży za obrębem mojej umiejętności. Znałem jednakże ludzi, co śpiąc chodzili, a mimo tego skonali bogobojnie na łożu.

LADY MAKBET

Umyj ręce, weź szlafrok; nie wyglądamy tak blado. Powtarzam ci. Banko pogrzebany, nie powstanie więcej.

LEKARZ

Czy tak?

LADY MAKBET

Do łóżka! do łóżka! kołatają do bramy. Pójdź, pójdź! pójdź! daj rękę! Co się stało, odstać się nie może. Do łóżka! do łóżka! do łóżka!

*Wychodzi.*

LEKARZ

Teraz się idzie położyć?

DAMA

Nie inaczej.

LEKARZ

Zły to stan. Czyny przeciwne naturze  
Rodzą przeciwny naturze niepokój;  
Skrycie dręczone sumienie powierza  
Nieraz poduszce tajemnice duszy.  
Jej potrzebniejszy ksiądz niż lekarz, Boże  
Przebacz nam grzesznym! Nie odstęp jej, pani;  
Miej ją na oku i pochowaj wszystko,  
Czym by się mogła uszkodzić. Dobranoc.  
To, co widziałem, i to, co słyszałem,  
Wprawilo umysł mój i zmysły moje  
W niewysłowione odurzenie. Myślę,  
Lecz nie śmiem mówić.

DAMA

Dobranoc ci, panie.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*W okolicy dunzynańskiego zamku.  
Menteith, Caithness, Angus, Lennox  
i żołnierze z muzyką i chorągwiami.*

MENTEITH

Angielskie wojska nadciągają. Malkolm,  
Wuj jego Siward i dzielny nasz Makduf  
Są na ich czele. Zemsta wre w ich piersiach,  
I nie dziw: bowiem to, co oni znieśli,  
Trupa by mogło wściekłością zapalić.

ANGUS

Pod lasem Birnam zejdziemy się z nimi:  
Tamtędy idzie ich droga.

CAITHNESS

Nie wiecież,  
Czy jest Donalbein z bratem?

LENNOX

Że go nie ma,  
Mogę zapewnić: mam spis wszystkich osób  
Przy nim będących. Jest tam syn Siwarda  
I siła młodzi gołobrodej, która  
Pierwszy raz teraz ma dać walną próbę  
Swojego męstwa.

MENTEITH

Cóż porabia tyran?

CAITHNESS

Obwarowywa dunzynański zamek;  
Niektórzy mówią, że oszalał; inni,  
Mniejszą żywiący ku niemu nienawiść,  
Zwą to rycerskim zapałem. Z tym wszystkim  
Pewną jest rzeczą, że chorej swej sprawy  
Nie może oprzeć na karbach porządku.

## ANGUS

Czuje on teraz u rąk ciężar swoich  
Kryjomych mordów; ustawiczne bunty  
Odpłacają mu jego wiarołomstwa.  
Ci, co są pod nim, spełniają rozkazy  
Z musu jedynie, bynajmniej z miłości.  
Teraz on widzi swą dostojność luźnie  
Wiszącą na nim, jak suknię olbrzyma  
Na nędznym karle.

## MENTEITH

Nie dziw więc, że zmysły  
Zakłopotane mieszać mu się muszą,  
Gdy wszystko zgoła, co w nim jest, złorzeczy  
Samemu sobie, że jest w nim.

## CAITHNESS

Nie traćmy  
Czasu, panowie. Idźmy dań wierności  
Wypłacić temu, komu się należy;  
Ramieniem naszym poprzeć siły tego  
Lekarza naszej schorowanej ziemi,  
Z nim działać i z nim przelać za jej sprawę  
Wszystką krew naszą.

## LENNOX

Lub taką jej ilość,  
Jaka wystarczy do nadania wzrostu  
Królewskiej róży i zalania ostu.  
Ruszajmy tedy ku Birnam!

*Wychodzą przy odgłosie muzyki.*

## SCENA TRZECIA

*Dunzynan. Jedna z komnat zamkowych.  
Wchodzi M a k b e t, a za nim przyboczny orszak.*

## MAKBET

Już mi języka nie przynoście! niech mię  
Wszyscy odstąpią! Dopóki las Birnam  
Pod dunzynański nie podstąpi zamek,  
Uragam trwodze. Czy ten dzieciuch Malkolm  
Nie wyszedł z łona kobiety? Potęgi  
Świadome losów ludzkich najwyraźniej  
Mi powiedziały: „Nie bój się, Makbecie,



Nikt z ludzi, których rodziła kobieta,  
Nie weźmie nigdy przewagi nad tobą.”  
Precz więc, odstępcy, precz! Łączcie się z tymi  
Niewieściuchami Anglii; nie dbam o was.  
Duch mój i serce pod wyższą załogą  
Nie zwątpi nigdy ani zadrzy trwogą.

*Jeden ze sług wbiega.*

Żeby cię szatan poczerzył! Nieszczęsny,  
Skąd ci się wzięło to gęsie oblicze?

SŁUGA

O panie, zbliża się dziesięć tysięcy...

MAKBET

Gęsi, hultaju? he?

SŁUGA

Żołnierzy, panie.

MAKBET

Idź, potrzyj sobie twarz, pomaluj ćwikłą  
Ten blansz tchórzostwa. Co? dziesięć tysięcy  
Żołnierzy? Żeby ci język skamieniał!  
Blejwas lic twoich jest twogi doradcą.  
Jacy żołnierze? mów!

SŁUGA

Angielskie wojsko,  
Do usług waszej wielkości.

MAKBET

Uciekaj  
Sprzed moich oczu! Gdzie Sejton? Sejtonie!  
Słabnę na sercu, widząc... Hola! Sejton!  
To najście albo dźwignie mnie na zawsze,  
Albo powali. Dość już żyłem; wiosna  
Życia mojego prędko przeszła, prędko  
Żółtym, zwarzonym pokryła się liściem,  
A to, co miało być działem starości:  
Cześć, posłuszeństwo, miłość, grono wiernych  
Sług i przyjaciół – wszystko to nie dla mnie.  
Raczej przekleństwo, nienawiść, tym głębsza,  
Że cicha, cześć ust, posługi służalców,  
Którzy by radzi mię odbiec, lecz nie śmia.  
Sejton!

*Sejton wchodzi.*

SEJTON

Co wasza królewska mość każe?

MAKBET

Cóż tam nowego?

SEJTON

To, co doniesiono,  
Sprawdza się, panie.

MAKBET

Walczyć będę, póki  
Mi nie odrąbią mięsa z wszystkich kości.  
Podaj mi zbroję!

SEJTON

Jeszcze niepotrzebna.

MAKBET

Wdzieję ją. Idź, zbierz co najwięcej koni,  
Przebiegnij w okrag całą okolicę!  
Kto bądź da hasło popłochu, niech wisi  
Na pierwszym drzewie. Podaj mi hełm, pancerz.

*L e k a r z wchodzi.*

Jak się ma waści pacjentka?

LEKARZ

Nie tyle  
Chora jest, panie, ile udręczona  
Osobliwszymi widzeniami, które  
Nie pozwalają jej użyć spoczynku.

MAKBET

Wylecz ją z tego! Nie jesteście zdolnym  
Poradzić chorym na duszy? Głęboko  
Zakorzeniony smutek wylwać z myśli?  
Wygnać załęgłe w mózgu niepokoje?  
I antidotem zapomnienia wyprzeć  
Z uciśnionego łona ten tłok, który  
Przygniata serce?

LEKARZ

W takich razach chory  
Musi sam sobie radzić.

MAKBET

Rzuć więc w śmietnik  
Swoje dryjakwie; nie chcę wiedzieć o nich.  
Jest tam kto? Podać mi zbroję, buławę!  
Sejtonie, wyślij ludzi. – Patrz, doktorze,  
Tanowie przeszli na stronę najeźdźców!  
Dalej, Sejtonie, śpiesz się! – O! doktorze.  
Gdybyś mógł zbadać wodę<sup>11</sup> mego państwa,  
Poznać z niej jego defekt i przywrócić  
Jej dawny kolor, zwiastujący zdrowie,  
Stałbym się echem, które by rozniosło  
Po całym świecie poklask dla twojej sztuki.  
Sejtonie, śpiesz się! Żeby znaleźć jaki  
Senes, jalapę albo rumberbarum,  
Co by stąd wyparł tych Anglików! Pomyśl,  
Słyszałeś o ich najściu?

LEKARZ

Z mowy waszej  
Królewskiej mości doszło o tym nieco  
Do mojej wiedzy.

MAKBET

Zanieście to za mną.  
Drwię z klęsk i śmierci, póki cię, Birnamie,  
Przy dunzynańskiej nie zobaczę bramie.

*Wychodzą wszyscy prócz L e k a r z a.*

LEKARZ

Gdybym się za tę bramę raz wydostał,  
Sam diabeł by mnie zawrócić nie sprostał.

*Wychodzi.*

## SCENA CZWARTA

*Okolica w pobliżu Dunzynanu. Las opodal.  
Przy odgłosie trąb wchodzą z wojskiem i chorągwiemi  
M a l k o l m, stary S i w a r d z S y n e m, M a k d u f,  
M e n t e i t h, C a i t h n e s s, A n g u s, L e n n o x, R o s s e i i n n i.*

MALKOLM

Wkrótce, spodziewam się, nadejdą czasy,  
Że człowiek będzie bezpieczny pod dachem.

---

<sup>11</sup> tu: urynę

MENTEITH

Nie wątpim o tym, panie.

MALKOLM

Jak się zowie

Ten las?

MENTEITH

Las Birnam.

MALKOLM

Niech każdy wojownik

Utnie w nim gałąź i przed sobą niesie:

Przez taki fortel ukryjemy naszą

Istotną siłę i sprawim, że szpiegi

W błąd wprowadzeni będą.

ŻOŁNIERZ

Tak się stanie.

*Żołnierze wychodzą.*

SIWARD

Nie powzięliśmy innego języka,

Jedno że tyran, zaufany w sobie,

Zamknął Dunzynan i chce oblężenie

Nasze wytrzymać.

MALKOLM

W tym ci jest ostatnia

Jego ucieczka, gdziekolwiek się bowiem

Zdarzy sposobność, tak mali, jak wielcy

Powstają przeciw niemu i obecnie

Służą mu tylko najemnicy, obcy

Rodem i sercem.

MAKDUF

Schowamy na później

Uwagi nasze i sądy, a teraz

Mężnie i czynnie weźmy się do dzieła.

SIWARD

Zbliża się chwila mająca nam wskazać,

Co mamy nazwać naszym lub wymazać

Z ksiąg należności. Rozbiór<sup>12</sup> nie zwycięża,

Rękojmia skutku jest w sile oręża,

Dalej więc, naprzód!

*Wychodzą przy odgłosie muzyki.*

---

<sup>12</sup> Tu w znaczeniu: rozważanie, analiza.

## SCENA PIĄTA

*Dunzynn. Wewnątrz zamku.  
M a k b e t, S e j t o n i żołnierze wchodzą z muzyką  
i chorągwiami.*

MAKBET

Zatknijcie sztandar na wałach. Wciąż słyhać  
Ten przeraźliwy okrzyk: Idą! idą!  
Warowny zamek nasz szydzi z ich groźby.  
Niech go obiegna, niechaj leżą pod nim,  
Dopóki ich głód i mór nie wytepi.  
Gdyby nie byli wsparci przez tych, którzy  
Tu być powinni, wyszlibyśmy na nich  
I dalibyśmy im poczuć na karkach  
Hart naszych mieczów.

*Krzyk kobiet za sceną.*

Cóż to znów za wrzawa?

SEJTON

To krzyki kobiet, miłościwy panie.

*Oddala się.*

MAKBET

Dawno już smaku trwogi zapomniałem:  
Był czas, gdym drętwiał, słysząc głos puszczyka,  
Gdy przy słuchaniu powieści o strachach  
Włos mi się jeżył i prężył na głowie,  
Jakby był żywy; czas ten prędko minął;  
Przeładowałem się okropnościami:  
Spoufalone z zgrozą zmysły moje  
Stępiały na wpływ wrażeń.

*S e j t o n powraca.*

Co znaczyły

Te krzyki?

SEJTON

Panie, królowa umarła!

MAKBET

Powinna była umrzeć nieco później;  
Czego się było tak śpieszyć z tą wieścią?

Ciągle to jutro, jutro i znów jutro  
Wije się w ciasnym kółku od dnia do dnia  
Aż do ostatniej głoski czasokresu;  
A wszystkie wczora to były pochodnie,  
Które głupocie naszej przyświecały  
W drodze do śmierci. Zgaśnij, wątłe światło!  
Życie jest tylko przechodnim półcieniem,  
Nędznym aktorem, który swoją rolę  
Przez parę godzin wygrawszy na scenie  
W nicłość przepada – powieścią idioty,  
Głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą.

*Żołnierz wchodzi.*

Przyszedłeś zrobić użytek z języka,  
Mów prędko!

ŻOŁNIERZ

Panie, przychodzę oznajmić  
Coś, co powiedzieć mogę, że widziałem,  
Ale sam nie wiem, jak powiedzieć.

MAKBET

Powiedz,  
Jak możesz.

ŻOŁNIERZ

Kiedy odbywałem wartę  
Owdzie na wzgórzu, spojrzałem ku Birnam:  
Wtem las, zdawało mi się najwyraźniej,  
Zaczął się ruszać z miejsca.

MAKBET *chwytając go za pierś*

Kłamiesz, łotrze!

ŻOŁNIERZ

Wywrzyj, o panie, na mnie swój gniew cały,  
Jeśli tak nie jest. O trzy mile w dali  
Widać go, jak się rusza i posuwa  
Prosto w tę stronę.

MAKBET

Jeśli fałsz donosisz,  
Dopóty żywcem wisieć nie przestaniesz,  
Aż umrzesz z głodu; jeśli prawdę mówisz,  
Wolno ci będzie tak uczynić ze mną.  
Teraz poznaję dwuznaczność wyrazów  
Wiecznego mego wroga, który, kłamiąc  
Pozorem prawdy, mówił mi zdradziecko:  
„Nie bój się, póki las Birnam nie przyjdzie

Pod mury twego Dunzynanu.” Otóż  
Zbliża się jakiś las do Dunzynanu!  
Dalej, do broni! do broni! i naprzód!  
Jestli to prawda, nie mam czego czekać,  
Na nic mi zostać, na nic mi uciekać,  
Zbrzydło mi słońce; rad bym, żeby cała  
Budowa świata w proch się rozleciała.  
Uderzcie w dzwony! Dmij, wicherze! wrzej, toni!  
Mamli umierać, umrę z mieczem w dłoni.

*Wychodzą.*

## SCENA SZÓSTA

*Tamże. Równina przed zamkiem.*

*Przy odgłosie muzyki wojennej wchodzi z chorągwiami: M a l k o l m, stary S i w a r d,  
M a k d u f i żołnierze z gałęziami w ręku.*

MALKOLM

Jesteśmy już dość blisko; rzućcie teraz  
Precz te zielone zasłony i w całym  
Blasku okażcie się tym, czym jesteście.  
Ty, mój szanowny wuju, wspólny z swoim  
Szlachetnym synem, stoczysz wstępną bitwę,  
A zacny Makduf i my baczyć będziem,  
Co pozostanie dalej do zrobienia  
Zgodnie z przyjętym planem.

SIWARD

Bądźcie zdrowi.

Jeśli wróg tylko czekać nam nie każe,  
Czy walczyć umiem, wnet plac boju wskaże.

MAKDUF

Zadmijcie w trąby! zlećcie wszystkie tchnienia  
W tych krwi heroldów, śmierci i zniszczenia.

*Wychodzą.*

*Okrzyk wojenny i odgłos trąb nieustający.*

## SCENA SIÓDMA

*Tamże. Inna część równiny.  
Wchodzi M a k b e t.*

MAKBET

W ostęp mnie wzięli: nie mogę uciekać,  
Jak niedźwiedź muszę psiarni stawić czoło.  
Któż jest ten, co się nie rodził z kobiety?  
Tego się tylko mam bać lub nikogo.

*Młody Siward wchodzi.*

MŁODY SIWARD

Jak się nazywasz?

MAKBET

Zadrzysz, gdy usłyszysz.

MŁODY SIWARD

Nie, choćbyś gorsze nazwisko wymienił  
Od wszystkich w piekle znanych.

MAKBET

Makbet jestem.

MŁODY SIWARD

Makbet! Sam szatan nie mógł wyrzec nazwy  
Nienawistniejszej dla mojego ucha.

MAKBET

Straszniejszej chyba.

MŁODY SIWARD

Kłamiesz, podły zbroju!  
Zaraz ci zadam fałsz tym mieczem.

*Walczą.*

*Młody Siward pada.*

MAKBET

Tyś był z kobiety zrodzon: leż junaku!  
Igraszką dla mnie miecze i sztylety,  
Póki je dzierży mąż zrodzon z kobiety.

*Wychodzi.*

*M a k d u f wchodzi.*



MAKDUF

Zgiełk był w tej stronie. Ukaż się, zbrodniarzu:  
Gdybyś legł z innej dłoni, a nie z mojej,  
Duch mojej żony i duchy mych dzieci  
Wiecznie by za to mnie prześladowały.  
Nie mogę godzić w czerń, co swoje dłonie  
W najem oddała. Albo się na tobie,  
Makbecie, stępi ostrze mego miecza,  
Albo nietknięte powróci do pochwy.  
Tam on być musi: ta donośna wrzawa  
Wskazuje, że tam rzeź toczy się krwawa  
Pod wodzą kogoś niepospolitego.  
O losie, daj mi go znaleźć! niczego  
Więcej nie żądam.

*Wychodzi.*

*Malcolm i stary Siward wchodzi.*

SIWARD

Tędy, milordzie; zamek już się poddał,  
Ludzie tyrana walczą po dwu stronach,  
Ale i tanom nie brak animuszu.  
Sam dzień po twej się opowiada stronie.  
Już prawie koniec.

MALKOLM

Spotkaliśmy wrogów,  
Co zamiast przeciw nam walczyć, walczyli  
Przy boku naszym.

SIWARD

Wnijdź, panie, do zamku.

*Wychodzą.*

*Makbet wraca.*

MAKBET

Mamli rzymskiego głupca naśladować  
Przebić się własnym mieczem? Nie! dopóki  
Życie przed sobą widzę, wolę raczej  
Przeszywać cudze piersi.

*Makduf wraca.*

MAKDUF

Stój, psie z piekła!

MAKBET

Nie unikałem nikogo prócz ciebie:  
Odstąp! krew twoich i tak mi już dosyć  
Cięży na duszy.

MAKDUF

Nie mam słów: mój wszystkim  
Głos jest w tym mieczu; okrutniku, sroższy  
Nad wszelki wyraz ludzkiego języka!

*Walczą.*

MAKBET

Próżno się trudzisz: równie byś potrafił  
Przeciąć powietrze mieczem jak mnie zranić;  
Zwróć więc to ostrze na tych, których ciała  
Ciosy się mogą imać; moje życie  
Zaczarowane: nikt zrodzon z kobiety  
Nie zdoła mi go odjąć.

MAKDUF.

Zwątp więc w czary!  
Zapytaj tego anioła, któremu  
Sprzedałeś duszę, toć powie, że Makduf  
Przedwcześnie z łona matki był wypruty.

MAKBET

Przeklęty język, co mi to powiada!  
Czuję, jak męska dzielność we mnie mięknie.  
Przekleństwo owym szalbierskim potęgom,  
Które nas duszą dwuznacznymi słowy!  
Przynoszą złote obietnice uszom,  
A odbierają je oczekiwaniom.  
Nie walczę z tobą.

MAKDUF

Więc poddaj się, tchórze,  
I żyj, by palcem cię pokazywano.  
Obraz twój, niby arcyzadkiew bestii,  
Jakie nam w budach są pokazywane,  
Na drażną zatknąć każem i pod spodem  
Położym napis: Tu jest do widzenia  
Krwiożerczy podlec!

MAKBET

Nie poddam się! nie chcę  
Całować ziemi u nóg tego żaka  
Malkolma ani motłochowi służyć  
Za przedmiot obelg. Nie! Chociaż las Birnam  
Przyszedł pod mury Dunzyny, chociaż  
Ty się z kobiety nie zrodzonym mienisz,  
Dotrwam do końca. Pod schroną tej tarczy  
Bezpieczna moja pierś; złóż się, Makdufie!  
Niech potępiony będzie, kto się znuży  
I pierwszy krzyknie: „Stój! Nie mogę dłużej!”

*Walcząc, wychodzą. Odwrót.  
Przy odgłosie trąb i kotłów wchodzą z wojskiem i chorągwiami M a l k o l m  
i stary Siward, Rosse, Lennox, Angus, Menteith i Caithness.*

MALKOLM

Rad bym tu widzieć tych, których nam braknie.

SIWARD

Ktoś musiał ubyc; ale dzień tak piękny  
Tanio, jak widzę, został okupiony.

MALKOLM

Makdufa braknie i waszego syna.

ROSSE

Syn wasz, milordzie, wypłacił dług męstwu:  
Póty żył, póki nie wyszedł na męża;  
Zaledwie tego walecznością dowiodł,  
Nie ustępując na krok z miejsca walki,  
Padł jak bohater.

SIWARD

A więc zginął?

ROSSE

Tak jest.

I z pola bitwy został uniesiony;  
A gdyby boleść wasza wyrównała  
Wartości straty, nie miałyby granic.

SIWARD

Gdzież on ma rany? z przodu?

ROSSE

Tak, na czole.

SIWARD

Niechajże będzie wojownikiem Boga!  
Choćbym miał tylu synów, ile włosów,  
Piękniejszej dla nich nie żądałbym śmierci:  
W ten sposób nucę mu hymn pogrzebowy.

MALKOLM

Godzien on, żeby bardziej go żałować,  
I ten żal serce moje uzupełni.

SIWARD

Dlaczego bardziej? powiedziano przecie,  
Że dług żołnierza sumiennie wypłacił;  
Bóg więc z nim! Oto przybywa pociecha.

*M a k d u f wchodzi niosąc głowę M a k b e t a zatknietą na włóczni.*

MAKDUF

Cześć ci, o królu! bo teraz nim jesteś.  
Przywłaszczy cię głowa na tej włóczni  
I uciśniony kraj nasz znów jest wolny.  
Widzę wokoło ciebie perły państwa,  
Serca ich wtrząsają memu pozdrowieniu,  
Niechże i głosy ich złączą się z moim,  
Wołając: „Witaj! witaj, królu Szkocji!”

WSZYSCY

Witaj nam! witaj, witaj, królu Szkocji!

*Odgłos trąb.*

MALKOLM

Nie potrzebuję długiego namysłu  
Do porachunku z waszymi zasługami  
I skwitowania się. Zaczni tanowie  
I mili bracia, bądźcie od tej pory  
Hrabiami, którym to mianem zaszczytnym  
Nikogo jeszcze nie nazwała Szkocja.  
Co pozostaje więcej do zrobienia  
I czego może stan rzeczy wymagać  
Jak przywołanie na powrót do kraju  
Wygnańskich naszych przyjaciół, co zbiegli  
Przed zasadzkami czujnego ciemiewa,  
Wyśladowanie krwawych pomocników  
Tego zmarłego oprawcy i jego  
Szatańskiej żony, która jak słyszałem,  
Sama gwałtowną sobie śmierć zadała –  
To i co jeszcze prócz tego wypadnie,  
Przy łasce nieba spełnić tuszycie sobie  
W właściwym czasie, miejscu i sposobie.  
Wam, ile wydać pierś nasza sposobna,  
Składamy dzięki, każdemu z osobna  
I wszystkim, których na dzień wyznaczony  
Na koronację wzywamy do Skony.

*Odgłos trąb. Wychodzą.*

# **O T E L L O**

Przełożył  
JÓZEF PASZKOWSKI

## OSOBY

Doża wenecki  
Brabancjo – senator  
Dwóch innych senatorów  
Lodowiko – krewny Brabancja  
Gracjano – brat Brabancja  
Otello – wódz, Murzyn  
Kasjo – jego namiestnik  
Jago – jego chorąży  
Rodrygo – młody Wenecjanin  
Montano – zarządca Cypru  
Służący Otella  
Herold  
Desdemona – córka Brabancja  
Emilia – żona Jagona  
Bianka – metresa Kasja  
Oficerowie, panowie, gońcy, muzycanci, majtkowie, słudzy i inne osoby.

*Rzecz się odbywa w pierwszym akcie w Wenecji; przez resztę dramatu na Cyprze.*

## AKT PIERWSZY

### SCENA PIERWSZA

*Wenecja. Ulica, przy której położony jest dom Brabancja.  
Wchodzą Rodrygo i Jago.*

RODRYGO

Nie mów mi tego, Jagonie, nie mogę  
Słuchać tej mowy. Tyż to, coś mą kiesą  
Tak rozporządzał, jakby była twoja,  
Śmiesz mi powiadać, żeś tego był świadom?

JAGO

Do licha! słuchajże lepiej, co mówię;  
Jeżeli mi się o tym kiedy śniło,  
To mną pogardzaj.

RODRYGO

Czyżeś mi nie mówił,  
Że go nie cierpisz?

JAGO

Brzydź się mną, jeżeli  
Nie mówił prawdy. Trzech magnatów naszych  
Forytowało mię na namiestnika  
I osobiście czapkowało przed nim,  
Aby mi dał ten stopień; jakem żołnierz.  
Stopień ten słusznie mi się przynależał:  
Znam moją wartość; a on, zatopiony  
W swym widzimisię i w swej dumie, zbył ich  
Napuszonymi frazesami, srodze  
Nastrzępionymi w wojenne termina:

„Wierzcie mi – prawil moim protektorom –  
Żem już mianował kogoś na to miejsce.”  
I któż to taki ten ktoś? Patrzcie jeno:  
Ot, zawołany jakiś arytmetyk,  
Jakiś tam Michał Kasjo, Florentyńczyk.  
Podwikarz, na wpół potępiony w związkach  
Z piękną kobietą, który, póki życia,  
Jednego hufca nie powiódł do boju  
I na sprawieniu wojska w polu zna się  
Tyle co prządka; bohater książkowy,  
Co o teorii umie pleść nie gorzej  
Niż jaki burmistrz; cała bowiem jego  
Sztuka wojenna w gębie, nie w praktyce.  
Ten to wybrany został, a ja, panie,  
Com w jego oczach pokazał, co umiem,  
W Rodos i w Cyprze, i po innych ziemiach  
Tak chrześcijańskich, jak pogańskich, pchniętym  
Pod wiatr i wodę przez tego plus minus,  
Przez tę chodzącą kredkę; on to został,  
Pożal się Boże! namiestnikiem jego  
Murzyńskiej mości, a ja, ja być muszę  
Jego chorążym.

RODRYGO

Ja bym wołał zostać  
Jego oprawcą!

JAGO

Nie ma na to środka;  
Taki to służby przeklęty porządek:  
Awans zależy od łask i protekcji,  
A nie od prawa starszeństwa, co każe,  
Aby po jednym odziedziczał miejsce  
Drugiego z kolei. Osądźże sam teraz,  
Czy mam jaki bądź obowiązek kochać  
Tego Murzyna.

RODRYGO

To bym go porzucił.

JAGO

O, pozwól: służę mu gwoli odwetu.  
Nie wszyscy, bracie, mozem być panami,  
Ale nie wszyscy też panowie mogą  
Mieć wierne sługi. Znajdziesz niejednego  
W kabłak zgiętego, potulnego ciurę,  
Co w niewolniczych kochając się więzach,  
Trzyma się miejsca jak osioł za lichą  
Garstkę obroku; a kiedy zepsieje,  
Na stare lata bywa odpędzony.



W skórę takiego kornego cymbała!  
Są znowu inni, co pod wymuskaną  
Formą i strojną barwą uległości  
Chowają serce, siebie tylko pomne;  
Co dając tylko pozór wiernych usług  
Swym przełożonym, popierają przez to  
Własny interes, a porósłszy w pierze,  
Nie potrzebują już nikogo słuchać  
Prócz siebie samych. Ci mają krztę ducha  
I do tych rzędu ja się liczę. Jużci,  
Gdybym był w skórze Otella, nie chciałbym,  
Ma się rozumieć, być w skórze Jagona:  
Rzecz to tak pewna, jak żeś ty Rodrygo.  
Służąc mu, służyli samemu sobie:  
Nie z przywiązania ani z obowiązku,  
Niebo mi świadkiem! ale pod pokrywką  
Tego obojga – dla widoków własnych.  
Gdyby me czyny miały kiedykolwiek  
Wydać na zewnątrz wewnętrzny stan, zakrój  
Mojego serca, niedługo bym potem  
Musiał to serce nosić u rękawa  
Na żer dla kruków. Nie jestem, czym jestem.

RODRYGO

Jakież, u licha, szczęście niesłychane  
Ma ten grubodziób, że mógł tego dopiąć!

JAGO

Ostrzeż jej ojca, zbudź go ze snu, otwórz  
Staremu oczy, zatruj mu pociechę;  
Narób hałasu w mieście; podszczuj krewnych;  
Niechaj go muchy tną za twoją sprawą.  
Chociaż łagodny zamieszkuje klimat;  
Choćbyś mu szczęścia nie wydarł, przynajmniej  
Tak mu je zapraw piołunem udręczeń,  
Iżby cokolwiek zbladło.

RODRYGO

W tym tu domu  
Mieszka jej ojciec, zawołam na niego.

JAGO

Zrób to, i głosem tak alarmującym  
Jak ktoś, co w nocy zapuszczony ogień  
Dostrzeże nagle w ludnej części miasta.

RODRYGO

Hola! Brabancjo! hej! sinior Brabancjo!

JAGO

Wstawaj, Brabancjo! Złodzieje! Złodzieje!  
Strzeż się! Chroń swoją córkę! Chroń swe worki!  
Złodzieje! Gwałtu! Złodzieje!

*Brabancjo ukazuje się w oknie.*

BRABANCJO

Jakiż jest powód tego zgiełku? Co się  
Takiego stało?

RODRYGO

Wszyscyż twoi, panie,  
Są w domu?

JAGO

Sąli drzwi twojego domu  
Zamknięte, panie?

BRABANCJO

Po co te pytania?

JAGO

Niech diabli wezmą! Okradli was: weźcie  
Prędeż opończę! Przeszyto wam serce;  
Utraciliście połowę swej duszy.  
W tej właśnie chwili czarny baran tryka  
Białą owieczkę waszą. Żywo! żywo!  
Bijcie w dzwon; zbudźcie chrapiących sąsiadów.  
Inaczej czart was wystrychnie na dziadka.  
Żywo! powiadam.

BRABANCJO

Czyście oszaleli?

RODRYGO

Poznajeszże mój głos, czcigodny panie?

BRABANCJO

Nie: któż waść jesteś?

RODRYGO

Imię me Rodrygo.

BRABANCJO

Imię to jeszcze bardziej cię potępia.  
Wzbroniłem ci się zbliżać do mych progów;  
Zapowiedziałem ci, że moja córka  
Nie jest dla ciebie; a ty, wiedzion szalem,  
Przebrawszy miarę napoju przy ucztach,

Przychodzisz teraz zuchwale przerywać  
Mój wypoczynek.

RODRYGO

Siniore! siniore!

BRABANCJO

Ale wiedz o tym, że gniewowi memu  
I stanowisku nie zbywa na środkach  
Dania ci tego gorzko pożałować.

RODRYGO

Uspokój się, siniore.

BRABANCJO

Co mi prawisz  
O okradzeniu? To przecie Wenecja,  
A mój dom to nie lamus.

RODRYGO

Zacny panie,  
W czystych, niewinnych chęciach tu przyszedłem.

JAGO

Niech kaci porwą! Jesteś, panie, jednym  
Z tych, co się nie chcą modlić, gdy ich szatan  
Do tego nagli. Masz nas za szubrawców,  
Dlatego że cię przychodzimy ostrzec?  
Chcesz sprząc swą córkę z berberyjskim koniem,  
Mieć rżące wnuki, bachmatów za krewnych  
I z dzianetami być w powinowactwie?

BRABANCJO

Coś ty za jeden, bluźnierczy szczekaczu?

JAGO

Ktoś, co ci przyszedł oznajmić, siniore,  
Że twoja córka w chwili, gdy tu stoim,  
Klei z Murzynem zwierza o dwu grzbietach,

BRABANCJO

Jesteś nędznikiem.

JAGO

A pan – senatorem.

BRABANCJO

Za ten żart ty mi odpowiesz, Rodrygo,  
Znam cię.

## RODRYGO

Odpowiem za wszystko, siniore.

Ależ, dlaboga! za waszą to wiedzą  
I mądrą wolą dzieje się (a prawie  
Mógłbym tak sądzić), że o tej spóźnionej  
Nocnej godzinie piękna wasza córka,  
Pod najemnego gondoliera strażą,  
Zostaje w sprośnych objęciach Murzyna?  
Jeżeli o tym wiesz, panie, jeżeliś  
Na to pozwolił, toć zaiste ciężką,  
Grubą zniewagęśmy ci wyrządzili;  
Ale jeżeli nie wiesz o tym, moje  
Wyobrazenie o przyzwoitości  
Mówi mi, żeśmy niesłusznie zostali  
Znieważonymi przez was. Nie sądz, panie,  
Abym, wyzuty z wszelkich winnych względów,  
Takiego sobie z waszą dostojnością  
Żartu pozwalał. Jeżeliście, panie,  
Córki swej k'temu nie upoważnili,  
Powtarzam jeszcze raz, to popełniła  
Wielki występki, pomióćłszy w ten sposób  
Obowiązkami, pięknnością, rozumem,  
Przyszłością swoją dla awanturnika,  
Dla wszędobylca, goniącego szczęście  
Po całym świecie. Sprawdź natychmiast, panie,  
Czy jest w sypialni, nawet gdzie bądź w domu;  
Jeśli ją znajdziesz, niechaj sprawiedliwość  
Ściga mię z całą surowością za to,  
Żem cię tak czelnie zdurzył.

## BRABANCJO

Skrzeszcie ognia!

Światła! hej! Zbudźcie wszystkich moich łudził  
Coś podobnego już mi się marzyło,  
To przypuszczenie samo mię przygniata.  
Światła! hej! Światła!

*Znika z okna.*

## JAGO

Bądź zdrów; muszę odejść;

Nie byłoby to stosowne i dla mnie  
Bezpieczne nawet, gdybym był stawiony  
Za świadka przeciw temu Murzynowi,  
A pozostając tu świadczyć bym musiał;  
Bo chociaż może skarci go, to jednak  
Rzeczpospolita nie będzie go mogła  
Potępić, bacząc na interes własny,  
Przy gotującej się cypryjskiej wojnie,  
Do prowadzenia której nie ma wodza  
Równego jemu kalibru. Dlatego

Choć się nim brzydę jak piekielną plagą,  
Ze względu jednak na doczesny żywot,  
Zmuszony jestem opuścić banderę  
I znak przyjaźni,

*do siebie*

który rzeczywiście  
Jest tylko znakiem. Zawieź pod „Łucznika”  
Tych, co go będą szukali; niechybnie  
Tam go znajdziecie, i ja też tam będę.

*Wychodzi. Brabancjo wchodzi z domownikami  
swymi niosącymi pochodnie*

BRABANCJO

Nie ma najmniejszej wątpliwości: zbiegła;  
I nic mi więcej po niej nie zostało  
U schyłku tego obmierzłego życia  
Jak sama gorycz. Powiedz mi, Rodrygo,  
Gdzie ją widziałeś? Niegodziwe dziecko!  
Z Murzynem, mówisz? Któż by chciał być ojcem!  
Skądże wiesz, waćpan, że to ona była?  
To nie do wiary, jak mnie oszukała!  
O hańbo! Cóż ci rzekła? – Więcej światła!  
Zwołajcie wszystkich mych krewnych! – Jak myślisz,  
Czy wzięli oni ślub?

RODRYGO

Sądzę, że wzięli.

BRABANCJO

O nieba! Jak wyjść mogła? O wyrodna!  
Ojcowie, nigdy już odtąd nie mierzcie  
Myśli swych córek wedle ich postępów;  
Chyba istnieją jakie czary, zdolne  
Podejść niewinność młodości, dziewictwa.  
Nie wyczytałżeś gdzie tego, Rodrygo?

RODRYGO

W istocie, panie, czytałem gdzieś o tym.

BRABANCJO

Wezwijcie mego brata. O, wolałbym,  
Żebyś ją waćpan był posiadł. Biegnijcie  
Jedni w tę, drudzy w tę stronę. Czy nie wiesz,  
Gdzie by ją można znaleźć z tym Murzynem?

RODRYGO

Rozumiem, że go wyśledzę, jeżeli  
Racysz mi, panie, towarzyszyć, wzięwszy  
Dobrą straż z sobą.

BRABANCJO

Bądź nam przewodnikiem.  
Przed każdym domem wołać będę; w wielu  
Mam wpływ przeważny. Podajcie mi szpadę,  
Sprowadźcie mi tu policyjne sługi  
I siłę zbrojną. Poczciwy Rodrygo,  
Wskazuj mi drogę, zawdzięczę tve trudy.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Tamże. Inna ulica.  
Wchodzą O t e l l o i J a g o z orszakiem.*

JAGO

Na wojnie, panie, niejednego zabił,  
Ale popełnić rozmyślnie morderstwo,  
Jakoś to z moim sumieniem niezgodne.  
Braknie mi czasem złości, co by mogła  
W czymś mi dopomóc. Z jakie dziesięć razy  
Miałem myśl pchnąć go tu, pomiędzy żebra.

OTELLO

Lepiej jest tak, jak jest.

JAGO

Kiedyż bo prawil  
Takie szkarady i w tak obelżywy  
O waszej cześci wyrażał się sposób,  
Że gdyby nie ten kęs bogobojności,  
Jaką mam, byłby mi żywcem nie uszedł.  
Ale czy tylko tve małżeństwo, panie,  
Szczelnie zawarte? bo ten magnifikus  
Ma popleczników i gdy się uweźmie  
Co przeprowadzić, głos jego dorówna  
Głosowi doży. On was zechce rozwieść  
Albo wam tyle narobi trudności  
I tarapatów, o ile mu prawo  
Wszystkimi jego wpływami poparte  
Da k'temu kiersztak<sup>13</sup>.

<sup>13</sup> Tj. swobodę, luz. Kiersztak to nazwa wielkiej liny okrętowej (w oryg. „cable”).

OTELLO

Niech czyni, co zechce.

Usługi, jakim oddał senatowi,  
Zagłuszą jego skargę. Wiedz, Jagonie,  
I nie zaniedbam z tym jawnie wystąpić,  
Skoro się dowiem, że chwalba uzacnia;  
Wiedz, że wywodzę ród ze krwi królewskiej,  
Zasługi moje mogą i bez czapki  
Równać się z taką wysoką fortuną  
Jak ta, po którą sięgnąłem. O gdybym  
Nie kochał czule pięknej Desdemony,  
Pewnie bym nie był mej niezależności,  
Nie krępowanej żadnym stałym miejscem,  
Samo chcąc ujął w granice i ścieśnił  
Za wszystkie skarby mórz. Co to za światła?

JAGO

To gniewny ojciec z swymi przyjaciółmi:  
Ustąpmy, panie.

OTELLO

Nie mnie to przystoi.

Stawię im czoło: godność moja, stopień  
I nieskażona prawość mojej duszy  
Będą świadczyły za mną. Czyż to oni?

JAGO

Na twarz Janusa! podobno nie.

*Wchodzi Kasjo z dwoma posłańcami Doży.*

OTELLO

Są to

Przyboczni słudzy doży i mój Kasjo.  
Pomyślnej nocy, moi przyjaciele!  
Cóż tam nowego?

KASJO

Doża cię pozdrawia,  
Wodzu, i wzywa, abyś się niezwłocznie,  
Jak najniezwłoczniej stawił.

OTELLO

W jakim celu?

Nie wiesz?

KASJO

Jeżeli domysł mój prawdziwy,  
O Cypr to idzie: jakoś tam gorąco.

Flota przysłała ze dwunastu gońców  
W ciągu tej nocy, jednego za drugim.  
Zbudzonych ze snu wielu panów Rady  
Już się zebrało u doży, wysłano  
Na gwałt po ciebie, panie, a gdy w domu  
Cię nie zastano, senat pchnął umyślnych  
W trzy różne strony, aby cię wyszukać.

OTELLO

Dobrze się stało, żeście mię znaleźli.  
Zostawię tylko parę słów w tym domu  
I pójdę z wami.

*Wychodzi.*

KASJO

Co on tu porabia,  
Jagonie?

JAGO

Hm! hm! co? Pojmał tej nocy  
Ładową skutę: zdobycz to na wieki,  
Jeżeli tylko się okaże prawną.

KASJO

Nie zrozumiałem.

JAGO

Ożenił się.

KASJO

Z kim?

*O t e l l o p o w r a c a .*

JAGO

Ba! z kim... Idziemy, panie?

OTELLO

Jestem gotów,

KASJO

Oto nadchodzi drugi poczet, wodzu,  
Szukając ciebie.

JAGO

To Brabancjo, miej się  
Na ostrożności, wodzu, bo on nie ma  
Dobrych zamiarów.

*B r a b a n c j o , R o d r y g o i u r z ę d n i c y p o l i c y j n i  
w c h o d z ą u z b r o j e n i i z p o c h o d n i a m i .*



OTELLO

Hola! stóście no tam!

RODRYGO *do Brabancja*

Siniore, to ten Murzyn.

BRABANCJO

Ha! rabusiu!

*Z obu stron dobywają mieczów.*

JAGO

Rodrygo? Jestem na pańskie usługi.

OTELLO

Schowajcie miecze, bo się rdzą pokryją  
Od rosy nocnej. Wiek wasz, panie, więcej  
Dokazać może niżeli wasz oręż.

BRABANCJO

Nędzny rabusiu! gdzieś podział mą córkę?  
Oczarowałeś mi ją, potępieńcze;  
Bo powołuję się na wszystko w świecie,  
W czym jest choć trochę zdrowego rozsądku,  
Czy młoda dziewczka, piękna i szczęśliwa,  
I tak stanowczą mająca odrazę  
Do małżeńskiego stanu, że wzgardziła  
Kwiatem najpierwszej tutejszej młodzieży,  
Bez popadnięcia w czarodziejskie wnyki,  
Byłaby kiedy na ogólny pośmiejch  
Zbiegła z ojcowskich progów, by się rzucić  
Na powleczone sadzą łono takiej  
Jak ty istoty, wzbudzającej postrach,  
Nie pociąg? Niechaj cały świat osądzi,  
Czyli to nie jest tak jasne jak słońce,  
Żeś ją ty kunsztem piekielnym usidlił,  
Uwiódł jej młodość jakimiś kroplami  
Lub czymś podobnym, co o szal przyprawia;  
Śledztwo to musi wykryć: jest to bowiem  
Jawne dla myśli, prawie dotykalne.  
Aresztuję cię przeto i oskarżam  
Jako oszusta praktykującego  
W pokątny sposób zakazane sztuki.  
Bierzcie go: jeśli zaś będzie się ważył  
Stawić wam opór, użyjcie przemocy,  
Choćby miał życiem przypłacić.

OTELLO

Odstąpcie,

Wy, co trzymacie ze mną, i wy drudzy.  
Gdyby mi z roli wypadło walczyć,  
Byłbym był o tym wiedział bez suflera.  
Gdzież mam pójść, panie, aby odpowiedzieć  
Na uczyniony mi zarzut?

BRABANCJO

Do turmy.

Gdzie siedzieć będziesz, dopóki cię zwykły  
Bieg procedury przed sąd nie powoła.

OTELLO

Gdybym, przypuścemy, był posłuszny temu,  
Ciekawy jestem, co by w takim razie  
Powiedział doża, którego posłańcy  
Przyszli mię w nagłym interesie państwa  
Wezwać do niego i oto tu stoją  
Czekając na mnie.

POSŁANIEC

Nie inaczej, panie;

Doża jest w sali obrad i dostojna  
Osoba wasza była niewątpliwie  
Wezwana tamże.

BRABANCJO

Doża w sali obrad?

Teraz, wśród nocy? Wiedźcie go tam! Ważną  
I ja mam sprawę. Wspaniały nasz doża  
I każdy z moich współkolegów pewnie  
Uczuje moją krzywdę tak jak swoją;  
Bo gdyby taki czyn płazem uchodził,  
Lada poganin rej by u nas wodził.

*Wychodzą.*

### SCENA TRZECIA

*Tamże. Sala obrad.*

*Doża i senatorowie siedzą wkoło stołu przy świecach.  
Kilku urzędników stoi opodal, czekając na rozkazy.*

DOŻA

Wieści w tych listach nie są zgodne z sobą:  
Trudno polegać na nich.

PIERWSZY SENATOR

W rzeczy samej,  
Sprzeczne są sobie: w moim wymieniono  
Sto siedem galer.

DOŻA

W moim sto czterdzieści.

DRUGI SENATOR

A w moim dwieście. Jakkolwiek się jednak  
Cyfry w nich różnią (co się musi zdarzać  
Tam, gdzie podobne dane są oparte  
Na przypuszczeniu), we wszystkich atoli  
Jedna jest wzmianka o tureckiej flocie  
Posuwającej się w kierunku Cypru.

DOŻA

Zważywszy dobrze, rzecz to jest możebna.  
Nie ubezpiecza mnie błąd w tych raportach,  
Raczej nabawia trwogi treść ich główna.

MAJTEK *za sceną*

Wieści! hej! wieści!

*Wchodzi Urzędnik, za nim Majtek.*

URZĘDNIK

Nowy goniec.

DOŻA

Cóż tam?

MAJTEK

Turecka flota żegluję ku Rodos:  
Mam polecenie od sinior Angela  
Uprzedzić o tym senat.

DOŻA

Co myślicie

O tej przemianie?

PIERWSZY SENATOR

To niepodobieństwo,  
Rozsądnie rzeczy biorąc: demonstracja  
Dla zamydlenia nam oczu. Gdy zważym,  
Jak wiele Turkom zależy na Cyprze,  
I pod względ weźmiem, że jak z jednej strony  
Wyspa ta dla nich ważniejsza niż Rodos,  
Tak z drugiej, łatwiej zdobytą być może,

Bo mniej jest silnie fortyfikowaną  
I do obrony sposobną niż Rodos:  
Gdy te uwagi obok siebie stawim,  
Nie przypiszemy wtedy bisurmanom  
Niedorzeczności takiej, iżby mieli  
Chować na później to, co przede wszystkim  
Im pożądane, i porzucać zamiar,  
Obiecujący im wygodną korzyść,  
Dla narażania się na bezowocne  
Niebezpieczeństwo.

DOŻA

Nie ma wątpliwości,  
Nie idzie im o Rodos.

URZĘDNIK

Znów posłaniec.

*Wchodzi G o n i e c.*

GONIEC

Najdostojniejsza Rado! Ottomanie,  
W prostym kierunku sterując ku Rodos,  
W pośrodku drogi złączyli się z drugą  
Częścią swej floty.

PIERWSZY SENATOR

Tegom się spodziewał.  
Ileż przybyło im żagli?

GONIEC

Okolo  
Trzydziestu, panie, i teraz się znowu  
W tył zawrócili, zamierzając, widno,  
Pokusić się o Cypr. Siniór Montano,  
Wasz zaufany i gorliwy sługa,  
Za obowiązek poczytuje sobie  
Donieść wam o tym, czcigodni panowie,  
Prosząc o danie mu wiary i pomoc.

DOŻA

Z pewnością zatem na Cypr godzą. Gdzie jest  
Marco Lucchese?

PIERWSZY SENATOR

We Florencji.

DOŻA

Piszcie  
Zaraz do niego, niech wraca czym prędzej.

PIERWSZY SENATOR

Oto Brabancjo i dzielny nasz Murzyn.

*Brabancjo, Otello, Jago, Rodrygo  
i urzędnicy policyjni wchodzą.*

DOŻA

Mężny Otello, musimy niezwłocznie  
Użyć twej dłoni przeciw Ottomanom.

*do Brabancja*

A, to wy! Witaj, cny siniore; właśnie  
Brakło nam waszej rady i pomocy.

BRABANCJO

Tak jak mnie waszej; miłościwy księżę,  
Wybacz: nie służba ni żadna wiadomość,  
Żem tu potrzebny, podniosła mnie z łóżka  
Ani troskliwość o publiczne dobro  
Myśl mą .zakłóca, bo własny mój smutek,  
Jest tak gwałtownej, nawalnej natury,  
Że wszelkie inne kłopoty pochłania,  
Siebie jedynie pomny.

DOŻA

Cóż się stało?

BRABANCJO

Ach! moja córka!

DOŻA

Umarła?

BRABANCJO

Tak, dla mnie,  
Wydarto mi ją, podle uwiedziono,  
Hańbą okryto za pomocą czarów  
I szarlatańskich środków; bo dziewczyna  
Przy zdrowych zmysłach, nie upośledzona  
Ani na wzroku, ani na umyśle,  
Nie mogła popaść w tak krzyczący obłęd,  
Bez czarodziejskiej w tym sprawy.

DOŻA

Ktokolwiek

W tak niecny sposób o stratę czci waszą  
Córkę przypawił, a was o jej stratę,  
Do tego sami w krwawej księdze ustaw

Zastosujecie najsurowszą karę,  
Choćby nasz własny syn był tym przestępcą.

BRABANCJO

Kornie dziękuję waszej wysokości.  
Oto ten człowiek: ten to właśnie Murzyn,  
Coście go, panie, jak słyszałem, teraz  
W naglącej sprawie rzeczypospolitej  
Tu zawezwali.

DOŻA I SENATOROWIE

Bolejemy nad tym.

DOŻA

Otello, cóż ty na to?

BRABANCJO

Nic innego

Zeznać nie może, jak że to jest prawda.

OTELLO

Potęźni, światli, szanowni panowie,  
Wielce szlachetni i łaskawi moi  
Rozkazodawcy! Żem starcowi temu  
Wziął córkę, prawdą jest; prawdą jest niemniej,  
Żem ją zaślubił: popóty, nie dalej  
Sięga istota mego wykroczenia  
I jego zakres. Szorstka moja mowa,  
Obrana z krasnych wyrażeń właściwych  
Czasom pokoju. Zaledwie to ramię  
Uczuło w sobie siedmioletnie siły,  
Od tej już pory, aż dotąd, odjąwszy  
Dziewięć ostatnich miesięcy, jedynym  
Moim zajęciem, w polu i w obozie,  
Było wojenne rzemiosło; o sprawach  
Tego wielkiego świata mało więcej  
Powiedzieć mogę nad to, co dotyczy  
Bitw i szczegółów żołnierskiego życia;  
Toteż i mówiąc w własnej sprawie mało  
Barw mogę użyć. Za czym w zaufaniu  
Waszych łaskawych względów, bez ogródki,  
W prostych wyrazach po żołniersku skreślę  
Cały bieg mojej miłości; poznacie,  
Jakich to zaklęć, jakich eliksirów,  
Jakich użyłem uroków i czarów,  
Ażeby sobie ująć jego córkę,  
O to albowiem jestem posądzony  
I oskarżony.

## BRABANCJO

Dziewczyna tak skromna,  
Cicha, spokojna i tak pełna wstydu,  
Że ją wzruszenie każde rumieniło,  
Byłażby zdolna, pytam, w kontr naturze,  
Wiekowi swemu, nie pomna ojczyzny,  
Rodu, imienia, wszystkiego na świecie,  
Rozmłowywać się w czymś, co ją samym  
Widokiem swoim musiało przestraszać?  
Byłby to bardzo chory sąd, ze wszech miar  
Niedoskonały, przypuszczać na chwilę,  
Że doskonałość może się tak zbłąkać.  
Bez chytrych praktyk piekielnych, do których  
Musim koniecznie domagać się klucza,  
Stać się to nigdy nie mogło. Dlatego  
Jeszcze raz twierdzę, że on za pomocą  
Jakowychś mikstur na krew działających,  
Lub jakichś kropel, zaklętych w tym celu,  
Wywarł tak zgubny wpływ na nią.

## DOŻA

Twierdzenie

Nie jest dowodem: w braku jawnych świadectw  
To, co przeciwko niemu przytaczacie,  
Są to domysły tylko, przypuszczenia,  
W cienką pozorów szatę obleczone.

## PIERWSZY SENATOR

Powiedz, Otello, azaliś istotnie  
Nadzwyczajnymi, niegodnymi środki  
Zatruł i podbił skłonność tej dziewicy  
Czy też dopiąłeś tego przez zaloty  
I dozwolone zabiegi, co serce  
Sercu jednają?

## OTELLO

Raczie po nią posłać  
Pod znak „Łucznika” i zażądać od niej  
Wobec jej ojca objaśnień w tej mierze.  
Jeśli jej usta przeciw mnie zaświadczą,  
Niechaj nie tylko wasze zaufanie  
I stopień, który mam od was, utracę,  
Ale i życie.

## DOŻA

Przyprowadźcie ją tu.

*Parę osób ze służby wychodzi.*

OTELLO

Choraży, prowadź ich, lepiej znasz miejsce.

*Ja go wychodzi.*

Nim zaś nadejdzie, z równą rzetelnością,  
Jak się z mych grzechów spowiadam przed niebem,  
Wyznam przed wami, poważni mężowie,  
Jakim sposobem pozyskałem miłość  
Tej pięknej, godnej kochania dziewicy  
I ona moją wzajem.

DOŻA

Mów, Otello.

OTELLO

Jej ojciec lubił mnie; często, bywało,  
W dom mnie zapraszał, badał mnie o dzieje  
Mojego życia w tych a w tych epokach,  
O bitwy, szturmy, przebyte koleje.  
Opowiadałem mu one, począwszy  
Od lat chłopięcych aż do owej chwili,  
W której mi one kazał opowiadać;  
Prawiłem mu o ciężkich moich przejściach,  
Strasznych przygodach na morzu i lądzie;  
Jakem to o włos ledwie się wy dobył  
Z śmiercią ziejących bresz; jak mnie wróg pojmał  
I sprzedał w jasyr; jakem z tej niewoli  
Wyswobodzony tułał się po świecie;  
Przy czym zdarzało mi się wzmiankę czynić  
O dzikich stepach, szerokich jaskiniach,  
O rafach, skalach, niebotycznych górach,  
O ludożercach i o samojedach,  
Co się żrą wzajem, albo też o ludziach,  
Co mają głowy niżej ramion. Rada  
Słuchała tego piękna Desdemona;  
Jeśli ją jaki domowy interes  
Znaglił do wyjścia, jak mogła, najprędzej  
Wracała znowu i łakomym uchem  
Chwytała moje słowa. Co spostrzegłszy,  
Razu jednego, w stosowną godzinę,  
Doprowadziłem ją do wynurzenia  
Serdecznej prośby, abym jej opisał  
Cały ciąg mojej tułaczey pielgrzymki,  
Którą dotychczas słyszała częściowo  
I niedokładnie. Zgodziłem się na to  
I nieraz z oczu jej łzy wycisnąłem  
Mówiąc o różnych żalonych wypadkach  
Mojej młodości. Gdym skończył mą powieść.  
Obdarzyła mnie hojnie westchnieniami



I rzekła: – Dziwnie to brzmiało, w istocie,  
Nadzwyczaj dziwnie; lubo, dziwnie lubo –  
Że lepiej było jej tego nie słyszeć:  
A jednak, jednak chciałyby się była  
Urodzić takim mężczyzną, i czule  
Podziękowała mi, i oświadczyła,  
Że jeśli kiedy kto z moich przyjaciół  
Kochać ją będzie i pozyskać zechce,  
Niechby się tylko ode mnie nauczył  
Tego opisu, a cel go nie minie.  
Taką wskazówkę mając, przemówiłem.  
Ona mnie pokochała za przebyte  
Niebezpieczeństwa, a jam ją pokochał  
Za okazane nad nimi współczucie.  
Takich to zaklęć użyłem, nie innych.  
Otóż i ona, niech sama zaświadczy.

*Desdemona i Jago wchodzą, za nimi służba.*

DOŻA

W istocie, powieść taka mogła ująć  
I moją córkę. Kochany Brabancjo,  
Spójrz na tę sprawę z nieco lepszej strony.  
Spękanym mieczem lepiej przecie walczyć  
Niż gołą ręką.

BRABANCJO

Każ jej mówić, panie.  
Jeżeli wyzna, że pierwsza choć jeden  
Krok uczyniła ku niemu, przekleństwo  
Mojej siwiźnie, jeśli dłużej będę  
Jego obwiniał. Zbliź się, mościa panno;  
Kogo tu widzisz w tym szlachetnym gronie,  
Komu najpierwej winnaś posłuszeństwo?

DESDEMONA

Ojcze mój, widzę tu naprzeciw siebie  
Dwa obowiązki: tobie winnam życie  
I wychowanie, a jedno i drugie  
Każę mi ciebie czcić; ty jesteś panem  
Mych obowiązków, bom ja twoja córka;  
Ale tu stoi także mój małżonek,  
A takie same obowiązki, jakie  
Skłoniły były niegdyś moją matkę  
Ciebie nad ojca przenieść, takie same  
Każą mi teraz uznawać za pana  
Tego Murzyna.

## BRABANCJO

Bóg z tobą! Skończyłem.  
Racz, panie, teraz przejść do spraw publicznych.  
Przysposobione mi było mieć raczej,  
Nie własne dziecko. Przystąp tu, Murzynie:  
Bezwarunkowo oddając to, czego  
Bezwarunkowo byłbym ci odmówił,  
Gdyby nie było już twoim. – Przez ciebie,  
Mój ty klejnocie, cieszę się, że nie mam  
Drugiego dziecka, bo dzięki twej sprawce,  
Byłbym dla niego tyranem i w dyby  
Okuć je kazał. Jużem skończył, panie.

## DOŻA

Niechże ja jeszcze coś za ciebie powiem  
I niech te kilka uwag, jakie rzucę,  
Będą niejako szczeblem dla tej pary  
Do twoich względów.  
Gdzie środków braknie, tam z nikłą nadzieją  
Kończą się żale i skargi niemieją.  
Nad niecofnioną biedą utyskiwać  
Jest to chcieć nową biedę wywoływać.  
Utarczka z losem płonnym jest szermierstwem;  
Więcej z nim wskórasz spokojnym szyderstwem.  
Kto się uśmiecha będąc okradziony,  
Ten rabusiowi kradnie jego plony;  
Ale zaprawdę sam siebie okrada,  
Kto się tam trapi, gdzie daremna rada.

## BRABANCJO

Trzeba więc Cypru obrony zaniechać;  
Nasz on, dopóki możemy się uśmiechać.  
Dobre uwagi dla tych, co im błogo,  
Ale w cierpieniu nie krzepią nikogo;  
Raczej przeciwnie, bo zamiast ból koić,  
Zmuszają w nową cierpliwość się zbroić,  
Takie sentencje miewają dwa smaki:  
Cukru i żółci, wpływ też ich dwojaki.  
Lecz słowa wiatrem: nawet siła doży  
Plastrem przez ucho serca nie obłoży.  
Proszę waszej wysokości najpokorniej przystąpić do  
spraw państwa.

## DOŻA

Turcy z ogromną potęgą posuwają się ku Cyprowi. Otello, tobie są najlepiej znane umocnienia tego miejsca, a chociaż mamy tam komendanta wysoko cenionej biegłości, przecież głos powszechny, ten wszechwładny regulator rzeczy ludzkich, przemawia z większym zaufaniem za tobą. Musisz się przeto poddać konieczności i przyćmić świeży blask swego szczęścia tą pochmurną i burzliwą wyprawą.

OTELLO

Moc przywyknienia, cni senatorowie,  
Czyni mi twardą kamienistą pościel  
Puchowym łóżem. Mogę się pochlubić  
Wrodzoną, skorą do czynu rzeškością  
W nagłej potrzebie: jakoż gotów jestem  
Do tej wyprawy przeciw Ottomanom.  
Kornie więc chyląc się przed waszym sterem,  
Żądam stosownej pieczy nad mą żoną;  
Przyzwoitego dla niej utrzymania  
I pomieszczenia: obsługi i wygod  
Jej urodzeniu odpowiednich.

DOŻA

Pójść do ojca może,

Jeżeli wola.

BRABANCJO

Na to się nie zgadzam,

OTELLO

Ani ja.

DESDEMONA

Ani ja: będąc na oczach  
Mojemu ojcu, ciągle bym gniew jego  
Drażnić musiała. Racz, wspaniały dożo,  
Przychylne ucho skłonić do mych życzeń,  
I przywilejem łaskawego słowa  
Wesprzeć je.

DOŻA

Czego żądasz, Desdemono?

DESDEMONA

Że kocham tego Murzyna i żyję  
Dla niego tylko, niech o tym gwałtowna  
Przemiana losu mojego obwieści  
Całemu światu: serce me zarówno  
Jest przywiązane do jego osoby,  
Jak i do jego urzędu. Jam w duszy  
Mego Otella jego twarz ujrzała  
I jego sławie, jego bohaterstwu  
Duszę i przyszłość poświęciła moją.  
Gdybym tu przeto pozostała, na kształt  
Wegetującej w pokoju monady,  
Gdy on na wojnę pójdzie, w takim razie  
Ogłocona bym została z tego,  
Co mi go głównie uczyniło drogim;  
I przez ten rozdział byłabym skazana

Na tymczasowy byt nader dotkliwy,  
Pozwólcie mi więc udać się z nim razem.

OTELLO

Uczyńcie zadość jej chęciom, dostojni  
Senatorowie, zostawcie jej wolność.  
Niebo mi świadkiem, że nie proszę o to  
Dla dogodzenia podniebieniu żądy  
Ni za podnietą krwi, która już we mnie  
Przestała kipieć z młodzieńczym zapalem;  
Ale jedynie tylko przez uprzejmą  
Powolność dla niej. I niech Bóg broni  
Mych miłościwych panów od myślenia,  
Że poruczonej mi tak ważnej sprawy  
Zaniedbam, skoro ona będzie ze mną.  
Nie: jeśli płochę igraszki Amora  
Gnuśną ciężkością owładną i stępią  
Władz mych działalność tak, że skutkiem tego  
Cel mej wyprawy narażony będzie  
Na szwank i szkodę, niech mi lada baba  
Rynkę na głowę wsadzi zamiast hełmu,  
I wszelkie szpetne znamiona niesławny  
Kałem okryją moje dobre imię.

DOŻA

Jak uradzicie sami, tak niech będzie;  
Wolno jej zostać lub jechać. Rzecz nagli;  
Równie też nagłym pośpiech być powinien.  
Musisz odpłynąć tej nocy.

DESDEMONA

Tej nocy,  
Mój panie?

DOŻA

Tak, tej nocy.

OTELLO

Całym sercem.

DOŻA

Dziesiąta rano zejdzem się tu znowu.  
Otello, zostaw kogo z podkomendnych,  
Co ci powiezie od nas nominację  
Oraz to, czego twój urząd i stopień  
Wymagać będzie.

OTELLO

Oto mój chorąży,  
Rzetelny, godzien zaufania człowiek;

Jemu powierzę mą żonę, on także  
Zabierze z sobą to, co wasza mądrość  
Przesiać mi uzna za stosowne.

DOŻA

Dobrze.  
Dobranoc zatem każdemu z osobna.

*do Brabancja*

No, no, siniore, przestań chmurzyć czoło.  
Słusznali szpetność przypisać niecnocie,  
Zięć wasz, choć czarny, jest pięknym w istocie.

PIERWSZY SENATOR

Bądź zdrow, Otello, a oszczędzaj żonę.

BRABANCJO

Pilnuj jej, odkąd jest na twoim chlebie;  
Bo zwiódłszy ojca, może zwieść i ciebie.

*Doża, senatorowie i urzędnicy wychodzą.*

OTELLO

Życie dam za jej wiarę. Tak więc, Jago,  
Tobie zostawiam moją Desdemonę.  
Proszę cię, poleć swojej żonie być przy niej  
I sprowadź mi ją, jak się da najprędzej;  
Pójdź, Desdemono; godzinę mam tylko  
Do poświęcenia miłości i innym  
Sprawom domowym. Musim ulec temu,  
Czego chwilowa wymaga konieczność.

*Wychodzi z Desdemoną.*

RODRYGO

Jagonie!

JAGO

Czego chcesz, zacna duszo?

RODRYGO

Cóż mi teraz czynić pozostaje, jak sądzisz?

JAGO

Co? pójść do łóżka i spać.

RODRYGO

Pójdę się natychmiast utopić.

JAGO

Jeżeli to uczynisz, przestanę być twoim przyjacielem na zawsze. Jakież ci głupstwo przyszło do głowy?

RODRYGO

Głupstwo żyć, kiedy życie jest męczarnią, a odjęcie go sobie jest receptą, kiedy śmierć ma być lekarstwem.

JAGO

O nikczemności! Patrzę na ten świat od siedmiu lat cztery razy wziętych i odkąd mogę odróżnić dobrodziejstwo od krzywdy, nie spotkałem jeszcze człowieka, który by umiał być przyjacielem samego siebie. Co do mnie, wołałbym się na człowieczeństwo pomieścić z pawianem, nimbym powiedział, że się chcę utopić z miłości ku pętarce.

RODRYGO

Cóż mam tedy czynić? Wyznaję, że mi wstyd być tak zakochanym, ale nie w mej mocy temu zaradzić.

JAGO

Nie w twej mocy! Psu na budę! Od nas samych zależy być takimi lub owymi. Nasze jestwo jest ogrodem, a nasza wola ogrodnikiem: jeżeli chcemy w tym ogrodzie siać pokrzywy lub sałatę sadzić; rozpleniać hyzop, a wrywać macierzankę; hodować jedno ziele albo pielęgnować różnego rodzaju rośliny; zapuszczać go niedbale lub skrzętnie uprawiać: możliwość ku temu i środki odpowiednie leżą w woli naszej. Gdyby waga władz naszych nie miała z jednej strony szali rozumu dla zrównoważenia szali zmysłowości z drugiej strony, wtedy krew i ułomność naszej natury doprowadziłaby nas do najhaniańszych ostateczności: ale mamy rozum na poskromienie w nas dzikich popędów, cielesnych bodźców i rozkiełzanych chuci; z czego wyprowadzam wniosek, że to, co ty nazywasz miłością, jest po prostu szczepem, ablegrem.

RODRYGO

To być nie może.

JAGO

Miłość jest jedynie krwi chucią i ustępstwem woli. Nuże! Bądź mężem! Utopić się? Top koty i ślepe szczenięta. Mienię się twoim przyjacielem i deklaruję się do ciebie być przywiązany liną nieprzełomnej wytrwałości: nigdy ci nie mógł bardziej pomóc jak teraz. Naładuj kiesę, udaj się za nią na tę wojnę; przebierz sobie twarz w fałszywą brodę; a kiesę naładuj, powiadam. Ani można przypuścić, żeby Desdemona miała długo kochać tego Murzyna – naładuj kiesę – a on ją nawzajem: był to gwałtowny przyływ i odpływ taki sam będzie, zobaczysz – naładuj . tylko kiesę. Ci Murzyni nie są stali w swych sentymentach – miej kiesę dobrze podszytą – łakoć, która mu teraz smakuje przesłodka jak chleb świętojański, wyda mu się wkrótce gorzka jak ośli ogórek. Jej skłonność musi się zmienić, bo młoda; nasyciwszy się nim, pozna niestosowność swego wyboru. Ona musi zmiany zapragnąć, musi, ani wątpić; dlatego miej kiesę naładowaną. Jeżeli chcesz gwałtem pójść na potępienie, obierzże przyjemniejszą drogę ku temu jak utopienie. Weź pieniędzy, co tylko będziesz mógł. Jeżeli trwałość wiary i świętość ślubów afrykańskiego włóczęgi i kuto przebiegłej Wenecjanki nie są rzeczą dla mego dowcipu i piekielnych potęg nieprzełomną, to ją posiadać będziesz. Dlatego zaopatrz się w pieniądze. Topić się? Co za myśl dzika!

Nie tędy droga do celu: raczej ci zostać obwiesiem dopiąwszy swego niż topielcem nic nie wskórawszy.

RODRYGO

Zareczyszże mi za skutek, jeżeli na tym oprę moją nadzieję?

JAGO

Możesz śmiało na mnie liczyć. Idź, postaraj się o pieniądze. Mawiałem ci często i powtarzam jeszcze raz, że nienawidzę tego Murzyna. Moja ansa z serca pochodzi i twoja nie z innego źródła; działajmy więc wspólnie w interesie zemsty. Jeżeli mu zdołasz przypiąć rogi, sprawisz sobie przez to uciechę, a mnie pociechę. Leży jeszcze coś więcej w łonie przyszłości, co się dopiero ma narodzić. Allons! marsz! Zaopatrz się w pieniądze. Jutro o tym obszerniej pogadamy. Bądź zdrów!

RODRYGO

Gdzież się zejdziemy z rana?

JAGO

W mojej kwaterze.

RODRYGO

Przybędę jak najwcześniej.

JAGO

Bądź zdrów! do zobaczyska! Ale, ale...

RODRYGO

Co takiego?

JAGO

Nie topże się już, słyszysz?

RODRYGO

Jużem tej myśli zaniechał. Spieniężę cały mój majątek.

JAGO

Bądź zdrów! do zobaczyska! Naładuj trzos, a dobrze.

*R o d r y g o w y c h o d z i .*

Tak zawsze z głupców robię sobie łyko.  
Krzywdę bym czynił memu rozsądkowi,  
Gdybym czas marnie tracił z takim dudkiem  
I nie korzystał na tym. Nienawidzę  
Tego Murzyna: chodzą pogadanki,  
Że on przy mojej żonie mnie luzował;  
Może to bajka, nie mam pewnych danych,  
Że tak jest; samo jednak podejrzenie  
Tego rodzaju staje mi za pewność.  
Murzyn ma o mnie wysokie mniemanie,

Tym ci skuteczniej mogę dopiąć celu.  
Kasjo przystojny: pomyślmy no trochę.  
Zabrać mu miejsce i nasycić zemstę  
Jednym zamachem; ale jak? pomyślmy.  
Gdybym po pewnym czasie otumanił  
Ucho Otella nieznacznym poszeptem,  
Że on i jego żona są na stopie  
Za poufałej? Kasjo miły człowiek,  
Kształtny, mogący wzbudzić podejrzenie;  
Na serc podbójcę stworzony; a Murzyn  
Jest charakteru łatwego, prawego,  
Wierzy w uczciwość, gdzie widzi jej pozór,  
I najdokładniej daje się jak osioł  
Za nos prowadzić. Plan mój już osnuty;  
Rzucone ziarno: piekło i noc czarna  
Wyda potworny owoc z tego ziarna.

*Wychodzi.*



## AKT DRUGI

### SCENA PIERWSZA

*Miasto portowe na Cyprze. Taras nad morzem  
Wchodzi M o n t a n o z dwoma obywatelami.*

MONTANO

Czy tam co widać na morzu z przylądka?

PIERWSZY OBYWATEL

Nic prócz wysoko wezbranej powodzi.  
Nie mogłem dostrzec ni jednego żagla  
Pomiędzy niebem a powierzchnią fali.

MONTANO

Coś dziś wiatr głośno przemawiał do lądu;  
Nie pomnę, aby kiedy szturm podobny  
Do parapetów naszych zakołatał.  
Jeśli tak samo dął na pełnym morzu,  
Jakież dębowy bal, bity kafarem  
Walących się nań fal, mógł nie wyjść z fugi?  
O czymże przyjdzie nam usłyszeć?

DRUGI OBYWATEL

Pewnie

O rozproszeniu tureckiej eskadry.  
Bo stańcie jeno na wspanionym brzegu  
I patrzcie, jak to rozdąsane wały  
Miotają się ku chmurom, jak bałwany  
Rozkołysane, z monstrualną grzywą,  
Rzygają wodę w oczy Niedźwiedzicy  
I zdają się chcieć zalać wieczny świecznik  
Gwiazdy Polarnej. Nigdy jeszcze dotąd  
Nie widział takiej wściekłości żywiołu.

MONTANO

Jeśli turecka flota nie zdążyła  
Wcześniej się schronić do jakiej zatoki,  
To po niej; ujść jej nie będzie podobna.

*Wchodzi Trzeci obywatel.*

TRZECI OBYWATEL

Wieści, panowie! Wojna już skończona.  
Tak srodze Turkom dała się we znaki  
Ta nawałnica, że plan ich okulał;  
Jeden z weneckich okrętów był świadkiem  
Ciężkiego szwanku i rozbicia większej  
Części ich floty.

MONTANO

Pewnaż to wiadomość?

TRZECI OBYWATEL

Okręt ów właśnie zawinął do portu:  
Jest to weroński bryg. Kasjo, namiestnik  
Bohaterskiego Murzyna Otella,  
Wysiadł już na ląd; sam wódz, opatrzony  
W pełnomocnictwo nieograniczone,  
Na morzu jeszcze jest żeglując ku nam.

MONTANO

Cieszę się z tego, godzien on być rządcą.

TRZECI OBYWATEL

Tenże sam jednak Kasjo, co nam przyniósł  
Pociechę wieścią o klęsce tureckiej,  
Smutną ma minę i modły zanosi  
Za całość wodza, bo ich rozdzieliła  
Gwałtowna burza.

MONTANO

Bogdajby ocalał!

Służyłem pod nim; jest to całą gębą  
Żołnierz i hetman. Idźmy do przystani  
Przybyły okręt powitać i posłać  
Wzrok na spotkanie dzielnego Otella  
Aż tam, gdzie krańce morza i błękitu  
W jedno spływają.

TRZECI OBYWATEL

Idźmy, bo co chwila  
Nowych się gości możemy spodziewać.

*Wchodzi K a s j o.*

KASJO

Dzięki wam, mężni obrońcy tej wyspy,  
Za te przychylne uczucia dla wodza.  
Oby go nieba zachowały cało!  
Bo oddzielony od niego zostałem  
Pośród bałwanów wzburzonego morza.

MONTANO

Dobryż ma okręt?

KASJO

Mocno zbudowany,  
I sternik mistrzem jest w swoim rzemiośle;  
Nadzieje moje przeto nie są jeszcze  
Śmiertelnie chore i liczą na bliski  
Powrót do zdrowia.

*Głosy za sceną: „Żagiel! żagiel! żagiel!”*

Co to za krzyki słysząc?

*Wchodzi C z w a r t y o b y w a t e l.*

CZWARTY OBYWATEL

Miasto opustoszało. Tłumy ludu  
Na brzeg wybiegły i wołają: żagiel!

KASJO

Moja nadzieja zwiastuje Otella.

*Słysząc wystrzały.*

DRUGI OBYWATEL

Wydają teraz powitalne salwy:  
Nie jest to zatem w każdym razie okręt  
Nieprzyjacielski.

KASJO

Idź pan, proszę, zobacz,  
I przynieś nam wieść pewną, kto to przybył.

DRUGI OBYWATEL

Spieszę natychmiast.

*Wychodzi.*

MONTANO

Panie namiestniku,  
Chciej mi powiedzieć, czy wasz wódz ma żonę?

KASJO

I jaką jeszcze! Zaślubił dziewicę,  
Która z opisem najidealniejszym  
Może się równać, która by zdołała  
Najwytworniejsze pióro w kłopot wprawić,  
Bo mieści w sobie wszelką doskonałość,  
Na jaką może zdobyć się natura.

*Drugi obywatel wraca.*

Któż to przyplynał?

DRUGI OBYWATEL

To niejaki Jago,  
Choraży wodza.

KASJO

Szczęśliwą zaiste  
Miał podróż, kiedy mógł przybyć tak prędko.  
Orkany nawet, wichry i topiele,  
Spiczaste rafy i w mur zbite piaski,  
Te przyczajone wrogi niewinnego  
Tramu okrętów, jakby ulegając  
Wpływowi piękności, stłumiły złość w sobie  
Dla przepuszczenia boskiej Desdemony.

MONTANO

Któż ona?

KASJO

Ta to, o której mówiłem,  
Pani naszego pana, powierzona  
Pieczy dzielnego Jaga, który nasze  
Oczekiwania uprzedził o tydzień  
Przybywszy teraz, panie chroń Otella!  
Zbawczym swym tchnieniem wezdmij jego żagiel,  
By mógł okrętem swym ten port ucieszyć,  
Chyżo w objęciach Desdemony spocząć,  
Wlać nowy zapal w nasz duch półprzygasły  
I uszczęśliwić cały Cypr. O, patrzcie!

*Wchodzą z orszakiem Desdemona, Emilia,  
Jago i Rodrygo.*

Klejnot okrętu na brzeg wysiadł. Cyprze,  
Zegnij kolana przed nią. Cześć ci, pani!  
Błogosławieństwo nieba niechaj będzie  
Z tobą, za tobą, w krąg ciebie!

DESDEMONA

Dziękując,  
Waleczny Kasjo: wiesz co o mym mężu?

KASJO

Jeszcze nie przybył i nic więcej nie wiem  
Nad to, że zdrow jest i wkrótce tu będzie.

DESDEMONA

Boję się tylko – czemuś się z nim rozstał?

KASJO

Straszny spór morza ze sklepieniem niebios  
Rozdzielił nasze statki.

*Słychać wystrzały.*

Słyszysz, pani?

Zbliża się jakiś okręt.

*Głosy za sceną: „Żagiel! żagiel!”*

DRUGI OBYWATEL

Ogniem z dział wita naszą cytadelę,  
Snadź i to nasi.

KASJO

Chciej pan pójść to sprawdzić.

*Wychodzi Drugi obywatel.*

Mości chorąży, witaj! Witaj, pani!

*Całuje Emilię.*

Niech ci ta moja śmiałość krwi nie psuje,  
Kochany Jago, wiem ja, co wypada,  
I stąd ten śmiały objaw uprzejmości.

JAGO

Gdyby jej usta były dla waszmości  
Podobnie szczodre jak jej język dla mnie,  
Wnet byś był syty.

DESDEMONA

Biedna, słów jej braknie.

JAGO

Ma niepośledni ich magazyn: nieraz  
Doświadczam tego, kiedy bym chciał zasnąć.  
W twojej obecności, pani, naturalnie  
Cofa się trochę z językiem za szaniec  
I w myśli tylko gdera.

EMILIA

Co też pleciesz!

JAGO

Idź, idź; obrazki z was za progiem domu,  
Dzwony w pokojach, dzikie koty w kuchni,  
Święte, jeżeli same co zbroicie,  
Diablice, gdy kto wam w czym nie dogodzi;  
Komedyjantki koło gospodarstwa,  
A gospodynie w łóżku.

DESDEMONA

O bluźnierco!

JAGO

Jeśli to kłamstwo – Turkiem mnie nazwiecie,  
W dzień się bawicie, w nocy pracujecie.

EMILIA

Pochwalnych ód mi nie pisz.

JAGO

Nie chciej tego.

DESDEMONA

Cóż byś napisał, gdybyś mnie miał chwalić?

JAGO

O, nie wyzywaj mnie do tego, pani,  
Bo Jago zero, jeżeli nie gani.

DESDEMONA

Spróbuj. Czy poszedł kto do portu?

JAGO

Poszedł.

DESDEMONA do siebie

Nie w smak mi żarty, chcę atoli pokryć  
Stan mój wewnętrzny wesołym pozorem,  
No, jakżebyś mnie pochwalił, Jagonie?

JAGO

Myśleć ja nad tym, lecz pomysł w tej mierze  
Tak się odczepia od mej mózgownicy  
Jak muchy z lepu, wrywa mózg z sobą,  
Wszystko; wszelako muza ma pracuje  
I w taki sposób wydaje swój poród:  
Białam, piękna i sprytna, stąd dwie mam korzyści:  
Piękność wróży mi szczęście, spryt takowe iści.

DESDEMONA

A jeśli piękność jest czarna przy sprycie?

JAGO

Jestli czarna i sprytna, daję w zakład szyję,  
Że ktoś biały niebawem jej czarność pokryje.

DESDEMONA

Coraz to gorzej.

EMILIA

A jeżeli która  
Jest, dajmy na to, piękna, ale głupia?

JAGO

Głupstwo pięknej kobiecie nie może zawadzić,  
Bo przy piękności każda umie sobie radzić.

DESDEMONA

Niesmaczne to, stare koncepta, zdolne rozśmieszyć karczemną kompanię. Cóż byś powiedział o kobiecie brzydkiej i głupiej zarazem?

JAGO

Niech będzie jak gęś głupia i szpetna jak flądra,  
Potrafi to, co każda i piękna, i mądra.

DESDEMONA

Cóż za straszne nieuctwo! Najgorszą pochwaliłeś najlepiej. Jakaż ci pochwała pozostaje dla prawdziwie zacnej kobiety? Dla kobiety, której wszechstronna wartość zmusza złośliwość nawet do oddania jej sprawiedliwości?

JAGO

Taka, co krasą nęci, a nie razi pychą,  
Ma język nie dla kształtu, jednakże jest cichą;  
Choć jej złota nie braknie, nie pstry się jak lala,  
Mogłaby, przecież nigdy sobie nie pozwala;  
Gdy ma powód do gniewu i do zemsty możność,  
Zniesie urazę, odwet mając za bezbożność;  
Której nigdy do głowy nie przyjdzie myśl taka,  
Że lepszy jest mlecz śledzia niż ogon szczupaka;  
Co powierzone sobie szanuje sekreta,  
A sama nie ma żadnych: o, taka kobieta  
Warta – jeżeli tylko jest gdzie takie dziwo...

DESDEMONA

Czegóż warta?

JAGO

Karmić bębny i cienkie butelkować piwo.

DESDEMONA

Możnaż się zdobyć na bardziej kulawą, nieudolną konkluzję? Nie ucz się od niego, Emilio, choć jest twoim mężem. Cóż ty na to, mości Kasjo? Nie jestże to najbezbożniejszy, najbezwstydniejszy bajarz?

KASJO

Rąbie krzyżową sztuką, łaskawa pani: więcej ma zalet jako żołnierz niżeli jako światowiec.

JAGO do siebie

Bierze ją za rękę; tak, tak, szeptaście do siebie: w takiej to wątłej tkance uwikłam tak wielką muchę jak Kasjo. Tak, tak, uśmiechaj się do niej, uśmiechaj; równaj nogi, tym dogodniej cię spętam przez tę dworność. O, tak, tak, przewybornie! Jeżeli ta uprzejmość wyzuje cię z twego namiestnikostwa, to lepiej ci było tak często nie całować swych, trzech palców, którymi z taką gracją odgrywasz rolę galanta. Brawo! Ślicznie całujesz: co za wytworna dworność! w rzeczy samej. Znowu palce do ust? Rad bym, żeby ci się zamieniły w lewatywy.

*Słysząc trąbkę.*

To wódz, znam jego trąbkę.

KASJO

Tak, to on.

DESDEMONA

Idźmy naprzeciw niego.

KASJO

Oto idzie.

*Wchodzi O t e l l o z orszakiem.*

OTELLO

O mój piękny żołnierzu!

DESDEMONA

Mój Otello!

OTELLO

Zdumienie moje, zem cię tu już zastał,  
Równa się mojej radości. O drogi,  
Zachwycający skarbie duszy mojej!  
Gdyby po każdej burzy miała taka  
Cisza nastawać, niech szaleją wichry,  
Póki uśpionej śmierci nie przebudzą;  
Niech się na góry fal pnie łódź wędrowna  
Aż po sam Olimp i w głąb spada nazad  
Aż po kraj piekieł! Gdyby trzeba było  
Umrzeć natychmiast, skonanie w tej chwili  
Błogosławieństwem by mi się wydało,



Bo rozkosz mojej duszy tak jest wielka,  
Ze się obawiam, czy druga podobna  
We mgle przyszłości jest mi zachowana.

DESDEMONA

Niechże Bóg broni, aby nasza miłość  
I nasze szczęście nie miało się, owszem,  
Z liczbą dni zwiększać!

OTELLO

Święte twe życzenie!  
Nie mogę zmieścić mej radości w słowach;  
Oby w harmonii serc naszych nie zaszła  
Inna niezgodność jak obecnie.

*Całuje ją.*

JAGO *do siebie*

Brawo!  
Jesteście teraz dobrze nastrojeni;  
Ale ja wkrótce odkręcę te kołki,  
Co dają taką dźwięczność waszym strunom.  
Jakem uczciwy, rozstroję ten współdźwięk.

OTELLO

Pójdźmy na zamek. Tak więc, przyjaciele,  
Wojna skończona. Turcy potonęli.  
Jakże się macie, moi dobrzy, moi  
Starzy znajomi? Luba, znajdziesz w Cyprze  
Dobre przyjęcie, bo mam na tej wyspie  
Wielu życzliwych. O najukochańsza,  
Nie kleją mi się wyrazy, mającę  
Ze zbytku szczęścia. Proszę cię, Jagonie,  
Kaź moje skrzynie poznosić z okrętu  
I kapitana przyprowadź mi z sobą  
Do cytadeli; dzielny to marynarz.  
Jego zasługi o wielki szacunek  
Słusznie wołają. Idźmy, Desdemono,  
Jeszcze raz, bądź mi w Cyprze pozdrowiona!

*O t e l l o i D e s d e m o n a wychodzą ze swym  
orszakiem.*

JAGO *do swego sługi*

Idź do portu i czekaj tam na mnie.

*do R o d r y g a*

Zbliż no się, bracie: jeżeli masz odwagę – a mówią, że nawet tchórze, zakochani będąc,  
nabierają szlachetnych impulsów, których im odmówiła natura – jeżeli tak jest, to słuchaj,

co ci powiem. Kasjo będzie miał tej nocy straż w zamku; przede wszystkim jednak muszę ci powiedzieć, że Desdemona jest w nim naprawdę zakochana.

RODRYGO

W nim? To być nie może.

JAGO

Przyłóż palec, ot tak, i zważ, co ci powiem. Przypominasz sobie, jak ona namiętnie pokochała zrazu tego Murzyna, za to tylko, że przed nią junaczył i prawił smalone duby. Możnaż przypuścić, że go stale kochać będzie za gadulstwo? Odwołuję się do twego rozsądku. Jej oczy potrzebują karmi, a cóż im za rozkosz patrzeć na diabła? Aby krew, po pewnym czasie pożycia ochłodzona, na nowo mogła zakipieć i namiętność, ukołysana, na nowo się rozbudzić, niezbędną jest ku temu kształtność postawy, stosowność wieku, gładkość oblicza i obejścia, czego wszystkiego Murzynowi braknie. Otóż w braku tego rodzaju dezyderiów subtelna jej czułość widzieć będzie zawód, zacznie czuć niesmak, ckliwość, a następnie odrazę do tego Murzyna; sama natura do tego ją przywiedzie i znagli do nowego wyboru. Przypuściwszy to, przyjacielu, a przypuszczenie to jest niezbite, bynajmniej nie nakręcone, któż stoi na wyższym szczeblu do tego szczęścia jak Kasjo? Zręczny to hultaj, nie posuwający skrupulatności dalej jak do nadania sobie uczciwego przyzwoitego pozoru, pod którym by tym lepiej mógł zaspokajać swoje sprośne, kryjome chuci? Nikt jak on, nikt jak on: przebiegły to, szczwany hultaj; wyżeł na gratki, którego oko umie bić fałszywą monetę sposobności, gdy prawdziwa się nie nastęcza: szatan wcielony. Przy tym hultaj ten jest młody i przystojny i posiada wszelkie warunki, za którymi pstre, puste głowy szaleją; hultaj to kompletny, z piekła rodem! i ona go już sobie upatrzyła.

RODRYGO

Nie mogę temu uwierzyć; znam jej bogobojny sposób myślenia.

JAGO

Ot wyjechał z bogobojnością jak na targ z łysą kobyłą. Toć przecie wino, które ona pije, jest z gron nie z czego; gdyby była bogobojna, nie zakochałaby się była w Murzynie. Bogobojna głupoto! Nie uważałeś, jak mu dłoń muskała palcami? nie uważałeś tego?

RODRYGO

Uważałem; ale to tylko tak, z życzliwości.

JAGO

Z lubieżności, tak to pewne, jak że mam pięć palców u ręki. Był to wstęp, nieznacznym prolog do dzieła bezwstydu i nierządu. Tak się do siebie zbliżyli ustami że się ich tchnienia objęły nawzajem. Obmierzłe myśli! nieprawdaż, Rodrygo? Skoro te porozumienia utorują sobie drogę, tuż za nimi pójdzie akcja główna i ostateczne rozwiązanie; tfy! Ale jest na to sposób; posłuchaj mojej rady, przyjacielu, nie na próżno sprowadziłem cię z Wenecji. Bądź tej nocy na warcie; moją rzeczą będzie naznaczyć ci posterunek; Kasjo nie zna cię; ja będę w pobliżności; staraj się jakim bądź sposobem w gniew go wprawić, bądź to mówiąc za głośno, bądź to szydząc z jego służbistości, bądź to innym jakim środkiem drażniącym, który czas i okoliczności za najstosowniejszy ci wskażą.

RODRYGO

Dobrze.

JAGO

On jest porywczy, pasjonat; zechce cię może laską uderzyć; polezcz no go tak, żeby to zrobił; będzie to dla mnie dostateczne do podburzenia Cypryjczyków, którzy się nie prędeż uspokoją, aż Kasjo od obowiązków oddalony zostanie. Wtedy będziesz miał uproszczoną drogę do celu środkami, jakimi będę mógł rozporządzać; i tym sposobem pozbędziemy się zawady, bez usunięcia której nie moglibyśmy się spodziewać powodzenia.

RODRYGO

Zgoda, uczynię to, tylko mi nastęrcz sposobność.

JAGO

O to się nie troszcz; przyjdź tylko niebawem do cytadeli. Muszę pójść teraz na okręt po jego rzeczy, bądź zdrów.

RODRYGO

Do widzenia.

*Wychodzi.*

JAGO

Że się w niej Kasjo kocha, temu wierzę;  
Że ona kocha go, to wiarogodne.  
Murzyn ma stały, szlachetny charakter  
(Choć go nie cierpię, muszę mu to przyznać)  
I, ani wątpić, będzie dobrym mężem  
Dla Desdemony. Ja ją także kocham,  
Nie samą tylko zmysłową miłością,  
Jakkolwiek, prawdę mówiąc, niedalekim  
Od tak wielkiego grzechu, głównie jednak  
W widoku zemsty; podejrzenie bowiem,  
Że się ten Murzyn wkradł do mej kwatery,  
Jak witriolem pali mi wnętrze.  
Póty nie zdoła nic mnie zaspokoić,  
Póki nie oddam mu wet za wet; gdyby  
To zaś chybiło, opętam mu duszę  
Taką zazdrością, że jej nie uleczy  
Żadna rozwaga; do spełnienia czego,  
Byle mi tylko nie skrewił ten mały  
Wenecki szpiczak, którego podjudzam,  
Pan Michał Kasjo za most mi posłuży.  
Opiszę go jak węża przed Murzynom,  
Bo się obawiam, aby i on także  
Nie znalazł drogi do mojej szlafmocy;  
Zyskam Murzyna serce, zaufanie  
I wdzięczność za to, że go wykieruję  
Na błazna; że go z pokoju i szczęścia  
W szaleństwo strącę. Oto szkic tej matni,  
Błady on jeszcze, czas go uwydatni.

*Wychodzi.*

## SCENA DRUGA

*Ulica.*

*Wchodzi Herold z proklamacją w ręku; za nim lud.*

HEROLD

Wolą jest Otella, dostojnego, walecznego generała naszego, ażeby z powodu świeżo nadeszłych wieści o zupełnym zniszczeniu floty tureckiej, całe miasto objawiło swą radość, bądź to przez taniec, bądź to przez fajerwerki, bądź przez inne jakiegokolwiek zabawy i uciechy, odpowiednie upodobaniu każdego; tym bardziej że obok tak fortunnego wypadku generał święci dziś swoje zaślubiny. Generał pragnął, aby to ogłosić. Wszystkie kuchnie zamku są otwarte i wolno w nich każdemu weselić się i bankietować od tej, to jest piątej godziny, aż dopóki zegar nie wybije jedenastej. Niech nieba błogosławią wyspę Cypr i naszego dostojnego generała Otella!

*Wychodzą.*

## SCENA TRZECIA

*Przedcień w zamku.*

*Wchodzi Otello, Desdemona, Kasjo i służba.*

OTELLO

Ścisłą tej nocy miej straż, mój Michale;  
Trzeba nam samym mieć się na bacności,  
Aby uciecha miary nie przebrała.

KASJO

Jago otrzymał już rozkaz po temu;  
Pomimo tego jednak osobiście  
Oko mieć będę.

OTELLO

Jago jest sumienny.  
Bądź zdrow, Michale; jutro jak najraniej  
Pomnij przyjsć do mnie. Pójdź, najukochańsza.  
Kto targu dobił, może zyski ciągnąć;  
Nam już się godzi korzyść tę osiągnąć.  
Dobranoc.

*Wychodzi z Desdemoną i służbą. Wchodzi Jago.*

KASJO

Trzeba nam pójść na wartę, Jagonie.

JAGO

Jeszcze nie teraz, namiestniku, dopiero dziesiąta. Generał pozbywa się nas tak wcześnie z miłości ku swojej Desdemonie i za złe mu tego wziąć nie można, jeszcze się nią nie nacieszył, a to kąsek godzin Jowisza.

KASJO

Rzadka to kobieta, w rzeczy samej.

JAGO

I ognista, na honor.

KASJO

W istocie, dziwnie hoże i nadobne stworzenie.

JAGO

Co to za oczy! Zdaje mi się, że jest w nich coś wyzywającego.

KASJO

Coś podbijającego, a przy tym, zdaje mi się, nadzwyczaj skromnego.

JAGO

A kiedy mówi, to tak, jak gdyby do serca szturm przypuszczała.

KASJO

W istocie, doskonałość sama.

JAGO

Daj im Boże szczęście w łożu! Pójdź, namiestniku, mam gąsiorek wina, a tam w podłobie jest kilku cypryjskich zuchów, co by radzi szturchnąć w kubki za zdrowie czarnego Otella.

KASJO

Tej nocy ani kropli, Jagonie. Mam słabą, nieszczęśliwą głowę do picia. Rad bym, żeby koleżeństwo wynalazło inny jaki obyczaj na objawienie serdeczności.

JAGO

To walni chłopcy; tylko jeden kubek, ja za ciebie pić będę.

KASJO

Wypiłem dziś wieczór tylko jeden kubek, i to dobrze wodą zobojętniony, a patrz, jaką tu rewolucję wywołał. Już to takie moje upośledzenie; nie mogę brawować z moją słabością.

JAGO

Ejże! ejże! toć to noc na hulankę przeznaczona, a ci panowie tak bardzo sobie tego życzą.

KASJO

Gdzież oni są?

JAGO

U bramy wchodowej; gdybyś chciał ich tu zaprosić.

KASJO

No, mniejsza zresztą, ale niechętnie to czynię.

*Wychodzi K a s j o.*

JAGO

Jeśli choć jeden kubek wlać weń zdołam  
Do tego, co już dziś wieczorem wypił,  
Tak się drażliwy stanie i zajadły  
Jak mały piesek bonoński. Rodrygo,  
Któremu miłość przewróciła głowę  
Prawie na wywrót, wychylił już kilka  
Porządnych miarek na cześć Desdemony  
I jest na warcie. Uraczyłem przy tym  
Tęgo przed chwilą trzech cypryjskich chwatów,  
Hardych i ciętych, i dbałych o honor,  
Prawdziwe jądro tutejszej młodzieży;  
Ci są na straży także. Owoż tedy  
Wśród tej drużyny dobrze podchmielonej  
Przywiode Kasja do czegoś takiego,  
Co całą wyspę oburzy. Już idą.  
Niech jeno plan mój nogi nie wywinie,  
Z wiatrem i nurtem łódź moja popłynie.

*Wchodzi K a s j o, z nim M o n t a n o i dwóch innych  
Cypryjczyków.*

KASJO

Na honor, już mi się w głowie kręci.

MONTANO

Cóż znowu? Od kilku kropel? Nie było nawet flaszki, jakem żołnierz.

JAGO

Hej, wina!

*śpiewa*

Uderzmy w puchary: buch! buch!  
Uderzmy w puchary: buch!  
Łyk rzeźwi człowieka,  
A życie ucieka,  
Więc dalej! niech pije, kto zuch!

Wina, chłopcy!

*Przynoszą wino.*

KASJO

Na honor, przednia śpiewka.

JAGO

Nauczyłem się jej w Anglii, gdzie są zawołane majstry od kufla. Ani Duńczyk, ani Niemiec, ani nawet opasły Holender – hej, wina! – nie dotrzyma placu Anglikowi.

KASJO

To więc Anglicy mają takie tęgie głowy?

JAGO

Ba! kiedy Duńczyk legnie trupem, Niemiec pod ławę się stoczy z przepicia, a Holender odda to, co wypił, Anglik spokojnie każe sobie nalewać nowy puchar.

KASJO

Za zdrowie naszego generała!

MONTANO

Chętnie je przyjmuję, namiestniku, i godnie na nie odpowiem.

JAGO

O kochana Anglio!

*śpiewa*

Król Stefan nie był marnotrawca,  
Z szaraku nosił szarawary;  
Dał za nie tylko dwa talary  
I jeszcze zdziercą nazwał krawca.  
Pan to na wielkie był rozmiary,  
A tyś niebogim jest chudziną;  
Zbytkiem narody nawet giną,  
Wdziej więc na siebie płaszcz swój stary.

Hola! jeszcze wina!

KASJO

To jeszcze przedniejsza śpiewka niż tamta.

JAGO

Chceszże, abym ją powtórzył?

KASJO

Nie, nie; bo mi się zdaje niegodnym swego miejsca, kto coś takiego czyni. Tak, tak. Opatrzność jest nad wszystkimi, są dusze, co się doczekają zbawienia, i są dusze, co się nie doczekają zbawienia.

JAGO

Masz słuszność, kochany namiestniku.

KASJO

Co do mnie, bez obrazy generała i kogo bądź wyższej rangi spodziewam się doczekać zbawienia.

JAGO

Tak samo i ja, mój namiestniku.

KASJO

Za pozwoleniem, tylko nie wprzód ode mnie: namiestnik powinien być wprzód zbawionym niż chorąży. Ale dość tego: idźmy na służbę. Przebacz nam Panie nasze grzechy! Idźmy, panowie. Nie myślcie przecie, że ja pijany! To mój chorąży, to moja lewa ręka, a to prawa, widzicie, że nie pijany; mogę jeszcze dobrze stać i mówić dobrze.

WSZYSCY

Zupełnie dobrze.

KASJO

No, to bardzo dobrze; nie trzeba wam przeto myśleć że pijany.

*Wychodzi.*

MONTANO

Idźmy, panowie; czas już na tarasie  
Wartę rozstawić.

JAGO

Mieliście, panowie,  
Próbkę naszego namiestnika, jest to  
Wojownik, godzien przy Cezarze służyć  
I rozkazywać, ale ma tę wadę,  
Coście widzieli, ta zaś do istotnej  
Jego wartości w takim jest stosunku  
Jak dzień do nocy w czasie porównania:  
Długość ich równa. Szkoda go prawdziwie.  
Boję się, żeby Otella w nim ufność  
Nie zamieszała spokojności Cypru,  
Gdy go ta jego słabość w niewłaściwej  
Porze napadnie.

MONTANO

Częstoż on tak bywa?

JAGO

Co dzień przed pójściem spać; zdolny jest czuwać  
Całe dwie doby, jeżeli go trunek  
Nie ukołysze.

MONTANO

Nie byłoby dobrze  
Uprzedzić o tym generała? Może



On o tym nie wie? Może jego dobroć  
Dostrzega tylko cnót Kasja, a wady  
Raczej przeocza? Azaliż tak nie jest?

*Wchodzi R o d r y g o.*

JAGO

Rodrygo?!

*po cichu do niego*  
Czego chcesz? ruszajże za nim.  
*Wychodzi R o d r y g o.*

MONTANO

Szkoda, doprawdy, że zacny Otello  
Tak ważne miejsce, bo drugiego siebie,  
Nałogowemu zwierza pijanicy.  
Miałby zasługę, kto by mu w tej mierze  
Oczy otworzył.

JAGO

Nie zrobię ja tego,  
Choćby mi cały Cypr dawano za to.  
Szczerze miłuję Kasja i wolałbym  
Uleczyć go z tej wady. Ale cicho!  
Cóż to za hałas?

*Krzyki za sceną: „Na pomoc! na pomoc!”*  
*R o d r y g o wbiega, K a s j o ściga go.*

KASJO

Ha, psie! gałganie!

MONTANO

Co to, namiestniku?

KASJO

A łajdak! uczyć mię mych obowiązków?  
Zbiję na leśne jabłko tego szelmę.

RODRYGO

Bić mnie!

KASJO

Ujadasz jeszcze?

*Uderza R o d r y g a.*

MONTANO

Namiestniku,  
Powściągnij swój gniew, proszę.

*Wstrzymuje go.*

KASJO

Puść mię wacpan,  
Jeżeli nie chcesz sam oberwać guza.

MONTANO

Wstydz się, pijany jesteś.

KASJO

Ja pijany?  
*Biją się.*

JAGO

Panowie, dajcie pokój!

*Do R o d r y g a na stronie*

Idź, krzycz: gwałtu!

*Wychodzi R o d r y g o.*

Mój namiestniku! przestańcie, panowie!  
Panie Montano! Namiestniku! Hola!  
Na pomoc! Także straż odbywać mamy?

*Dzwon bije na alarm.*

Diavolo! któż to na alarm uderzył!  
Całe się miasto poruszy. Dlaboga!  
Stój, namiestniku! zhańbisz się na zawsze.

*Wchodzi O t e l l o z orszakiem.*

OTELLO

Co się tu dzieje?

MONTANO

Krew się leje ze mnie.  
Zranił mię. Musi umrzeć!

OTELLO

Ach, stójcie,  
Jeśli wam życie miłe!

JAGO

Namiestniku!  
Panie Montano! Przestańcie, na Boga!  
Zgodneż to z waszym stopniem, obowiązkiem?  
Stójcie! generał mówi: dajcież pokój!

OTELLO

Co się to znaczy? Jak przyszło do tego?  
Czyśmy się w Turków przemienili? Mamyż  
Czynić to, czego nawet bisurmanom  
Ich Bóg zabrania? Przez wstyd chrześcijański  
Połóżcie koniec tej pogańskiej walce.  
Kto pierwszy w nowym przystępie wściekłości  
Drgnie z miejsca, życiem odpowie mi za to.  
Niech zaprzestaną tego bicia w dzwony!  
Straszny ich odgłos rzuca próżną trwożę  
Na miasto. Co się tu stało, panowie?  
Pocziwy Jago, coś aż zbladł z zmartwienia,  
Powiedz, kto powód dał do tego? W imię  
Twej przychylności wzywam, cię, mów.

JAGO

Nie wiem.

Przed chwilą jeszcze, przed pół, ćwierć minutą,  
W najlepszej zgodzie z sobą, w zażyłości  
Najpoufalszej, jako oblubieniec  
Z oblubienicą w łóżce zmierzający –  
Wtem jakby jaki planeta ich urzekł,  
Łap za oręż i dalej po sobie  
Grzmotać zaczęli. Nie umiem powiedzieć,  
Z czego powstała ta jałowa zwada.  
Było mi raczej w jakiej chlubnej sprawie  
Stracić tę nogę, co mię tu przywiodła.

OTELLO

Jakże mógł tak się zapomnieć, Michale?

KASJO

Wybacz mi, wodzu, nie mogę rzec słowa.

OTELLO

Zacny Montano, znany byłeś z taktu;  
Wysoko cenił świat rozwagę twoją  
W tak młodym wieku i twe imię brzmiało  
Pochwalnie w ustach najświetlejszych sędziów.  
Skądże ci przyszło kazić tak swą przeszłość  
I klejnot sławy zamieniać na imię  
Burdy nocnego? Odpowiedz mi na to.

MONTANO

Zacny Otello, ciężko jestem ranny,  
Nie mogę mówić; Jago, twój chorąży,  
Powie ci wszystko, co wiem: nie wiem wszakże,  
Abym cokolwiek zdrożnego powiedział  
Albo uczynił, jeśli zachowanie  
Własnego życia nie zwie się występkiem,

I grzechem nie jest bronić się, gdy napaść  
Grozi całości naszej.

OTELLO

Już krew we mnie  
Zaczyna górę brać nad cierpliwością  
I gniew, ćmiąc jasny mój pogląd, nurtuje  
Po moich żyłach. Gdy krok zrobię naprzód,  
Gdy raz dłoń wzniosę – i najlepsi padną.  
Mówcie więc, jak się wszczął ten bój ohydny?  
Kto dał do niego powód? Na kimkolwiek  
Cięży stąd wina, tego się wyrzekam,  
Choćby był nawet mym bliźnięcym bratem.  
Jak to? W samejże twierdzy? Gdy lud jeszcze  
Trwogą przejęty, skłonny do popłochu,  
Wzniecać domowe kłótnie i rozterki,  
W noc, w czasie służby, na głównym odwachu?  
To niesłychane. – Jagonie, kto zaczął?

MONTANO

Jeśli przez stronność, z koleżeńskich względów  
Mniej albo więcej powiesz, niż jest prawdą,  
Nie żołnierz z ciebie.

JAGO

Nie łechc mię z tej strony:  
Wolałbym raczej mieć ucięty język  
Niż świadczyć przeciw Michałowi Kasjo;  
Pewnym atoli, że mu objaw prawdy  
Nic nie zaszkodzi. Tak było, mój wodzu:  
Jam tu rozmawiał z Montanem, aliści,  
Krzyżąc o pomoc, wbiega jakiś człowiek,  
A za nim Kasjo z wydobytym mieczem,  
Jakby w zamiarze pchnięcia go. Montano,  
Chcąc go powstrzymać, postąpił ku niemu,  
Ja zaś pobiegłem za tamtym, co krzyczał,  
By swoim wrzaskiem (co się jednak stało)  
Nie rozsiał trwogi. Ów ptak, chyży w nogach,  
Umknął mi, spieszenie więc wróciłem nazad,  
Tym bardziej żem już posłyszał szczęk broni,  
A przy tym Kasja przeklinającego  
Jak jeszcze nigdy dotąd. Gdym powrócił,  
Po krótkiej chwili, znalazłem ich zwartych  
W zaciętej walce, jaką wiedli właśnie,  
Gdyś ich rozdzielił, wodzu. Oto wszystko,  
Co w tym przedmiocie mam do powiedzenia.  
Ludzie są ludźmi, panie; niejednemu  
Trafi się zbłądzić i, aczkolwiek Kasjo  
Skrzywdził poniekąd zacnego Montana  
(Jak się to w gniewie zdarza człowiekowi

Względem tych nawet, co mu dobrze życzą),  
Jednakże Kasjo musiał, mniemam, doznać  
Ciężkiej zniewagi od tego, co uszedł,  
Zniewagi, jakiej żaden prawy żołnierz  
Nie zdoła z flegmą strawić.

OTELLO

Wiem, Jagonie,  
Że twa poczciwość stara się tę sprawę  
Postawić w świetle mniej rażącym, aby  
Kasja oszczędzić. Kasjo, sprzyjam tobie,  
Ale przestajesz być mym namiestnikiem.

*Wchodzi Desdemona ze swym orszakiem.*

Otóż i wdzięczny mój anioł się zbudził.

*do Kasja*

Muszę dać z ciebie przykład.

DESDEMONA

Co się stało?

OTELLO

Wszystko już dobrze, luba, idź się połóż,  
Ran twych, Montano, sam będę lekarzem.  
Hej, służba! niech go do domu prowadzą.

*Wychodzi Montano wsparty na sługach.*

Jagonie, obejdź miasto i uspokój  
Tych, co się mogli zajść tym przerazić.  
Pójdź, Desdemono, tak to dla żołnierza  
Nie ma stałego z wytchnieniem przymierza.

*Wychodzą wszyscy prócz Kasja i Jagona.*

JAGO

Jestżeś raniony, namiestniku?

KASJO

Tak, że mi żaden chirurg nie pomoże.

JAGO

Niechże Bóg broni, aby tak być miało!

KASJO

Dobre imię! Dobre imię! Moje dobre imię! Utraciłem dobre imię; utraciłem nieśmiertelną  
cześć mojego jestestwa, a pozostała jest bydlęca. O Jagonie! Już po moim dobrym imieniu.

JAGO

Na poczciwość, rozumiałem, żeś jaką cielesną ranę odebrał, nad tym by warto było utyskiwać prędzej niż nad dobrym imieniem. Dobre imię jest to rzecz nader wietrzna i zawodna; rzecz, którą się częstokroć niezasłużenie nabywa i niewinnie traci. Utraciłeś dobre imię o tyle chyba, o ile się sam mienisz stratnym w tej mierze. Kuraż, przyjacielu! Są przecie środki odzyskania względów generała, zły tylko jego humor dał ci dymisję; ukarał on cię przez politykę, a nie przez niechęć ku tobie, tak właśnie jak ktoś, co by nieszkodliwego psa smagał, aby groźnego lwa nastraszyć. Zakołataj jeno do niego znowu, a pewnie drzwi ci otworzy.

KASJO

Wolałbym go prosić, żeby mnie całkiem odepchnął, jak żeby tak dobry dowódca takiego ladaco, takiego pijanicę, takiego wartogłowa cierpiał dłużej przy sobie oficerem. Spić się! Pleść duby! Zżymać się! Kłać! Junaczyć! Szermować gębą z własnym cieniem! O, ty niewidzialna potęgo wina! Jeżeli jeszcze nie wynaleziono godnej ciebie nazwy, bądź nazwana szatanem.

JAGO

Co to był za człowiek, którego ścigałeś z mieczem w ręku? Co on ci zrobił?

KASJO

Nie wiem.

JAGO

Czy to być może?

KASJO

Przypominam sobie masę rzeczy, ale żadnej dokładnie; wiem, że była jakaś kłótnia, ale zabij mnie, nie wiem o co. Że też ludzie mogą do ust przyjmować wroga, co ich okrada z rozumu! Uciechy, rozrywki, hulanki na to są tylko, aby nas obracały w bydlęta.

JAGO

Wcale przytomnie mówisz teraz, jakżeś mógł tak prędko wytrzeźwieć?

KASJO

Podobało się biesowi pijaństwa ustąpić z pola biesowi gniewu; jedno lichy przerodziła się w drugie, aby mnie we własnych oczach zmierzić ze szczętem.

JAGO

Ejże, ejże! za surowy z ciebie moralista. Ze względu na czas, miejsce i usposobienie tego kraju, z serca bym rad, żeby się to nie było stało; ponieważ jednak stało się i odstać się nie może, trzeba, żebyś to jakoś załatał dla własnego swego dobra.

KASJO

Poproszę go, żeby mnie powrócił do posady, to mi powie, zem pijak. Choćbym miał tyle gąb co hydra, wszystkie by mi zatkał tą odpowiedzią. Dopiero co być człowiekiem rozsądnym i nagle zmienić się w głupca, a na koniec w bydlę! To okropne! Przeklęty każdy kubek nad miarę! Na dnie jego czart siedzi.

JAGO

Ejże, ejże! dobre wino to dobra, niewinna istota, kiedy odpowiednio użyta; przestań mu złorzeczyć. Kochany namiestniku, nie wątpię, że o przychylności mej nie wątpisz?

KASJO

Przekonany o niej jestem. Ja pijany!

JAGO

Nie ma człowieka, przyjacielu, któremu by się raz w życiu nie zdarzyło upić. Posłuchaj mojej rady. Żona naszego generała jest teraz generałem; mogę się poniekąd tak wyrazić, bo on się całkiem pogrążył i zatopił w rozpatrywaniu, badaniu i studiowaniu jej talentów i wdzięków. Wywnętrz się jej otwarcie, natrzyj na nią, ona ci do odzyskania miejsca dopomoże. Ona jest tak łatwego, słodkiego, dobrotliwego charakteru, że za grzech sobie poczytuje w swej dobroci nie zrobić więcej nad to, o co jest proszona. Błagaj ją, aby ten złamany członek pomiędzy tobą a jej mężem w łupki wsadziła, a stawiam mienie moje przeciw wszelkiemu zakładowi, że przyjaźń wasza wyjdzie z tego wyłomu silniejsza, niż była wprzód.

KASJO

Dobrze radzisz.

JAGO

Z rzetelnej przychylności i najlepszego serca; za to rękę.

KASJO

Jak najmocniej temu wierzę; zaraz z rana prosić będę cnotliwej Desdemony, aby się za mną wstawiła. Zwątpię o mym losie, jeżeli mi ten krok zawiedzie.

JAGO

Słusznie mówisz. Dobranoc, namiestniku, muszę pójść na patrol.

KASJO

Dobranoc, poczciwy Jagonie.

*Wychodzi.*

JAGO

Niechże kto o mnie powie, zem niecnota,  
Skoro ta moja rada tak jest dobra,  
Przeświadczająco trafna, i w istocie  
Do przebłagania Murzyna jedyna.  
Jak łatwo czułe Desdemony serce  
Da się do prośby lada jakiej skłonić,  
Gdy cel jej prawy! Ona jest tak plenna  
Jak dobroczynne żywioły, a dla niej  
Cóż łatwiejszego jak skłonić Murzyna  
Do czegokolwiek, chociażby do tego,  
Żeby się wyrzekł chrztu i wszelkich innych  
Rękojmi odkupienia? Jego serce  
Tak jest miłością ku niej okiełznane,  
Że się jej daje najpotulniej wodzić

Jak kapryśnemu bóstwu, które igra  
Z ludzką słabością. Jestżem więc niecnotą,  
Gdy prostą drogę Kasjowi wskazuję  
Do jego dobra? Piekielna prawości!  
Gdy czart chce kogo wwieść w grzech najczarniejszy,  
Przybiera k'temu świątobliwy pozór;  
Tak i ja teraz czynię: skoro bowiem  
Ten dobroduszny półgłówek wymoże  
Na Desdemonie poparcie swej sprawy  
I ona wstawi się za nim usilnie  
Do swego męża, ja w Murzyna ucho  
Wleję zjadliwy ten poszept, że ona  
Dla dogodzenia swej cielesnej żądz  
Chce go przywrócić nazad, i im bardziej  
Starać się będzie dobrze mu uczynić,  
Tym bardziej straci wiarę u Murzyna,  
Takim sposobem zmienię w kał jej cnotę  
I z jej dobroci zgubną sieć uplotę  
Dla wszystkich trojga.

*Wchodzi R o d r y g o.*

No, cóż tam, Rodrygo?

RODRYGO

Jestem tu, widzę, na łowach jak pies, który na polowaniu robi dużo hałasu, a nie jak pies do chwytania zwierzyny. Wydałem już prawie wszystkie pieniądze, dostałem tej nocy po skórze, i na tym się wszystko skończy podobno, że w nagrodę trudów nabędę doświadczenia i że bez grosza, z trochę tylko rozumu więcej, powrócę do Wenecji.

JAGO

Jak biedny jest, kto nie ma cierpliwości.  
Gojąż się rany zaraz czy stopniowo?  
Wiesz, że działamy sprytem, nie czarami,  
A spryt wybierać musi czas stosowny.  
Czyż nam źle idzie zresztą? Kasjo zbił cię,  
A ty z krztą bólu skasowałeś Kasja.  
Wiele się rzeczy udaje pod słońcem,  
Ten wszakże owoc dojrzewa najpierwej,  
Co najpierw kwitnął, nie bądź więc gorączką.  
Przebóg! już świta; wśród zabaw i zajęć  
Czas leci. Oddal się, idź na kwaterę;  
Bądź zdrow, niebawem usłyszysz coś więcej.  
Idźże.

*Wychodzi R o d r y g o.*

Dwie rzeczy są do uczynienia:  
Trzeba, ażeby moja pani żona  
Za Kasjem rzekła słówko Desdemonie;  
Już ja nakłonię ją do tego; sam zaś



Ściągnę Murzyna i zniecka wwiode  
Tam, gdzie pan Michał Kasjo jego żonę  
Upraszać będzie. To droga do celu.  
Nie stępze, zwłoko, ostrz tego fortelu.

*Wychodzi.*

## AKT TRZECI

### SCENA PIERWSZA

*Przed zamkiem.  
Wchodzi K a s j o z muzykantami.*

KASJO

Zagrajcie co krótkiego na dzień dobry  
Dla generała, zawdzięczę wam trudy.

*Muzykanci grać zaczynają. Wchodzi B ł a z e n.*

BŁAZEN

Za pozwoleniem, panowie: czy te wasze instrumenta były w Neapolu, że tak przez nos mówią?

PIERWSZY MUZYKANT

Jak to, panie?

BŁAZEN

Nie sąż to pędziwiatry, proszę panów?

PIERWSZY MUZYKANT

Co pan przez to rozumie?

BŁAZEN

Tak zwane dęte instrumenta, które wiatr puszczaają.

PIERWSZY MUZYKANT

Nie inaczej: dęte są.

BŁAZEN

Oto macie za fatygę, generał nie lubi takich instrumentów, co skutkiem wzdęcia wiatr puszczaają, i dlatego życzy sobie, żebyście mu tą muzyką nie robili dłużej hałasu.

PIERWSZY MUZYKANT

Dobrze, panie; nie będziemy.

BŁAZEN

Jeżeli macie taką muzykę, której słyszeć nie można, to grajcie; ale jak mówią, generał nie dba o muzykę.

PIERWSZY MUZYKANT

Nie mamy takiej, panie.

BŁAZEN

Więc wsadźcie dudy w miech, bo ja zmiatam! Rozpłyńcie się w powietrze i fora ze dwora!

*Wychodzą muzykanci.*

KASJO *do odchodzącego B ł a z n a*

Hej! hej! Słyszysz, moje serce?

BŁAZEN

Nie słyszę waszego serca, tylko was.

KASJO

Schowaj, proszę, swoje koncepta. Masz tu złoty pieniądz: jeżeli ta pani, co zostaje przy małżonce generała, jest już na nogach, to jej powiedz, że niejaki Kasjo prosi ją o chwilę rozmowy i tu na nią czeka. Dobrze?

BŁAZEN

Jest ci na nogach, jeżeli tylko zechce ich użyć ku przyjściu, to jej powiem, o co idzie.

*Wychodzi. J a g o wchodzi.*

KASJO

Uczyń to. W porę przychodzisz, Jagonie.

JAGO

Jak to? nie kładłeś się wcale?

KASJO

Czyż mogłem?

Dobrze już dniało, gdyśmy się rozeszli.  
W tej właśnie chwili pozwoliłem sobie  
Posłać po twoją żonę: chcę ją prosić,  
Aby mi jakoś ułatwiła przystęp  
Do Desdemony.

JAGO

Zaraz ci ją przyślę;  
Pomyślę przy tym także o sposobie,

Jakby Murzyna usunąć na stronę,  
Abyście mogli swobodnie pomówić.

*Wychodzi.*

KASJO

Dzięki ci! Jeszczem nie znał Florentczyka  
Tak poczciwego i przyjacielskiego.

*Emilia wchodzi.*

EMILIA

Dzień dobry, zacny namiestniku, los wasz  
Żywo mnie obszedł; lecz bądźcie spokojni,  
Wszystko się jeszcze odmieni na dobre.  
Generał mówi o tym z swoją żoną  
I ona z zwykłą sobie wytrwałością  
Przemawia w waszej sprawie; on jej mówi,  
Że roztroprnymi krępowany względy,  
Nie może teraz nic dla was uczynić,  
Bo ten Cypryjczyk, coście go zranili,  
Wielki ma tutaj wpływ i zachowanie;  
Ale zapewnił przy tym, że wam sprzyja,  
I nie potrzeba wam innej protekcji  
Jak jego dobra chęć do odzyskania  
Namiestnikostwa.

KASJO

Mimo tego jednak,  
Jeżeli się to wam zdaje stosownym  
I wykonalnym, nastęrczcie mi, proszę,  
Sposobność pomówienia z Desdemoną  
Na osobności.

EMILIA

Dobrze, pójdźcie jeno,  
Wskażę wam miejsce, gdzie będziecie mogli  
Z całą swobodą wywnętrzyć się przed nią.  
Pójdźcie.

KASJO

O! jakąż wdzięczność wam winienem.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Tamże w innym miejscu.  
Wchodzą O t e l l o, J a g o i kilku obywateli.*

OTELLO

Jagonie, oddaj ten list sternikowi  
I każ mu senat pozdrowić ode mnie.  
Idę na szańce, przyjdź tam.

JAGO

Dobrze, wodzu.

OTELLO

Chcecież, panowie, pójść ze mną obejrzeć  
Fortyfikacje?

OBYWATELE

Służym waszej cześci.

*Wychodzą.*

## SCENA TRZECIA

*Tamże, w innym miejscu.  
Wchodzą D e s d e m o n a, K a s j o i E m i l i a.*

DESDEMONA

Bądź pewny, panie Kasjo, że uczynię,  
Co będę mogła, aby ci dopomóc.

EMILIA

Uczyń to, pani; mój mąż tak się martwi  
Tą sprawą, jakby była jego własna.

DESDEMONA

Dobry to człowiek. Nie wątp, panie Kasjo,  
Ze cię postawię na tej, co wprzód byleś,  
Sto pie z mym mężem.

KASJO

O łaskawa pani!  
Cokolwiek stanie się z Michałem Kasjo,  
Wiernym twym sługą być on nie przestanie.

DESDEMONA

Wierzę ci, panie Kasjo. Wiem, że jesteś  
Szczere do mego męża przywiązany;  
Znasz go od dawna, bądź więc przekonany,  
Że usunięcie się jego od ciebie  
Nie będzie większe nad zakres wytknięty  
Politycznymi względami.

KASJO

Ależ, pani,  
Ta polityka może trwać tak długo,  
Może się żywić tak błahym pokarmem  
I tak się wzmagać z okolicznościami,  
Że gdy kto inny będzie na mym miejscu,  
A ja daleko, generał zapomni  
O przywiązaniu mym i o mej służbie.

DESDEMONA

Nie sądź tak: ręczę ci wobec Emilii,  
Miejsce odzyskasz. Bądź o nie spokojny;  
Kiedy raz komu przychylność przyrzeknę,  
Dotrzymam tego co do joty. Mąż mój  
Nie będzie odtąd miał chwili spokojnej:  
Nie dam mu zasnąć, będę mu nad głową  
Klektać i piszczeć do zniecierpliwienia;  
Łóżko mu w szkołę, obiad zmienię w spowiedź,  
Słowem, we wszystko, czego się tknie, wmieszam  
Interes Kasja. Nabierz więc otuchy,  
Bo protektorka twoja umrze raczej,  
Niż się wyrzeczze twojej sprawy.

*O t e l l o i J a g o ukazują się w pewnej odległości.*

EMILIA

Pani,  
Generał idzie.

KASJO

Żegnam cię, o pani.

DESDEMONA

Dlaczego? Zostań i słuchaj, co powiem.

KASJO

Nie mogę, pani, nie jestem na teraz  
Przygotowany.

DESDEMONA

Miejże wolę swoją.  
*Wychodzi K a s j o.*

JAGO *na pół do siebie*

To mi się nie podoba.

OTELLO

Co takiego?

JAGO

Nic, panie; gdyby jednak... nie wiem sam co.

OTELLO

Czy to nie Kasjo odszedł od mej żony?

JAGO

Kasjo? Nie, tego nie przypuszczam, panie.  
Aby on chronił się jak winowajca,  
Widząc, że idziesz.

OTELLO

Zdaje mi się jednak,  
Że to był nie kto inny.

DESDEMONA

Mój małżonku,  
Właśnie mówiłam z jednym suplikantem,  
Co pod niełaską twoją jęczy.

OTELLO

Któż on?

DESDEMONA

Kasjo, namiestnik twój. Luby Otello,  
Mamli moc jaką, zdolną wzruszyć ciebie,  
To go ułaskaw; bo jeśli on nie jest  
Jednym z tych, co cię rzetelnie miłują,  
Co mimo wiedzy, nie z umysłu błędzą,  
To na poczciwym nie znam się obliczu.  
Przywróć go, proszę.

OTELLO

Czy to on stąd odszedł?

DESDEMONA

On; z taką skruchą i upokorzeniem,  
Że część cierpienia swego mnie zostawił,  
Bym z nim cierpiała. Przyzwij go, mój drogi,

OTELLO

Nie teraz, moje serce; innym razem.

DESDEMONA

Prędkoż?

OTELLO

Jak tylko będę mógł najprędzej,  
Gdy tego żądasz.

DESDEMONA

Dziś więc na wieczerzę?

OTELLO

Dziś? Nie.

DESDEMONA

Nie dzisiaj, to jutro na obiad?

OTELLO

Jutro nie będę w domu na obiedzie:  
W fortecy mam się zejść z oficerami.

DESDEMONA

To jutro w wieczór lub we wtorek z rana,  
W południe, w wieczór, lub z rana we środę?  
Naznacz czas, tylko niech się nie przeciąga  
Dłużej nad trzy dni. On żałuje szczerze.  
Postępek jego, odłożywszy na bok  
To, że jak mówią, w czasie wojny trzeba  
Najlepszych nawet karać dla przykładu,  
Jest ledwie błędem, na prostą naganę  
Zasługującym. Kiedyż się ma stawić?  
Powiedz, Otello. Pytam siebie w duszy,  
Czego bym tobie odmówiła, gdybyś  
Mnie o co prosił, i czylibym mogła  
Stać tak milcząco? Jak to? Michał Kasjo,  
Co ci był druhem, gdyś się o mnie starał,  
Co tyle razy w twej obronie stawał,  
Gdym mniej korzystnie mówiła o tobie,  
On potrzebuje tyle korowodów  
Do prześlągania ciebie? Wierz mi, wiele,  
Wiele bym mogła...

OTELLO

Proszę cię, dość tego,  
Niech przyjdzie, kiedy zechce; nie odmawiam  
Tobie niczego.

DESDEMONA.

To nie żadna łaska;  
To tak, jak gdybym cię prosiła, abys



Kładł rękawiczki, ciepło się odziewał  
Albo posilnych używał pokarmów,  
Słowem, ażebyś miał troskliwą pieczę  
O sobie samym. Gdy będę cię prosić  
O coś, co stawia miłość twą na próbę,  
Będzie to prośba trudna, pełna wagi  
I ryzykowna w spełnieniu.

OTELLO

Niczego

Ci nie odmawiam, tymczasem zrób dla mnie  
To tylko, abym sam został na chwilę.

DESDEMONA

Miałabym tego odmówić? Nie, panie:  
Bądź zdrow.

OTELLO

Bądź zdrowa, moja Desdemono,  
Zaraz do ciebie przyjdę.

DESDEMONA

Pójdź, Emilio.

Niech się fantazji twojej zadość stanie;  
Jaka bądź ona, jestem ci posłuszną.

*Wychodzi z Emilią.*

OTELLO

Lube stworzenie! Wieczna kaźń mej duszy,  
Jeśli nie kocham cię! A gdybym przestał,  
Świat by się zmienił w chaos.

JAGO

Z przeproszeniem,

Łaskawy panie.

OTELLO

Mów, kochany Jago.

JAGO

Czy Kasjo wiedział o twojej miłości,  
Gdys o małżonkę swoją się ubiegał?

OTELLO

Od pierwszej chwili do ostatniej, na co  
To zapytanie?

JAGO

Ot tak, przez ciekawość,  
Nic złego zresztą.

OTELLO

Skąd ci ta ciekawość?

JAGO

Nie przeszło mi przez głowę, że się znał z nią,

OTELLO

O tak, i często bywał pośrednikiem  
Pomiędzy nami.

JAGO

Doprawdy!

OTELLO

Doprawdy!  
Toż cóż? doprawdy. Co w tym upatrujesz?  
Nie jest uczciwy?

JAGO

Zapytujesz, panie,  
Czy on uczciwy?

OTELLO

Pytam, czy uczciwy?J  
Jużci, uczciwy.

JAGO

O ile wiem o tym.

OTELLO

Co ty masz w myśli?

JAGO

Ja, w myśli?

OTELLO

Ja, w myśli!  
Przebóg! Czyś ty mym echem? Przebąkujesz,  
Jakby w twojej głowie siedział jakiś potwór,  
Tak straszny, że go boisz się pokazać.  
Ty się domyślasz czegoś. Swieżoś wyrzekł:  
„To mi się nie podoba”, kiedy Kasjo  
Stąd się oddalał, cóż to ci się wtedy  
Nie podobało? A gdym ci powiedział,  
Że on miłostek mych był powiernikiem,  
Wtedy znacząco krzyknąłeś: „Doprawdy!”

I brwi ściągnąłeś, i zmarszczyłeś czoło,  
Jakbyś był w mózgu swym zamykał jakiś  
Okropny domysł. Jeżeli mnie kochasz,  
Powiedz, co myślisz.

JAGO

Wiesz, łaskawy panie,  
Żem ci przychylny?

OTELLO

Tak myślę, i przeto  
Że znam przychylność i uczciwość twoją,  
I wiem, że ważysz to, co masz powiedzieć,  
Tym bardziej trwożą mnie te urywane  
Twoje wykrzyki. Takie demonstracje  
Są obyczajem nikczemnych szalbierzy,  
U prawych ludzi są one objawem  
Wstrzymywanego w piersi oburzenia,  
Które się gwałtem wrywa na zewnątrz.

JAGO

Kasjo jest, mniemam, uczciwym człowiekiem.

OTELLO

I ja tak mniemam.

JAGO

Ludzie by powinni  
Być w rzeczy samej tym, czym się wydają,  
A ci, co nie są, niechby się takimi  
Nie wydawali.

OTELLO

Ani słowa, ludzie  
Być by powinni tym, czym się wydają.

JAGO

Toteż ja Kasja mam za uczciwego.

OTELLO

Nie, w tym się święci coś więcej. Mów do mnie,  
Jakbyś rozmawiał sam z sobą; wypowiedz  
Żywcem swe myśli i najgorszej nadaj  
Najgorszy wyraz.

JAGO

Wybacz mi, mój wodzu,  
Winienem tobie wszelkie posłuszeństwo,  
Nie w tym jednakże, w czym niewolnik nawet  
Jest panem siebie. Myśli me wyjawić!

Przypuśćmy, że są zdrożne i opaczne,  
Jestże gdzie pałac, w którym by się jakiś  
Zakał nie zakradł? Gdzież serce tak czyste,  
Aby w nim jakieś brudne podejrzenie  
Nie odbywało czasem walnych sądów,  
Przy drzwiach zamkniętych trutynując pewne  
Zawiłe kwestie?

OTELLO

Dopuszczasz się istnej  
Zdrady, Jagonie, względem przyjaciela,  
Gdy go uważasz za pokrzywdzonego  
I nie chcesz jego ucha zaznajomić  
Z swymi myślami.

JAGO

O, błagam cię, panie,  
Jeśli przypadkiem domysł mój jest błędny  
(Co by być mogło, wyznaję albowiem,  
Że mam z natury nieszczęśliwą manię  
Siedzenia bezpraw i nieufność moja  
Tworzy częstokroć winy, których nie ma),  
Błagam cię tedy, panie, by twa mądrość  
Do niezręcznego postrzegacza słowa  
Najmniejszej wagi nie przywiązywała  
Ni wniosków jakich chciała wyprowadzać  
Niepokojących z jego niedokładnych  
I luźnych uwag. Nie byłoby zgodne  
Z twą spokojnością i twym szczęściem, panie,  
Ni z uczciwością moją i rozsądkiem,  
Gdybym ci moje myśli wypowiedział.

OTELLO

Co się to wszystko znaczy?

JAGO

Dobre imię,  
Łaskawy panie, jest najdroższym skarbem  
Mężów i niewiast: kto mi kradnie worek,  
Kradnie drań marną, coś i nic; rzecz, która  
W tysiącznych była rękach wprzód niż w moich;  
Ale kto dobre imię mi wydziera,  
Grabi mi dobro, z którego sam nie ma  
Korzyści, mnie zaś przyprawia o nędzę.

OTELLO

Na Boga, musisz mi odkryć swe myśli!

JAGO

To być nie może, choćby moje serce  
Było w twym ręku, panie, i nie będzie,  
Póki to serce jest pod moim kluczem.

OTELLO

Ha!

JAGO

Strzeż się, panie, zazdrości! O, strzeż się  
Tego potwora zielonookiego,  
Co pożerając ofiarę – z niej szydzi.  
Szczęsny, kto wiedząc o tym, że jest zdradzon,  
Może nie kochać tych, co go zdradzili;  
Ale jak wielkie ten cierpi katusze,  
Co wielbiąc wąpi, mając podejrzenie  
Namiętnie kocha!

OTELLO

O nędzo!

JAGO

Ubogi,  
Rad z swego losu, jest arcybogaty,  
Ale sam Krezus jest jak Job ubogi,  
Gdy się wciąż lęka, aby nie zubożał.  
Chroń Panie Boże od zazdrości wszystkich,  
Których miłuję!

OTELLO

Co? Cóż to? Czy myślisz,  
Że moje życie zazdrości poświęcę?  
Że się jak miesiąc zmieniać będę w ciągłych  
Kwadrach podejrzeń? Nie: raz zacząć wąpić,  
Jest to od razu zbyć się wąpliwości.  
Miej mnie za capa, jeśli kiedykolwiek  
Władze mej duszy zajmę tak wydętą  
I wietrzną bańką jak ta, którą puszczasz.  
Niech sobie mówi świat, że moja żona  
Jest piękna, dobrze gra, śpiewa i tańczy;  
Ze jest rozmowna, lubi towarzystwo,  
Wcale to we mnie podejrzeń nie wzbudzi,  
Bo gdzie jest cnota, tam ją to ozdabia:  
Ani ze względu na brak mych powabów  
Powezmę choćby cień niedowierzania.  
Boć miała oczy, gdy mnie wybierała.  
Nie, mój Jagonie, muszę widzieć pierwej,  
Nim zacznę wąpić, mieć dowód, gdy zwątpię,  
Skoro zaś dowód mieć będę, o, wtedy  
Precz i z miłością, i z podejrzeniami!

JAGO

Szczerze się z tego cieszę, teraz bowiem  
Mogę ci, panie, okazać swobodniej  
Moją przychylność. Posłuchaj mnie przeto:  
Jeszcze na teraz milczę o dowodach;  
Uważaj, panie, na swą żonę; śledź ją  
W stosunkach z Kasjem; miej zwrócone oko,  
Tak ni zazdrośnie, ni z ubezpieczeniem.  
Nie rad bym, aby twe szlachetne serce  
Krzywdy doznało z zbytku swej dobroci.  
Baczność więc! Znam ja dobrze obyczaje  
Naszego kraju: weneckie niewiasty  
Jawią częstokroć niebu takie figle,  
Jakich by mężom pokazać nie śmiały;  
Sumienie ich nie mówi: „Nie czyn tego”,  
Ale: „Nie wydaj się z tym.”

OTELLO

Czy tak myślisz?

JAGO

Żona twa, panie, oszukała ojca  
Idąc za ciebie; a gdy się zdawała  
Drżeć na twój widok i truchleć, miłością  
Tchnęła ku tobie.

OTELLO

W rzeczy samej.

JAGO

Ergo<sup>14</sup>

Kiedy tak młodo mogła tak udawać  
I nawet oczy ojca otumanić  
Do tego stopnia, że krok jej przypisał  
Wpływowi czarów... Ale ja źle czynię:  
Błagam cię, panie, najpokorniej, wybacz,  
Wybacz mi zbytek mego przywiązania.

OTELLO

Obowiązany ci na zawsze.

JAGO

Widzę,  
Że cię to, panie, zmieszało cokolwiek.

OTELLO

Wcale nie, wcale nie.

---

<sup>14</sup> więc (łac.)

JAGO

Obym się mylił!  
Tuszę przynajmniej, że raczysz położyć  
To, com powiedział, na karb mej miłości.  
Ale ja widzę, panie, żeś wzruszony.  
Na Boga! nie chciej mowy mej rozciągać  
Do grubszych wniosków i do granic dalszych  
Jak przypuszczenie.

OTELLO

Nie myślę inaczej.

JAGO

W przeciwnym bowiem razie mowa moja  
Doprowadziłaby do takich następstw,  
O jakich mi się nie marzyło. Kasjo  
Jest przyjacielem moim. Ależ, panie,  
Wyraźnie jesteś wzruszony.

OTELLO

Nie bardzo.  
Sądzę, że jest mi wierna Desdemona.

JAGO

Bogdaj nią długo była i bogdajbyś  
Ty, panie, długo tak sądził!

OTELLO

A jednak,  
O ile może natura się zbłąkać...

JAGO

Tak, właśnie o to idzie; jak na przykład:  
Ze się poważam zrobić tę uwagę –  
Odmówić ręki licznym wielbicielom  
Jednego kraju, plemienia i stopnia;  
Wzgardzić związkami takimi, do jakich  
Wszystko, jaki wiemy, w naturze jest skłonny;  
Hm! w tym by mógł ktoś upatrzeć chęć zdrożną,  
Sprzeczność niegodną, myśl nienaturalną.  
Wybacz mi jednak, panie; to, com wyrzekł,  
Nie wprost się do niej odnosi, jakkolwiek  
Mógłbym się lękać, by z czasem jej chęciom,  
Do normalnego zwróconym kierunku,  
Nie przyszło stawić twej urody, panie,  
Obok urody którego z jej ziomków  
I pożałować wyboru.

OTELLO

Dość tego;  
Bądź zdrow. Jeżeli dostrzeżesz co więcej,  
Więcej mi powiesz. Zaleć swojej żonie  
Mieć ją na oku. Opuść mnie, Jagonie.

JAGO

Żegnam cię, wodzu.

*Odchodzi.*

OTELLO

Po cóżem się żenił?  
Zacny ten człowiek niezawodnie widzi  
I wie nierównie więcej, niż wyjawia.

JAGO *wracając*

Łaskawy panie, błagam cię, zaklinam,  
Przestań się dłużej nad tym zastanawiać,  
Pozostaw resztę czasowi. Jakkolwiek  
Dobrze by było, żeby Kasjo wrócił  
Nazad do służby, bo trzeba mu przyznać  
Wiele zdolności po temu. Z tym wszystkim,  
Jeślibyś, panie, uznał za stosowne  
Jeszcze czas jakiś potrzymać go z dala,  
Łatwiej byś jego obrotów mógł dostrzec.  
Uważ, mój wodzu, azali twa żona  
Nie będzie czasem w sposób za żarliwy,  
Za natarczywy wstawiała się za nim;  
Z tego się wiele da wnieść. Racz tymczasem,  
Pomyśleć sobie, żem był za gorliwy  
W powzięciu obaw i w ich wynurzeniu  
Jakoż istotnie boję się, czym nie był),  
I ufaj jej jak wprzód: błagam cię o to!

OTELLO

Nie bój się, umiem nad sobą panować,

JAGO

Jeszcze raz ścielę się do nóg twych, panie.

*Wychodzi.*

OTELLO

Jest to niezwyklej uczciwości człowiek  
I doświadczony znawca wszelkich sprężyn  
Ludzkiej natury. Jeśli się przekonam,  
Mój ty sokole, że jesteś dzikowcem,  
Choćbyś miał pęta z sercem mym splecione,  
Puszczę cię, pošlę w świat na cztery wiatry,  
Abyś polował na, własny rachunek.



Może dlatego, że czarny i nie mam  
Tego łatwego obejścia, co daje  
Powab fircykom, lub że już zszedł nieco  
W dolinę wieku; mniejsza z tym... już po niej  
Zwiedziony jestem i nienawiść ku niej  
To cała moja pociecha. Przekleństwo  
Mażeńskim związkom! Możemyż się mienić  
Panami wietrznych tych istot, nie będąc  
Żądź ich panami? Ropuchą być raczej  
I żyć miazmami pieczar niż posiadać  
Do spółki z drugim tę, którą się kocha;  
Taki to jednak jest los wielkich świata:  
Upośledzeni oni pod tym względem  
W prerogatywach bardziej niż maluczcy;  
Nieuniknione to jak śmierć: za ledwie  
Zadrza w nas życie, już rogata plaga  
Zaczyna na nas ciążyć. Ha! to ona.

*Wchodzą Desdemona i Emilia.*

Jeżeli ta jest kobietą fałszywą,  
To chyba niebo samo z siebie sztydzi.  
Nie wierzę temu.

DESDEMONA

Kochany Otello,  
Obiad i goście, których zaprosiłeś,  
Szlachetni Cypryjczycy, już czekają.

OTELLO

Naganym godzin.

DESDEMONA

Dlaczego twa mowa  
Tak przytłumiona? Czyś nie słaby?

OTELLO

Trochę,  
Mam ból tu w skroniach.

DESDEMONA

Z niewczasu, to przejdzie.  
Ścisnę ci czoło chustką, a w godzinę  
Ból ten ustanie.

OTELLO

Chustka twa za mała;  
*Desdemona upuszcza chustkę.*

Daj pokój, idźmy.

DESDEMONA

Przykro mi, żeś słaby.

*Desdemona i Otello wychodzą.*

EMILIA *podnosząc chustkę*

Cieszę się, żeś tę chustkę tu znalazła,  
Pierwsza to była pamiątka Murzyna.  
Mój dziwak mało sto razy mi kazał  
Wykraść tę chustkę, ale Desdemona  
Tak w niej lubuje i mąż tak ją zaklął,  
Aby się nigdy z nią nie rozstawała,  
Że ją wciąż nosi przy sobie, całuje  
I z nią rozmawia; wyhaftuję drugą  
Na ten sam deseń i dam Jagonowi.  
Na co mu ona może być potrzebna,  
Bóg to wie, mniejsza z tym, nie chcę w to wchodzić,  
Li tylko jego fantazji dogodzić.

*Wchodzi Jago.*

JAGO

Czego się szwendasz? Co tu robisz?

EMILIA

Ot, byś

Nie gderał lepiej! Mam tu coś dla ciebie.

JAGO

Ty masz coś dla mnie? To rzecz zbyt powszednia.

EMILIA

Także? na przykład co?

JAGO

Mieć głupią żonę.

EMILIA

Nic więcej? Jesteś nadzwyczaj uprzejmy,  
Cóż mi dasz za tę chustkę?

JAGO

Jaką chustkę?

EMILIA

Jakaż? tę, z której Murzyn Desdemonie  
Pierwszy dar zrobił, któraś tyle razy  
Wykraść mi kazał.

JAGO

Więceś ją wykradła?

EMILIA

Nie, upuściła ją przez nieuwagę,  
A ja, tu będąc, podniosłam ją z ziemi.  
Oto jest.

JAGO

Daj ją, nieoszacowana  
Kobieta z ciebie.

EMILIA

Na co ci ta chustka,  
Że tak usilnie nalegałeś na mnie.  
Bym ją wykradła?

JAGO *wyrywając jej chustkę*

Co tobie do tego?

EMILIA

Jeżeli nie masz bardzo ważnych przyczyn,  
To mi ją oddaj, oszaleje biedna,  
Jak jej nie znajdzie.

JAGO

Udaj, że nic nie wiesz.  
Potrzebna mi jest, i kwita: idź z Bogiem.

*Wychodzi Emilia.*

W kwaterze Kasja podrzucę tę chustkę;  
Tam on ją znajdzie. Fraszki, jak puch błahe,  
Są dla zazdrosnych zarówno silnymi  
Dokumentami jak cytaty z Pisma.  
To może zrządzić jaki taki skutek.  
Już Murzyn toczy walkę z moim jadem,  
Zdradliwy poszept jest istną trucizną,  
Co zrazu ledwie w smaku da się poczuć,  
Ale niebawem, z krwią złączona, pali  
Jak roztopiona siarka.

*Wchodzi Otello.*

Miałem słuszność.

Ni wyskok z maku, ni sok mandragory,  
Ni żadna siła ziół usypiających  
Już mu nie wróci tego snu błogiego,  
Jakim spał wczoraj.

OTELLO

Ha! ha! mnie niewierna?

JAGO

Ejże, zapomnij już o tym, mój wodzu.

OTELLO

Precz! precz! tyś to mię rzucił na katownię,  
O, lepiej tysiąc razy być zdradzonym  
Niż przez pół wiedzieć, że się nim jest.

JAGO

Jak to?

Łaskawy panie!

OTELLO

Czyliżem zamarzył  
O jakichkolwiek jej pokątnych związkach?  
Dostrzegłem tego? Trwożyłem się o to?  
Dobrzem spał, dobrzem jadł, byłem swobodny,  
Lekki, wesoły; na jej słodkich ustach  
Nie znachodziłem Kasja pocałunków.  
Gdy okradziony nie uczuwa braku  
Rzeczy skradzionej, nie mów mu nic o tym:  
A okradzionym, tak dobrze jak nie jest.

JAGO

Boleśnie mi to słyszeć.

OTELLO

Niechby ją cały obóz był posiadał,  
Nie wyłączając ciur, szczęśliwy byłbym,  
Gdybym był tego nieświadom. O, teraz,  
Bądź zdrów na zawsze, spokoju! Bądź zdrowa,  
Pogodo myśli! Wy w kity piór strojne  
I wy poważne, w pancierz kute hufce,  
Co pychę w cnotę mienicie, o, bądźcie,  
Bądźcie mi zdrowe! Bądźcie i wy zdrowe,  
Rzące rumaki, grzmiące trąby, kotły,  
Ducha rzeźwiące, wy rozgłośnie flety,  
Świetne proporce, z wszelkimi przybory  
I przepychami właściwymi wojnie;  
I wy śmiertelne spiże, których gardła  
Nieśmiertelnego władcy na Olimpie  
Głos przedrzeźniają, bywajcie mi zdrowe!  
Otello skończył swój zawód.

JAGO

O panie!

Mamże mym uszom wierzyć? Czy podobna?

OTELLO

Nędzniku, dowiedz mi, że moja żona  
Jest wiarołomna; daj mi jaki dowód  
Lub na istnienie wieczne duszy mojej  
Lepiej ci było urodzić się kundlem.  
Niż gniew mój budzić.

JAGO

Do tegoż mi przyszło?

OTELLO

Spraw, bym to ujrział, lub przynajmniej daj mi  
Dowód, bez żadnych haczyków, na których  
Mogłaby jakaś wątpliwość zawisnąć:  
Inaczej biada ci!

JAGO

Szlachetny panie!

OTELLO

Jeśli ją czernisz, a mnie próżno dręczysz,  
Nie módl się odtąd, wyrzec się sumienia;  
Na okropnościach okropności gromadź,  
Czyń takie rzeczy, iżby patrząc na nie  
Niebo aż płakać musiało, a ziemia  
Drętwieć ze zgrozy; nic gorszego bowiem  
Dodać byś nie mógł do szczytu ohydy  
Nad ten postępek.

JAGO

Litościwe nieba,  
Wejrzyjcie na mnie! Jesteś, panie, mężem?  
Gdziez twoja mądrość, gdzie dusza? Bóg z tobą!  
Składam mój urząd. O, nędzny ja głupiec,  
Com swą uczciwość wystrychnął na zbrodnię!  
Przewrotny świecie! Zapisz to, że dzisiaj  
Prawym, rzetelnym być jest niebezpiecznie.  
Dzięki ci, panie, za naukę! odtąd  
Nikt przyjaciela nie znajdzie w Jagonie,  
Skoro przychylność tak na złe wychodzi.

*Chce odejść.*

OTELLO

Stój! Powinien byś jednak być poczciwym.

JAGO

Powinienem był raczej być roztropnym.  
Poczciwość głupstwo, kiedy chybia celu,  
Którego stara się dosiąć.

OTELLO

Na Boga!

Myślę, że moja żona jest niewinna  
I że nią nie jest; myślę, żeś ty prawy  
I żeś nim nie jest. Dowodu mi trzeba.  
Imię jej, niegdyś tak jasne, tak czyste  
Jak lice Diany, tak się stało czarnym  
I powleczonym sadzą jak twarz moja,  
Sąli na świecie noże, stryczki, jady,  
Płomienie albo chłonna topiele:  
Nie zniosę tego. Gdybym się przekonał!

JAGO

Widzę, o panie, żeś namiętność trawi;  
Żałuję, żeś ci to nasunął. Chciałbyś  
Się więc przekonać?

OTELLO

Chciałbym? Nie. Chcę tego.

JAGO

I możesz; ale jak, łaskawy panie?  
Jakże chcesz nabyć przekonania? Chceszli  
Jej przeniwierstwa być naocznym świadkiem?  
Chceszli ich zejść na dobre?

OTELLO

Śmierć i piekło!

JAGO

Trudnym to, mniemam, byłoby zadaniem,  
Chcieć ich wypatrzeć w takiej koniunkturze.  
Przeklnij ich, panie, jeśli kiedykolwiek  
Więcej ócz ludzkich jak ich cztery będzie  
Przy tym obecnych. Jakże więc? Cóż tedy?  
Skąd przekonanie? Niepodobna, panie,  
Abyś to ujrzał, choćby byli krewcy  
Jak małpy albo wilki w czas wesela,  
I rozbestwieni jak pijana gawiedź.  
Oświadczam wszakże, iż jeżeli ważne  
Okoliczności, niezbite poszlaki,  
Wiodące prosto do bram prawdy, mogąć  
Dać przekonanie, to je mam w mym ręku.

OTELLO

Daj mi wyraźny dowód jej niewiary.

JAGO

Arcy to dla mnie nieprzyjemna sprawa;  
Skorom jednakże zaszedł tak daleko,

Powodowany głupią uczciwością  
I przywiązaniem, znajdę jeszcze dalej.  
Spędziłem świeżo noc tuż obok Kasja,  
Że zaś cierpiałem ogromny ból zębów,  
Nie mogłem zasnąć. Zdarzają się ludzie  
Duszy tak słabej i niepowściągliwej,  
Że przez sen paplą o swych interesach.  
Tego rodzaju jest Kasjo, słyszałem,  
Jak mówił przez sen: „Luba Desdemono!  
Bądźmy ostrożni, kryjmy się z miłością”;  
A potem chwycił mnie, ścisnął za rękę  
I wołał: „Luba istoto!”, a potem  
Tak zapalczywie zaczął mnie całować,  
Jakby mi wyrwać chciał z ust pocałunki  
Aż do korzenia; potem na moim udzie  
Położył nogę, całował mnie, wzdychał:  
„Przeklęty los, co dał cię Murzynowi!”

OTELLO

O, to okropne! To okropne!

JAGO

Wszakże

To był sen tylko.

OTELLO

Ale ten sen zdradził

Poprzednie czyny, jaskrawa wskazówka,  
Choć tylko przez sen.

JAGO

I mogąca poprzeć

Inne dowody, które lada jako  
Rzecz objaśniają.

OTELLO

Rozszarpie ją.

JAGO

Z wolna,

Łaskawy panie, jeszcze nic nie widzimy;  
Jeszcze być ona może wolną zmayı.  
Powiedz mi proszę, tylko czyś czasami  
Nie widział kiedy w ręku swojej żony  
Chustki w poziomki haftowanej?

OTELLO

Właśnie

Dałem jej niegdyś taką: był to pierwszy  
Mój podarunek.

JAGO

Nie wiedziałem o tym:  
Taką jednakże chustką (jestem pewny,  
Że to jej była) widziałem, jak sobie  
Pan Michał Kasjo brodę dziś obcierał.

OTELLO

Gdyby to była ta...

JAGO

Czy ta, czy inna,  
Byle jej, zawsze to przeciw niej mówi,  
Łącznie z tym, co się wyżej powiedziało.

OTELLO

Żeby ten nędznik miał nie jedno życie,  
Lecz sto ich, tysiąc! jednego za mało  
Dla mojej zemsty. Ha! teraz już widzę,  
Że to jest prawda. Patrz, Jagonie, oto  
Oddaję niebu z tym westchnieniem cały  
Skarb mej miłości: stało się! już po niej!  
Wstań, czarna zemsto, z głębokości piekieł!  
Miłości, ustąp twego tronu w sercu  
Nieubłaganej nienawiści! Pęknij,  
Piersi nabrzękała od padalczych żadeł,  
Co cię pokłuły!

JAGO

Uspokój się, panie.

OTELLO

Krwi! krwi! krwi!

JAGO

Uzbrój się, panie, w cierpliwość:  
Możesz odmienić jeszcze zdanie.

OTELLO

Nigdy,  
Nigdy, Jagonie! Jak Pontyńskie Morze,  
Którego wzdęta, lodem ścięta fala  
Nie zna odpływu wstecz, ale wciąż dąży  
Do Propontydu i do Hellespontu,  
Tak krwawa moja myśl w niepowstrzymanym  
Naprzód pochodzie nigdy w tył nie spojrzę  
Ani się cofnie ku brzegom miłości  
I nie wprzód spocznie, aż ją przestwór zemsty  
Spełna pochłonie.

*klękając*



Na ten błękit niebios!  
Z całą należną czią dla świętych ślubów  
Przysięgam, że tak będzie.

JAGO *klękając także*

Czekaj, panie,  
Zaświadczyć, o wy wiecznie tam u góry,  
Tlejące światła! wy żywioty, które  
Nas otaczacie! zaświadczyć, że Jago  
Całą działalność swojego umysłu,  
Swych rąk i serca święci na usługi  
Pokrzywdzonego Otella! Jakkolwiek  
Może być krwawym to, co on mi każe,  
Mym obowiązkiem będzie posłuszeństwo

OTELLO

Nie odpowiadam na twoją przychylność  
Marną podzięką, ale jej przyjęciem  
I wystawieniem niezwłocznym na próbę:  
Spraw, bym za trzy dni z ust twych się dowiedział,  
Że Kasjo przestał żyć.

JAGO

Zmarł mój przyjaciel:  
żądałeś tego, panie, tak się stało;  
Niech aby ona żyje!

OTELLO

Niech przepadnie,  
Kukła wszeteczna! Pójdź ze mną, pomyślim  
O jakim szybkim pośredniku śmierci  
Dla tej uroczej diablicy. Tyś teraz  
Mym namiestnikiem.

JAGO

Twym sługą na zawsze.

*Wychodzą.*

## SCENA CZWARTA

*Tamże.*

*Wchodzą Desdemona, Emilia i Błazen.*

DESDEMONA

Nie wiesz, kochanku, gdzie stoi namiestnik Kasjo?

BŁAZEN

Na polu bitwy.

DESDEMONA

Jak to?

BŁAZEN

On żołnierz, a kto by o żołnierzu powiedział, że nie stoi na polu bitwy, ten by swoją skórę naraził.

DESDEMONA

Pytam się, gdzie on stoi kwaterą.

BŁAZEN

Powiedzieć wam, gdzie on stoi kwaterą, na jedno by wyszło co skłamać.

DESDEMONA

Możeż kto z tego być mądrym?

BŁAZEN

Nie wiem, gdzie on stoi kwaterą; gdybym przeto powiedział, że stoi nią tu lub owdzie, powiedziałbym wierutne kłamstwo.

DESDEMONA

Nie mógłżebyś powziąć o nim języka, wywiedzieć się o niego?

BŁAZEN

Uczynię to katechetycznym sposobem, to jest przez pytania i odpowiedzi.

DESDEMONA

Wyszukaj go, proszę, i proś go, aby tu przyszedł. Powiedz mu, że o nim mówiła z moim mężem i mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

BŁAZEN

Taka rzecz nie przechodzi granic ludzkiego rozumu, gotów przeto jestem przedsięwziąć jej wykonanie.

*Wychodzi.*

DESDEMONA

Gdzieżem ja mogła zapodziać tę chustkę?  
Nie wiesz?

EMILIA

Nie, pani.

DESDEMONA

Wolałabym była  
Zgubić sakiewkę pełną kruzadosów.  
Gdyby szlachetny mój mąż mniej miał prawy  
Sposób myślenia i mniej był daleki  
Od nikczemności, właściwej zazdrośnym,  
Coś podobnego mogłoby w nim jaką  
Złą myśl obudzić.

EMILIA

To on nie zazdrośny?

DESDEMONA

On? Słońce jego ojczyzny wysało,  
Zdaję się, z niego wszelkie takie miazma.

EMILIA

Oto nadchodzi.

DESDEMONA

Nie dam mu tym razem  
Pokoju, póki Kasja nie odwoła.

*Wchodzi Otello.*

Jak się masz, mój Otello?

OTELLO

Dobrze, pani.  
*do siebie*

O, co za męka udawać!  
*głośno*

A tyże  
Jak, Desdemono?

DESDEMONA

O, dobrze.

OTELLO

Daj rękę.  
Wilgotna ręka u pani.

DESDEMONA

Bo jeszcze  
Wiek jej nie zmroził ni żadne cierpienie.

OTELLO

To znaczy płodność, szczodropliwość serca...  
I ciepła! Ciepła i wilgotna, takiej  
Ręce przystoi zaparcie się świata,  
Post i modlitwa, chłosta, umartwienie;  
Bo wewnątrz siedzi młody, krewki szatan,  
Co lubi broić. Łaskawa to ręka  
I hojna.

DESDEMONA

Słusznie mianujesz ją taką,  
Ona ci bowiem serce me oddała.

OTELLO

Hojna to ręka: w dawnych czasach serce  
Dawało rękę, nowsza herladyka  
Umieszcza w herbach rękę, a nie serce.

DESDEMONA

Nie znam się na tym. Pamiętasz, coś przyrzekł?

OTELLO

Cóżem to przyrzekł, kochanie?

DESDEMONA

Posłałam  
Po Kasja, aby przyszedł mówić z tobą.

OTELLO

Nieznośny katar mam; tak mi dokucza!  
Pozwól mi chustki.

DESDEMONA

Oto jest, mój mężu.

OTELLO

Tej, co ci dałem.

DESDEMONA

Nie mam jej przy sobie.

OTELLO

Nie masz jej?

DESDEMONA

Nie mam, w istocie.

OTELLO

To szkoda;

Chustkę tę dała była mojej matce  
Jedna Cyganka, wróżka, co umiała  
Najskrytsze myśli ludzkie odgadywać,  
I powiedziała jej, że moc tej chustki,  
Póki ją będzie miała w posiadaniu,  
Nada jej urok i przywiąże do niej  
Mojego ojca; gdyby zaś, broń Boże!  
Miała ją zgubić lub darować komu,  
Wraz by się od niej odwróciło serce  
Mojego ojca i wzrok by się jego  
Zaczął obracać ku innym pięknościom;  
Przy zgonie dała mi ją z tym zleceniem,  
Abym ją wzajem dał tej, z którą kiedyś  
Los mnie połączyć zechce. Tak zrobiłem;  
Strzeżże jej, pilnuj jako oka w głowie;  
Zguba jej bowiem lub podarowanie  
Komu innemu mogłoby spowodzić  
Najfatalniejsze skutki.

DESDEMONA

Czy podobna?

OTELLO

Z całą pewnością magiczny to wyrób.  
Pewna Sybilla, która policzyła  
Dwieście obiegów słońca na tym świecie,  
W wieszczym natchnieniu utkała tę chustkę;  
Jedwab doń snuły czarowne robaki,  
A farbowana była w soku, który  
Wtajemniczone ręce z serc dziewiczych  
Przysposobiły.

DESDEMONA

Prawdaż to istotna?

OTELLO

Najistotniejsza, chowajże ją dobrze.

DESDEMONA

Obym więc nigdy jej nie była znała!

OTELLO

Ha! czemu?

DESDEMONA

Skąd ta zmiana w twoim głosie?

OTELLO

Zginęłaż? Poszłaż do ludzi? Przepadłaż?  
Mów, pani.

DESDEMONA

Boże zmiłuj się nade mną!

OTELLO

Hę!

DESDEMONA

Nie zginęła, lecz gdyby zginęła?

OTELLO

Co?

DESDEMONA

Nie zginęła, mówię.

OTELLO

To ją przynieś;  
Pokaż ją zaraz.

DESDEMONA

Mogłabym, lecz nie chcę.  
To tylko wybieg, aby mnie zbić z toru  
W mej prośbie, proszę cię, przebacz Kasjowi.

OTELLO

Idź po tę chustkę, przeczuwam coś złego.

DESDEMONA

Daj pokój, nigdy nie znajdziesz człowieka  
Równych mu zalet.

OTELLO

Idź, przynieś tę chustkę.

DESDEMONA

Proszę cię, mów o Kasju.

OTELLO

Chustkę, chustkę!

DESDEMONA

Człowieka, który całe swoje szczęście  
Przez tyle czasów pokładał jedynie

W twej życzliwości; który dzielił z tobą  
Niebezpieczeństwa.

OTELLO

Idź, mówię, po chustkę.

DESDEMONA

Ejże, niedobry jesteś.

OTELLO

Precz ode mnie!

*Wychodzi.*

EMILIA

Nie jestże zazdrosny ten człowiek?

DESDEMONA

Jeszczem w nim tego nigdy nie dostrzegła.  
Niechybnie jakieś czary są w tej chustce.  
O, nieszczęśliważ ja, żem ją zgubiła!

EMILIA

W rok ni w dwa lata nie poznasz mężczyzny,  
Oni żołądki, a myśmy ich strawą;  
Chciwie nas chłoną, a gdy są już syci,  
Kadzi by nas się pozbyć. Oto Kasjo  
I mąż mój.

*Wchodzą J a g o i K a s j o.*

JAGO

Nie ma, bracie, innej drogi,  
Trzeba, ażeby ona to sprawiła.  
Patrz, co za szczęście! Przypuście szturm do niej.

DESDEMONA

Witaj, kochany Kasjo! co tam słyhać?

KASJO

Pani, przychodzę powtórzyć mą prośbę.  
Spraw, bym za wpływem twego przyczynienia  
Odżył na nowo i odzyskał względy  
Tego, którego z całej mocy duszy  
Czczę i miłuję. Zwłoka mi nieznośna,  
Jeżeli moja wina tak jest ciężka,  
Że ani służba upłyniona, ani  
Żal terazniejszy, ani zamierzona  
Nadal poprawa nie mogą mi wrócić  
Jego życzliwych chęci, niech przynajmniej

Wolno mi będzie prędzej o tym wiedzieć,  
Wtedy, przybrawszy przymuszony spokój,  
Na innej drodze pójdę sobie szukać  
Jałmużny losu.

DESDEMONA

O szlachetny Kasjo!  
Bezsilny teraz jest mój głos; Otello  
Już nie Otello, ani byś go poznał,  
Gdyby się jego twarz tak odmieńniała  
Jak jego humor. Oby mi tak zawsze  
Błogosławione pomagały duchy,  
Jakem usilnie mówiła za tobą;  
Gniew jego nawet nie zdołał mnie wstrzymać  
Od nalegania. Bądź jeszcze cierpliwy:  
Zrobię, co będę mogła, więcej nawet,  
Niżbym uczynić śmiała w własnej sprawie.  
Poprzestań na tym, zacny przyjacielu.

JAGO

To on był w gniewie?

EMILIA

Tylko co stąd wyszedł;  
W istocie, dziwnie wzburzony.

JAGO

On w gniewie?  
Byłem obecny, gdy kule armatnie  
Szeregi wkoło niego rozrywały  
I gdy z nich jedna tuż przy jego boku  
Sprzątnęła jego rodzonego brata...  
I on jest w gniewie? To nie bez kozery.  
Idę natychmiast do niego, niechybnie  
Jest w tym coś, kiedy on jest rozgniewany.

*Wychodzi.*

DESDEMONA

Idź, proszę. Pewnie coś dotyczącego  
Spraw państwa; bądź to jaka wieść z Wenecji,  
Bądź potajemna jaka złość, uknuta  
Tu w Cyprze, której ślad tylko co odkrył,  
Pogodny jego zachmurzyła umysł.  
W podobnych razach zwykli się mężczyźni  
O małe rzeczy obruszać, choć w gruncie  
Wielkie ich drażnią. I nie dziw: jeżeli  
Palec nas boli, czyliż się ból z niego  
Do innych zdrowych nie rozchodzi członków?  
Nie powinniśmy mężów mieć za bóstwa



Ni żądać od nich takiej uprzejmości,  
Jaka przystoi kochankom przed ślubem.  
Zgrom mię, Emilio; już serce me chciało  
Przed sąd wojenny stawić jego szorstkość,  
Lecz widzę, że się dało uwieść świadkom  
I oskarżyło go niesprawiedliwie.

EMILIA

Oby to tylko był interes państwa,  
A nie zazdrosne jakie widzimi się,  
Wprost dotyczące cię, pani!

DESDEMONA

Niestety!

Dałam kiedy mu do tego powód?

EMILIA

Cóż stąd? Zazdrośni o to nie pytają;  
Nie zawsze oni zazdroszczą dlatego,  
Ze mają powód taki lub owaki,  
Ale zazdroszczą, bo zazdroszczą, zazdrość  
Jest to poczwara, co się sama płodzi,  
Sama wylega.

DESDEMONA

Niechże nieba chronią

Od tej poczwary mego męża!

EMILIA

Amen!

DESDEMONA

Pójdę do niego. Pozostań tu, Kasjo:  
Jeśli go znajdę lepiej nastrojonym,  
Poprę twą prośbę i wyczerpnę resztę  
Mojej wymowy, by osiągnąć skutek,

KASJO

Dzięki, o, dzięki ci, łaskawa pani!

*Wychodzą Emilia i Desdemona.  
Wchodzi Bianka.*

BIANKA

Jak się masz, Kasjo?

KASJO

Skądś się tu wzięła?

Jak mi się miewasz, śliczna moja Bianco?  
Właśnie się, luba, wybierał do ciebie.

BIANKA

A jam szła właśnie do twojej kwatery.  
Jak to? nie widzieć się ze mną przez tydzień?  
Spędzić beze mnie siedem dni i nocy?  
Aż osiemdziesiąt godzin w dubelt wziętych,  
I jeszcze osiem? Godzin, które z dała  
Od przyjaciela osiemdziesiąt razy  
Dłużej się wloką niż na cyferblacie?  
O, co za nudny obrachunek!

KASJO

Przebacz,  
Przebacz mi, Bianco, ciężkie mię kłopoty  
Gniotły w tych czasach; ale ja umorzę  
Ten twój rachunek w sposobniejszej porze.  
Kochana Bianco,

*podając jej chustkę D e s d e m o n y*

wyhaftuj mi chustkę

Na wzór tej.

BIANKA

Skądżeś przyszedł do tej chustki?  
Dar to od jakiejś nowej przyjaciółki.  
Dotkliwie czułam twoją nieobecność,  
Ale dotkliwiej czuję jej przyczynę.  
Takiś to? dobrze, dobrze.

KASJO

Dajże pokój!  
Rzuć te domysły w oczy szatanowi,  
Co ci je poddał. Myśliszże na serio,  
Że mam tę chustkę od jakiejś kochanki?  
Nie, wierz mi, Bianco.

BIANKA

Czyjaż więc jest, powiedz?

KASJO

Nie wiem, znalazłem ją w moim pokoju.  
Podoba mi się haft na niej i zanim  
Zgłoszą się po nią, co się pewno stanie,  
Chciałbym mieć deseń ten przekopiowany.  
Weźże ją, zrób to i odejdz stąd teraz.

BIANKA

Odejść? dlaczego?

KASJO

Czekam tu na wodza,  
Złą by to miało minę i nie rad bym,  
Żeby mię zdybał w towarzystwie z tobą.

BIANKA

A to dlaczego, proszę?

KASJO

Nie dlatego,  
Żeby cię nie miał kochać.

BIANKA

Lecz dlatego,  
Że mię nie kochasz. Odprowadź mię trochę  
I powiedz, czy się prędko dziś zobaczymy?

KASJO

Nie mogę dalej odprowadzić, serce,  
Jak kilka kroków, bo muszę tu czekać;  
Ale zobaczymy się wkrótce.

BIANKA

No, zgoda,  
Nie mogę podejść, to muszę przeskoczyć.

*Wychodzą.*

## AKT CZWARTY

### SCENA PIERWSZA

*Tamże.  
Wchodzą Otello i Jago.*

JAGO

Sądziśli, panie, że to można?

OTELLO

Można?

Co można?

JAGO

Możnaż ścisnąć się pokątnie?

OTELLO

Zakazane są takie uściśnienia.

JAGO

Albo być nago w łóżnicy u gacha  
Przez parę godzin i więcej i myśleć,  
Że to nic złego?

OTELLO

Być w objęciach gacha  
I myśleć, że to nic złego? Jagonie,  
To by prawdziwą było hipokryzją  
Dla zamydlenia oczu szatanowi.  
Kto by uczciwym być chciał i tak czynił,  
Ten by ulegał pokusom szatana  
I sam by kusił sprawiedliwość niebios.

JAGO

Jeśliby jednak nie czynił nic więcej,  
Taki by usterk był do przebaczenia.  
Z tym wszystkim, gdybym mej żonie dał chustkę...

OTELLO

To cóż?

JAGO

To chustka ta byłaby, panie,  
Prawną własnością mej żony i ona  
Miałaby jako właścicielka prawo  
Podarowania jej, komu by chciała.

OTELLO

Onać jest panią i swego honoru;  
Mogłaby i ten podarować?

JAGO

Honor  
Jest to istota, której się nie widzi.  
I bardzo często bywa tych udziałem,  
Co go nie mają, ale chustka, chustka...

OTELLO

Na Boga! rad bym był o tym zapomnieć.  
Mówiłeś – o, ta myśl krąży w mej duszy,  
Jak kruk nad domem dotkniętym zarazą,  
W złowieszczy sposób dla wszystkich – mówiłeś,  
Że on tę chustkę posiada.

JAGO

Cóż z tego?

OTELLO

Zaprawdę, nie jest to wcale pomyślne.

JAGO

A gdybym też był mówił, że widziałem,  
Jak on cię krzywdził, panie? że słyszałem,  
Są bowiem takie niecnoty na świecie,  
Co zniewoliwszy sobie lub posiadłszy  
Jaką kobietę, skutkiem swych zabiegów  
Lub jej łatwości do zbałamucenia,  
Żyć by nie mogli, gdyby tego zaraz  
Nie wypaprali.

OTELLO

To więc on co mówił?

JAGO

Mówił ci, panie; nie takiego jednak,  
Czego by nie mógł się wyprzeć.

OTELLO

Cóż mówił?

JAGO

Że z nią – ej, nie wiem co...

OTELLO

Co? Co? Mów zaraz.

JAGO

Był jak mąż z żoną.

OTELLO

On? z nią! jak mąż z żoną! Kto mówi, że z nią leżał – to ohydne! Ta chustka – te wyznania – ta chustka. Kto czyni wyznania, z tym na szubienicę! Nie, wprzód z nim na szubienicę, a potem niech wyznaje! Dreszcz mię przechodzi. Takie wrzenie w mózgu byłoby przeciw naturze, gdyby nie było wskazówką; Nie słowa to tak mię wstrząsają. Nosy, uszy, wargi! Fuj! fuj! Czy być może? Przyznał się! Gdzie chustka? O szatanie!

*Wpada w odrętwienie.*

JAGO

Działaj, trucizno moja, działaj! Tak to  
Łowi się w matnię łatwowiernych głupców;  
Niejedna zacna, uczciwa kobieta  
Takim sposobem osławioną była  
Jak najniewinniej. Ejże, ejże, panie!  
Otello! wodzu mój!

*Wchodzi K a s j o.*

Czego chcesz, Kasjo?

KASJO

Co się tu stało?

JAGO

Wpadł w wielką chorobę;  
Już to od wczoraj drugi taki atak,

KASJO

Trzeba mu potrzeć skronie.

JAGO

Nie, daj pokój.  
Niemoc ta musi przejść swój bieg spokojnie,  
Inaczej, pianą usta by mu zaszły,

Szaleć by zaczął. Patrz, już się porusza,  
Oddal się, oddal na chwilę; niebawem  
Odzyska zmysły. Jak go tu nie będzie,  
Chciałbym pomówić z tobą o czymś ważnym.

*K a s j o wychodzi.*

Jakże ci, panie? Nie zraniłeś głowy?

OTELLO  
Drwisz ze mnie?

JAGO  
Jaż bym miał z ciebie drwić, panie?  
Nie, Bóg mi świadkiem! Rad bym, abyś przyjął  
To dopuszczenie jak mąż.

OTELLO  
Mąż z rogami!  
To istny potwór, bydlę; nic innego.

JAGO  
Jest więc niemało bydląt w ludnych miastach.  
I znakomitych potworów niemało.

OTELLO  
Więc on to wyznał?

JAGO  
Bądź mężem, mój wodzu,  
Pomyśl, że każdy, co ma włos na brodzie,  
W małżeńskim jarzmie może los twój dzielić,  
Miliony takich się znajdują, co, leżąc  
W zbrukany łóżu, gotowi są przysiąc,  
Że ono czyste, z tobą tak źle nie jest.  
O, nie ma większej dla piekła uciechy,  
Jak gdy kto pieści chytrą rozkosznicę  
I dobrodusznie ma ją za cnotliwą.  
Nie, tu potrzeba mego przeświadczenia,  
Wiedząc, czym jestem, wiem, czym ona będzie,  
Czym dlań być wzajem.

OTELLO  
O, słusznie; to pewna.

JAGO  
Zejdź, panie, trochę na stronę i uwięź  
Swoje uczucia w szrankach cierpliwości.  
Gdy cię przed chwilą przygniotło cierpienie  
(W sposób niegodny takiego człowieka),

Nadszedł tu Kasjo; zbyłem go, jak mogłem,  
I ubarwiwszy przed nim ów paroksyzm,  
Prosiłem, aby się później tu stawił  
Dla pomówienia ze mną, co i przyrzekł.  
Skryjże się, panie, gdziekolwiek opodal  
I zapisz sobie każdy pogardliwy,  
Przedrwiwający i szyderczy wyraz,  
Jaki na jego twarzy się ukaże;  
Bo on mi musi jeszcze raz wygadać,  
Gdzie, jak, jak często, jak długo i kiedy  
Miał z twoją żoną schadzki i mieć będzie;  
Uważaj, panie, na grę jego twarzy,  
Powtarzam. Tylkoż uzbrój się w cierpliwość,  
Bo powiem, że masz żółć jedynie w sobie,  
A męstwa ani krzty.

OTELLO

Słuchaj, Jagonie,  
Będę cierpliwy, ale ta cierpliwość  
Krwawo się skończy; słyszysz?

JAGO

Tak też trzeba,  
Byleby w porę. Usuńże się, panie.

*O t e l l o odchodzi na stronę.*

O Biankę go się wypytywać będę,  
O tę wytartą nimfę, co frymarcząc  
Swymi pieściznami, kupuje chleb sobie  
I odzież; ona szaleje za Kasjem,  
Lecz kosa trafiła tym razem na kamień,  
Jak się to zwykle zdarza takim dziewczynom:  
Ileć Kasjo słyszy o niej wzmiankę,  
Tyleć parska śmiechem. – Otóż idzie.

*Wchodzi K a s j o.*

Im bardziej on się śmiać będzie, tym bardziej  
Wściekać się będzie Otello; a głupia  
Zazdrość Murzyna wytłumaczy sobie  
Uśmiechy, gesta i jowialne żarty  
Biednego Kasja zupełnie na opak.  
Jak się masz, namiestniku?

KASJO

Tym ci gorzej,  
Gdy mi nadajesz ten tytuł, którego  
Brak mię zabija!



JAGO

Zakołataj jeno  
Do Desdemony, a nie doznasz braku.

*ciszej*

Gdyby to tylko było w mocy Bianki,  
Jakżebyś prędko cel życzeń otrzymał!

KASJO

Biedna istotka!

OTELLO *do siebie*

O, jak się już śmieje!

JAGO

Dalipan, jeszcze nie widział kobiety  
Tak zakochanej jak ona.

KASJO

Biedactwo!  
W istocie, zdaje się do mnie mieć słabość.

OTELLO *do siebie*

Jak słabo przeczy, jak drwiąco się śmieje!

JAGO

Słuchaj no, Kasjo.

OTELLO *do siebie*

Teraz go wyciąga  
Na dobitniejsze słowo. Nuże! dalej!

JAGO

Ona się daje z tym słyszeć, że myślisz  
Wziąć ją za żonę, szczerze masz ten zamiar?

KASJO

Cha! cha! cha!

OTELLO *do siebie*

Triumfujesz, Rzymianinie?

KASJO

Ja wziąć za żonę fryjerkę? Proszę cię, miejże litość nad moim rozsądkiem; nie sądz go tak  
niezdrowym. Cha! cha! cha!

OTELLO *do siebie*

Tak, tak, tak: śmieje się, kto wygrywa.

JAGO

Doprawdy, wieści chodzą, że się z nią ożenisz.

KASJO

Powiedz prawdę.

JAGO

Szelma jestem, jeżeli nie.

OTELLO *do siebie*

Więceście się mnie już pozbyli? Dobrze.

KASJO

To własny wymysł tej błąznicy; wbiła sobie w głowę, że się z nią ożenię, przeto że sobie tego życzy, nie że ja jej to przyrzekłem.

OTELLO *do siebie*

Jago daje mi znak, teraz się zacznie wywnętrzać.

KASJO

Tylko co tu była, ściga mnie, gdzie się ruszę. Niedawno stałem na wybrzeżu rozmawiając z kilku Wenecjanami, aż oto nadbiega ta lala i bez ceremonii rzuca mi się na szyję, ot tak.

OTELLO *do siebie*

I woła: O mój Kasjo! lub coś podobnego, z jego gestów można się tego domyślić.

KASJO

I wiesz się na mnie, i cmokta mnie, i kwili, i skubie mnie, i ciągnie. Cha! cha! cha!

OTELLO *do siebie*

Teraz powie, jak go wciągnęła do mego pokoju. O nędznik! widzę nos jego, ale nie widzę psa, któremu go rzucę.

KASJO

Na poczciwość! muszę z nią zerwać stosunki;

JAGO

Tam do licha! patrz, kto to idzie.

*Wchodzi B i a n k a.*

KASJO

Biadaż mi z tym koczkodanem! Perfumowany koczkodan! Co się to znaczy, że się tak włóczysz za mną?

BIANKA

Niech się czort i jego ciotka włóczy za tobą! Co znaczy ta chustka, co mi ją dałeś przed chwilą? Byłam tak głupia, że ją wzięła. Mam z niej haft zdejmować? Tak misterny wyrób znalazłeś w swojej kwaterze i niby nie wiesz, kto go tam zostawił?! To prezent od ja-

kiejs marmuzeli i ja mam z niej haft zdejmować! Daj ją jakiej hetce pętelce, a nie mnie: od kogokolwiek ją masz, nie myślę zdejmować z niej haftu.

KASJO

No, no, kochana Bianco! Zgoda, zgoda!

OTELLO *do siebie*

Nieba, byłaby to owa chustka ode mnie?

BIANKA

Jeżeli chcesz dziś przyjść na kolację, to dobrze: a nie, to przyjdź, kiedy ci przyjdzie ochota.

*Wychodzi.*

JAGO

Nuże za nią! Nuże za nią!

KASJO

Na honor! muszę pójść: inaczej zbeształaby mnie na ulicy.

JAGO

Będieszże u niej na kolacji?

KASJO

Zapewne.

JAGO

No, to może się tam zobaczymy, bo. w istocie potrzebuję z tobą pomówić.

KASJO

Przyjdź, przyjdź; przyjdieszże pewno?

JAGO

Przyjdę, przyjdę. Nie mów więcej.

*Wychodzi K a s j o.*

OTELLO *zbliżając się*

Jak go mam zamordować, Jagonie?

JAGO

Czy uważałeś, panie, jak się naśmiewał z własnego grzechu?

OTELLO

O Jagonie!

JAGO

I widziałeś ową chustkę?

OTELLO

Możaż to była?

JAGO

Twoja, panie, jak żyw tu stoję. Miałeś dowód, jak on ceni tę szaloną kobietę, mówię o twojej żonie, ona mu ją dała, a on ją daje swojej utrzymance.

OTELLO

O, gdybym go mógł przez dziesięć lat mordować Piękna kobieta! Śliczna kobieta! Luba kobieta!

JAGO

Trzeba o tym teraz zapomnieć.

OTELLO

Niech zgnije, niech zmarnieje i do piekła pójdzie tej nocy! Bo że musi umrzeć, to pewna. Serce moje obróciło się w kamień, kaleczy mi rękę, gdy w nie uderzę. O, świat nie ma śliczniejszej istoty! mogłaby leżeć w łóżnicy cesarza i mieć go niewolnikiem swych skiniń.

JAGO

Nie w porę te rozpamiętywania.

OTELLO

Niech przepadnie! powiadam tylko, jaką jest. Tak zgrabna z igłą w ręku! Tak czarodziej-sko muzykalna! Ach! Ona by swoim śpiewem zakłęła dzikość niedźwiedzia. Tak pełna wielkiego rozumu i pomysłowości.

JAGO

Tym ci godniejsza potępienia.

OTELLO

O, po tysiąc, po tysiąc razy! A przy tym tak słodka, tak uprzejma w obcowaniu!

JAGO

W istocie, za uprzejma.

OTELLO

To pewna. Co za szkoda jednak! O Jagonie! Co za szkoda!

JAGO

Jeżeli się, panie, nad jej niecotą rozczulasz, to daj jej patent do grzeszenia, bo jeżeli to ciebie nie obchodzi, nikt pewnie inny nie weźmie tego do serca.

OTELLO

Rozsiekam ją na drobne kawałki. Mnie zdradzać tak haniebnie!

JAGO

To szkaradnie z jej strony.

OTELLO

Z moim podkomendnym!

JAGO

To jeszcze szkaradniej.

OTELLO

Postaraj mi się, Jagonie, o truciznę na tę noc. Nie będę się z nią wdawał w rozprawy, aby mnie jej postać i piękność nie rozbroiła. Na tę noc, Jagonie.

JAGO

Daj, panie, pokój truciznie; uduś ją w łóżku, w tym samym łóżku, które zbecześciła.

OTELLO

Dobrze, sprawiedliwość tego kroku podoba mi się, tak uczynię.

JAGO

A co do Kasja, tego ja biorę na siebie, o północy dowiesz się, panie, czegoś więcej.

*Słychać trąbienie.*

OTELLO

Wybornie. Co ma znaczyć to trąbienie?

JAGO

Pewnie nadeszła jaka wieść z Wenecji.  
To Lodowiko, w poselstwie od doży,  
Zbliża się, a z nim twoja żona, panie.

*Wchodzą z orszakiem L o d o w i k o i D e s d e m o n a.*

LODOWIKO

Witaj, cny generale!

OTELLO

Witaj, panie.

LODOWIKO

Doża i senat pozdrawiają ciebie.

*Oddaje mu list.*

OTELLO

Całuję tego tłumacza ich woli.

*Otwiera list i czyta.*

DESDEMONA

Cóż nam nowego przynosisz, kuzynie?

JAGO

Siniore, pozwól mi wyrazić radość  
Z ujrzania ciebie.

LODOWIKO

Dziękuję waćpanu.  
Jakże się miewa Kasjo?

JAGO

Żyje, panie.

DESDEMONA

Smutne pomiędzy nim a moim mężem  
Zaszło w tych czasach rozdwojenie, ale  
Ty ich pojednasz.

OTELLO

Czy tak?

DESDEMONA

Co, mój mężu?

OTELLO *czytając*

„Nie zwlekaj tego uczynić, jak tylko...”

LODOWIKO

On nie do pani mówił, on jest cały  
Listem zajęty. To więc twój małżonek  
Jest poróżniony z Kasjem?

DESDEMONA

Na nieszczęście,  
Dałabym, nie wiem co, żeby znów byli  
Na dawnej stopie, bo sprzyjam Kasjowi.

OTELLO

Ognia i siarki!

DESDEMONA

Mężu!

OTELLO

Maszli rozum?

DESDEMONA

Gniewa się?

LODOWIKO

Pewnie go ten list tak wzburzył,  
Bo go podobno senat odwołuje  
I zarząd wyspy powierza Kasjowi.

DESDEMONA

Doprawdy, cieszę się z tego.

OTELLO

W istocie?

DESDEMONA

Co, panie?

OTELLO

Cieszę się, żeś oszalała,

DESDEMONA

Jak to? Kochany mężu?

OTELLO

Precz, diablico!

*Uderza ją.*

DESDEMONA

Nie zasłużyłam na to.

LODOWIKO

Generale,

Temu w Wenecji wiary by nie dano,  
Chociażbym przysiągł, że na to patrzałem.  
Taki postępek jest twardy nad miarę,  
Przeprós ją, płacze.

OTELLO

O diablico! gdyby  
Ziemię zapłodnić mogły łzy niewieście,  
Z każdej ich kropli powstałby krokodyl.  
Precz z moich oczu!

DESDEMONA

Nie chcę cię już drażnić.

*Odchodzi.*

LODOWIKO

Co za uległość i pokora! Każ jej  
Powrócić nazad, panie generale.

OTELLO  
Wróć się!

DESDEMONA  
Co każeś?

OTELLO  
Czego pan chcesz od niej?

LODOWIKO  
Ja?

OTELLO  
Chciałeś przecie, aby przyszła nazad,  
O, ona umie się, jak chcesz, obracać;  
Iść wstecz, a przecie naprzód, i znów wstecznie;  
I płakać umie, panie, umie płakać;  
I jest uległa, jak mówisz – uległa,  
Bardzo uległa nawet. Płacze jeszcze.  
O, co do tego, jest to, panie, tylko  
Ból malowany. Mam więc Cypr opuścić.  
Odejdź stąd, przyślę niedługo po ciebie.  
Panie, posłuszny jestem rozkazowi  
I do Wenecji wracam. Precz mi zaraz!

*Wychodzi D e s d e m o n a.*

Kasjo obejmie mój urząd. Bądź łaskaw  
Przyjąć dziś u mnie wieczerzę, siniore,  
Szanowny z pana gość. Kozły i małpy!

*Wychodzi.*

LODOWIKO  
Toż to szlachetny ów Murzyn, którego  
Cały nasz senat ma za doskonałość?  
Toż to ów umysł szlachetny, którego  
Nigdy namiętność zachwiać nie zdołała?  
Którego cnoty stałej i hartownej  
Żaden traf, żadna przeciwność nie mogła  
Zgiąć ni wykrzywić?

JAGO  
Bardzo się odmienił.

LODOWIKO  
Powiedz mi, jestli on zdrów na umyśle?



JAGO

Jest, panie – tym, czym jest, sąd mój tu milczy. Dałby Bóg, aby był tym, czym by mógł być, Jeśli tym, czym by mógł być, nie jest teraz.

LODOWIKO

Żeby aż żonę uderzyć!

JAGO

Zaprawdę

Nie był to wcale uprzejmy postępek;  
Rad bym jednakże, aby się skończyło  
Li na tym.

LODOWIKO

Czy to taki Jego zwyczaj?

Czyli też może ten list na krew jego  
Wywarł wpływ taki i do tej zdrożności  
Dziś po raz pierwszy go przywiódł?

JAGO

Niestety!

Ladaco byłbym, gdybym mówił o tym,  
Com widział albo czegom się dowiedział.  
Miej go na oku, siniore, a własne  
Jego czynności zastąpią świadectwo  
Mego języka. Miej tylko nań oko  
Zwrócone, panie, gdy będziecie razem.

LODOWIKO

Przykro mi, że się na nim tak zawiodłem.

*Wychodzą.*

## SCENA DRUGA

*Pokój w zamku.*

*Wchodzą O t e l l o i E m i l i a.*

OTELLO

Więc nie dostrzegłaś niczego?

EMILIA

Nie, panie,

Anim słyszała, anim pomyślała  
Coś podobnego.

OTELLO

Widywałaś jednak  
Kasja z nią razem.

EMILIA

Ale nie widziałam  
Nic nagannego wtedy i słyszałam  
Każdą sylabę przez nich wymówioną.

OTELLO

Nigdyż do siebie nie szeptali?

EMILIA

Nigdy.

OTELLO

I nigdy cię nie wysyłali?

EMILIA

Nigdy.

OTELLO

Po wachlarz albo rękawiczki, po nic?

EMILIA

Po nic, a po nic, panie.

OTELLO

To rzecz dziwna.

EMILIA

Gotowam stawić duszę moją w zakład  
Za jej niewinność; jeżeli inaczej  
Myślisz, o panie, oddal tę myśl; ona  
Próżno zakłóca twój spokój. Jeżeli  
Jaki niecnota ci to poddał, niechaj  
Niebo go za to zetrze jako węża!  
Jeżeli bowiem ta kobieta nie jest  
Cnotliwą, czystą i wierną, to nie ma,  
Nie ma na świecie szczęśliwego męża  
I najzacniejsza żona tak jest niecną  
Jak potwarz.

OTELLO

Powiedz jej, żeby tu przyszła.

Idź.

*Wychodzi Emilia.*

Dość już chyba powiedziała, przecie  
Każda rajfurka tyle samo powie,  
Chyba że bardzo głupia. To rufianka  
Arcyprzebiegła, istny klucz i rygiel  
Do zamykania wszetecznych tajemnic.  
A przecież klęka, modli się, bywałem  
Sam nieraz świadkiem tych pobożnych praktyk.

*Desdemona i Emilia wchodzi.*

DESDEMONA

Co mi rozkażesz, panie?

OTELLO

Pójdź tu, rybko,

DESDEMONA

Czego ode mnie żadasz?

OTELLO

Pokaż oczy;

Patrz mi w twarz.

DESDEMONA

Cóż to za kaprys okropny?

OTELLO *do Emili*

A aśćka dalej do swych obowiązków!  
Zamknij drzwi, zostaw czułą parę samą;  
Kaszłaj, chrząkaj, jak się kto przybliży.  
Nuże, peñń swoje rzemiosło, no, spiesz się.

*Wychodzi Emilia.*

DESDEMONA

Błagam cię, panie, na kolanach, powiedz,  
Co znaczy twoja mowa, nie pojmuję  
Twych słów, pojmuję tylko jakąś wściekłość  
W tych słowach.

OTELLO

Powiedz mi, coś ty za jedna?

DESDEMONA

Twa żona, panie; wierna twoja żona.

OTELLO

Poprzysiąż na to, potęp sama siebie;  
Inaczej, widząc twą anielską postać,  
Pochwycić ciebie baliby się diabli,

Bądź więc po dwakroć potępiona, przysiąż,  
Żeś jest uczciwa.

DESDEMONA

Niebu to wiadomo.

OTELLO

Niebo wie, żeś jest zdradziecka jak szatan.

DESDEMONA

Kogóż ja zdradzam, panie? w czym? dla kogo?

OTELLO

O Desdemono! precz! precz!

DESDEMONA

O mój Boże!

Ty płaczesz? Jestem ja tych łez przyczyną?  
Jeśli przypadkiem sądzisz, że mój ojciec  
Jest sprawcą twego odwołania, nie kładź  
Tej winy na mnie, jeżeliś ty stracił  
W nim przyjaciela, ja straciłam także.

OTELLO

Niechby mnie niebo jak bądź doświadczało  
Utrapieniami, niechby na mą głowę  
Złało nawałem krzywdy i cierpienia,  
Niechby mnie całkiem pogrzyżyło w nędzy,  
W loch mnie rzuciło i pogrzebło wszelkie  
Moje nadzieje, jeszcze bym gdzieś w duszy  
Znalazł cierpliwość do zniesienia tego;  
Lecz czynić ze mnie cel naigrawania,  
Wieczysty przedmiot wzdargy czasów, który  
Sztynnym by swoim palcem wskazywały...  
I to bym jednak zniósł, znieść miałbym siłę;  
Ale tam, kędy serce me przyrosło,  
Kędy żyć muszę albo nie żyć wcale,  
Tam być wygnańcom; od źródła, z którego  
Wypływa strumień mojego istnienia,  
A bez którego wysechłby koniecznie,  
Od tego źródła zostać odepchniętym  
Albo go widzieć obróconym w bagno,  
W którym osiada skrzek – o! cierpliwości,  
Młody, różanousty cherubinie,  
Zmień twą naturę wobec takiej doli,  
I przybierz postać tak groźną jak piekło!

DESDEMONA

Tuszę przynajmniej, że mnie mój małżonek  
Ma za uczciwą.

OTELLO

O, za tak uczciwą  
Jak owe muchy w jatkach w czasie lata,  
Co się gzą wraz po łęgu. O ty chwaście,  
Tak wdzięcznie piękny, tak słodko pachnący,  
Że aż odurzasz; bogdajbyś był nigdy  
Na świat nie przyszedł!

DESDEMONA

Nieszczęsnaż ja! Jakież  
Grzech popełniłam, o którym nic nie wiem?

OTELLO

Na toż ta piękna książka dzień ujrzała,  
Aby jej czyste karty bezwstyd kalał?  
„Com popełniła?!” O gminna sprośnico!  
W hutnicze piece zmieniłbym me lica,  
I srom mój w popiół obrócić bym musiał,  
Gdybym o twoich czynach wspomniał tylko.  
„Com popełniła?” Niebu kliwo, księżyc  
Na widok tego chmurą się zasłania,  
A wiatr lubieżny, co zwykł w swym przelocie  
Wszystko całować, chowa się w głąb ziemi  
Na wzmiankę o tym. „Cóżem popełniła?!”  
O ty bezczelna wszetecznic!

DESDEMONA

Przebóg!  
Krzywdzisz mnie, panie.

OTELLO

Nie jesteś wszeteczna?

DESDEMONA

Nie jestem, panie, jakem chrześcijanka!  
Jeśli zachować tę ziemską powłokę,  
Którą wyłącznie tobie poślubiłam,  
Wolną od zmazy obcego dotknięcia  
I być wszeteczną nie jest tymże samym,  
Tom nie jest taką.

OTELLO

Ty wolna od zmazy?

DESDEMONA

Jak być zbawiona pragnę!

OTELLO

Czy podobna?

DESDEMONA

O Boże, zmiłuj się!

OTELLO

Przebacz mi zatem:

Wziąłem cię za wenecką nierządnicę,  
Co zaślubiła Otella.

*Wchodzi Emilia.*

Ty, nimfo,

Co wręcz przeciwny świętemu Piotrowi  
Urząd sprawujesz, bo strzeżesz bram piekła.  
Ty, ty – jużesmy interes skończyli.  
Masz tu za swoje trudy; zasuń rygiel  
I trzymaj szczelnie język za zębami.

*Wychodzi.*

EMILIA

Dlaboga! Co mu przychodzi do głowy?  
O pani, co ci to? Takaś zmieniona?

DESDEMONA

Jestem jak we śnie.

EMILIA

O kochana pani!

Co się naszemu panu stało?

DESDEMONA

Komu?

EMILIA

Mojemu panu.

DESDEMONA

Kto jest twoim panem?

EMILIA

Ten, kto i twoim.

DESDEMONA

Ja już nie mam pana.

Nie mów nic do mnie, Emilio, nie pytaj,  
Nie mogę płakać, odpowiedzią moją  
Byłyby tylko łzy. Okryj mi łóżko  
Na tę noc ślubną kołdrą, nie zapomnij:  
I męża swego tu przywołaj.

EMILIA

Dobrze;  
Natychmiast, pani. Jak się tu zmieniło!

*Wychodzi.*

DESDEMONA

Słusznie mnie los ten spotyka, o, słusznie!  
Cóż jednak było w mym postępowaniu,  
Żeby upatrzeć mógł najłżejszy pozór  
Podobnej winy?

*Wchodzi Emilia, a z nią Jago.*

JAGO

Staję na twój rozkaz,  
Łaskawa pani; o cóż idzie?

DESDEMONA

Nie wiem,  
Jak to powiedzieć. Ci, co uczą dzieci,  
Czynią to w sposób łagodny, podają  
Łatwe zadania, należało jemu  
W taki sam sposób zgromić mnie, bo jestem  
Godnym zgromienia dzieckiem, w rzeczy samej.

JAGO

Co ci się stało, pani?

EMILIA

Ach, Jagonie!  
Generał nazwał ją wszeteczną, zelżył  
Tak hańbiącymi, ohydnyimi słowy,  
Jakich nie mogą znieść uczciwe serca.

DESDEMONA

Jestem ja taką? powiedz.

JAGO

Jaką, pani?

DESDEMONA

Taką, jak ona mówi, że mnie nazwał.

EMILIA

Jagonie, nazwał ją dziewczką, wstyd mówić;  
Pijany prostak nawet by nie użył  
Takich terminów na ostatnią dziewczkę.

JAGO

Jakiż on powód miał do tego?

DESDEMONA

Nie wiem,  
Ale to pewna, że nie zasłużyła  
Na nic takiego.

JAGO

Nie płacz, droga pani,  
O, nie płacz, nie płacz! Biedaż się uwzięła!

EMILIA

Na toż się ona wyrzekła ojczyzny,  
Ojca, przyjaciół; na toż odrzuciła  
Tyle ponętnych, tyle świetnych związków,  
Aby otrzymać miano wszetecznicy?  
Jak tu nie płakać?

DESDEMONA

Taki mój los.

JAGO

Niech go  
Pomsta ogarnie! Skąd mu to przyjść mogło?

DESDEMONA

Bóg raczy wiedzieć.

EMILIA

Gardło w zakład daję,  
Że jakiś szczywany nędznik, jakiś chytry,  
Przymilający się łotr, jakiś lizus  
Bez czci i wiary wymyślił tę potwarz,  
By się dochrapać jakiegoś urzędu.  
Gardło dam za to.

JAGO

Fuj! To być nie może,  
Nie ma na świecie takiego człowieka.

DESDEMONA

A jeśli taki jest, niech mu złość jego  
Pan Bóg przebaczy.

EMILIA

Niech mu kat przebaczy  
I piekło wszystkich szpik wysuszy w kościach!  
Ją zwać wszeteczną? Któż z nią ma stosunki?  
Gdzie, jak i kiedy? Skąd cień podobieństwa?



Jakiś wierutny łotr Murzyna zdurzył,  
Jakiś nikczemny oszust, podły hultaj.  
Oby go nieba odkryć pozwoliły  
I bicz podały w każdą dłoń uczciwą  
Do przepędzenia tego szelmy nago  
Przez obszar świata, od wschodu na zachód!

JAGO

Czego tak wrzeszczysz?

EMILIA

O, wieczna kaźń jemu!

Taki to ptaszek pomieszał był niegdyś  
Klepki i tobie i nabił ci głowę,  
Że ja mam jakieś konszachty z Murzynom.

JAGO

Cicho bądź, głupia.

DESDEMONA

Kochany Jagonie,

Cóż mam uczynić, aby go przejednać?  
Idź za nim, pomów z nim, bo na to słońce,  
Ani wiem, w jaki sposób go straciłam.  
Oto na klęczkach klnę się, żem niewinna,  
Jeżeli chęci moje kiedykolwiek  
Przeciw miłości jego spiskowały,  
Czy to uczynkiem, czy to pożądaniem;  
Jeżeli wzrok mój, słuch lub jakikolwiek  
Zmysł mój lubował kiedy w kim bądź innym;  
Jeśli go teraz nie kocham wyłącznie  
I nie kochałam zawsze, i nie będę  
Zawsze kochała chociażby mnie nawet  
Skazał na rozwód z sobą jak żebraczkę,  
To niech nie zaznam pociechy w tym życiu!  
Wiele dokazać może złe obejście,  
On mnie nim może zabić, ale nigdy  
Zmniejszyć miłości mojej. Ja wszeteczna!  
Sam już ten wyraz zgrozą mnie przejmuje;  
Do zasłużenia czynem na to miano  
Żadna potęga próżności światowych  
Nie potrafiłaby mnie doprowadzić.

JAGO

O pani, nie bierz tego tak do serca;  
W złym był humorze tylko, list z Wenecji  
W niesmak mu poszedł i niechęć się jego  
Krupi na tobie.

DESDEMONA

Bogdajby tak było!

JAGO

Ręczę, że tak jest.

*Słysząc trąbienie.*

Słyszysz, pani? Trąba  
Wzywa na ucztę; posłowie weneccy  
Radzi by zasiąść do stołu. Idź, pani,  
I przestań płakać; wszystko będzie dobrze.

*Wychodzą Desdemona i Emilia.  
Wchodzi Rodrygo.*

Cóż tam, Rodrygo?

RODRYGO

Nie zdajesz mi się rzetelnie ze mną wychodzić.

JAGO

Z powodu?

RODRYGO

Co dzień mnie zbywasz jakimś wykrętem i zamiast mnie posuwać naprzód w mych nadziejach, usuwasz raczej, jak uważam, ode mnie wszelką pożądaną sposobność. Na honor! nie myślę tego dłużej cierpieć ani schować do kieszeni tego, com zniósł dotychczas.

JAGO

Posłuchaj mnie, Rodrygo.

RODRYGO

Jużem się dosyć nasłuchał i przekonał się aż nadto, że twoje słowa i czyny nie chodzą z sobą pod rękę.

JAGO

Obwiniasz mnie najniesłuszniej.

RODRYGO

Wysuwam tylko prawdziwe zarzuty. Wyszastałem się co do grosza. Klejnoty, com ci je dał dla Desdemony (połowa ich byłaby nawet mniszkę ujęła), powiedziałaś mi, że zostały przez nią przyjęte; i otworzyłeś mi pocieszające widoki rychłego pozyskania jej względów i przystępu do niej; tymczasem nic z tego nie widzę.

JAGO

Dobrze, dobrze, dalej!

RODRYGO

Dobrze, dalej! Dalej tak iść nie może, i wcale to niedobrze. Na tę dłoń! powiadam, że to niegodziwie, i zaczynam się domyślać, że ze mnie zakpiono.

JAGO

Dobrze.

RODRYGO

Powtarzam, że to niedobrze. Odkryję wszystko przed Desdemoną: jeżeli mi zechce zwrócić klejnoty, to zaniecham dalszych zabiegów i żałować będę mych nieprawych uroszczeń; jeżeli zaś mi ich nie zwróci, bądź pewien, że zażądana zadośćuczynienia od ciebie.

JAGO

Czyś już wszystko wypowiedział?

RODRYGO

Nie inaczej, i niewzruszone mam postanowienie postąpić nie inaczej, jak powiedziałem.

JAGO

Teraz widzę, że masz w sobie animusz, I od tej pory zaczynam mieć lepsze wyobrażenie o tobie niż kiedykolwiek. Daj mi rękę, Rodrygo, obarczyłeś mnie nader uzasadnionymi zarzutami, a przecież, klnę się na wszystko, że działał jak najgorliwiej w twojej sprawie.

RODRYGO

To się nie pokazało.

JAGO

Przyznaję, że się nie pokazało, i podejrzenie twoje nie jest bez trafności i rozsądku. Ależ, Rodrygo, jeżeli istotnie jest w twoim łonie to, o czym teraz więcej niż kiedykolwiek mam powodów nie wątpić, to jest: wola, odwaga i męstwo, daj tego dowód tej nocy, a jeżeli następnej nie ujrysz Desdemony w swoich objęciach, to zastaw siła na me życie i sprzątnij mnie zdradziecko ze świata.

RODRYGO

No, no, o cóż to idzie? Jestli to w granicach możliwości i rozsądku?

JAGO

Trzeba ci wiedzieć, że nadszedł wyraźny rozkaz z Wenecji, ażeby Kasjo zajął miejsce Otella.

RODRYGO

Czy być może? Takim sposobem Otello i Desdemona powrócą nazad do Wenecji.

JAGO

O nie: on się uda do Maurytanii i zabierze tam z sobą piękną Desdemonę: chybaby tu był zatrzymany jakim wypadkiem, żaden zaś inny wypadek nie mógłby być bardziej stanowczy w tej mierze jak usunięcie Kasja.

RODRYGO

Co rozumiesz przez usunięcie go?

JAGO

Ba, nic innego jak uczynienie go niezdatnym do zajęcia miejsca Otella: ewakuowanie mu czaszki.

RODRYGO

I chcesz, abym ja to uczynił?

JAGO

Tak właśnie, jeżeli chcesz sięgnąć po korzyść, słusznie ci przynależną. On dziś przepędza wieczór u pewnej marmuzeli; tam się z nim zejdę. Nic jeszcze nie wie o swoim wyniesieniu. Jeżeli zechcesz czatować na niego, jak stamtąd będzie powracał (a moją rzeczą będzie tak urządzić ten powrót, aby wypadł między dwunastą a pierwszą), to będziesz mógł żgnąć go jak najwygodniej. Ja będę tuż, aby cię wesprzeć, i padnie pomiędzy nami. Pójdź, nie stój taki osłupiały; wykażę ci przez drogę tak dowodnie potrzebę jego śmierci, że poczujesz sobie za powinność o nią go przyprawić. Już najwyższy czas na kolację, wieczór ucieka. Idźmy!

RODRYGO

Musisz mi udzielić jeszcze więcej objaśnień.

JAGO

Będziesz ich miał, ile zechcesz.

*Wychodzą.*

### SCENA TRZECIA

*Inny pokój w zamku.  
Wchodzą O t e l l o, L o d o w i k o, D e s d e m o n a,  
E m i l i a i służba.*

LODOWIKO

Nie trudź się, panie generale; proszę.

OTELLO

Wybacz, przechadzka dobrze mi posłuży.

LODOWIKO

Dobranoc, pani, przyjm dzięki.

DESDEMONA

My raczej

Dziękujęm tobie, sinioie.

OTELLO

Idziemy?

O! – Desdemono...

DESDEMONA

Co każesz, mój mężu?

OTELLO

Idź się położyć zaraz, wkrótce wrócę;  
Oddal Emilię, bacz, aby tak było.

DESDEMONA

Będzie tak, panie.

*Wychodzą O t e l l o i L o d o w i k o, za nimi służba.*

EMILIA

No cóż? Jak tam teraz?

Złagodniał jakoś.

DESDEMONA

Wkrótce wróci, mówił.

Kazał mi pójść się położyć i ciebie  
Oddalić, moja droga.

EMILIA

Mnie oddalić?

DESDEMONA

Tak kazał; zatem, kochana Emilio,  
Daj mi mój nocny ubiór i bądź zdrowa.  
Nie trzeba nam się mu sprzeciwiać teraz.

EMILIA

Obyś go nigdy nie była ujrzała,  
Kochana pani!

DESDEMONA

Tego ja nie powiem.  
Serce me tak jest ku niemu zwrócone,  
Że nawet jego gniew, jego zniewagi  
I jego groźby – rozepnij mnie, proszę –  
Mają w mych oczach urok.

EMILIA

Położyłam  
Na łóżku pani tę kołdę, coś chciała.

DESDEMONA

Wszystko mi jedno. Biedneż nasze głowy!  
Jeżeli umrę wprzód niż ty, Emilio,  
Pamiętaj przykryć mnie tą kołdrą.

EMILIA

Ejże,  
Co pani prawisz!

DESDEMONA

U mej matki była  
Sługa, Barbara było jej na imię,  
Miała kochanka, a ten był okrutny,  
Bo ją porzucił. Śpiewywała sobie  
Piosnkę o wierzbie; była to pieśń stara,  
Ale stosowna do jej położenia,  
Umarła nucąc ją. Pieśń ta dziś w wieczór  
Wciąż mi brzmi w uszach i gwałt sobie czynię,  
Abym tak samo nie zwiesiła głowy  
I nie śpiewała jak biedna Barbara.  
Proszę cię, śpiesz się.

EMILIA

Mamże pani przynieść  
Nocne ubranie?

DESDEMONA

Nie, rozbierz mnie tylko.  
Ten Lodowiko jest wcale przystojny.

EMILIA

Piękny mężczyzna.

DESDEMONA

I miły w rozmowie.

EMILIA

Znam pewną damę w Wenecji, co chętnie  
Boso by poszła do Jerozolimy  
Za jedno tknienie jego wargi dolnej.

DESDEMONA *śpiewa*

Pod wierzbą płaczącą dziewczyna łzy roni  
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!  
W dół główkę spuściła, skroń wsparła na dłoni  
I śpiewa: wierzbo! wierzbo!  
Zdrój, mrużąc opodal, przywtarza jej jękom:  
O wierzbo! wierzbo! wierzbo!  
Od łez jej gorących kamienie aż miękną;

Złóż to na boku.

O wierzbo! wierzbo! wierzbo!  
Proszę cię, śpiesz się, on wkrótce powróci.  
Z gałązek ja wierzby splotę sobie wianek.  
Nie gańcie mu tego, przyjmuję mój los.  
Nie, to przypada w innej strofice. Słyszysz,  
Ktoś zakołatał do drzwi.

EMILIA

To wiatr, pani.

DESDEMONA

Nazwałam go zmiennym, a on mi rzekł; ach!  
Płacz wierzbo! wierzbo! wierzbo!  
Niejeden ci przecie zastąpi mnie gach.  
Idź już, dobranoc. Coś mnie oczy swędzą,  
Nie zapowiadaż to łez?

EMILIA

Skądże znowu?

DESDEMONA

Tak mówią. O, ci mężczyźni, mężczyźni.  
Powiedz mi szczerze, Emilio, czy myślisz,  
Że są kobiety zdolne tak okropnie  
Zdradzać swych mężów?

EMILIA

Są takie, bez kwestii.

DESDEMONA

Czyżbyś za cały świat to uczyniła?

EMILIA

A ty, o pani?

DESDEMONA

Na światło dnia – nigdy!

EMILIA

W świetle dnia pewnie bym nie uczyniła,  
Lecz ciemność nocy zmienia postać rzeczy.

DESDEMONA

A za świat cały – odpowiedz, Emilio?

EMILIA

Hm! świat nie fraszka; z małej bagatelki  
Zysk byłby wielki.

DESDEMONA

O nie, pewna jestem,  
Że nigdy tego byś nie uczyniła.

EMILIA

Z całą pewnością bym to uczyniła,  
I odczyniłabym po uczynieniu.  
Ma się rozumieć, żebym takiej rzeczy  
Nie uczyniła za marny pierścionek  
Ani za parę batystowych szmatek,  
Ani za kornet, ani za mantolet,  
Ani za żaden rupieć tym podobny;  
Ale za cały świat! Któżaż kobieta  
Nie zapragnęłaby swemu mężowi  
Przyprawić rogów i zrobić go przez to  
Monarchą świata? Za tak wielką korzyść  
Gotowa bym się narazić na czyściec.

DESDEMONA

Niebo mi świadkiem, żebym za świat cały  
Nie popełniła takiego bezprawia.

EMILIA

Bezprawie takie jest bezprawiem tylko  
W opinii świata; skorobyś zaś, pani,  
W nagrodę trudu cały świat posiadała,  
Własny by świat twój sądził to bezprawie,  
Łatwo byś przeto mogła je uprawnić.

DESDEMONA

Nie sądzę, aby istniała choć jedna  
Taka kobieta.

EMILIA

Tuzin ich się znajdzie,  
Nie tylko jedna, i w dodatku tyle,  
Ile by trzeba, żeby w krąg zapełnić  
Ten świat, o który by się ubiegały.  
Rozumiem jednak, że to wina mężów,  
Ilekoć żona się potknie. Jeżeli,  
Zapominając o swych obowiązkach,  
Na łonie innych skarby nasze trwonią;  
Jeśli kapryśną zwiedzeni zazdrością  
Ścieśniają naszą swobodę, a nawet,  
Co gorsza, biją nas; jeśli nam czynią  
Ujmę w tym, cośmy wprzód posiadały,  
Toć nic dziwnego, że w nas żółć zakipi;  
Jesteśmy korne w duchu, ale przy tym  
I mściwe trochę. Niech wiedzą mężowie,  
Że żony mają zmysły tak jak oni,



Ze mają oczy, węch i podniebienie  
Zdolne odróżnić słodczy od goryczy,  
Tak jak i oni. Czegóż oni pragną,  
Gdy nad nas inne przenoszą. Rozkoszy?  
Tak myślę. Wiedzieć ich k'temu namiętność?  
Zapewne. Słabości temu jest winną?  
Jużci tak. A czyż my jesteśmy wolne  
Od namiętności, od żądry rozkoszy  
I od słabości bardziej niż mężczyźni?  
Niech nas szanują, a potem nie mruczą,  
Żeśmy złe, gdy nas sami złego uczą.

DESDEMONA

Dobranoc, niebo krzyż ten na mnie zsyła,  
Bym trwała w dobrym, nie złym złe płaciła.

*Wychodzą.*

## AKT PIĄTY

### SCENA PIERWSZA

*Ulica.*

*Wchodzą Jago i Rodrygo.*

JAGO

Stań tu za słupem; wnet przechodzić będzie:  
Wyjm rapier, dźierz go krzepko i wtłocz gracko.  
Nie bój się, będę tuż opodał ciebie.  
Ten krok nas zbawi lub zgubi; pamiętaj  
I wolę w sobie skup.

RODRYGO

Bądź jednak blisko.  
Jagonie, boję się, że plan zawiedzie.

JAGO

Będę tuż. Śmiało! marsz na stanowisko!

*Oddala się i staje w pewnej odległości.*

RODRYGO

Niewielki pochop mam do tego czynu;  
Ale powody podał tak zasadne...  
Mniej, więcej jeden człowiek, cóż to znaczy?  
Nuże, mój mieczu, pójdź, zapadł nań wyrok.

*Idzie na stanowisko.*

JAGO

Potarłem ten świerzb młody do żywego;  
Ot się i jątrzy. Czy on sprzątnie Kasja,  
Czy Kasjo jego, czy oba się sprzątną,

Zawsze coś wygram. Jeżeli Rodrygo  
Uniknie śmierci, zażąda ode mnie  
Zwrotu pieniędzy i owych klejnotów,  
Które od niego wyłudziłem niby  
Dla Desdemony, nie będzie nic z tego,  
Jeżeli Kasjo zostanie przy życiu,  
Co dzień się jaki przymiot w nim okaże,  
Aby mnie zaćmił; może też i Murzyn  
Wydać mnie przed nim, ten punkt zbyt jest groźny;  
Musi więc umrzeć. Cicho! to on idzie.

*Wchodzi Kasjo.*

RODRYGO

Poznaję jego chód, to on. Giń, wrogu!

*Rzuca się na Kasjona i rani go.*

KASJO

To pchnięcie było nieźle wymierzone,  
Ale mój kaftan lepszy jest, niż sądzisz,  
Doświadczę zaraz twego.

*Dobywa szpady i rani Rodryga.*

RODRYGO

O, zabitym!

*Pada. Jago nadbiega, zadaje Kasjowi pchnięcie  
w udo i wychodzi.*

KASJO

Okaleczonym na zawsze. Ratunku!  
Hola! ratunku! Mordercy, mordercy!

*Pada. Otello ukazuje się w głębi.*

OTELLO

Głos Kasja, Jago dotrzymuje słowa.

RODRYGO

Biada mi! o, ja nędzny!

OTELLO

W rzeczy samej.

KASJO

Na pomoc! Hej! kto żyw! światła! felczera!

OTELLO

To on. O, walny, pocziwy Jagonie,  
Coś tak wziął żywo krzywdę przyjaciela,  
Ty mnie pouczasz. – Pupko ubóstwiana!  
Twój ulubieniec legł trupem i twoja  
Bije godzina. Idę, wszetecznic!  
Już mnie nie złudzisz swymi ponętami;  
Splamione łożę sprośna krew twa splami.

*Wychodzi. L o d o w i k o i G r a c j a n o ukazują się  
w pewnej odległości.*

KASJO

Cóż to? Czy nie ma ani straży, ani  
Żywego ducha? Mordercy! Mordercy!

GRACJANO

Jakieś nieszczęście się stało; te krzyki  
Tragiczny jakiś wskazują wypadek.

KASJO

Na pomoc!

LODOWIKO

Słyszysz?

RODRYGO

O nędznik przeklęty!

LODOWIKO

Dwóch czy trzech jęczy. Noc ta jest złowroga.  
Może to jaka zasadzka, czekajmy,  
Póki kto więcej nie przyjdzie na pomoc.

RODRYGO

Nikt nie nadchodzi, na śmierć mnie krew ujdzie.

LODOWIKO

Słuchaj!

*J a g o na wpół rozebrany wchodzi ze światłem i gołą szpadą.*

GRACJANO

Ktoś tu w koszuli zdąża, z światłem w rękę  
I bronią.

JAGO

Kto tu? Skąd ten zgiełk? Kto krzyczał?

LODOWIKO  
Nie wiemy.

JAGO  
Czyście krzyku nie słyszeli?

KASJO  
Tu, tu! dlaboga, ratuj!

JAGO  
Co się stało?

GRACJANO  
Zda mi się, że to chorąży Otella.

LODOWIKO  
Tak, to on, pełen to dzielności człowiek.

JAGO  
Ktoście wy, co tak żałośnie krzyczycie?

KASJO  
Jagonie! łotry przebiły mnie, ratuj!  
Sprowadź mi pomoc!

JAGO  
To ty, namiestniku?  
Dlaboga! Jakież łotry to zrobiły?

KASJO  
Jeden z nich, zda mi się, leży tu w podłe  
I ujść nie może.

JAGO  
O nikczemne łotry!

*do Lodowika i Gracjana*

Co wy za jedni? Pójdźcie tu na pomoc.

RODRYGO  
Ratujcie mnie!

KASJO  
To jeden z nich.

JAGO  
Ha, łotrze!  
Zbóju pokątny!

*Przebija R o d r y g a.*

RODRYGO

Przeklęty Jagonie!  
Nieludzki psie! och! och!

JAGO

Zabijać w mroku!  
Gdzie się podziała reszta tych hultajów?  
Jak też w tym mieście pusto! – Hej! na pomoc! –  
Kto wy? jesteścież źli czy dobrzy?

LODOWIKO

Pisz nas  
Tak, jak nas widzisz.

JAGO

Sinior Lodowiko?

LODOWIKO

Ten sam.

JAGO

Przepraszam was, Kasjo tu leży,  
Ciężko raniony przez hultajów.

GRACJANO

Kasjo?

JAGO

Jakże się czujesz, kolego? Gdzie rana?

KASJO

Na wpół przecięte mam udo.

JAGO

Broń Chryste!  
Świećcie, panowie, zwiążę je koszulą.

*Wchodzi B i a n k a.*

BIANKA

Co to jest? Kto tak krzyczał?

JAGO

Kto tak krzyczał?

BIANKA

O drogi Kasjo! mój najmilszy Kasjo!  
O Kasjo! Kasjo! Kasjo!

JAGO

O łajdaczko!  
Powiedz mi, Kasjo, czy się nie domyślasz,  
Kto są ci, co ci tak się przysłużyli?

KASJO

Nie.

GRACJANO

Żal mi, panie, że cię w tak żalonym  
Stanie zastaję; szukałem cię wszędzie.

JAGO

Daj no podwiązkę. Tak. Żeby kto kazał  
Przynieść lektykę, abyśmy go mogli  
Spokojnie przenieść.

BIANKA

Mdleje. Kasjo! Kasjo!

JAGO

Panowie, mam tę nimfę w podejrzeniu  
O uczestnictwo w tej zbójceckiej sprawie.  
Kochany Kasjo, bądź chwilę cierpliwy.  
Pozwólcie światła, panowie; ciekawym,  
Czy znamy tego ptaszka, czy nie znamy.  
Co widzę! może to ziomek, przyjaciel,  
Rodrygo? nie! o tak! nieba! Rodrygo.

GRACJANO

Rodrygo? Ten z Wenecji?

JAGO

Ten sam właśnie.  
Czyś go znał waćpan?

GRACJANO

Czym go znał? O, znałem!

JAGO

Sinior Gracjano? Wybaczcie mi, proszę,  
Krwawe to zajście niech usprawiedliwi  
Moją niegrzeczność.

GRACJANO

Miło mi cię widzieć,  
Panie chorąży.

JAGO

Jakże ci jest, Kasjo?  
Lektyki! prędeż! Czy poszedł kto po nią?

GRACJANO

Rodrygo!

JAGO

On to, on.

*Wnoszą lektykę.*

Lektyka, przecie!  
Nieście go, dobrzy ludzie, jak najwolniej,  
Ja po felczera skoczę.

*do B i a n k i*

Oszczędź sobie  
Pracy waćpanna.

*do K a s j a*

Kasjo, ten nieszczęsny,  
Co tutaj leży, był mym przyjacielem,  
Jakież z nim miałeś nieporozumienie?

KASJO

Żadnego w świecie; nie znałem go nawet.

JAGO *do B i a n k i*

O, jakżeś zbladła!

*do lektykarzy*

Nieście go do domu!

*Wynoszą K a s j a i R o d r y g a .  
J a g o d o L o d o w i k a i G r a c j a n a .*

Zostańcie chwilę, szanowni panowie.  
Cóż to waćpannie, żeś tak zbladła? Patrzcie:  
Czy uważacie, jak jej wzrok zoblędniał?  
W tym wzroku można wiele się doczytać.  
Tylko się dobrze przyjrzyjcie, panowie.  
Nieprawdaż? Wina musi się odezwać,  
Chociażby język odmawiał posługi.

*Wchodzi E m i l i a .*

EMILIA

Co się tu stało, mężu? co się stało?



JAGO

Kasjo w ciemności napadnięty został  
Przez Roderyga i jego współników,  
Którzy uciekli. Rodrygo nie żyje,  
A Kasjo bliski śmierci.

EMILIA

Wielki Boże!  
Biedny młodzieniec! poczciwy nasz Kasjo!

JAGO

Takie to skutki rozwiązłości. Spytaj,  
Proszę cię, Kasjo gdzie dzisiaj wieczerzał?

*do B i a n k i*

Cóż to? drzysz aścka?

BIANKA

Wieczerzał dziś u mnie,  
Ale dlatego drzeć nie mam przyczyny.

JAGO

U ciebie? Pójdiesz ze mną, mościa panno.

EMILIA

Fuj, bezwstydnico!

BIANKA

Ja nie bezwstydnica;  
Jam równie pełna sromu jak waćpani,  
Co mnie znieważasz.

EMILIA

Jak ja? O bezczelna!

JAGO

Idźmy, łaskawi panowie, zobaczyć,  
Jak będą rany Kasja opatrzone.  
Pójdź aścka, wnet nam zaśpiewasz inaczej.  
A ty, Emilio, spiesz do cytadeli  
Donieść naszemu państwu, co się stało.  
Idziem, panowie?

*do siebie*

Ta noc ma rozstrzygnąć  
Mój los: ze szczętem zwalić mnie lub dźwignąć.

*Wychodzi.*

## SCENA DRUGA

*Sypialnia.*

*Desdemona w łóżku śpiąca. Świeca się pali.*

*Otello wchodzi.*

OTELLO

Oto przyczyna, to przyczyna – duszo!  
Nie chcecie, proszę, abym ją wyjawiał,  
O czyste gwiazdy! Oto jest przyczyna.  
Ale ja krwi jej nie przeleję; szkoda,  
Szkoda byłoby zrysować żelazem  
Tę skórę bielszą od śniegu i gładką  
Jak pomnikowy alabaster.  
Musi jednakże umrzeć, bo tak samo  
Zwiodłaby innych jeszcze. Zgaszę światło,  
A potem – zgaszę światło; skoro zgaszę  
Ciebie, mój służko świecący w pomroku,  
Łatwo cię będę mógł znów rozpłomienić,  
Gdy mi żal będzie; ale raz zgasiwszy  
Twoje żywotne światło, o! ty cudnie  
Misterny wzorze wytwornej natury,  
Gdzież znajdę iskrę prometeuszową,  
Co by to światło roztliliła na nowo?  
Gdy raz twą różę zerwę, już jej życia  
Wrócić nie zdołam; musi, musi zwiędnąć,  
Niechże się jeszcze jej wonią nacieszę,  
Póki jest na pniu.

*całuje ją*

O słodki oddechu!

Ty byś nieledwie z rąk sprawiedliwości  
Mógł miecz wytrącić. Jeszcze, jeszcze jeden  
Będzieszli taką, jak jesteś, po śmierci,  
Którą ci zadam, to cię kochać będę  
Nawet po śmierci. Jeszcze tylko jeden,  
Ostatni, nigdy słodszy pocałunek  
Nie był zgubniejszy. Nie mogę się wstrzymać  
Od łez; okrutne to łzy jednak; żal mój  
Jest żalem nieba, co chłoszcze kochając.  
Budzi się.

DESDEMONA

Kto tu? Czy to ty, Otello?

OTELLO

Tak, Desdemono.

DESDEMONA

Czy chcesz się położyć?

OTELLO

Czyś odmówiła pacierz, Desdemono?

DESDEMONA

Tak, panie.

OTELLO

Jeśli sobie przypominasz  
Jaki grzech, skrucą dotąd nie obmyty,  
To go natychmiast niebu wypowiadaj.

DESDEMONA

Dlaboga! mężu! co znaczy ta mowa?

OTELLO

Módl się, a prędko; usunę się na bok;  
Nie chcę cię zabić nie przygotowanej;  
Boże broń! nie chcę zabić duszy twojej,  
Módl się więc.

DESDEMONA

Mówisz o zabiciu?

OTELLO

Tak jest.

DESDEMONA

Niechże się niebo zmiłuje nade mną!

OTELLO

Amen! z całego serca tego pragnę.

DESDEMONA

Skoro tak, to mnie przecie nie zabijesz.

OTELLO

Hm!

DESDEMONA

Jednak boję się ciebie, boś straszny,  
Kiedy tak dziko przewracasz oczyma.  
Dlaczego boję się, nie wiem, bo nie wiem,  
Com winna; ale czuję, że się boję.

OTELLO

Pomyśl o swoich grzechach.

DESDEMONA

Moje grzechy  
Naprzeciw ciebie są z zbytku miłości.

OTELLO

Za to też umrzesz.

DESDEMONA

Za to, żem kochała?  
Przebóg! dlaczego tak przygryzasz wargi?  
Jakaś myśl krwawa wstrząsa tobą całym.  
Groźne to znaki, ale mam nadzieję,  
Że nie mnie grożą.

OTELLO

Cicho bądź! milcz!

DESDEMONA

Milczę.  
Cóż masz przeciwko mnie? Mów.

OTELLO

Ową chustkę,  
Którą ci dałem, a którą tak cenił,  
Dałaś Kasjowi.

DESDEMONA

Nie dałam, jak pragnę  
Zbawienia duszy i dłuższego życia!  
Poślij po niego i spytaj go.

OTELLO

Strzeż się  
Krzywoprzysięstwa, duszyczko kochana;  
Pomnij, że leżysz na śmiertelnym łożu.

DESDEMONA

Ależ nie zaraz mam umrzeć.

OTELLO

Niezwłocznie.  
Żałuj więc z całą szczerością za grzechy,  
Choćbyś się bowiem jednego po drugim  
Najuroczystsza zaparła przysięgą,  
Nie osłabiłabyś i nie zachwiała  
Niewzruszonego przekonania tego,  
Pod którym jęczę. Śmierć twa nieuchronna.

DESDEMONA

O Boże, zmiłuj się nade mną!

OTELLO

Amen.

DESDEMONA

I ty się zmiłuj! Jam cię nigdy w życiu  
Nie obraziła; nigdy nie kochała  
Inną miłością Kasja, tylko taką,  
Na jaką niebo ogólnie pozwala;  
Nigdy mu nic nie dała.

OTELLO

Niebo świadkiem,  
Żem ową chustkę widział w jego ręku.  
Kobieto bez czci i wiary, ty zmieniasz  
Serce me w kamień i nazwać mi każesz  
To, co uczynić zamierzam, morderstwem,  
Nie zaś ofiarą, za którą to miałem.  
Widziałem ową chustkę.

DESDEMONA

Więc ją znalazł;  
Jam mu jej nigdy nie dała. O panie,  
Poślij po niego, każ mu prawdę wyznać.

OTELLO

Już on ją wyznał,

DESDEMONA

Co?

OTELLO

Że cię posiadał.

DESDEMONA

Jak to? W nieprawy sposób?

OTELLO

Nie inaczej.

DESDEMONA

Nie może tego powiedzieć.

OTELLO

W istocie,  
Nie może teraz, bo ma zwarte usta,  
Pocziwy Jago o to się postarał.

DESDEMONA

Ach! objaśniają się moje obawy.  
Więc on nie żyje?

OTELLO

Choćby był miał tyle  
Organów życia co włosów na głowie,  
Zemsta ma byłaby schłoneła wszystkie.

DESDEMONA

O wielki Boże! on jest oszukany,  
A ja zgubiona.

OTELLO

Ha! niecna fryjerko!  
Śmiesz za nim płakać wobec mnie?

DESDEMONA

O panie,  
Odrać mnie, wygnaj, ale nie zabijaj!

OTELLO

Giń, nierządniczo! nic cię nie ocali.

DESDEMONA

Zabij mnie jutro, oszczędź mnie dziś tylko.

OTELLO

Chcesz się opierać?

DESDEMONA

Tylko pół godziny.

OTELLO *do siebie*

Po dokonaniu skończy się wahanie.

DESDEMONA

Niech się pomodłę tylko.

OTELLO

Już za późno.

*Dławi ją.*

EMILIA *za drzwiami*

Panie, łaskawy panie! otwórz, otwórz!

OTELLO

Cóż to za hałas! Jeszcze żyje, dyszy.  
Okrutnym wprowadzie, lecz i miłosierny;

Nie chcę przeciągać dłużej twoich cierpień  
Tak, tak!

*Dusi ją*

EMILIA *za drzwiami*

Otwórz, pan! otwórz, proszę.

OTELLO

Kto tam?

EMILIA

Otwórz, pan, to ja, mam pilny interes.

OTELLO

Tak! To Emilia; zaraz. Już nie żyje.  
Pewnie przynosi wieść o śmierci Kasja,  
Zgiełk tam był wielki. Ha! już się nie rusza:  
Jak grób milcząca. Mamże jej otworzyć?  
Zda mi się, że się poruszyła znowu:  
Nie. Cóż mam czynić? Wpuścić ją? Jak wpuszczę,  
Zechce zagadać pewnie do mej żony.  
Do mojej żony! Żony! Jakiej żony?  
Ja nie mam żony. O fatalna chwilo!  
Nie do zniesienia! Zda mi się, że teraz  
Będzie zaćmienie słońca i księżycy  
I że krąg cały ziemi przerażony  
Rozpadnie się ze zgrozy.

EMILIA *za drzwiami*

Wpuść mnie, panie.

Muszę się widzieć z panem. Otwórz, otwórz,  
Łaskawy panie!

OTELLO

Zapomniałem o niej.  
Zaraz, Emilio. Spuśćmy wprzód firankę.

*otwiera drzwi*

Gdzie jesteś? Po co przychodzisz w tej porze?

*E m i l i a wchodzi ze świecą.*

EMILIA

Ach, panie, niecne morderstwo spełniono!

OTELLO

Jak to? W tej chwili?

EMILIA

Tak, właśnie w tej chwili.

OTELLO

To księżyc temu winien: on w tych czasach  
Bardziej niż zwykle zbliżył się do ziemi,  
Stąd szał napada ludzi.

EMILIA

Kasjo, panie,  
Zabił Rodryga, owego młodego  
Wenecjanina.

OTELLO

Co? Rodrygo zginął?  
I Kasjo zginął?

EMILIA

Nie, Kasjo nie zginął.

OTELLO

Nie zginął Kasjo? Morderstwo więc traci  
Swoją dźwięk i chrypcie słodko brzmiąca zemsta.

DESDEMONA

Bez winy życie straciłam!

EMILIA

O Boże!  
Czyj to głos?

OTELLO

Czyj? Co?

EMILIA

To głos mojej pani.  
Nieba! Na pomoc! Na pomoc! O pani!  
O Desdemono! przemów jeszcze! przemów,  
Kochana pani!

DESDEMONA

Umieram niewinna.

EMILIA

Ha! któż jest sprawcą tego?



DESDEMONA

Nikt, ja sama.  
Bądź zdrowa. Pozdrów ode mnie mojego  
Ukochanego małżonka. Bądź zdrowa!

*Umiera.*

OTELLO

Jak ona mogła być zamordowana?

EMILIA

Niestety! któż to wie?

OTELLO

Słyszałaś przecie  
Z jej ust, że sprawcą tego ja nie jestem.

EMILIA

Tak powiedziała, muszę to zaświadczyć.

OTELLO

Z kłamstwem na ustach poszła wprost do piekła –  
Jam to ją zabił.

EMILIA

Tym czystszy z niej anioł,  
A tym czarniejszy szatan z ciebie, zbójco.

OTELLO

Ona puściła wodze sprośnym chuciom.

EMILIA

To istna potwarz, a ty istny szatan.

OTELLO

Niestała była jak wiatr.

EMILIA

A tyś wściekły  
Jak ogień, kiedy ją mienisz niestałą,  
Jej wierność była godną niebian.

OTELLO

Kasjo  
Miał z nią stosunki; spytaj swego męża.  
Obym się zapadł w najgłębsze dno piekieł,  
Jeślim się chwycił tej ostateczności  
Bez pewnych danych. Twój mąż wie o wszystkim.

EMILIA  
Mój mąż?

OTELLO  
Tak, mąż twój.

EMILIA  
Ze miała nieprawe  
Z kim bądź stosunki?

OTELLO  
Nie inaczej, z Kasjem.  
O, gdybym był miał pewność jej wierności  
I niebo było mi za nią dawano  
Drugi świat taki, utworzony z jednej,  
Całej, rodzimej sztuki chryzolitu,  
Nie byłbym jej był oddał.

EMILIA  
Mój mąż?

OTELLO  
Tak jest,  
On pierwszy ostrzegł mnie o jej miłostkach;  
Prawy to człowiek, brzydzący się szlamem  
Powlekającym sromotne postęпки.

EMILIA  
Mój mąż?

OTELLO  
Dopókiż tych pytań, kobieto?  
Twój mąż, powiadam.

EMILIA  
O kochana pani!  
Miłość wywiodła nikczemna złość w pole.  
Mój mąż obwinia ją o wiarołomstwo?

OTELLO  
On, twój mąż; cóż to? Czy mnie nie rozumiesz?  
Przyjaciel mój, twój mąż, poczciwy Jago.

EMILIA  
Niechże mu zgnije jadowita dusza  
Co dzień o jeden grań! Łże najbezczelniej,  
Zbyt drogo ona, owszem, swój potworny  
Ceniła związek.

OTELLO

Ha!

EMILIA

Wywrzyj twą, wściekłość!  
Ten twój postępek równie jest wart nieba,  
Jak ty jej byłeś wart.

OTELLO

Radzę ci milczeć.

EMILIA

Nie lękam się twych grózb, nie masz ty w sobie  
Do zaszkodzenia mi przez pół tej siły,  
Co ja mam do zniesienia tych zamachów.  
O dudku! głąbie ty z zakutym mózgiem!  
Ten twój czyn – co mnie tam twój miecz obchodzi!  
Wydam cię, choćbym dwadzieścikroć razy  
Śmierć miała ponieść. Na pomoc! na pomoc!  
Morderstwo! Murzyn zabił moją panią!

*Wchodzą Montano, Gracjano i Jago.*

MONTANO

Co to jest? Co się stało, generale?

EMILIA *do Jagona*

Pójdź tu, pójdź, dobrześ dbał o swoją sławę,  
Gdy ludzie mordy na twój karb składają.

GRACJANO

Co się tu stało?

EMILIA *jak wprzódy*

Jeżeliś nie podlec,  
Zadaj fałsz temu niecnocie; on twierdzi,  
Żeś ty oskarżył przed nim jego żonę  
O wiarołomstwo. Wiem, że tak nie było;  
Nie jesteś zdolny do takiej szkarady.  
Mów, mów, bo serce moje przepelnione.

JAGO

Nie powiedziałem mu nic więcej nad to,  
Com w duchu myślał i co on sam uznał  
Za wiarogodne i prawdopodobne.

EMILIA

Ale czyś kiedykolwiek mu powiedział,  
Że ona wiarołomna?

JAGO

Powiedziałem.

EMILIA

Skłamałeś, podle skłamałeś; to kłamstwo,  
Piekielne kłamstwo, kłamstwo, jak Bóg w niebie!  
Ona występne mieć stosunki z Kasjem!  
Z Kasjem, mówiłeś?

JAGO

Z Kasjem, mościa pani.

Powściągnij język.

EMILIA,

Ja, powściągnąć język?

Ja muszę, muszę mówić, oto w łóżku  
Zamordowana leży moja pani.

WSZYSCY

Boże uchowaj!

EMILIA

Twoje to poszepty  
Spowodowały tę okropną zbrodnię.

OTELLO

Wyjdźcie z zdumienia, panowie, to prawda.

GRACJANO

Nieszczęsna prawda!

MONTANO

O potworny czynie!

EMILIA

Co za nikczemność! Ha! Co za nikczemność!  
Wiem, wiem, domyślam się, zgaduję wszystko.  
Jużem się pierwszej tego domyślała.  
Co za nikczemność! Zabiję się z żalu.

JAGO

Czyś zwariowała? Idź do domu zaraz.

EMILIA

Na Boga! niech mi wolno będzie mówić!  
Winnam mu w każdym razie posłuszeństwo,  
Tylko nie teraz; o, tylko nie teraz.

*do J a g o n a*

Może już nigdy nie wrócę do domu.

OTELLO

Och! och! och!

*Rzuca się na łóżko.*

EMILIA

Tak, tak, rycz, wuj się z boleści,  
Boś zamordował najczystsza niewinność,  
Jaką świat widział.

OTELLO *zrywając się*

Nie! Występna była.

*do Gracjana*

I ty tu, stryju? Dopierom cię spostrzegł.  
Patrz, oto leży twoja synowica.  
Zgłodzona tymi rękami. Zaprawdę,  
Czyn ten wydaje się dziki i straszny.

GRACJANO

Biedna istoto! W porę zmarł twój ojciec,  
Związek twój był dlań zabójczy, cierpienie  
Przecięło starą nić, gdyby żył teraz,  
Widok ten w rozpacz by go wtrącił taką,  
Iżby anioła stróża swego zraził  
I duszy swojej zbawienie naraził.

OTELLO

Serce się na to ściska, ale Jago  
Wie, że się ona jakie tysiąc razy  
Z Kasjem sprośnego dopuszczała czynu –  
Kasjo to wyznał – i zapały jego  
Wynagrodziła tym samym podarkiem,  
Który ode mnie dawniej otrzymała.  
Widziałem przedmiot ten u niego w ręku:  
Była to chustka, pamiątka rodzinna,  
Którą mój ojciec dał był mojej matce.

EMILIA

O nieba! nieba!

JAGO

Będieszże ty milczeć?

EMILIA

To musi na wierzch wyjść, musi wyjść na wierzch.  
Ja milczeć, panie? Nie, ja mówić będę,  
Tak głośno jak wiatr północny. Niech niebo,

Ludzie, szatany, wszystkie moce świata  
Wołają na mnie: „Milcz”, ja mówić będę.

JAGO

Miejże rozwagę i ruszaj do domu.

EMILIA

Nie pójdę.

*J a g o usiłuje przebić żonę.*

GRACJANO

Wstydź się! dobywać oręża  
Przeciw kobiecie?

EMILIA

O głupi Murzynie!  
Tę chustkę, chustkę tę, o której mówisz,  
Ja przypadkowo znalazłam i dałam  
Memu mężowi; bo niejednokrotnie  
W nalegający, uroczysty sposób  
(Jakby mu wiele na tym zależało)  
Żądał ode mnie, abym ją wykradła.

JAGO

Kłepo przekłeta!

EMILIA

Ona dać tę chustkę  
Kasjowi? Nigdy! Ja to ją znalazłam  
I Jagonowi dałam.

JAGO

Kłamiesz, draniu.

EMILIA

Nie, jak Bóg w niebie! Nie kłamię, panowie.

*do Otella*

O krwawy capie! Jak mógł taki bałwan  
Żyć z tak cnotliwą kobietą?

OTELLO

Czy gromy  
Na to są tylko w niebie, aby grzmiały?  
Superfinowy łotrze!

*Rzuca się na J a g o n a.  
J a g o przebija E m i l i ę i ucieka.*

GRACJANO

Patrzcie, pada,  
Niechybnie zadał jej śmiertelne pchnięcie.

EMILIA

Tak, tak. O złóżcie mię przy mojej pani!

GRACJANO

I uciekł, ale żonę zamordował.

MONTANO

To łotr, ten Jago – sinior Gracyjano,  
Weź ten miecz, com go zabrał Murzynowi;  
Obsadź drzwi zewnątrz, niech go nie puszczają,  
Zabiją raczej. Ja muszę podążyć  
Za tym hultajem, bo to pies skazany  
Na potępienie.

*Wychodzi z Gracyjanem.*

OTELLO

Jużem ja niemeżny  
I byle fagas może miecz mi zabrać.  
Na cóż by sława miała cnotę przeżyć?  
Niech wszystko w nicość przepada!

EMILIA

Co znaczył  
Ów śpiew twój, pani? Słyszyszże mię jeszcze?  
Pożegnam świat ten jak łabędź i umrę  
Z pieśnią na ustach: Wierzbo! wierzbo! wierzbo!  
Murzynie, ona była czysta, ona  
Kochała ciebie, okrutny Murzynie.  
Ostatni to już raz usta otwieram,  
Więc mi wierz: mówiąc, co myślę, umieram.

*Umiera.*

OTELLO

Mam jeszcze inny oręż w tym pokoju.  
Miecz to hiszpański, w łodzi hartowany.  
Oto jest. Stryju, muszę wyjść.

GRACJANO *zewnątrz*

Jeżeli  
Krok zrobisz za próg, przyplacisz to drogo.  
Jesteś bezbronny, musisz przeto ulec.

OTELLO

To przyjdź tu do mnie na chwilę rozmowy  
Lub z gołą pięścią rzucę się na ciebie.

GRACJANO *wchodząc*

Czego chcesz?

OTELLO

Mam miecz, widzisz, nigdy jeszcze  
Lepszy nie zdobył boku wojownika.  
Był czas, gdym mieczem tym i tym ramieniem  
Torował sobie drogę przez zawady  
Dwadzieścia razy większe niż zaporą,  
Którą mi stawiasz. O czcze to przechwałki!  
Któż zdoła los swój przejrzeć? Dziś tak nie jest.  
Nie bój się, choć mię uzbrojonym widzisz:  
Tu kres żeglugi mojej, moja przystań,  
Ostatni morski znak dla mego statku.  
Czego się cofasz? Płonne twe obawy:  
Trać tylko trzcina o piersi Otella,  
A wnet ustąpi. Gdzieżbym ja się udał?  
Jakże wyglądasz teraz? O wybrane  
Dziecię niedoli! bladaś jak to gieżło!  
Gdy się zejdziemy tam do porachunku,  
Widok twój wygna mą duszę sprzed niebios  
I czartom na łup odda. Jakżeś zimna,  
Moja pieszczoto! zimna jak, o! wstyd twój.  
Przeklęty zdrajco! – Odtrąćcie mię, furie,  
Sprzed tego niebian godnego oblicza!  
Rozwiejcie mię wichrami! Stopcie w siarce!  
Wtrąćcie w głęboką czeluść płynnych żarów!  
O Desdemono! Martwa Desdemono!  
Martwa! och! och! och!

*Wchodzi L o d o w i k o, M o n t a n o. K a s j o w l e k t y c e  
i straż prowadząca ujętego J a g o n a.*

LODOWIKO

Gdzie ten szalony, nieszczęśliwy człowiek?

OTELLO

Oto jest: oto ten, co był Otellem.

LODOWIKO

Gdzie ów gad? stawcie tu przed nas tę zmiję.

OTELLO

Na nogi patrzę mu; ale to bajka.  
Jeżeli diabeł, nie będę mógł zabić.



*Rzuca się na J a g o n a i rani go.*

LODOWIKO

Odbierzcie mu miecz.

JAGO

Rannym, lecz nie na śmierć.

OTELLO

Tym lepiej, wolę, że jeszcze pożyjesz;  
Bo umrzeć, czuję to, jest szczęśliwością.

LODOWIKO

O ty, niedawno jeszcze tak cnotliwy,  
Nimesz wpadł w sidła zdrajcy, o Otello!  
Cóż świat o tobie powie?

OTELLO

Wszystko jedno,  
Może mię nazwać uczciwym mordercą,  
Jeżeli zechce; bom nic nie uczynił  
Przez podłość; wszystko przez miłość honoru.

LODOWIKO

Ten nędznik wyznał już przez pół swe sprawki;  
Byłeś z nim w zмовie przeciw życiu Kasja?

OTELLO

Tak jest.

KASJO

Kochany wodzu, czy być może?  
Nigdy do tego nie dał ci przyczyny.

OTELLO

Wierzę i proszę cię o przebaczenie.  
Spytaj się tego szatana, dlaczego  
Tak mi opętał i duszę, i ciało!

JAGO

Próżno by pytał, co wiecie, to wiecie;  
Od tej już chwili nieme moje usta.

LODOWIKO

Nawet do modłów?

GRACJANO

Męki je otworzą.

OTELLO

Niech pozostaną nieme, to i lepiej.

LODOWIKO

Dowiesz się, panie, szczegółów, o których  
Nic jeszcze nie wiesz, jak się zdaje. Oto  
List znaleziony w kieszeni Rodryga,  
Tu drugi. W pierwszym wzmianka, że Rodrygo  
Był poduszczony do zabicia Kasja.

*Oddaje list O t e l l o w i.*

OTELLO *po przeczytaniu*

O nędznik!

KASJO

Co za pogańskie oszustwo!

LODOWIKO

A oto drugi list pełen wyrzutów,  
Również w kieszeni jego znaleziony,  
Rodrygo miał go, jak się zdaje, przesłać  
Temu łotrowi, ale on tymczasem  
Nadszedł i niechęć jego ułagodził.

OTELLO *po przeczytaniu*

O, łajdak szkodny! Jakimże sposobem  
Chustka mej żony przeszła w twoje ręce,  
Kasjo?

KASJO

Znalazłem ją w moim pokoju  
I on sam wyznał, gdy go tu wiedziono.  
Że ją upuścił tam umyślnie w celu,  
Którego dopiął.

OTELLO

O moja ślepoto!

KASJO

Jest też w tym liście Rodryga ślad, jak go  
Namówił Jago do szukania ze mną  
Owej na warcie kłótni, skutkiem której  
Straciłem miejsce; i tenże Rodrygo,  
Z pozornej śmierci ocknąwszy się, zeznał  
Przed chwilą właśnie, że go Jago podżegł  
Do napadnięcia mnie i przebił potem.

LODOWIKO

Otello, musisz wyjść stąd i pójść z nami,  
Pełnomocnictwo twe ustało. Kasjo  
Zarządza teraz Cyprem. Pozostaniesz  
Pod ścisłą strażą, póki rząd wenecki  
Uwiadomiony nie będzie o winie,  
Jaka na tobie ciąży. Co się tyczy  
Tego wyrodka, czekają go męki  
Najwyszukańsze, jakim kiedykolwiek  
Zbrodniarz ulegał. Prowadźcie ich!

OTELLO

Zaraz,

Parę słów tylko. Oddałem Wenecji  
Pewne przysługi, są one wiadome;  
Nie mówmy o tym. W doniesieniu, które  
O tych nieszczęsnych sprawach prześlesz, panie,  
Wystaw mię, proszę, takim, jakim jestem;  
Nie ujmij ani nie dodaj niczego.  
Przyjdzie ci przeto mówić o człowieku,  
Co nieroztropnie, ale bardzo kochał;  
Co nie był skory do podejrzeń, ale  
Raz je powziąwszy, nie był siebie panem;  
Którego ręka na wzór indyjskiego  
Prostego parii odrzuciła perłę  
Więcej niż całe jego plemię warta;  
Którego oczy dotąd zawsze suche,  
Ronią łzy teraz, jak arabskie drzewa  
Swoją balsamiczny sok. Napisz to wszystko,  
A w końcu dodaj, że gdy raz w Aleppo  
Zuchwały Turczyn bił Wenecjanina  
I bluźnił państwu waszemu, jam tego  
Psa rzezanego uchwycił za gardło  
I pierś mu przeszył – tak.

*Przebija się.*

LODOWIKO

O krwawy końcu!

GRACJANO

Za nic już teraz wszystko, co się rzekło.

OTELLO *padając na Desdemone*

Jak przed zabiciem całowałem ciebie,  
Tak niech umieram, sam zabiwszy siebie.

*Umiera.*

KASJO

Balem się tego, ale rozumiałem,  
Że jest bezbronny, dusza jego była  
Wzniosła i wielka.

LODOWIKO *do Jagona*

Spartański psie! sroższy  
Od moru, głodu i dzikich fal morza,  
Patrz na tragiczne żniwo tego łoża:  
Twoje to dzieło. Takiego widoku  
Wzrok nie wytrzyma; zakryjcie go oku.

*do Gracjana*

Gracjano, zostań tu jeszcze i zajmij  
Mienie Murzyna, ono bowiem z prawa  
Spada na ciebie.

*do Kasja*

Od was, panie rządco,  
Zależy kara tego piekielnika,  
Czas, miejsce, rodzaj mąk: obostrz je, obostrz!  
Co do mnie, siadam natychmiast na okręt  
I wracam nazad, abym senatowi  
Z zbolałym sercem skreślił, jako świadek,  
Ten zbyt bolesny dla wszystkich wypadek.

*Wychodzi.*